


ZBIORY OSRODKA KARTA

niezależna  
oficyna  
wydawnicza



jesień - zima 1980

# *Puls* nr 9/10

nieregularny kwartalnik literacki

redagują:

JANUSZ ANDERMAN

JACEK BIEREZIN

TOMASZ FILIPCZAK

BARTOSZ PIETRZAK

WITOLD SUŁKOWSKI

LESZEK SZARUGA

Zespół redakcyjny: Janusz Anderman, Jacek Bierozin  
 /redaktor naczelny/, Tomasz Filipczak, Bartosz  
 Pietrzak, Witold Sułkowski, Leszek Szaruga  
 Stale współpracują: Stanisław Barańczak, Lech Dynarski,  
 Antoni Pawlak, Bolesław Sulik, Tadeusz  
 Walendowski  
 Przedstawiciel "PULSU" za granicą: Jan Chodakowski

S P I S T R E Ś C I

Czesław MIŁOSZ: List do polskich komunistów	
Marian BRANDYS: Przemówienie wygłoszone 16.VI.1980 roku na uroczystym zebraniu IEN CLUBU .....	3
Marian BRANDYS: Królestwo Białorusi .....	7
Stanisław BARAŃCZAK: Z "Dziennika Zimowego" .....	22
Janusz ANDERMAN: Opowiadania .....	25
Janusz ANDERMAN: Strajk okupacyjny /słuchowisko radiowe/ .....	34
Mirasław WITKOWSKI: Miałem wtedy 16 lat .....	43
Zofia KOWALCZYKOWA: Mój zamordowany syn .....	46
Tomasz JASTRUN: Las Birman ruszył .....	73
Tim Garton ASH: Koniec początku .....	95
Prze gl ą d K u l t u r a l n y i N i e k u l t u r a l n y	
ANI BOGA, ANI PANA /wywiad z J.Goytisolo/ .....	100
Andrzej DRAWICZ: Przemówienie na zebraniu wydziałowym Oddziału Warszawskiego ZLP .....	108
Stefan MORAWSKI: Antyszuka: talizman czy narkotyk .....	112
Wojciech SŁODKOWSKI: O wyższą jakość dna .....	114
Muzeum Ruchu Rewolucyjnego: Dwa światy .....	119
spin: POL POT i SOWSHOW /o Miłoszu/ .....	124
K r o n i k a .....	126
F e l i e t o n y	
Jiri RUMIL: Sznyclę cielące i zagubiona skóra .....	135
Piotr WIERZBICKI: List do Komisji Kwalifikacyjnej ZG ZLP .....	137
Maciej CISŁO: O Młodej Literaturze .....	138
Maciej CISŁO: Kicz telewizyjny .....	139
TAN TAL: W ramach odnowy .....	141
Wpaty na fundusz "Pulsu" .....	142

K R A J O W E   A D R E S Y   R E D A K C J I

Jacek Bierezin                      ul. Astronautów 11 m. 17, 93-533 Łódź  
Witold Sułkowski                  ul. Uniwersytecka 44 m. 55, Łódź, tel. 857-02  
Leszek Szaruga                    ul. Batumi 4 m. 59, Warszawa, tel. 42-59-01

Adres przedstawicielstwa redakcji w Londynie

PULS PUBLICATIONS, BCM BOX 697, LONDON WC1V 6XX, UNITED KINGDOM

---

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ O "PULSIE"

ZDOBYĆ MARKĘ DOBRYM WYROBEM, A NASTĘPNIE OBNIŻYĆ WARTOŚĆ  
PRODUKTU DLA DORAŻNYCH DOCHODÓW WYDAJE SIĘ BYĆ BARDZO ZŁĄ ZASADĄ  
W PRZELYSLE. MOJA FIRMA TAK NIE POSTĘPUJE.

OSTATNIO FIRMA P U L S OSIĄGŁA NIEZŁE WYNIKI

"Narkotyki. Niemyte dusze" s. 180

Pisać czytelnie  
straznikiem, długopisem  
lub chemicznym  
ołówkiem  
Adresować dokładnie

Nieczytelne pismo lub  
nieodkładny adres są  
często powodem znie-  
kształcenia lub opóźnie-  
nia telegramu.

Płatne wskazówki  
w skrótach

(Używane najczęściej)

- Pldy- (zagan.)
- Urgent- (pilny)
- RFX- (odpowiedź opła-  
cona)
- TDx- (doręcza się w  
określonym dniu)
- XP- (doręcza się przez  
umyślnego posłańca na  
koszt nadawcy)
- Polańca- (doręcza się  
przez umyślnego po-  
słańca na koszt odbiorcy)
- LX- (blankiet ozdoby)
- KLT- (telegram życze-  
niowy)
- LX- (telegram listowy)
- GP- (posta restante)
- RFX- (przekazuje się  
adresatowi telefonicznie)
- LXX- (przekazuje się  
adresatowi dalekopisem)

Nie podlega odtelegrafowaniu  
Nadawca  
(nazwisko wzgl. instytucja, adres,  
nr telety)

PPST Nr 1011

Oplata za telegram zł _____ dodatkowa zł _____ razem zł _____ podpis _____	Uwagi służbowe	Odtelegrafowano dn. _____ g.m. _____ do _____ podpis _____
<b>TELEGRAM</b>		
nr _____ st. _____ dn. _____ g. m. _____		
= <b>CZESŁAW MIŁOSZ</b> =		
(wskazówki służbowe) adresat (imię i nazwisko albo nazwa instytucji)		
<b>978 GRIZLY PEAK BULLEWARD BERKELEY, CALIFORNIA, USA</b>		
(wielo i nr domu, albo ulica, nr domu i mieszkania, nr telefonu) (pocztą)		
-----		
<b>JESTEŚMY DUNNI I SZCZĘŚLIWI</b>		
-----		
<b>REDAKCJA "PULSU"</b>		
-----		
ODWRÓCIĆ		
-----		

ZGPN W-w, 1972 \*\*\*

Czesław Miłosz

### LIST DO POLSKICH KOMUNISTÓW /fragmenty/

Piszę do was ten list bynajmniej nie w celach retorycznych. Jeżeli dostrzeżecie w nim naiwność, nie będzie to naiwność podstępna, ale dobrowolnie przyjęta, dlatego po prostu, że ironia jest czasami za łtawa. Obieram więc ton zupełnie rzeczowy i żadnych zatrutych strzał nie chowam w zanadrzu. /.../

Latem 1957 roku podpisałem kontrakt z Wydawnictwem Literackim w Krakowie na dwie moje książki: "Wiersze zebrane" i powieść "Dolina Issy". Książki nie mogły się jednak ukazać, gdyż zostały wkrótce zabronione przez cenzurę i to nie na szczeblu lokalnym, ale na szczeblu Komitetu Centralnego. Zarazem cenzura zaczęła tępić artykuły o mojej poezji, wyrzucać z książek krytyków literackich ustępy moim pracom poświęcone, a nawet patrzeć krzywo jeżeli ktoś cytuje moje nazwisko, co zmusiło moich kolegów-pisarzy do używania omówień albo kryptonimów. W wydanej niedawno podręcznej encyklopedii jestem jednym z nielicznych autorów mieszkających za granicą, przy których nazwisku umieszczono określenie: "Przeciwnik Polski Ludowej". Co ten termin oznacza, nie mam pojęcia.

Walka z poetą jest śmieszna i dla was poniżająca. Gdybyście uważali swoją dyktaturę za dyktaturę faszystowską, moglibyście ulegać złudzeniu, że taka walka przyniesie porządane skutki. Wy jednak, pomimo wszelkich, jak to się delikatnie nazywa, "błędów wypaczeń", czerpicie natchnienie z pism ludzi, którzy byli intelektualistami i mocno wierzyli, że dzieła myśli ludzkiej są silniejsze niż jakakolwiek policja. Nie jest moją winą, jeżeli staracie się być podobni do urzędników carskich wyłapujących w XIX wieku druki polskie przesyłane z Paryża. Próbując wydać moje książki w Polsce, złożyłem dowód, że wolałbym uniknąć analogii historycznych, równie dla mnie, jak dla was przykrych. /.../

Czesław Miłosz

Kultura nr 11, Paryż 1959

Marian Brandys

PRZEMÓWIENIE, WYGŁOSZONE 16 CZERWCA 1980 ROKU NA UROCZYSTYM ZEBRANIU PEN-CLUBU, Z OKAZJI PRYZNANIA NAGRODY LITERACKIEJ IM. M.B. LEPECKIEGO ZA CYKL HISTORYCZNY "KONIEC ŚWIATA SZWOLEŻERÓW"

Chcę wyrazić serdeczne podziękowanie PEN-Clubowi za przyznanie mi tak zaszczytnej nagrody. Miło mi, że mogę to podziękowanie złożyć Prezesowi PEN, Juliuszowi Żuławskiemu, gdyż równo 40 lat temu, w obozie jenieckim Oflag II B w Prenzlau tenże sam kolega Żuławski był prezesem zakonspirowanego przed Niemcami kółka literackiego, w którym odebrałem pierwsze święcenia literackie.

Z całego serca dziękuję pani prof. Marii Janion za to, że tak pięknie mówiła o moich książkach historycznych. Przyznaję, że jej esej uderzył mi trochę do głowy. Aby więc nie przewróciło mi się w głowie ostatecznie, powiem tu kilka szczerych słów o mojej drodze do pisarstwa historycznego. Nie będzie to dla mnie zabieg przyjemny, bo moja droga do historii wiodła przez kolejne porażki ponoszone w innym gatunku pisarskim, a pod koniec była już tylko sromotna ucieczka.

Z powołania jestem reporterem, czy - jak to się dzisiaj mówi - reportażyście. Przez wiele lat starałem się opisywać otaczającą mnie konkretną rzeczywistość i - może to zabrzmieć patetycznie - tłumaczyć czytelnikom Polskę. Nie zawsze tłumaczyłem ją właściwie. Reportaż jest w większym stopniu uzależniony od aktualnej rzeczywistości niż literatura piękna. Moja twórczość reporterska rozwijała się w pełnej zgodzie z powojenną historią polskiego reportażu. Przeżywałem kolejno jej wszystkie upadki i wzloty, poczynając od okresu płaskiego ilustrowania oficjalnej, hiperoptymistycznej wersji rzeczywistości w pierwszym dziesięcioleciu powojennym, aż po wspaniałą wybuch "polskiej szkoły reportażu" w połowie lat pięćdziesiątych - "szkoły", której miałem szczęście współpatronować jako kierownik działu reportażu w nieistniejącym już dzisiaj tygodniku "Świat".

Mój okres socrealistyczny skończył się gdzieś w roku 1952, po ukazaniu się mojej książki "Początek opowieści", opowiadającej o budowie Nowej Huty. Do tego czasu pisywałem słoneczne bezkonfliktowe reportaże o zasadniczych zmianach dokonujących się w powojennej Polsce. Sławiłem zwycięską walkę nowego ze złym systemem. Z całego serca pochwalałem budowę nowych domów, fabryk i miast robotniczych. Dawałem wyraz głębokiej wierze, że z nowymi murami będą nam rośli nowi wspaniali ludzie. Mój ślepy, żarliwy optymizm wynikał z doświadczeń i urazów przeszłości. Za sobą miałem kilka lat przedwojennego bezrobocia, zesłanie do Berezy mojego ojca, rozpaczliwą kampanię wrześniową, przeszło pięcioletnią vegetację w niemieckim oflagu, gdzie uświadamiali mnie politycznie tacy ludzie jak wybitny filozof marksistowski Adam Uziębło /późniejszy generał ludowego wojska polskiego i więzień stanu/, wreszcie straszliwy 10-dniowy marsz ewakuacyjny z obozu i u kresu tego marszu-mordowni - kiedy czuliśmy już w sobie nieuchronną śmierć - wyzwolenie przez dwa czołgi, z których po raz pierwszy w życiu usłyszałem śpiewną mowę rosyjską. Potem powrót do kraju: porażenie widokiem zdruzgotanej Warszawy, zapał odbudowy, dogasająca na poboczach tragiczna wojna domowa. Jałta.

Wszystko to razem sprawiło, że narosło we mnie żarliwe pragnienie rozwiązań pozytywnych. Dlatego bez większych oporów zawierzyłem optymistycznej wersji rzeczywistości - głoszonej wówczas przez <sup>nie tylko</sup> polityków i propagandzistów, lecz również przez wybitnych historyków, pisarzy i poetów. Dlatego, pisząc moje socrealistyczne reportaże, byłem najgłębiej przekonany, że dobrze służę mojemu krajowi i właściwie tłumaczę moim czytelnikom zmiany zachodzące w Polsce.

Kryzys nastąpił dopiero po wydaniu "Początku opowieści". Przyjęcie tej książki zaniepokoiło mnie. W gazetach mnie chwalili. Pewien młody, ale bar-

Choć wówczas wpływowy krytyk poświęcił mi w warszawskiej "Kulturze" studium na całą pierwszą kolumnę pt. "Początek Wielkiej Epopei" /po "Październiku" przestał mi się kłaniać/, natomiast moi najbliżsi przyjaciele uchylali się od jakichkolwiek rozmów na temat książki. Zrozumiałem, że "coś jest nie tak".

Jestem człowiekiem impulsywnym i lubię jasne sytuacje. Niewiele myśląc wziąłem z półki 10 egzemplarzy autorskich "Początku opowieści" i wypisałem na każdym następującą dedykację:

"Szanowny/a/ Panie /Pani/. Jestem dziennikarzem, który debiutuje jako pisarz. Napisałem książkę, ale nie jestem jej pewny. Proszę najusilniej o kilka słów szczerzej, choćby najostrzejszej krytyki. Zależy od tego cała moja pisarska przyszłość." - Potem rozesłałem egzemplarze do dziesięciu pisarzy starszego pokolenia, których osobiście nie znałem, ale szanowałem za ich dawną twórczość.

Na dziesięć wysłanych książek nie dostałem a n i j e d n e j odpowiedzi. Dziś lepiej rozumiem wstrzemięźliwość szanownych seniorów literackich: czasy były trudne, książka naiwna, dedykacja egzaltowana, autor nieznan. Nie uosabiało to do ryzykownej szczerości. Ale dla mnie było jednoznaczny wyrok.

Wystarałem się w redakcji o samochód i wyruszyłem w reporterską wędrówkę po Polsce, aby przeprowadzić naoczna konfrontację między optymistycznym obrazem rzeczywistości nakreślonym w mojej książce a rzeczywistością prawdziwą.

Była to najsmutniejsza podróż reporterska w moim życiu. Na długo przed burzą październikową, przed moimi nagle owidziały mi oczami, rozpadała się w proch oficjalna wersja rzeczywistości, na której oparłem "Początek opowieści". Dowiadywałem się, że n o w e, które tak popierałem w mojej książce, nie było wcale tak zupełnie dobre, a s t a r e, które tak w czambuł potępiałem - tak zupełnie złe. Że nowe mury nie rosły wcale tak szybko i planowo, jak mi obiecywano /i jak ja z kolei obiecywałem moim czytelnikom/. Że ludzie nie chcieli rosnąć razem z murami. Że za piękną wesołą makietą nowych domów i fabryk kryły się sprawy smutne i krwawe.

Był to dla mnie okropny wstrząs. Poczuję się nagle - proszę mi wybaczyć porównanie - jak ten chłop na jarmarku, który chcąc się załatwić, skrył się za wozem, a tu wóz raptem odjechał, odsłaniając go w sytuacji wstydlivej i ośmieszającej.

Przysiągłem sobie, że odtąd już nigdy nie zawierzę oficjalnej wersji rzeczywistości, że będę pisywał wyłącznie w oparciu o własne obserwacje, bądź w pełni wiarygodne, wielokrotnie sprawdzone dokumenty. Wyrzekłem się całkowicie udziału w "walczącym" reportażu pierwszej linii, przestałem być "doboszem rewolucji". Schroniłem się do spokojnego azylu literatury dla dzieci i młodzieży oraz, oderwanego od wszelkiej polityki, reportażu etnograficzno-historycznego.

Sądziłem, że w ten sposób uniezależnię się w pełni od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych. Ale żużdziłem się. Oficjalna wersja rzeczywistości, ulegająca co pewien czas gwałtownym korektom politycznym, nadal wpływała i niszczyliśko na moje książki, choć nieco inaczej niż poprzednio.

Wyjaśnię to na przykładach. Z lat "polskiej szkoły" reportażu pozostała mi książka "O królach i kapuście" - zbiór reportaży o małomiasteczkowej inteligencji. Bardzo lubię tę książkę, bo mówi sporo o Polsce i zamieszczone w niej reportaże wytrzymały zwycięsko próbę czasu. Doceniają to wydawcy. Często proponują mi wznowienie poszczególnych reportaży zbioru w aktualnie wydawanych antologiach polskiego reportażu współczesnego. Zgadzam się na to chętnie, ale później zaczynają się kłopoty z redaktorami wydawnictwa i z cenzurą. Okazuje się, że pewne sformułowania moich reportaży w połowy lat pięćdziesiątych nie dają się już pogodzić z oficjalną wersją rzeczywistości połowy lat siedemdziesiątych. Żądają więc ode mnie, abym ze starych reportaży wycinał żywe mięso, i zastępował je wielokropkami /"skrótóy to żadne zmiany" - tłumaczą mi/. Ale ja na to zgodzić się nie mogę, bo wiem, że czytelnicy pierwszego wydania książki "O królach i kapuście" nie przeoczą w wydaniu drugim tych podejrzanych wielokropków i, nie wgłębiając się w niuanse zmian zachodzących w oficjalnej wersji rzeczywistości, uznają mnie po

prostu za fałszerza prawdy.

Jeszcze gorzej z książkami dla młodzieży. Napisałem trzy takie książeczki, cieszące się do dziś dnia dobrą pamięcią wśród młodych czytelników. Pierwsza - "Dom odzyskanego dzieciństwa". Opowieść o koreańskich sierotkach wojennych, które znalazły schronienie i opiekę w legendarnym Domu Dziecka w Gołotczyźnie pod Ciechanowem. Siedziałem tam z nimi przez dobre kilka tygodni, przyglądając się z bliska cudownemu eksperymentowi pedagogiczno-psychologicznemu, który się tam rozgrywał. Wspaniały zespół polskich wychowawców, z panią Wandą Palestrową na czele, leczył rany wojenne dzieci, z którymi nie miał żadnego wspólnego języka poza głębokim dla nich współczuciem. Pobyt w tym domu był dla mnie naprawdę wielkim pasjonującym przeżyciem. Pisałem tę książkę na podstawie bezpośrednich rozmów z dziećmi i nauczycielami koreańskimi. Rozmawialiśmy przy pomocy dwóch słowników: koreańsko-rosyjskiego i rosyjsko-polskiego. Opowiadania dzieci były wzruszające i przejmujące szczere. Książka spodobała się. Dostawałem tysiące listów od dzieci i nauczycieli, wprowadzono ją do lektur szkolnych, wydawano w wysokich nakładach, tłumaczono na wiele języków obcych, łącznie z koreańskim, chińskim i wietnamskim. Ale po pewnym czasie stało się coś takiego, że książka "Dom odzyskanego dzieciństwa" naraz... zgasła. Po prostu zgasła. Wycofywano ją z lektur szkolnych, z bibliotek, przestano wznawiać. Dość długo trwało, zanim dowiedziałem się o przyczynach tej anatemy.

Dzieci koreańskie opowiadały mi dużo o ochotnikach chińskich, których przeszło pół miliona walczyło po stronie Korei Północnej. Musiało to znaleźć odbicie w książce. Tymczasem u nas zmienił się stosunek do Chińczyków i już nie wolno było pisać o nich dobrze. Dlatego moje książka stała się politycznie nieskuszną i trzeba było ją zniszczyć.

Drugi przykład: opowieść przygodowa dla młodzieży z mojego pobytu w Sudanie - "Śladami Stasia i Nel". Chodziło mi w tej książeczce przede wszystkim o to, żeby przedstawić, w sposób możliwie pełny i prawdziwy, historię mahdyzmu. Dawni i obecni czytelnicy sienkiewiczowskiej "W pustyni i w puszczy" mają na tę sprawę pogląd nieco spaczony. Sienkiewicz nigdy nie był w Sudanie, a wiadomości o powstaniu mahdyistów czerpał z tendencyjnej książki, napisanej przez agenta wywiadu egipsko-brytyjskiego, Rudolfa Slatina Paszę. Nauczyciele, przerabiający z uczniami "W pustyni i w puszczy" mieli wiele kłopotów z godzeniem poglądów Sienkiewicza na mahdyzm z nowoczesnym, postępowym poglądem na kolonializm i ruchy narodowo-wyzwoleńcze w Afryce. Dlatego też po pewnym czasie "W pustyni i w puszczy" po cichu wycofano z lektur szkolnych, jako książkę "błędną politycznie".

Podczas mojego pobytu w Sudanie - gdzie potomkowie Mahdiego nadal odgrywali wielką rolę - udało mi się zdobyć z pierwszej ręki wiele ciekawego materiału, o mahdyzmie. Rozmawiałem z Sudańczykami dobrze się w tych tematach orientującymi - między innymi z synem i wnukami sienkiewiczowskiego Mahdiego.

W rezultacie napisałem książkę, która została przyjęta gorąco zarówno przez młodzież jak nauczycieli. Nauczyciele pisali mi, że nareszcie mają to, czego im brakowało przy omawianiu z uczniami "W pustyni i w puszczy", konkretnym skutkiem mojej książki było przywrócenie do lektur szkolnych sienkiewiczowskiego arcydzieła.

I znowu odniosłem sukces. Wysokie nakłady, tysiące listów, pochlebne recenzje, tłumaczenia na obce języki.

Ale po kilku latach w Sudanie nastąpił przewrót polityczny. Pewnej nocy sudańscy patrioci wymordowali wszystkich przywódców stronnictwa mahdyistów i Mahdi znowu stał się niedobry, jeszcze gorszy niż u Sienkiewicza. I druga moja książka powędrowała na śmietnik jako "nieskuszną politycznie".

Najdłużej broniła się przed naporem burz politycznych moja trzecia książka dla młodzieży "Z panem Biegankiem w Abisynii", opisująca moje przygody w państwie "Króla Królów" Hajle Selasiego I.

Ale potem i na pana Bieganka przyszedł kres. W dalekim cesarstwie Etiopii wybuchła rewolucja, "Króla Królów" wykopano z jego tronu i zaczęły się te wszystkie rzeczy, które znacie państwo z gazet i radia nie gorzej ode

mnie. Tym razem nie chodziłem już nawet po wydawnictwach dowiadywać się, dlaczego moja trzecia książka powędrowała na śmietnik.

Powiedziałem sobie: dość! Dość już zależności od miotającej się w politycznych konwulsjach współczesnej rzeczywistości, która niszczy mi książkę po książce! Skryję się w rzeczywistość bardziej stabilną, lepiej uodpornioną na zmiany polityczne!

Rzeczywistość taką odnalazłem w historii, stałem się więc pisarzem historycznym. I chyba dobrze zrobiłem, bo z odgłosów, jakie od dwudziestu lat wywołują moje książki historyczne, wnoszę, że lepiej tłumaczę w nich Polskę, niż udawało mi się to czynić w moich reportażach współczesnych.

Bo i mam teraz tę satysfakcję, że kiedy dziś przestają wydawać mi książki, to przynajmniej wiem, iż dzieje się tak nie dlatego, że gdzieś tam na świecie zmieniała się oficjalna wersja rzeczywistości.

Ale do tematyki współczesnej stale mnie jeszcze ciągnie. Chciałbym metodą "Końca Świata Szwoleżerów" napisać opowieść dokumentarną o pierwszym powojennym dziesięcioleciu. Bo ciągle jeszcze wiedza o tym czasie jest skąpa i uproszczona. A warto by przecież pokazać, choćby naszym młodszym kolegom, skomplikowany zespół okoliczności historyczno-psychologiczno-uczuciowych, które doprowadzały do tego, że uczciwy, najlepszej wiary reporter - sam o tym mało wiedząc - uczestniczył w zakłamywaniu obrazu otaczającej go rzeczywistości.

Nie wiem, czy zdążę jeszcze taką książkę napisać.

Marian Brandys



Marian BRANDYS

## KRÓLESTWO BIAŁORUSI

Najpierw trochę historii. Działo się to w czasie wojny polsko-rosyjskiej lat 1918-1920. W naszej obecnej sytuacji politycznej niechętnie się tę wojnę przypomina ze względu na jej kontrowersyjny charakter. Źródła komunistyczne przedstawiają ją jako wyprawę interwencyjną "polskich panów" przeciwko zdobyciom rewolucji bolszewickiej, natomiast absolutna większość Polaków widzi w niej końcową fazę walki i niepodległość - wysiłek zbrojny zmierzający do zapewnienia zmartwychwstałej Polsce bezpiecznych i historycznie uzasadnionych granic na wschodzie. Lepiej wprowadzeni w historię dopatrują się w tej wojnie ponadto prób zrealizowania wielkiej koncepcji państwowotwórczej.

19 września 1919 roku do zajętego przez wojska polskie białoruskiego Mińska przybył Naczelnik Państwa i naczelny wódz tej wojny, Józef Piłsudski. Witają go olbrzymie tłumy radośnie podnieconej ludności, na czele z duchownymi wszystkich wyznań, biły dzwony w kościołach i prawosławnych cerkwiach. Na przemówienie prezesa Narodowego Komitetu Białoruskiego, Pruszyńskiego, naczelnik Piłsudski odpowiedział również po białorusku. Obiecał Białorusinom szeroką swobodę rozwoju kultury narodowej, mówił o autonomii, o lojalności wobec Rzeczypospolitej. Podkreślał w swym przemówieniu, że "jest synem tej samej ziemi co zebrani, i dlatego może lepiej rozumie i odczuwa wszystkie biedy i nieszczęścia, które były jej udziałem. Każdy mieszkaniec tej ziemi rodził się niewolny, gwałt i przemoc panowały na niej. W tej wojnie raz jeszcze ta ziemia doświadczyła przemocy i gwałtu idącego ze wschodu i w imię najszczytniejszych ideałów braterstwa wprowadzającego terror". Piłsudski zapewnił ludność Mińska, że Polska i jej wojsko postanowiły przeciwstawić systemowi gwałtu i przemocy system swobody. "Ziemia ta sama rozstrzygnie, jak żyć ma, jakim prawem się rządzić - mówił - będę dumny z Polski, będę dumny ze swoich żołnierzy, będę dumny wreszcie z samego siebie, jeżeli będę mógł tej nieszczęsnej ziemi dać najcenniejszy dar Boży - dar swobody".

Towarzyszający wtedy Piłsudskiemu pułkownik Składkowski /późniejszy generał Sławoj-Składkowski - ostatni premier Drugiej Rzeczypospolitej/ wspominał po latach: "Nigdy później, w czasie największych tryumfów politycznych nie widziałem tyle ognia, radości i satysfakcji w oczach Komendanta, jak wtedy w Mińsku..."

Piłsudski wierzył jeszcze wtedy, że uda mu się urzeczywistnić swoją umiłowaną ideę federalizmu, że potrafi stworzyć w środkowo-wschodniej Europie potężną federację państw czy narodów, w której będą żyli obok siebie w całkowitej zgodzie i na zasadach całkowitej równości: Polacy, Litwini, Białorusini i Ukraińcy, a w dalszej perspektywie może także: Łotysze i Estończycy - federację, która będzie wystarczająco silna, aby móc się przeciwstawić wszelkim zagrożeniom ze strony zaborczych sąsiadów.

Tyle historii przez duże "H". Powinno jej wystarczyć dla zrozumienia tła i przyczyny wydarzeń, które rozegrały się w moim domu rodzinnym - w Łodzi, przy ulicy Przejazd nr 20 - w okresie od kwietnia do października 1920 roku.

x

Rodziców wtedy z nami nie było. Z jakichś sobie tylko wiadomych powodów podróżowali gdzieś za granicą i jedynie od czasu do czasu nadchodziły od nich kolorowe pocztówki z widokami morza, gór i obcych miast. Domem i nami wszystkimi: mną, moim młodszym bratem, Kazikiem, służącą Jagusią, jej narzeczonym, rannym w głowę, starszym ułanem Luśkiem, i naszą niemiecką wy-

chowawczynią "frojlajn" Elzi - rządziła matka ojca, surowa i wyniosła babka Stanisława. Zza Wisły dobiegały przetłumione odgłosy wojny. Na murach Łodzi rozlepiano plakaty z napisami: "Na pomoc, wszystko dla frontu, wszyscy na front" albo "Czyście spełnili swój obowiązek?" albo "Hej, kto Polak na bagnety!". W szkole co pewien czas odczytywano nam nazwiska uczniów starszych klas, którzy polegli na polu chwały. Ukazujące się w Łodzi pismo "Rozwój" codziennie zamieszczało obok tytułu krótki komunikat: 915-ty... 916-ty... 917-ty... itd. - dzień istnienia Sowdepji /tak nazywano wówczas Związek Radziecki/. Ale nikt już nie wierzył w obiecany przez redakcję rychły koniec naszego wojennego przeciwnika.

Z samego dna pamięci wyłania mi się pierwszy obraz z tamtych czasów. Pod naszym balkonem - gromada jeńców w podartych czerwonych "kosoworotkach" i szpiczastych sukiennych czapkach. Schrypniętymi, zmęczonymi głosami śpiewają śmiesznie smutną piosenkę o "przeogromnym" krokodylu, spacerującym ulicami miasta. Mój brat wychylił się z balkonu i strzela do nich grochem ze szklanej rurki. Nie czyni tego z żadnych narodowych uprzedzeń ani ze złośliwości. Po prostu dostał ode mnie szklaną procę więc musi ją jakoś wypróbować. Jeden z jeńców podnosi wykrzywioną wściekle żółtą azjatycką twarz i wygraża mu pięścią. Przerażony brat z wrzaskiem chroni się w pokoju babki...

Ale to jest wspomnienie z nieco wcześniejszego okresu, chyba jeszcze z jesieni 1919 roku, bo pamiętam, że widoczne z naszego balkonu korony drzew przy kościele Świętego Krzyża były już wtedy dobrze żółte. Królestwo Białorusi wtargnęło w nasze życie dopiero w kilka miesięcy później - w marcu lub kwietniu 1920 roku, kiedy świat się zaledwie zielenił, a w Parku Miejskim - dawniej "Mikołajewskim", a od roku - "im. Henryka Sienkiewicza" - robiono pierwsze wiosenne porządki.

Pewnego popołudnia major Biłyk z Komendy Miasta przyproceedził do nas na kwatere obcego oficera w okrągłej sztywnej czapce z brązowym skórzanym daszkiem i brązowo-oliwkowym mundurze, nie podobnym do żadnego ze znanych mi przedtem uniformów polskich. Pan major Biłyk bywał na kępcach u moich rodziców, a poza tym był ojcem naszych towarzyszy szy zabaw w parku Sienkiewicza: Basi i Leszka Biłyków, więc byliśmy z nim dość oswojeni. Ale tamtego dnia wystąpił w pełnym majestacie służbowej oficjalności, wykluczającym jakakolwiek poufałość: z paskiem czapki opuszczonym pod brodę, z szablą u boku - w asyście wąsatego żandarma, uzbrojonego w karabin z bagnetem i dźwigającego ciężką walizkę oraz wielki miedziany samowar. Ten samowar był ze wszystkiego najdziwniejszy.

Pamiętam tę scenę doskonale. Przyproceedzony przez majora i żandarma obcy oficer zatrzymuje się przy drzwiach, podnosi rękę do skózanego daszka i stuknąwszy głośno obcasami, salutuje nam - nie po naszymu - całą dłonią:

- "Zdrastwujcie!"

Rosyjskie powitanie jest tak nieoczekiwane, że wszyscy po prstu kamienieją. Oficer spostrzega błąd, strąca swój jasny szczeciniasty wąsik i pośpiesznie się poprawia. Jego drugie pozdrowienie brzmi jak najbardziej swojsko, ale również nie po polsku:

- "Dobry dzień"!

Kiedy i na to nie otrzymuje odpowiedzi, omiata pełnym wyrzutem spojrzeniem nasze struchlałe twarze i ciężko wzdycha. Potem siada na podsuniętej mu przez żandarma walizie, zdejmując czapkę, ociera pot z czoła, a także z krótko ostrzyżonych jasnych włosów i poczyną ziewać tak serdecznie, że łzami mu zachodzą bładoniebieskie przekrwione oczy. Ale trwa to krótko. Po chwili twarz mu się ożywia, a zmętniałe oczy znowu rozbłyskują zainteresowaniem. W kręgu jego widzenia pojawia się nieobecna dotychczas w pokoju "frojlajn" Elzi.

Tę rudą, białoróżową, rozłożystą córkę łódzkich tkaczy zafundowali nam rodzice na wychowawczynię i nauczycielkę niemieckiego tuż przed wyjazdem za granicę. Łudzili się naiwnie, że za tania pieniądze wprowadzi nas ona we wszystkie arkana mowy Goethego i Schillera, których zielonoprawne dzieła zajmowały całą półkę w ojcowskiej bibliotece. Ale "frojlajn" Elzi haniebnie zawiodła pokładane w niej nadzieje. Niemieckiego nas nie nauczyła, to re-

czej my - wciągniętych z nią utarczkach słownych i nieporozumieniach - podciągaliśmy i dopełniali jej kulawą ubogą polszczyznę. Jeśli zaś chodzi o walory wychowawcze nowej opiekunki, to najdoskonalej charakteryzowała je nasza zadziorna pomocnica domowa Jagusia. Zazdrosna o swego ułana Luśka, rzekomo kokietowanego przez dorodną Nienkę, Jagusia, zupełnie nie zważając na nasze niedostateczne uświadomienie w sprawach męsko-damskich, nazywała "frojlajn" Elzi "ostatnią szmatą" i pokrzykiwała, że "ta szwabska suka grzeje się do każdego chłopca", i że "należałoby jej powyrywać te rude kudły" oraz "zbić na krwawy befszytk jej gruby tyłek".

Wracająca na scenę "frojlajn" skoro tylko zauważa, że jest przedmiotem obserwacji obcego oficera, natychmiast zaczyna swe zwykłe sztuczki. W nagłym napadzie pracowitości chwytając za miotełkę i zabiera się do oczyszczenia z pajęczyn najwyższej półki ojcowskiej biblioteki. Pomimo wczesnowiosennej pory "frojlajn" nosi letnią, bardzo cienką sukienkę i doskonale wie, że kiedy dy się przegina, przeciąga i fyrta w słońcu, próbując niby to dosięgnąć ukrytych pajęczyn, wszystko jej widać pod spodem i wygląda jak goła. Obcemu oficerowi bardzo się to podoba. Szyję wyciągnął do przodu, jasną szczecinką pod nosem rusza jak podniecony chomik, a na twarzy rozlewa mu się wyraz błogości. My z bratem przyglądamy się tej ponurej szopie z najgłębszą pogardą. Obcy oficer okazuje się tak bezdennym żłobem, że przestajemy się nim interesować.

W drugim końcu ojcowskiego gabinetu, w przyokiennej niszy - prawie szepem, żeby nie dosłyszał obcy oficer, spierają się z sobą major Biłyk i babka Stanisława. Babka jest podenerwowana. Na policzkach i obwisłym podgardlu ma już niebezpieczne wypieki, zwiastujące nieomylnie nadciągającą burzę. Przystosowując się do rozmówcy, ścisza głos, ale słychć w nim utajone gromy. Babka bardzo nie lubi, kiedy podczas nieobecności rodziców w mieszkaniu zachodzą jakieś zmiany, więc wszelkimi siłami próbuje się wykręcić od kwatery i nie przebiera w środkach. Głośnym szepem wyjaśnia majorowi z Komendy Miasta, że niepotrzebne jej są lekcje patriotyzmu. I bez pouczeń majora wie, że w czasie wojny przyjmowanie oficerów na kwatery jest obowiązkiem obywatelskim. Ale w żaden sposób nie może zrozumieć, dlaczego ma u nas mieszkać akurat oficer rosyjski - właśnie teraz, kiedy prowadzimy z Rosjanami wojnę...

Z kolei denerwuje się major Biłyk. Jaki znowu oficer rosyjski?! Co za fatalne mieszanie pojęć i narodów. To Białorusin z krwi i kości. Porucznik Szczepan - po białorusku Sciapan - Sawicki z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej generała Bułaka-Bałachowicza. Starsza pani musiała chyba słyszeć o tej dywizji, piszą o niej teraz ciągle w gazetach. To nasi sprzymierzeńcy, pomagają nam bić bolszewików. Po wojnie chcą sobie stworzyć Królestwo Białorusi. Major nieoczekiwanie parska krótkim śmiechkiem. No, z tym Królestwem Białorusi to się jeszcze zobaczy...

Nie mogę już dziś pojąć, dlaczego to nie słyszana nigdy przedtem nazwa Królestwo Białorusi tak bardzo podziąkała mi wtedy w wyobraźnię i wprawiała mnie, a ze mną i mego brata, w stan długotrwałej egzaltacji. Był w tym niewątpliwie jakiś element baśniowy, czar czegoś dalekiego, tajemniczego, a dziwnie przy tym znajomego. W każdym razie w jednej chwili przywróciliśmy całe nasze zainteresowanie obcemu oficerowi w brązowo-oliwkowym mundurze, chociaż tak głupio maślił się do bezwstydnego "frojlajn" Elzi. Poczuliśmy się nagle cięko obrażeni tym, że major odniósł się kpiąco do zamiaru stworzenia Królestwa Białorusi. Co mu do tego? Chcą mieć Królestwo Białorusi, niech sobie mają, nikomu to nie przeszkadza! Byliśmy w tej sprawie całkowicie po stronie obcego oficera. Jeszcze tego samego dnia porucznik Sciapan Sawicki z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej generała Bułaka-Bałachowicza wprowadził się do naszego mieszkania wraz z całym swym dobytkiem, przydźwiganym przez wąsatego żandarma z Komendy Miasta.

Koszty kwatery białoruskiego opłaciliśmy bezpośrednio my z bratem. Wyrzucono nas z "na zbity łeb" - jak mówiła Jagusia - z naszego wygodnego samodzielnego pokoju i przeniesiono nas do pokoju babki. Były jeszcze wprawdzie do dyspozycji dwa wolne pokoje: sypialnia rodziców i gabinet ojca, ale

babka bała się, że "narobimy tam szkód", więc wolała nas mieć przy sobie. Było to rozwiązanie dla nas fatalne, ale nie pozbawione pewnych jasnych stron. Złe było to, że bezpośredni nadzór babki w znacznym stopniu ograniczał nam swobodę ruchów. Ponadto w pokoju stał z nienawidzonym przez nas fortepian, na którym babka potrafiła godzinami wygrywać różne poważne i smutne kawałki, co okropnie działało nam na nerwy, bo nie odziedziczyliśmy po niej muzykalności. Ale fortepian miał tę dobrą stronę - że babka grając zapomniała o całym świecie i mogliśmy wtedy brykać, jak nam się tylko podobało. Drugą korzyścią z zamieszkania u babki było to, że jej pokój graniczył z kuchennym korytarzykiem, co nam ułatwiało przedostawanie się do wyłączonej spod władzy babki części mieszkania, w której niepodzielnie rządzili Jagusia i jej narzeczony Lusiek.

Starszy ułan Lusiek! Ten mi się najlepiej zachował w pamięci. Babka Stanisława często mówiła, że trudno jej zrozumieć, jak taka ładna dziewczyna jak Jagusia mogła się zakochać w takim brzydaku jak Lusiek. Istotnie, z cywilnego punktu widzenia Lusiek pięknocią nie był. Miał czerwone, świecące od sadła "pyski" /wyrażenie babki/, zęby całe w srebrnych koronach, małe chytre oczka i nieludzko krzywe nogi w kształcie wielkiej litery "O". Ale cywilną brzydotę Luśka prześlaniała tak wspaniała oprawa wojskowa, że obojętnym na nią mógł pozostać tylko ktoś, nie mający żadnego zainteresowania dla rycerskich uroków wojskowości. Kiedy Lusiek ukazywał się w pełnym sztafażu swej ułańskiej świetności, w brzęku zębatach ostróg i szabli zwisającej na trzeszczących rapciach, w krótkim granatowym kożuszkun narzuconym z fantazją na szarą ułankę ze sznurami i pomponami, w romantycznym bandażu wyzierającym spod zawadiackiej maciejówki z żółtym stukiem, z krzywymi nogami, które w wysokich butach i bufiastych bryczesach stawały się tak bardzo kawaleryjskie, że po prostu widziało się między nimi grzbiet koński - wtedy nawet babka Stanisława w chwilach dobrego humoru przyznawała Jagusi, że jej ukochany to "istny ułan z obrazka", tyle że - jak dodawała zaraz w kwaśnym uśmiechem - "malowany przez bardzo niedobrego malarza".

Główną przyczyną niechęci babki Stanisławy do Luśka były pewne zastrzeżenia natury moralno-obyczajowej. Dzielny ułan raniiony w głowę w jednej z bitew toczonej się za Wisłą wojny odbywał w zasadzie rekonwalescencję w okregowym szpitalu wojskowym, ale dzięki znajomościom wśród tamtejszego sanitariatu korzystał bez żadnych ograniczeń z przepustek uprawniających go do przebywania na mieście. Otóż babka zaczęła - nie bez podstaw - przypuszczać, że Lusiek spędza u swej narzeczonej nie tylko dnie, ale i noce. Na taką sordomę i gomorę w mieszkaniu pozostawionym pod jej opieką babka zgodzić się nie mogła. Początkowo próbowała roztoczyć bezpośrednią kontrolę nad harmonogramem wizyt Luśka, ale pyskata Jagusia po pierwszych napomknięciach na ten temat rozpętała tak wściekłą awanturę, że życie nasze na parę dni zamieniło się w prawdziwe piekło. Krzyczała, że "ona starszej pani nosa do łóżka nie wtyka i żąda, aby do jej spraw również się nie wtrącano". I że "w tym domu nie szanuje się człowieka i ciągle się go podejrzewa o Bóg wie jakie świństwa", że "rzuci w diabły cały ten zakichany kram i wróci do siebie na wieś, gdzie przynajmniej nikt jej nie będzie znieważać!".

Odejścia Jgusi, i to podczas nieobecności rodziców, babka w żadnym razie ryzykować nie mogła. Równałoby się to utracie nieocenionej pomocy domowej, do której wszyscy zdążyli się już przywiązać jak do członka rodziny. Jagusia była miła, ładna, wesoła, świetnie gotowała, a robota w jej małych brunatnych rękach naprawdę się paliła. Nawet babka przyznawała, że "z tą dziewczyną dawało się żyć". Trzeba było tylko uważać, żeby "nie nadepnąć jej na honor" i - co było trudniejsze, zwłaszcza dla osób starszych - pogodzić się z jej niewyparzonym językiem. Widząc, że w sprawie wizyt Luśka nie wskózać się nie da, babka zaprzestała daremnych bojów w obronie moralności i głęboko obrażona wycofała się do swego fortepianu, złożywszy uprzednio dumne oświadczenie, że "od wszystkiego umywa ręce i od tej chwili noga jej nie postanie w kuchennej części mieszkania", co - jeśli dobrze pamiętam - nie zmartwiło ani zwycięskich narzeczonych ani nas, odródných wnuków babki.

Kuchenna część mieszkania, składająca się z ciemnego korytarzyka, kuchni, spiżarni i małego pokoiku Jagusi, odgrywała bardzo ważną rolę w ży-

ciu moim i brata, właśnie dlatego, że niemal zawsze można tam było spotkać prześladowanego przez babkę bohatera wojny. Krzywonogi kawalerzysta ze swym bandażem na głowie, pod którym kryła się najprawdziwsza rana od wrażej szabli, odniesiona w obronie ojczyzny - jeszcze silniej i o wiele bardziej bezpośrednio działała na wyobraźnię niż ułani księcia Józefa i polscy szwoleżerowie Napoleona, których kolorowe dzieje poznawałem właśnie z książek Przyborowskiego i Gasiorowskiego. Trzeba zresztą przyznać, że starszy ułan Lusiek robił co mógł, aby swe bohaterstwo zbliżyć jak najbardziej do wyczynów swoich książkowych poprzedników. W przekazywanych nam wspomnieniach wojennych coraz to zmieniał i wzbogacał okoliczności, w których zadano mu ranę, a czynił to z taką fantazją, że mógł mu pozazdrościć niejeden beletrysta historyczny. Doszedł w końcu do tego, że opowiedział nam, jak to sam Naczelnik Państwa i naczelny wódz Józef Pułski "przed frontem całej armii" dziękował mu za bohaterstwo i ściskając mu rękę zapewniał, że bez niego całe wojsko wyglądałoby o wiele gorzej. Kiedy w naszych oczach pojawiał się cień niedowierzania, Lusiek natychmiast przyhamowywał tempo swoich przechwałek i uciekał się do fortelu obronnego, który go nigdy nie zawodził. Z nagłym jękiem chwycił się za obandażowaną głowę i jego twarz przybierała wyraz cierpienia. Czy można się było temu oprzeć? W jednej chwili wyparowywało z nas małoduszne niedowierzanie i znowu padaliśmy na twarz przed bohaterem wojny o wolność i niepodległość. Dopełnieniem bohaterskich opowieści Łuska było przymierzanie przez nas przed lusterkiem Jagusi ułańskiej czapki z żółtym otokiem, wyciąganie z pechwy - niestety tylko do połowy, bo dalej Lusiek nie pozwalał - krzywej szabli ułańskiej z napisem "Honor i Ojczyzna" oraz spożywanie różnych smakołyków ze spiżarni, którymi karmiła nas Jagusia - dumna i szczęśliwa z uwielbienia, jakim otaczaliśmy jej ułana. Wszystko razem było rozkoszne, tym bardziej, że miało smak owocu zakazanego. Bo babka od czasu swego wycofania się z kuchennej części mieszkania starała się i nas całkowicie odciąć od zapowietrzonego grzechem obszaru. Na szczęście miewała swoje seanse muzyczne, podczas których - acz nie bez trudności - udawało nam się niepostrzeżenie przemykać do kuchennego korytarzyka.

Po naszej przeprowadzce do pokoju babki obcowanie towarzyskie z narzeczonym Jagusi stało się dla nas o wiele łatwiejsze. Ale ironicznym zrzędzeniem losu właśnie wtedy nasze zainteresowanie krzywonogim kawalerzystą gwałtownie osłabło. Zналиśmy go już tak dobrze, że zdążył nam spowszednieć. Tymczasem na horyzoncie pojawiło się coś zupełnie nowego. Cała nasza uwaga odwróciła się w stronę odebranego nam przez Komendę Miasta pokoju dzieciennego, skąd urzekająco i tajemniczo promieniował blask baśniowego Królestwa Białorusi.

Bystra Jagusia w lot spostrzegła zmianę naszych nastrojów i zrozumiała, komu jej uwielbiany bohater zawdzięcza utratę wieernego audytorium. Od razu też całą siłą swego namiętnego serca zniechęciła Bogu winnego ducha porucznika Sciapana Sawickiego i odwiedzających go kolegów z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej, Chrzcąc ich wszystkich od nazwiska ich dowódcy pogardliwym mianem "bułaków".

Tymczasem mnie i brata coraz mocniej i głębiej opanowywał niewytłumaczalny dur białoruski. Niedługo po wprowadzeniu się porucznika Sawickiego, kiedy zdążyliśmy się już nauczyć od "bułaków" kilkunastu słów z ich macierzystego języka, uległ odmianie surowo przez nas przestrzegany rytuał codziennych wieczornych pożegnań i porannych powitań. Od lat nie wolno nam było zasnąć ani wstać rano z łóżka bez wypowiedzenia przedtem obrzędowych formuł. Wieczorem żegnaliśmy się słowami: "Dobranoc, niech wszyscy dobrze śpią!". Poranne powitanie brzmiało: "Dzień dobry, niech wszystkim będzie dzisiaj dobrze!". Święcie wierzyliśmy, że gdyby któregoś z tych magicznych słów zabrakło, stałoby się coś bardzo złego. Otóż teraz do tych zaklęć - zarówno porannych, jak i wieczornych - dodane zostało zaklęcie nowe, wypowiedziane zalekliwie, głosem drżącym z podniecenia, ale cicho, żeby nie zwracać uwagi babki: "Niechaj żywie Karalieustwa Biełarusi!", czyli "Niech żyje Królestwo Białorusi!". Od tych słów się zaczynał i na tych słowach się kończył każdy nasz dzień.

W rozmowach z "frojlajn" Elzi i Jagusią również zaczęliśmy się posługiwać zwrotami białoruskimi. Zamiast "dziękuję" mówiliśmy "dziakuję", zamiast "proszę" - "kali łaska", zamiast "do widzenia" - "da pabaczenia", zamiast "nie wiem" - "nie wiedaju". "Frojlajn", której stosunki z "bułakami" od pierwszej chwili układały się nad podziw dobrze, przyjmowała nasze językowe małpianstwo łaskawie i kwitowała je zmysłowym chichotem, natomiast Jagusia szalała: wymyślała nam od wariatów bez ambicji, a nawet zdrajców ojczyzny i przy okazji okropnie znieważała "bułaków".

Zaraz po powrocie ze szkoły, korzystając z nieobecności w domu porucznika Sciapana, który gdzieś na nieznanym nam polach ćwiczeń szkolił w rzemieśle wojennym nowych żołnierzy Królestwa Białorusi, przypuszczaliśmy szturm do odebranego nam pokoju, co nie było trudne, gdyż z braku klucza pokój ten nigdy się nie zamykał.

Ale nie był to już nasz dawny pokój. Wszystko było w nim teraz inne, a przez to niezmiernie interesujące. Zaraz w progu uderzał w nas obco i odurzająco mocny męski zapach. Były w nim pomieszane wonie dymu fajkowego, nowych skórzanych pasów oficerskich, przemokłych płaszców z grubego wojskowego sukna, komiśnego chleba, dziegciu, ostrej wody kolońskiej i jeszcze wielu innych rzeczy, przyjemnie drażniących nasz zmysł powonienia, a trudnych do dokładnego rozpoznania.

W pokoju, w którym przedtem wszystko stało bądź było poukładane, porządknie i nudno na swoich miejscach, gdyż pilnowały tego babka, "frojlajn" i Jagusia, panował teraz podniecający rozgardiasz. Pod ścianami stały puste butelki po alkoholach i całe przyzmy wojskowych konserw. W kącie zastłonięta parawanikiem kryła się wstydliwie przyniesiona ze strychu blaszana umywalka z poszczerbioną porcelanową miednicą i wiadro pełnym wody. W przeciwległym kącie ciepło połyskiwał miedziany samowar. Krzesła były poobwieszane różnymi szczegółami wojskowego ekwipunku. Na podłodze poniewierały się drewniane prawidła do wysokich butów, różnych rozmiarów szczotki i pudełka z szuwaksem.

Nad łóżkiem porucznika Sawickiego wisiała szkolna mapa wschodniej Europy z domalowaną na środku dużą jasnozieloną plamą, na której nie bez wzruszenia odczytywaliśmy znane nam słowa: "Karalieustwa Biełarusi". Pod mapą, tuż przy wężglowiu porucznika widniała spora dziura wydrążona w ścianie jakimś ostrym narzędziem. Bez trudu uzgodniliśmy z bratem, że narzędziem tym mógł być jedynie piękny nóż fiński, leżący na nocnym stoliku przy łóżku. Samo przeznaczenie dziury w ścianie pozostało dla nas intrygującą tajemnicą.

Najwięcej wzruszeń dostarczały nam szuflady komody, gdzie przed przybyciem Sawickiego przechowywano naszą bieliznę. Teraz kryły się w nich skarby Królestwa Białorusi. Dziś, kiedy przypominam sobie zawartość tych szuflad, trudno mi zrozumieć, w jaki sposób porucznik Sciapan Sawicki zdołał zgromadzić w swoich /a raczej w naszych/ szufladach tyle wojskowego dobra: przeróżnego rodzaju gwiazdek oficerskich, oksydowanych guzików wojskowych /nie pamiętam, jakie emblematy były na nich wybite/, srebrnej i złotej przędzy do oszywania kołnierzy i naramienników, tęczowych wstążek i barettek orderowych, plecionych sznurów adiutanckich, brązowych krzyżyków na łańcuszkach, okrągłych medali i magazynków broni małokalibrowej wyładowanych ostrą amunicją. Było tego tyle, że niektóre z tych skarby mogłem sobie spokojnie "wypożyczyć", aby chwalić się nimi później przed kolegami w sukole.

Z odurzających oparów Królestwa Białorusi wyprowadzała nas dopiero Jagusia, która uzbrojona w różnego rodzaju szczotki i ściěrki, z wiadrem wody w ręku przychodziła na codzienne sprzątanie. Nigdy i nigdzie narzeczona ułana Luśka nie demonstrowała swego żalu do "bułaków" tak głośno i jednoznacznie, jak podczas porządkowania w naszej obecności istotnie niezbyt porządnej kwatery porucznika Sawickiego. Już od progu wyrzekała, że nie wie, za jakie grzechy Bóg ją tak karze, że musi sprzątać w tym "ruskim bardaku". Trzaskając szczotkami i tłukąc śmiećniczką o blaszane wiadro, uświadamiała nas, że drugich takich flejtuchów, jak "bułaki", nie ma na całym świecie. Kazała nam oglądać wymiecione spod łóżka puszeki z resztkami niedojezonych konserw, wstrząsała się ze wstrętu, zbierając ze stołu brudne szklanki i pozostałości jedzenia, zmuszała nas do mierzenia palcem głębokości dziury wy-

dłubanej w ścianie, pękając, że "za takie barbarzyńskie szkodnictwo powinno się do kryminału pakować". A wśród tych wszystkich postukiwań, pokrzykiwań i wybrzydzań zawsze potrafiła przemyścić jakąś pochwalną informację o Luśku. A to, że "już na pewno dostanie za swą ranę Krzyż Walecznych, a może i Viłuti Militari", a to, że "już niedługo będą go musieli odesłać z powrotem na front, bo tam bez niego nie dają sobie rady". Gdy przyjmowaliśmy te rewelacje bez należytego entuzjazmu, wpadała w jeszcze większą złość i brutalnie wypędzała nas z naszego własnego pokoju, grożąc, że jeśli jeszcze raz nas tam zastanie, to poskarży się babce. Ale niewiele to pomagało. Po podwieczorku znowu warowaliśmy pod drzwiami, prowadzącymi do Królestwa Białorusi. Stopniowo, bez żadnego umawiania się z sobą, zaczęliśmy tę baśniową nazwę zacieśniać do kwatery porucznika Sawickiego. Mówiliśmy na przykład: "Dzisiaj w Królestwie Białorusi była taka zabawa, że hej!" albo: "Wczoraj w Królestwie Białorusi pojawił się jakiś nowy - kapitan, albo "Jutro inspekcja Królestwa Białorusi tuż przed obiadem, kiedy babka będzie na spacerze, a Jagusia w kuchni".

Właściwe życie rozpoczynało się w Królestwie Białorusi dopiero pod wieczór, kiedy porucznik Sciapan powracał z ćwiczeń - prawie zawsze w towarzystwie paru innych oficerów. Rozmawiali, śmieli się, popijali herbatę z samowaru i wódkę, sprzeczali się, wznosili toasty, opowiadali o swoich przygotowaniach wojennych. Jeżeli babki nie było w domu, przyłączała się do nich także "fratylajni" Elzi. Wtedy zabawa nabierała szczególnych rumieńców: piski, chichoty, szamotaniny, głośne wybuchy śmiechu. Raz udało mi się podejrzeć przez dziurkę od klucza, przebierali naszą opiekunkę w płaszcz wojskowy i ze wszystkich sił starali się go na niej dopiąć, co wywoływało wiele rubasznej wrzawy i wesołości. Ale później czyjeś plecy zasłoniły mój punkt obserwacyjny i już nie było widać.

Ponieważ prawie zawsze ktoś z gości Sawickiego przynosił z sobą harmonię lub przynajmniej organki, o pewnej godzinie rozpoczynały się śpiewy z muzyką. Śpiewano różne piosenki: białoruskie, rosyjskie, ukraińskie.

Największe wrażenie robiła na mnie uroczysta pieśń białoruska, śpiewana na sposób kościelny przez solistę i odpowiadający mu chór. Śpiew rozpoczynał tzw. "zapiewajko", którym bywał zazwyczaj wysoki tęgi kapitan o wesołych oczach i pięknym barytonowym głosie. Pozostali oficerowie Królestwa Białorusi odpowiadali mu ponurym mrukliwym chórem:

"A chto tam idzie?

- Białorusy!

A szto jany niasuć?

- Swaju Kryudu!..."

Tyle tylko zdążyłem zapamiętać z tamtych czasów. Ale w niedawno wydanej u nas "Antologii pieśni białoruskiej" znalazłem tę pieśń mojego dzieciństwa jako utwór sławnego poety białoruskiego Janka Kupały. Przytaczam ją w całości, w pięknym przekładzie polskim Jana Huszczy:

"A kto tam idzie, a kto tam idzie

Taką ogromną, taką gromadą?

- Białorusy!

A cóż to niosą na chudych barkach,

Na rękach we krwi, na nogach w łapciach?

- Swoją krzywdę!

A dokąd niosą tę krzywdę wielką,

A dokąd niosą, by ją pokazać?

- Na świat cały!

A któż gromadę, milion niejedną

Z krzywdą iść uczył, ze snu ją zbudził?

- Bieda rozpacz!

A czego, czego im się zachciało

Im pogardzanym, ślepym i głuchym?

- Zwać się ludźmi!"

Najczęściej śpiewano w Królestwie Białorusi tęskną dumkę ukraińską, której nastrój musiał w jakiś szczególny sposób odpowiadać gościom porucznika Sawickiego. Pamiętam tę dumkę do dziś w jej brzmieniu oryginalnym:

"... U susieda chatka była  
U susieda ženka była  
A u mena ný chatynki  
Nema szczastia, nema żyńki..."

Dwa ostatnie wiersze piosenki powtarzano wielokrotnie i rozciągano je coraz smutniej, coraz rozpaczliwiej, aż wreszcie śpiew zdawał się przechodzić w ogólny szloch.

"Frojłajn" Elzi, jeśli była obecna, również brała udział w koncercie. Włączała się do niego zawsze tą samą piosenką niemiecką o jesieni. Znaliliśmy tę piosenkę na pamięć, gdyż "frojłajn" posługiwała się nią jako główną pomocą naukową przy próbach wdrażania nas w tajniki języka niemieckiego. Piosenka była niewesoła, mówiła o odlatujących jaskółkach, o przekwitających różach, o zamilkłych słowikach i o innych równie smutnych rzeczach. Ale Elzi - obdarzona bawolim głosem, przy słuchu niewiele lepszym od naszego - odśpiewywała ją w tonacji marsza generalskiego. Ostatnia zwrotka, mówiąca o bolesnym rozstaniu dwojga serc, grzmiała w jej interpretacji jak zwycięskie surmy bojowe.

"... Fragt das Herz im bangen schmerz  
Scheiden, ach scheiden tuť weh!..."

Ryk "frojłajn" wywabił z kuchennej części mieszkania Jagusię. Przybiegała wściekła i poczyniała tłuc pięściami w drzwi Królestwa Białorusi:

- Ciszej, do cholery! Tu jest polski dom! Tu się mówi i śpiewa po polsku!

Z gości porucznika Sawickiego najbardziej polubiliśmy wysokiego, barczystego, zawsze uśmiechniętego kapitana nazwiskiem Karpiuk, tego właśnie, co występował w roli "zapiewajły" przy śpiewaniu białoruskich pieśni. Kapitan Karpiuk - albo jak nazywaliśmy go między sobą: "Wesoły Kapitan" - bywał w Królestwie Białorusi codziennie i niemal zawsze przyprowadzał ze sobą dziesięcioletniego syna Alesia. Niekiedy, ale rzadko, pojawiała się także polska żona kapitana: wysoka, blada, wiecznie chora pani Emilia. Z całej tej rodziny początkowo najwięcej mieliśmy do czynienia z Alesiem, którego ojciec chętnie pozostawiał pod naszą opieką, wtedy zwłaszcza, kiedy w Królestwie Białorusi pito wódkę lub przekomarzano się z "frojłajn" Elzi. Mały Karpiuk, niewiele młodszy ode mnie, ale wyjątkowo jak na swój wiek drobny, słaby i niemrawy - wyzwał w nas jakieś sadystyczne skłonności.

- Aleś! Aleś! - wołaliśmy do niego.

- Czaho? - pytał nieufnie.

A my na to z grubym śmiechem:

- Aleś ty głupi, Aleś!

Albo inaczej:

- Aleś, powiedz, która godzina?

Bojaźliwie stulał ramiona:

- Nie wiedaju.

- Słyszysz? - zwracałem się do brata - on nie wie, która godzina, trzeba mu nakręcić zegarek.

- Tak, trzeba mu nakręcić zegarek! - zgadzał się radośnie mój brat.

Obezważdialiśmy nieszczęsnego chęptysia, po czym ciągnęliśmy go za krótkie białe włoski na karku, kręcąc nimi w różne strony, co, jak wyświadczyliśmy z własnych doświadczeń, było bardzo bolesne.

Półprzytomny ze strachu, bólu i upokorzenia Aleś wrywał się nam rozpaczliwie i tłukł nas swymi drobnymi piąstkami:

- Puszczajcie padlece! Ach, wy padlece!

Nieporozumienia z synem nie zakłócały nam dobrych stosunków z ojcem.

"Wesoły Kapitan" witał nas zawsze przyjemnym uśmiechem i odnosił się do nas z wyraźną sympatią. Od gospodarza i innych gości Królestwa Białorusi odróżniał się tym, że mówił doskonale po polsku, podczas gdy z tamtymi można się było właściwie porozumieć tylko po białorusku, rosyjsku lub ukraińsku. Póź-



niej dowiedzieliśmy się, że "Wesoły Kapitan" pochodził spod Baranowicz i do wybuchu wojny światowej był tam kierownikiem wiejskiej szkoły. Jego polska, lecz całkiem już zruszczała żona była córką urzędnika skarbowego z Baranowicz.

Moje pierwsze zблиżenie z kapitanem Karpiukiem nastąpiło w okolicznościach dość osobliwych. Tego dnia poniosłem ciężką klęskę w szkole. Otrzymałem dwutygodniową cenzurkę z rekordową ilością złych ocen. Figurowało na niej ni mniej ni więcej tylko sześć dwój i jedna jedynka. Awantura zrobiła się z tego nieludzka. Babka wykazywała mi szczególną nikczemność mego postępowania w czasie, gdy nauczanie młodzieży napotyka na tyle trudności z braku nauczycieli, którzy bronią na froncie zagrożonej ojczyzny. Z oskarżeń babki wynikało niezbicie, że moje dwójce i pała przyczyniały się do ogólnego osłabienia naszego potencjału obronnego, a co za tym idzie, jeszcze bardziej wystawiały ojczyznę na ciosy wroga. Do potępienia babki przyłączyli się - w tym wypadku całkowicie z sobą pogodzeni - zdrajczyńi Jagusia, starszy ułan Łusiek i "frojłajn" Elzi. Ta ostatnia nie omieszkała o moim negatywnym rekordzie naukowym poinformować oficerów Królestwa Białorusi.

Z gości porucznika Sawickiego zwrócił na moją klęskę uwagę tylko kapitan Karpiuk. Zainteresowało go to pewnie jako byłego pedagoga. Ale zachował się wcale nie po nauczycielsku. Spotkawszy mnie tego wieczora pod drzwiami Królestwa Białorusi, uległ na mój widok szaleńczemu atakowi wesołości. Trzaskając się ze śmiechu i trzęsąc potężnym brzuszyskiem tuż przed moim nosem /był bardzo wysoki/, powtarzał w kółko, jakby nie mogąc w to uwierzyć: - Sześć dwój i jedna jedynka! Ach, Bożeż, Ty mój Boże! - i śmiał się do rozpuku, aż łzy ciekły mu po twarzy. W pierwszym odruchu na tę niewczesną wesołość zamarłem z obrazy. Ale śmiech "Wesołego Kapitana" był tak szczery, przyjazny i zaraźliwy, że w końcu i ja musiałem odpowiedzieć śmiechem. Dobrze mi to odprężenie zrobiło po przykrościach, jakich nie szczędzili mi tego dnia domownicy.

Tak oto zaprzyjaźniłem się z "Wesołym Kapitanem". Moja tragiczna cenzurka stała się jakby symbolem naszej przyjaźni. Jeszcze przez długi czas, przy każdym spotkaniu pod drzwiami Królestwa Białorusi, Karpiuk zamiast powitania przymrużał porozumiewawczo oko i z wesołym podziwem potrząsał głową: - Sześć dwój i jedna jedynka! Bożeż, Ty mój Boże! - Później wystarczało już tylko jego porozumiewawcze mrugnięcie. Moje wewnętrzne echo dawało natychmiast odzew: - Sześć dwój i jedna jedynka! Bożeż, Ty mój Boże!

"Wesołego Kapitana" łączyły z nami także sprawy poważniejsze. Dzięki Karpiukowi baśniowe Królestwo Białorusi zaczęło nabierać w naszych oczach kształtów bardziej realnych. Kapitan od czasu do czasu dopuszczał mnie i brata do zebrań towarzyskich w naszym dawnym pokoju dzieciennym. Podczas gdy porucznik Sciapan Sawicki ze swymi gośćmi baraszkował przy stole, mieszał herbatę z samowaru z wódką i śpiewali swoje smutne piosenki, my z kapitanem sadowiliśmy się na łóżku gospodarza /na moim łóżku/ pod mapą Królestwa Białorusi i rozmawialiśmy o dywizji generała Bułak-Bałachowicza, a ściślej mówiąc, o losach wojennych kapitana Karpiuka, byłego kierownika szkoły wiejskiej pod Baranowiczami. "Wesoły Kapitan", podobnie jak inni oficerowie dywizji białoruskiej, rozpoczął karierę wojenną jako młody rekrut w armii cesarsko-rosyjskiej. Razem z tysiącami innych Białorusinów, Litwinów, Ukraińców i Polaków - zmobilizowanych przez cara w roku 1914 - późniejsi "bułacy" przemierzali olbrzymie przestrzenie rozpadającego się Cesarstwa Rosyjskiego, broniąc go przed naporem armii niemieckich. Po ostatecznym zawaleniu się caratu białoruskich patriotów, przemieszczanych z rosyjskimi i polskimi towarzyszami broni, zebrał pod swymi rozkazami w kilkutyśięcznym korpusie partyzanckim generał Stanisław Bułak-Bałachowicz, słynny zagończyk białoruski, rodem z Wileńszczyzny. Rozpoczął się szlak sławy Ochotniczej Dywizji Białoruskiej. Najpierw bronili przed Niemcami budzących się do niepodległości Estonii i Łotwy. Potem przedarli się z powrotem na rodzinną Białoruś. Dowództwo sowieckie stanowiska inspektora całej kawalerii sowieckiej. Ale oni mieli już dość podlegania Rosji, takiej czy innej. Marzyło im się własne niepodległe państwo.

wo białoruskie, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie było. - Boże, Ty mój Boże! - przerywał tok opowieści kapitan Karpiuk - Przecież to rozumiałe, że każdy chce mieć swoje państwo. Trudno żyć bez własnego państwa. - Pod rozkazami "bački" generała walczyło się dobrze, ale wojna, sama w sobie, zła rzecz. Kapitanowi Karpiukowi na całym szlaku bojowym dywizji towarzyszyła żona z trojgiem małych dzieci. Bo gdzie się miała podziąć żona białoruskiego oficera, kiedy nie było jeszcze białoruskiego państwa? Młodsze rodzeństwo Alesia nie wytrzymało trudów wojennej tułaczki i poumierzało. - Wojna to wojna - wzdychał ciężko Karpiuk - żeby przynajmniej coś dobrego z niej wynikło. Niechbym wiedział, za co zginęli synek i córeczka. Boże, Ty mój Boże! - Generał Bałachowicz wymyślił to Królestwo Białorusi. Kapitan Karpiuk jako człowiek przekonany demokratycznych wolałby może republikę, taką, jak w Polsce. Ale generał wielki człowiek, chce królestwa, niech będzie królestwo, byle tylko było. Boże, Ty mój Boże! - Karpiuk i jego koledzy zapatrzeni w przykład Polski wiedzą, że spełnienie marzeń białoruskich zależy od wyniku wojny polskiej. Generał Bałachowicz zaraz po powrocie na Białorus postawił formalnie sprzymierzyć się z Polską. Pisał do naczelnika Piłsudskiego. Piłsudski się zgodził. Wkraczającą do Dyneburga Dywizję Białoruską generał Rydz-Śmigły witał fanfarami orkiestr i uroczystymi przemówieniami. Polscy wodzowie znają Białorusinów i wiedzą, że można na nich polegać. W lutym 1920 roku dywizja weszła do Polski, aby się przeorganizować i uzupełnić swój stan. No i są w Polsce. Boże, Ty mój Boże!

Słuchaliśmy "Wesołego Kapitana" w głębokiej rozterce. Żal nam było baśniowych uroków nierealnego Królestwa Białorusi, ukształtowanego przez naszą wyobraźnię. Ale to, co opowiadał Karpiuk, również było nam bliskie, przypominało historie z książek Gąsiorowskiego i Przyborskiego.

Pewnego dnia, było to chyba w początkach sierpnia - na krótko przed "cudem nad Wisłą" - oficerowie białoruscy powrócili z ćwiczeń niezwykle używieni. Prawie każdy z nich miał w ręce lub w kieszeni ostatni numer warszawskiego "Tygodnika Ilustrowanego". Dowiedzieli się, że jest w nim ogłoszona rozmowa z generałem Bułakiem-Bałachowiczem. Tak się śpieszyli do poznania jej treści, że zapomnieli nawet nastawić samowar. Obsiedli w koło kapitana Karpiuka, który rozłożył na stole "Tygodnik Ilustrowany" i zaczął głośno czytać, tłumacząc od razu na białoruski tym, którzy polskiego nie znali. Mnie i brata również dopuszczono do słuchania. Skończywszy czytać, kapitan Karpiuk wstał i uroczyście zaintonował pieśń na cześć dowódcy Ochotniczej Dywizji Białoruskiej. Pozostali poderwali się również i podjęli śpiew. My z bratem wydzieraliśmy się najgłośniej. Słowa pieśni były rosyjskie, bo wymyślono je w czasie, kiedy "bułacy" służyli jeszcze w armii carskiej:

"Bałachowicz-Bułak  
 ataman nasz lichoj!  
 Tylko słowo skażi  
 my pojdiom za tobój..."

Treści artykułu w "Tygodniku Ilustrowanym" nie zachowałem w pamięci. Chodziło mi tylko mętnie po głowie, że było tam coś o ulubionym bohaterze moich wczesnych lat szkolnych: panu Andrzejowi Kmicicu z "Potopu". Ale cóż u licha Sienkiewiczowski bohater mógł mieć wspólnego z "bułakami" i z Królestwem Białorusi? Zaczęła mnie ta zagadka tak dręczyć, że przerwałem na dzień pisanie, aby sprawdzić rzecz u źródła. W warszawskiej Bibliotece Uniwersyteckiej odnalazłem bez trudu "Tygodnik Ilustrowany" z sierpnia 1920 roku. I od razu wszystko się wyjaśniło: artykuł sprzed 60 lat o białoruskiej dywizji generała Bułaka-Bałachowicza nosił tytuł: "Śladami Kmicica". Napisał go znany poeta legionowy Józef Relidziński, którego wiersze pamiętam jeszcze z czytanek szkolnych. Relidziński skorzystał z pobytu generała Bałachowicza w Warszawie i przeprowadził z nim dłuższą rozmowę o jego działalności wojennej. Z tonu artykułu wyczuwa się, że autor był urzeczony osobowością i wypowiedziami słynnego zagończyka. "Opowiadania tego słucham jak barwnej opowieści sienkiewiczowskiej - pisał. - Patrząc na tego zucha z kresów litewskich, myślę sobie: Kmicic redivivus". I dalej: "...Generał, człowiek młody o nader sympatycznej, dobrodusznej powierzchowności, w której tylko oczy w twardym

stalowym wyrazie zdradzają głośnego pogromcę bolszewików... zwycięzcę w 57 bitwach..." Do wywiadu dołączono dużą fotografię dowódcy Ochotniczej Dywizji Białoruskiej. Bałachowicz stoi przy swym pięknym wierzchowcu, na głowie ma polową furazerkę z generalskim wężykiem, u boku - krzywą kozacką szablę w bogato rzeźbionej pochwie. Wygląd generała wiernie odpowiada rysopisowi podanemu przez Relidzińskiego. Rycerski partyzant białoruski miał wszelkie dane na to, aby oczarować polskiego poetę żołnierza. Ale poza tym trzeba pamiętać, że artykuł był pisany w lipcu bądź w sierpniu 1920 roku - w najcięższym momencie polskiej wojny o niepodległość. Korpus białoruskich straceńców musiał być wtedy sprzymierzeńcem szczególnie pożądanym. Bałachowicz miał za sobą poparcie części biernego na ogół chłopstwa białoruskiego. Kto wie, może legionowi koledzy Relidzińskiego, kierujący wojną 1920 roku, wierzyli jeszcze, że "bułakom" uda się odwrócić bieg historii?

Pod wpływem lektury artykułu sprzed 60 lat przypominają mi się wyjątkowo wyraziście znajomi z Królestwa Białorusi: jasna, uczciwa, zawsze uśmiechnięta twarz kapitana Karpiuka: nieśmiałe spojrzenie i nerwowy wąsik porucznika Sciapana Sawickiego... Niedawno przeczytałem w wydanej po wojnie encyklopedii polskiej, że "dywizja Bułaka-Bałachowicza odznaczała się szczególnym okrucieństwem"... Nie pasuje to do tamtych twarzy. Chociaż kto wie, byli tam przecież ludzie różni. Z mruków pamięci wyłania mi się trzecia twarz: ziemista, wymizerowana, z zimnymi kamiennymi oczami. Twarz pani Emilii, żony kapitana Karpiuka.

Pani Emilia pojawiała się w Królestwie Białorusi bardzo rzadko, i widać było, że koledzy męża za nią nie przepadali. Rozmawiałem z nią tylko raz, za jej ostatniej bytności u porucznika Sawickiego. Zaskoczyła nas wtedy podczas rozmowy z "Wesołym Kapitanem" i natychmiast się w nią włączyła. W spokojny czysty nurt opowieści wojennych kapitana Karpiuka wdarł się spieniony, zamulony potok jej złości i rozpacz. Zrobiło się od razu bardzo nieprzyjemnie. Wszystko, co gorączkowo wyrzucała z siebie pani Emilia, mieszając słowa polskie z białoruskimi i rosyjskimi, było przepełnione nienawiścią. Krąg jej nienawiści obejmował nawet kolegów męża, nawet mającące w narzeniach Królestwo Białorusi. Ale najbardziej - prawdziwie już obłądnie - nienawidziła bolszewików i Żydów. Według pani Emilii bolszewicy i Żydzi ponosili bezpośrednią odpowiedzialność za wszystkie jej nieszczęścia. Za to, że musiała opuścić rodzinne Baranowicze, za śmierć jej dwojga dzieci, za jej trzyletnią tułaczkę i poniewierkę. Kiedy mówiła o bolszewikach i Żydach, jej chłodne kamienne oczy zmieniały się w dwa sople lodu, a z twarzy uciekała jej cała krew pozostawiając tylko dwie chorobliwe plamy na policzkach.

- Powywieszać ich wszystkich! - wybrzgiwała z siebie, drżąc na całym ciele. - Wszystkich! Cwiartować i posypywać solą!... Cwiartować i posypywać solą! - Miotła się jak w ataku epilepsji.

Zachowanie się pani Emilii przekraczało już możliwość naszego ówczesnego rozumienia. Zrobiliśmy tedy rzecz najgłupszą w świecie: udaliśmy się do wyjaśnienia do babki Stanisławy. Skutek był natychmiastowy. Babka tak szybko przedsięwzięła interwencję w Królestwie Białorusi, że zdążyła tam jeszcze zastać panią Emilię. Wybuchła wielka awantura. Babka, cała w pasach, krzyczała, że "nie pozwoli zatruwać serc dziecięcych jeden nienawiści" i "nie zgodzi się, aby w jej domu uprawiano politykę". Potem wprost powiedziała pani Emilii, że "nie chce jej już więcej widzieć pod naszym dachem". Pani Emilia słuchała tego kazania z pogardliwym okrutnym uśmiechem w kątach warg i z lodem w oczach. Ale nie patrzyła na babkę, patrzyła na nas: nędznych donosicieli i zdrajców. A my pod tym strasznym spojrzeniem wiliśmy się jak glisty nadziewane na szpilki.

Pani Emilia nie pokazała się więcej w naszym domu. Przez trzy dni niepokoił się, czy razem z nią nie odejdzie od nas także kapitan Karpiuk. Ale czwartego dnia pojawił się jak zwykle z Alesiem. Przykry epizod zawinięty przez żonę skwitował słowami:

- At, sprawy wojenne... Niełatwo pogodzić się ze śmiercią dwojga dzieci... Od tego czasu ciągle choruje... Trzeba wyrzucić... Ach, Boże, Ty mój, Boże!

Najpóźniej odsłonił przed nami swoje prawdziwe wnętrze nasz pierwszy znajomy białoruski, główny lokator Królestwa Białorusi, porucznik Sciapan Sawicki. W pierwszych miesiącach znajomości mijaliśmy się obojętnie, bez względu na to, gdzieśmy się spotkali: czy na neutralnym korytarzu, czy w jego kwaterze. Musiał być, jak sądzę, bardzo nieśmiały, bo zawsze udawał, że nas nie dostrzega, tylko nerwowe drganie jego wąsika upewniało nas, że jest inaczej. Witaliśmy go zawsze grzecznie, lecz obojętnie, z polską po białorusku: - Dobry dzień, panie poruczniku! - Obrzucał nas krótkim niespokojnym spojrzeniem, jakby sprawdzając, czy z niego nie kpimy, i dopiero potem odsłaniał duże zęby w nieoczekiwanej poczciwym uśmiechu: - Dobry dzień, bratcy! - I tyle tylko było naszej rozmowy. Ale później się odsłonił. Stało się to za sprawą babki Stanisławy, a raczej - jej muzyki.

Pewnego popołudnia wróciliśmy do domu z naszych wojennych gier w Parku Miejskim później niż zazwyczaj i spodziewaliśmy się bury od babki. Na szczęście z naszego wspólnego pokoju dobiegały nas dźwięki fortepianu, babka była w transie muzycznym. Usiłowaliśmy wśliznąć się do pokoju szybko i cichutko, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, ale w progu znieruchomieliśmy jak dwie żony biblijnego Lota. W odległości paru kroków od fortepianu - wpatrzony z rozmodloną twarzą w grającą babkę - rozwaliał się na jej ulubionym fotelu porucznik Sciapan Sawicki z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej generała Bułaka-Bałachowicza. Wytrącony naszym wejściem z modlitewnego skupienia, Sawicki uciszył nas niecierpliwym, rozkazującym gestem ręki, co uznaliśmy za niebywałą bezczelność, po czym znowu wsłuchał się w granie babki. Wobec tego i my rozwaliliśmy się na stojącej naprzeciw fotela kanapce i wpatrywaliśmy się w zasłuchanego porucznika.

Naraz mego brata bardzo coś rozbawiło. Zaślinił mi całe ucho, nim zdążył mnie poinformować, że Sawicki płacze. Ja już przedtem dostrzegłem, że zasłuchana modlitewnie twarz porucznika była mokra od łez. Mało tego. Z jego ust wydobywał się jakiś dziwny dźwięk, przypominający trochę brzęczenie drutów telegraficznych a trochę - skowyt psa.

W pewnej chwili babka gwałtownie przerwała swoje muzykowanie. - Nie mogę grać w takich warunkach - powiedziała gniewnie do porucznika. - To mi przeszkadza! Proszę, niech pan przestanie!

Porucznik Sciapan sprawiał wrażenie człowieka wyrwanego z najgłębszego snu. Mrugając powiekami patrzył na babkę nic nie rozumiejącym wzrokiem skrzywdzonego dziecka. Szczeciniasty wąsik poruszał mu się spazmatycznie. Jego żalosna bezradność wzbudzała współczucie. Babka przez dłuższą chwilę obserwowała go w skupieniu, po czym wzruszyła ramionami i ponownie uderzyła w klawisze.

Wieczorem usprawiedliwiała się przed nami ze swego postępowania. Nie mogę przecież zabronić mu słuchać. Ma duszę wrażliwą na muzykę. I pewnie tęskni za domem i rodziną. To z pewnością dobry człowiek. Szkoda tylko, że taki nieokrzesany. I pije! Przez cały czas czułam zalatującą od niego wódkę.

Od tego czasu porucznik Sawicki przychodził regularnie wieczorami słuchać muzyki naszej babki. Często bywał pijany i wtedy płakał i wył po swoje. Stopniowo spowszedniało to nam i przestało być dla nas atrakcją. Tym bardziej, że w Królestwie Białorusi, pomimo nieobecności gospodarza, wieczorne spotkania jego kolegów odbywały się normalnie. Kapitan Karpiuk, słuchając naszych raportów o muzycznym wariactwie Sawickiego, kiwał dobrodusznie głową: - Sprawy wojenne, ciężko mu na duszy, trzeba człowieka wyrozumieć, Boże, Ty mój Boże!

- Znudzeni trochę "bułakami", zaczęliśmy częściej zachodzić do starszego ułana Luśka, co poprawiło trochę samopoczucie Jagusi, niezwykle ciężko przechodzącej wspólne koncerty babki z Sawickim.

Starszy ułan Lusiek przynosił ze swojego szpitala wiadomości o sytuacji na froncie. Razem z nim głęboko przeżywaliśmy trudne dni sierpniowe, kiedy wojska nieprzyjacielskie bezpośrednio zagrażały Warszawie. A później - "Ćud nad Wisłą" - wspaniałe szczęśliwe zwycięstwo naszych w bitwie pod Radzymińnem.

Ani się spostrzegliśmy, jak skończyły się wakacje, przeleciał wrzesień

- pierwszy miesiąc szkoły i październik znowu ozłocił korony drzew przy kościele Świętego Krzyża. Skandal nocny, który wspomina się w mojej rodzinie do dzisiaj, wydarzył się chyba w połowie października - na jakieś dwa tygodnie przed powrotem rodziców z zagranicy.

Wieczorem tego dnia udaliśmy się jak zwykle na spoczynek i po wygłoszeniu rytualnego wiwatu na cześć Królestwa Białorusi zapadliśmy w spokojny sen. W środku nocy obudziło nas walenie w drzwi. Babka siedziała już na swoim łóżku w narzuconej jedwabnej "matince" w szare i fioletowe pasy. Na twarzy i podgardlu miała krwawe wypieki.

- Tego już za wiele - powiedziała - tym razem nie ujdzie mu to na sucho!

I podniosła się, aby otworzyć drzwi. Do pokoju wtoczył się porucznik Sciapan Sawicki. Był kompletnie pijany, mundur miał ubielony wapnem, oczy bardziej przekrwione niż zazwyczaj. Z głową wysuniętą do przodu kołysał się z nogi na nogę. Wzrok miał błędny, wąsik mu drgał.

- Zahrajcie, pani - wybełkotał błagalnie z polska po rusku - ja was praszu. - I zaraz się poprawił: - Kali łaska!

- Nigdy! - odpowiedziała dumnie babka i zacisnęła sobie pod szyją "matinkę". - Nigdy już panu nie zagram. Jest pan pijanym awanturnikiem, budzi pan spokojnych ludzi po nocy, nie szanuje pan starszej kobiety. Jutro poskarżę się na pana majorowi Biłykowi z Komendy Miasta.

Porucznik zdawał się tego nie słyszeć. Coraz czerwieńszy ciężko sapał, a jego płaczące się ręce zajęte były przesuwaniem do przodu przytkoczonej do pasa kabury z pistoletem. Kiedy udało mu się wreszcie przesunąć kaburę na właściwe miejsce, wyjął z niej potężny pistolet i skierował go w stronę babki:

- Kali nie zahrajecie, ja was ub'ju!

Chwyliłem za ramię mojego brata. Drżał jak w ataku wysokiej gorączki. Wypieki babki pociemniały o ton, ale stała nieporuszona. Z dumnie podniesioną głową miazdżyła wzrokiem celującego w nią oficera. Było to straszne i piękne. Wpłakaliśmy się w babkę jak urzeczeni, dopiero teraz kochaliśmy ją naprawdę. Baliśmy się o nią, ale do porucznika Sawickiego nie czuliśmy żadnej nienawiści.

Mineła długa chwila niebywałego napięcia. Naraz zakotłowało się za drzwiami od kuchennego korytarzyka i rozległ się nieludzki wrzask Jagusi:

- Lusiek, na pomoc! Bułak morduje starszą panią!

Jeszcze chwila i pod naporem odsieczy drzwi otwarły się z trzaskiem. Najpierw wbiegła Jagusia w długiej nocnej koszuli z tasakiem kuchennym w podniesionej ręce. Za nią Lusiek boso w faszynowanych kałesonach z niezawiazanymi troczkami i w ułańskiej czapce z żółtym otokiem na głowie. Błysnęła nam przed oczami krzywa szabla z dobrze znanym napisem: "Honor i Ojczyzna". Zamarkem z wrażenia i ogarnęło mnie trudne do wysłowienia upojenie. Czegoś podobnego - choć w nieporównywalnie słabszym stopniu - doznawałem w wiele lat później, kiedy zbierając materiały do moich książek historycznych trafiałem na jakieś wyjątkowo dramatyczne zawężenie dziejów. Poczuję na twarzy wiatr historii, od którego zrobiło mi się mroźnie w nosie. W głowie zawilrowało mi od kolorowych scen z powieści Sienkiewicza, Gąsiorowskiego i Przyborowskiego... Zaczepnąłem szerokiego, bardzo szerokiego oddechu i ... zemdlałem.

Kiedy powróciłem do przytomności, było już po wszystkim. Porucznik Sawicki nie zastrzelił babki Stanisławy. Jagusia i Lusiek nie zarabali porucznika Sawickiego. Nie stało się nic, ale następne dwa dni przeżywaliśmy w stanie przykrego napięcia. Chociaż babka nie wykonała swojej groźby i nie poskarżyła się majorowi Biłykowi, stosunki między Królestwem Białorusi a resztą mieszkania uległy całkowitemu zerwaniu.

Trzeciego dnia starszy ułan Lusiek przyszedł ze swego szpitala z miną bardziej zwycięską niż zwykle. - Koniec z bułakami - oznajmił tryumfalnie - rozpędzę ich na zbitych popysk. - Dowiedzieliśmy się od niego, że w traktacie pokojowym, który zakończył wojnę za Wisłą, rząd polski musiał się zobowiązać do rozwiązania posiłkowych oddziałów ukraińskich i białoruskich. Spojrzeliśmy na siebie z bratem. Było jasne, że Sawicki musiał już wiedzieć o tym owej fatalnej nocy. Poczuliśmy się niewypowiedzianie głupio, jak byśmy zrobili mu

jakieś grube świństwo.

Nazajutrz, a może o dzień później, porucznik Sawicki wyniósł się od nas z całym swoim dobytkiem. Tym razem nie towarzyszył mu już major Biłyk ani żandarmi z Komendy Miasta. W dźwiganiu ciężkiej walizy i samowara pomagali mu tylko kapitan Karpiuk z Alesiem.

Do naszego dawnego pokoju powróciliśmy bez cienia satysfakcji. Byłoby Królestwo Białorusi powitało nas stosami śnieci, nastrojem smutku i opuszczenia. Jedynym trwałym śladem, jaki pozostawił po sobie Sawicki, była tajemnicza dziura w ścianie. Uzgodniliśmy z bratem, że musiał ją żłobić wieczorami, kiedy był już dobrze podpity i że niewątpliwie śmuczał przy tej robotcie, jak wtedy przy fortepianie. Wśród śnieci walających się w kącie pokoju znaleźliśmy zniętą i przedartą na pół mapę znad łóżka porucznika. Linia przedarcia przechodziła przez sam środek jasnozielonej plamy z napisem "Karałustwa Biełarusi".

Porucznika Scianpana Sawickiego po jego wyprowadzeniu się od nas straciłem z oczu na zawsze. Rozpłynął się we mgłę historii. Może wyniósł się był z naszego miasta, aby wzorem wielu swoich kolegów "szoferować" w Warszawie, a może po prostu zapisał się na śmierć. Natomiast wiele jeszcze razy spotykałem kapitana Karpiuka z jego synem Alesiem. Początkowo musieli bytować gdzieś niedaleko nas, bo spotykałem ich dosyć często. Wyglądali jeszcze dosyć dziarsko, a "Wesoły Kapitan" mijając mnie, mrużył porozumiewawczo oko i potrząsał z uśmiechem głową: "sześć dwojek i jedna jedynka! Bożeż, Ty mój, Boże!". Ale do rozmowy z nimi nigdy nie dochodziło, bo tak się składało, że spotykając ich, byliśmy zawsze w towarzystwie ojca albo matki, a rodzice nic nie wiedzieli o Królestwie Białorusi i nie warto było ich w to wtajemniczać.

Później musieli się przenieść dalej, bo spotykałem ich już bardzo rzadko - raz na parę miesięcy. Przestali mnie poznawać, a nawet odnosiłem wrażenie, że na mój widok specjalnie odwracali głowy. Mijający czas odbijał się przykrymi zmianami w ich wyglądzie. Przy którymś spotkaniu stwierdziłem, że "Wesoły Kapitan" zamiast oficerskiej czapki ma na głowie jakąś obskurną cywilną cyklistówkę, a zamiast oficerskiego pasa na płaszczu - jakiś prowizoryczny rzemień. Potem zabrakło również oficerskiego płaszcza i wysokich oficerskich butów. Zamiast nich pojawiły się schodzone cywilne trzewiki i podszyty wiatrem zniszczony gabardynowy płaszcz. Aleś, który wyrósł na ponurego chudego dryblasza, był tak samo zbiedniały i zaniedbany jak ojciec. Na plecach obydwóch pojawiły się jakieś podejrzane worki. Wyglądało na to, że zajmują się przeszukiwaniem śmietników. Pani Emilii przy nich nie było. Pewnie umarła w tej swojej nienawiści do Żydów i bolszewików.

W domu naszym zaszło w tym czasie wiele zmian. Babka Stanisława po długiej i ciężkiej chorobie opuściła nas na zawsze. Lusiek, jako zasłużony żołnierz, dostał posadę woźnego w jednej z naszych ambasad zagranicznych i tam się ożenił ze służącą ambasadorną. Zdradzona Jagusia bardzo rozpaczała, ale w końcu zgodziła się poślubić brata Luśka, kulawego szewca Antka, którego rodzinnej brzydoty nie przesłaniały już żadne pozory. Na domiar złego nieudany mąż bijął żonę i zaraził ją gruźlicą. Zmarnowana Jagusia pojawiała się u nas niekiedy - chudziutka, wyblakła, żałośnie spokorniała. "Trojłajn" Elżbieta wybrała sobie na męża odpowiadającego jej wagą i posturą właściciela rzeźniczek jatk. W parę lat później można ją było podziwiać każdej niedzieli, kiedy - w odorze cnoty i solidności - z mężem pod rękę i z dwojgiem czystuśkich wypucowanych dzieci prowadziła się na nabożeństwo do ewangelickiej "kriuchy".

A "Wesoły Kapitan" Karpiuk z synem nadal co pewien czas pojawiali się na mojej drodze, jak dręczący wyrzut sumienia - coraz żałośniejsi i coraz straszniejsi. Po raz ostatni spotkałem ich podczas ferii Bożego Narodzenia w roku 1931. Przyjechałem wtedy na pierwszy urlop z podchorążówki, mieszczącej się na naszych ówczesnych kresach wschodnich. Spędzałem ten urlop w stanie nieustającej euforii. Byłem uszczęśliwiony srebrzystą "belką" starszego strzelca z cenzusem na naramiennikach i paradnymi spodniami podchorążackimi, granatowymi z wąskim żółtym lampasem i tym, że mam powodzenie u dziewczęt. Szedłem właśnie w trójosobnym nastroju z ładną dziewczyną na tańce do znajomych, kiedy ze śnieżnej zadynki wykonili się nagle oni. Wyglądali już

nie jak ludzie, lecz jak dwa bezkształtne złachmanione tułaby, zapomniane przez Boga i historię. Tym razem nie udawali, że mnie nie poznają. Jednym krótkim spojrzeniem objęli mnie całego, wraz z rymy srebrzystymi belkami na naramiennikach, z parodnyri "szaserami" widocznymi spod płaszcza, z moją uradowaną twarzą i urodziwą dziewczyną przy boku. W tym krótkim spojrzeniu było tyle wrogości i nienawiści, że głos uwiązał mi w gardle i musiałem opuścić oczy.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na ich nogi. Nie mieli już na nich butów. Stopy ich były zawinięte w sukienne szmaty, powiązane zwykłym grubym sznurkiem. Nie różniło się to niczym od słynnych "kaptci" poleskich, jakie podczas moich ćwiczeń wojskowych widywałem na nogach chłopów spod Słonina, Wołkowysk i Baranowicz.

x

Przypomniało mi się to wszystko niedawno, kiedy w jednym z wydawanych za granicą pism polskich znalazłem informację o działalności generała Stanisława Bułaka-Bałachowicza w czasie ostatniej wojny. Dowiedziałem się z tamtąd o byłym dowódcy Ochotniczej Dywizji Białoruskiej czterech interesujących rzeczy: 1/ że przez matkę był potomkiem w linii prostej generała Tomasz Wawrzyckiego, ostatniego naczelnika insurekcji kościuszkowskiej; 2/ że we wrześniu 1939 roku walczył w obronie Warszawy na czele sformowanego przez siebie ochotniczego oddziału obrony stolicy; 3/ że w czasie okupacji należał ze swymi białoruskimi podwładnymi do ogólnopolskiego podziemnego ruchu oporu; 4/ że w styczniu 1943 roku na Saskiej Kępie w Warszawie został zastrzelony przez hitlerowców w czasie ich najścia na zakonspirowany lokal podziemnej organizacji białoruskiej.

Ciekawe, czy kapitan Karpiuk z synem Alesiem uczestniczyli w ostatnich bojach swojego atamana?

Marian Brandys

Obory, maj 1979 r.

Stanisław BARAŃCZAK

## Z "DZIENNIKA ZIMOWEGO"

5.11.79: GDYBY NIE LUDZIE

Gdyby nie ludzie, gdyby nie istnieli  
 tak natrętnie, ze swoim łupieżem, paranoją,  
 wystrzępionymi spodniami, antysemityzmem,  
 kłopotami w pracy, trwałą ondulacją, skłonnością  
 do uproszczeń i zadyszki, gdyby wcale  
 nie trzeba ich było poznawać, przecierając zamglone  
 okulary, wycierających zamazyście  
 buty straszne dziś błoto, ocierających  
 bezsilną zę, gdyby nie otwierali przed każdym  
 tak od razu swoich otłuszczonych serc i wyszmelcowanych tezek  
 z przetartymi na zgięciach papierami chwileczkę  
 gdzie ja podziakem to zaświadczenie, gdyby  
 w ogóle ich nie było, tych zanadto  
 takich samych i nadmiernie  
 odmiennych światów z podwyższonym  
 ciśnieniem, z wygórowanymi  
 żądaniami panie musisz pan mi pomóc, zbyt głośno  
 mówiących, zbyt naszcznie  
 żywych, zbyt dotkliwie  
 ludzkich,

o ile łatwiej by mi się mówiło nic co ludzkie nie jest

26.11.79: Z INNYCH WAŻNYCH WZGLĘDÓW SPOŁECZNYCH

bleiben und stille bewahren  
 das sich begrenzende Ich  
 Gottfried Benn

W niezdecydowanym odwołaniu od nieodwołalnej decyzji  
 zatajam niniejszym /pouczony o odpowiedzialności karnej/, że  
 to, że odmówion<sup>a</sup> mi jest i tym razem kaska  
 paszportu, tak naprawdę sprawia mi pewną ulgę:  
 gdy wyobrażam sobie z fotograficzną /lewe ucho  
 odsłonięte/ dokładnością siebie samego  
 na wszystkich tych akropolach i broadwayach siebie  
 wraz ze wszystkimi przesznugowanymi  
 w szarych tobołkach /co pan ma  
 do zadeklarowania/ obu półkach mózgu  
 zamartwieniami, zaarżnięciami, zmarnotrawieniami,  
 z całą tą wsiątką w oczy /szare; ciemnoblonde;  
 wysoki; brak/ wilgotną kontrabandą  
 śniegu z deszczem, zacieków i błota,  
 wtedy ogarnia mnie przestach  
 że w tak jaskrawo odmiennym świetle, gwarze, zapachu  
 ja przecież będę wciąż ten sam  
 i rzeczywistość, kryształowy kieliszek,  
 może nie wytrzymać tego dysonanisu



14.12.79: WIECZÓR AUTORSKI

Leszkowi, autorowi

Przyszli, ponieważ są pewne sprawy i sami panowie jesteście  
sobie winni.  
Wkroczyli, ponieważ są pewne prawa i chyba pan nie chce, że-  
byśmy wyważali drzwi.  
Przerwali czytanie, ponieważ są pewne słowa i radzimy panu  
po dobroci.  
Odebrali wiersze, ponieważ są pewne granice i umowy się.  
Spisali wszystkich, ponieważ są pewne przepisy i niech pan  
nie nadużywa naszej cierpliwości.  
Przeszukali mieszkanię, ponieważ są pewne zasady i pani bę-  
dzie łaskawa uciszyć to dziecko.  
Zabrali parę osób, ponieważ są pewne konieczności i spokojna  
głowa, nóż wróci pojutrze.  
Nikogo nie uderzyli, ponieważ są pewne formy i a jakże, tego  
byście panowie chcieli.  
Nie pracowali długo, ponieważ jest pewien film w telewizji i  
człowiek jest tylko człowiekiem.

22.12.79: UŁOŻONE PO CIEMKU

Układ słoneczny i ustrój społeczny  
łączą swe siły w trosce o moje oczy,  
oślepię jarzeniową lampą śniegu:

pierwszy, pod pretekstem astronomii, systematycznie  
obcina mi /przynajmniej dzisiaj/ przydział dziennego światła;  
drugi, pod pretekstem ekonomii, nieregularnie  
wyłącza mi /na przykład dzisiaj/ światło elektryczne.

Ja wiem, chodzi im o to, abym dał oczom odpocząć,  
a jeszcze bardziej o to, abym odłożył książkę  
i posłuchał tranzystorowego radia albo muzyki sfer,  
abym nie przejawiał niezdrowej skłonności do czarnowidztwa,  
ale dla zdrowia chadzał spać z kurami -

otóż niedoczekanie wasze, orbity i komitety:  
ja, nocny marek, podejrzany okularnik,  
niepoprawny człowiek, nieopierzona sowa  
na złość i na próżno wpatrzona w ciemnotę i ciemność,  
ja, niewprawny jasnowidz, widzący czarno przed sobą,  
do upadłego będę targować się z kurzą ślepotą  
źle oświetlonych planet i nieoświeconych reżymów:

"Moje ostatnie słowo: więcej światła!" -

choć ostatnie słowo - wiem o tym - będą mieć one

8.2.80: I NIKT MNIE NIE UPRZEDZIŁ

I nikt mnie nie uprzedził, że wolność  
może polegać także na tym: że  
siedzę w komisariacie z brulionem własnych wierszy  
ukrytym /co za przezorność/ w nogawce zimowej bielizny,  
podczas gdy pięciu cywilów z wyższym wykształceniem  
i jeszcze wyższymi poborami traci czas  
na analizę śmieci wyciągniętych z moich kieszeni:  
biletów tramwajowych, kwitu z nagła, brudnej  
chustki do nosa i tajemniczej /skonom ze śmiechu/ kartki:

"włoszczyzna

puszka groszku  
 koncentrat pomid.  
 "ziemiaki";

i nikt mnie nie uprzedził, że niewola  
 może polegać także na tym: że  
 siedzę w komisariacie z brulionem własnych wierszy  
 ukrytym /co za groteska/ w nogawce zimowej bielizny,  
 podczas gdy pięciu cywilów z wyższym wykształceniem  
 i jeszcze niższymi czułami niż prawo  
 obnacywać wnętrzości wyszarpnięte z mojego życia:  
 bilety tramwajowe, kwitek z magla, brudną  
 chustkę, a nade wszystko /nie, tego nie zniosę/ tę kartkę:

"włoszczyzna  
 puszka groszku  
 koncentrat pomid.  
 "ziemiaki";

i nikt mnie nie uprzedził, że cały mój glob  
 to ten odstęp, dzielący przeciwne bieguny,  
 między którymi nie ma właściwie odstępu

Stanisław Barańczak

---

Z przygotowanego do druku tomu wierszy pt. "Tryptyk z betonu, zmęczenia  
 i śniegu".

Janusz ANDERMAN

## O P O W I A D A N I A

## PODROZ

Drzwi windy zostały zamknięte nagle jak usta w pół słowa; wewnątrz był tylko on i strzyp tej kobiety, wczepionej w odrapany, brudny stołek; kobieta drzemała, opierając głowę o chłodną ścianę kabiny, a on milczał i czuł jak ogarnia go spokój.

Kobieta drzemała, patrząc na niego zamglonym wzrokiem. Jej półotwarte powieki drgały jak płatki akacji.

Ten spokój nie wywoływał w nim zdziwienia: spodziewała się go i oczekiwała jego łagodnej fali od tej pory, kiedy pomyślał o pałacu po raz pierwszy; wychodząc kiedyś z dworca, podniósł wzrok i zobaczył tę bryłę, wyłaniającą się z nadrannej mgły; wyglądało to tak, jakby w środku olbrzymiego placu narażał złośliwy Stalin; przypomniał sobie wtedy, że za kilka złotych można wjechać aż na sam szczyt.

Teraz stał w tej niewielkiej klatce i czuł jak ogarnia go spokój.

Dłoń drzemiącej kobiety uniosła się niechętnie w stronę dźwigni, podłoga zaczęła naciskać stopy; on podniósł głowę i ujrzał jak w szarych kratkach, umieszczonych nad drzwiami, zapalają się jedno po drugim cyferki z kolejnymi numerami pięter.

Trzymał rękę w kieszeni i dotykał palcami obłego kawałka blaszki, który dał mu szatniarz, tam, na dole, gdy oddawał kapotę; numerku nie trzeba, powiedział do jednorękiego mężczyzny, kładąc tę kapotę na marmurowej płycie, jak to, że nie potrzeba, coś pan, popatrzył na niego jednoręki człowiek; jak ja potem wydam okrycie zwierzętnie, niby jak; zniknął na moment za parawanem martwych parujących ubrań, a potem rzucił mu tę blaszkę; potoczyła się po śliskim kamieniu i z brzękiem spadła na posadzkę; nie chciał przedłużać tej rozmowy - czekał niecierpliwie na spokój, który miał niebawem nadejść; schylił się szybko, podniósł ją i schował do kieszeni; teraz wyczuwał ją palcami.

- Pani dawno jeździ tą windą - odezwał się do kobiety, która jak czarny pajak, obłany wrzątkiem, drgała na swoim miejscu.

- Jak to dawno! - powiedziała do siebie, nie mogąc zrozumieć pytonic,

- Jak to dawno. Od zawsze. Całe życie. Od zawsze.

- I nie zmudzi się pani.

- Jak to znudzi. Robota jest rozmaita. Raz się do góry jedzie. Drugim razem znowuż do dołu. Raz się jadzie na trzydzieste drugie. Drugi raz na jedenaste. Jest ta różnorodność.

Podłoga windy nacierała równomiernie na stopy; on milczał, przyglądając się ciągle okienkom z numerami pięter; z każdym kolejnym piętrem był coraz wyżej, coraz dalej, coraz bliżej.

- I w ogóle cztery lata temu, na święto kobiet, to nagrodę dali, bezzwrotną, dwieście złotych. Ale sprawiedliwości ni ma. Tamtej franczy, co jeździ na drugą zmianę, dali dwieście trzydzieści. Ni ma sprawiedliwości - odezwała się nagle kobieta w pustkę. Potem podniosła na niego królicze od braku snu oczy, porysowane czerwonymi żyłkami i on przez moment widział w tych oczach rozpacz i niedowierzanie; potem znowu objęły je powieki.

Jego nie bolały już żadne myśli. Palce wyszukały teraz w zagłębieniu kieszeni podłużną karteczkę; był to bilet powrotny, który musiał kupić tam, na dole.

- Jeden bilet na górę. Na taras w jedną stronę.

- Jakże w jedną stronę! - popatrzył na niego kasjer, a ramię podrygiwało mu co chwila tak mocno, jakby chciał sobie nim zatkać ucho. - Będziesz pan schodami wracał z atrakcji? Tyli świat?

- Tak. W jedną stronę.

- Ni ma w jedną stronę. Są tylko powrotne. W jedną stronę, to na tramwaj możesz pan kupić. A nie u nasz na atrakcje. Na tramwaj - powiedział i zarzęził gwałtownym śmiechem, i długo nie mógł się jeszcze uspokoić, głaszcząc sobie ramieniem policzek.

Palce zaczęły teraz miąć tę karteczkę, ugniatać, strzępić. Robiły to odruchowo; on nie zwracał na nie uwagi.

Ściany windy porysowane były datami, inicjałami, nazwami miejscowości, tu byłem, w tej windzie straciłam ochotę z Lisem, my z ZMP nie boimy się, Gozauka jest fiucisko, nauczycielka z Nysy, krakowiaki to są chuje nie Polaki, Edek Babiuch jest piękny chłopak, oddajcie Po prostu, T. Szobidzianek, Kocham Robaszkiewicz Marychę, parowa z Kalisza, nie ma druha, bo rucha, Danko, rób co, bo cię zdupca... Niektóre pisane były długopisem, inne wydrapywane ostrymi przedmiotami.

- Kiedy oni to robią? - zapytał i powiódł paznokciem po koślawym kształcie wrytego serca.

- Nie upilnuje. Jak się człowiek zdrzymanie, to od razu wyciągają jakiegoś goździa i ryją. Najgorzej jak coś na ustrój. Bo potem mnie się o to dopierniczają. Tak, jak ja bym była winna, że taki ustrój. Nie upilnuje człowiek. Każden jeden chce jaki ślad zostawić na pamiątkę.

- Ja na przykład nie chcę.

- Taaaak? - zaśmiała się, nie wydając głosu. - Bo na ręce patrze. Każden chce. Ale jak się do mnie dopierniczają, to ja zwałam na tamtą francę z drugiej zmiany. Cztery lata temu, na święta kobiet, to nagrodę dali bezzwrotną, dwieście złotych. Ale sprawiedliwości ni ma. Tamtej francy, co jeździ na drugą zmianę, dali dwieście trzydzieści...

Podłoga windy nieznacznie zmniejszyła ucisk na stopy. On był już wysoko i blisko. Krzączasta dłoń kobiety powędrowała ku dźwigni.

Podniósł wzrok; zapłonęło życzliwie jego ostatnie okienko z numerem piętra i stanęło na tym.

- No i tak - powiedziała kobieta.

- Pani była kiedyś na tarasie?

Jej zdziwione powieki odsłoniły na moment dwoje oczu, splekanych jak kulki marmuru.

- A na cholere mnie to. Tam wicher, przeciągi ciągle. Żeby mnie łeb urwało?

- Ja wiem? Żeby zobaczyć...

- Tu mam dobrze. W cieple. Ale sprawiedliwości ni ma...

Drzwi windy rozsunęły się z sykaniem.

Umilkła osłabła żarówka, otumaniona nagłym światłem.

On czuł coraz większą ulgę i lekkość tak wielką, że aż poła obawą. Ale odwrócił jeszcze głowę i popatrzył na zmartwiałą kobietę.

Milczała nieruchomo.

Cofnął wzrok i ruszył.

Minał załom strzelistego korytarza i wtedy uderzyło go światło.

Z nienacka odezwała się przestrzeń.

Nie patrzył; nie widział łakomych obłoków mgły, tłoczących się wokół, nie słyszał stłumionych odgłosów dołu.

Ruszył i zatrzymał się. Miał opuszczone powieki; niczego nie oczekiwał.

Taras, targany podmuchami deszczu, był pusty.

Zrobił kilka lekkich kroków i raz na zawsze zapomniał o wszystkim. Tylko stopy odczuwały nieprzerwany, pracowity puls podłoża.

Poczuł kamienny dotyk - to wilgotna bariera zatrzymała go jeszcze na krótki moment.

Wtedy otworzył oczy.

Taras był rozległy. Nie znajdował się na ostatnim piętrze, a strop nad nim podtrzymywały ciężko betonowe kolumny.

Kiedy popatrzył uważnie, zrozumiał, że między tymi kolumnami, barierą i stropem, rozpościł się szczelnie stalowa, połyskliwa, nieprzenikniona siatka. Zauważył jasne, przeźroczyste płomyki skroplonej na metalu mgły.

Stał, znieruchomiący i wpatrywał się w tę siatkę.

Napłynęła niska chmura, ogarnęła go białą lepką ciszą, ale nie mogła go unieść w przestrzeń. Stalowa siatka nie pozwalała na to, a on zanurzony w tej chmurze stał i znowu mozolnie przypominał sobie o wszystkim.

#### REWIZYTA

Będziesz coraz bliżej tego zamaszystego gmaszyska; każdy twój krok będzie ciężki w dwójnasób, a on, jak nienawistny las, ruszy ci na spotkanie i będzie rósł i będzie chciał cię przerosnąć.

I nawet zatrzymując się na moment ulgi, będziesz coraz bliżej tego budynku, pokrytego szarym ochronnym murszem tynków, śnieżących na trotuar.

Z każdym opornym krokiem będzie się zbliżał i olbrzymiał, będzie cię ogarniał, będzie cię przytkaczał, a ty bez spokoju będziesz się rozglądał, będziesz wypatrywał jakichś znajomych oczu lub raczej nieznałomej twarzy, będziesz się rytualnie przez lewe ramię oglądał za siebie i rzucał spłoszone spojrzenia na boki, żeby nikt cię nie widział, wchłanianego przez tę właśnie bramę.

Każdy krok będzie ci rósł w gardle, podchodząc coraz wyżej, każdy krok będzie cię oddalał od tego wymyślnego azyłu; ukryty w nim, byłeś widoczny jak na dłoni.

Będziesz coraz to bliżej tego zamaszystego gmaszyska; ta rewizyta jest odpowiedzią na odwiedziny tych ludzi, którzy byli u ciebie, mimo że się ich nie spodziewałeś już teraz, którzy byli u ciebie i zostawili ci zaproszenie na spotkanie, którzy nawet nie chcieli słyszeć o tym, że wolałbyś je przełożyć na inny termin lub w ogóle z niego zrezygnować, bo wydawało ci się jeszcze, że z tymi ludźmi nic cię nie łączy.

Nawet nie chcieli o tym słyszeć, że mógłbyś im sprawić zawód, choć oczekują cię tak niecierpliwie.

Obejrzyś się jeszcze raz; nikt cię nie widzi i zobaczysz tylko ten zwykły krajobraz za plecami - to staczające się życie, to staczające się tramwaje, ten dwuwymiarowy obraz staczających się ludzi, obraz pełen zakłóceń, których już nikt nie potrafi i nie próbuje regulować.

Przechodząc koło bramy tego budynku, skręcisz nagle w nikły cień; potem obliże cię wilgotny zbutwiałły mrok; staniesz się już na pewno którymś tam kolejnym i nie ostatnim, który składa rewizytę w jednym z tych budynków; one rosną wszędzie, puchną jak pęcherze w każdym mieście, na centralnych placach, nazywających się najczęściej placami wolności.

Mimo że w futrynę wmontowany jest czułek dzwonka, zastukasz do drewnianych drzwi, pomalowanych popielatą dworcową farbą, zastukasz do tych drewnianych, których przezornie nigdy nie dotknie żaden kornik, i będziesz czekał chwilę w ciszy, a potem usłyszysz jak zabrzęczy ci zaproszenie.

Wejdiesz do wnętrza i zobaczysz korytarzyk, zakończony innymi drzwiami, wmontowanymi w stalową kratę, zobaczysz nieprzejrzystą szybę, chroniącą dyżurkę, i ruszysz w tym kierunku, jednocześnie szukając niecierpliwie zaproszenia. Przetrasając kieszenie.

W dyżurce, zaraz za szybą, zauważysz stary stół z porysowanym blatem, a na samym brzegu tego stołu służbową czapkę; ta czapka będzie wyglądać tak, jakby tkwiła w niej głowa dyżurnego; z pewnej odległości będzie ona tak wyglądać, jakby dyżurnemu przez nieuwagę spadł na podłogę plasterek pasztetowej, i teraz on, klęcząc za stołem, usiłuje ostrożnie odkleić go od szarej deski.

Gdy podejdziesz bliżej, gdy się zbliżysz, zobaczysz, że czapka jest jednak próżna, że w pomieszczeniu nie ma nikogo, i że nikt nie czeka, by cię powitać u wejścia. I odebrać od ciebie wierzchnie odzienie. Albo przynajmniej pasek i sznurowadła.

Chwilę będziesz stał niezdecydowany, ale zaraz wybawią cię z kłopotu niewielkie drzwi wewnątrz dyżurki, od twojej strony zasłonięte metalową szafą; te drzwi otworzą się teraz i zza szafy wyjdzie jakiś mężczyzna; popatrzy na ciebie, podejdziesz bliżej; pomyślisz, że niczym się nie różni od

anych, że też, jak inni, ma twarz niezidentyfikowaną, niezdecydowaną i pozostawioną drapieżności, ale będzie to tylko chwilowe wrażenie, bo mężczyzna szybko, jakby wstydliwym ruchem sięgnie po czapkę, założy ją, skrywając aureolę, odcisniętą na włosach, i zobaczysz wtedy zupełnie inną twarz - przed tobą nie będzie już stał jakiś nieokreślony człowiek; od tego momentu to ty będziesz stał przed dyżurnym.

W milczeniu wsuniesz przez serduszko w szybkie zaproszenie; dyżurny rzuci na nie okiem, potem spojrzy na ciebie, a potem, nie patrząc już nigdzie, odezwie się po raz pierwszy, oddając ci karteczkę:

- Piętro dwa, pokój dwieście jeden.

Potem wyciągnie rękę w stronę przycisku, usłyszysz brzęczenie i drzwi uwiecznione w stalowej kracie, staną przed tobą wąskim otworem.

Ruszysz w górę, już z dziwnym spokojem, któremu przykląskuje teraz zatrząskiwane za plecami furta, schody pod stopami będą skrzypieć, pomyślisz, że to drewno się rozeschło; kiedyś, wcale nie tak dawno temu, było mokre od tej roboty, ale teraz nieco obeschło; będą cię mijali jacyś ludzie, wielu młodych ludzi, ubranych w dżinsy i modne koszule, ludzi niczym się nie różniących od swoich rówieśników z tamtej strony, niczym się nie różniących, prócz zadań, które dostali do rozwiązania, prócz zadań, które przyjęli do rozwiązania; jeden z nich odwróci się za tobą, mietek, wpadnij do mnie po fajrancie, popatrzysz na niego zaskoczony, opardą usłyszysz i tamten pobiegnie dalej swoją drogą; minie cię paru ludzi w mundurach i żaden z nich nie zwróci na ciebie baczniejszej uwagi, żaden z nich nawet się za tobą nie obejrzy, mimo że myśli, serca i czyny tych wszystkich ludzi towarzyszą ci dniem i nocą.

Będziesz się wspinał po schodach, na drugim piętrze skręcisz w lewo i pierwsze drzwi, które upatrzysz, będą nosiły numer dwieście jeden.

Sprawdzisz jeszcze raz, czy numer zapisany na zaproszeniu zgadza się z numerem na drzwiach, i zastukasz; drzwi otworzą się tak szybko, jakby ktoś telefonicznie uprzedzony do ciebie przez dyżurnego, czatował za nimi od dawna.

Podasz zaproszenie.

- Pan da dowód osobisty i zaczeka na korytarzu - odezwie się ten, który otworzył ci drzwi.

Zabierze twój osobisty przecieź dowód, a ty znów przeżyjesz moment samotności w ciemnym przełyku tego domu.

Potem drzwi otworzą się znowu i zostaniesz zaproszony do środka; ten, który wziął od ciebie dowód, odda ci go teraz i ruszy do wyjścia, tak jakby cię chciał zająć od tyłu.

Ty zapytasz go jeszcze.

- Mogę dostać z powrotem zaproszenie?

- A na co?

- Na pamiątkę.

- Co pan. Na pamiątkę to my sobie je zatrzymamy.

To zdanie usłyszysz za plecami; odwrócisz się; za biurkiem będzie siedział inny mężczyzna w białej rozpiętej koszuli i z uśmiechem jak bukiet sztucznych kwiatów.

Wyciągnie do ciebie rękę i ty, zaskoczony, nie będziesz się umiał zdobyć, nie będziesz sobie umiał odmówić tego samego gestu; poczujesz w dłoni jego ciepłe paluszki, nawet nie wilgotne, nawet nie twarde, nawet nie.

- Niech pan siada.

- Może postoję.

- Niech pan siada. Pogawędzimy.

Osiądziesz na krześle, ustawionym po tej stronie biurka, oprzesz się i w przedłużającej się ciszy będziesz czekał na pierwsze słowa.

- Mamy z panem dużo kłopotów.

- Przepraszam.

Mężczyzna spojrzy na ciebie badawczo i znów przez chwilę nie będzie się odzywał.

Zauważysz, że często patrzy w dół, jakby czegoś się wstydził, potem z-

baczysz też, że siedzi nienaturalnie daleko od biurka i będzie cię to ciekawić przez moment. Aż dotąd, kiedy zrozumiesz, że on ma wysuniętą szufladę, a na dnie tej szuflady jakąś zapisaną karteczkę, która pomaga mu ciebie pojąć.

- Nie mamy w kraju ani jednego więźnia politycznego.

- Jest więcej.

- Ani jednego. To bardzo mało. Po co więcej. Jest z tym spokój. W razie czego, to my możemy wezwać takiego kogoś. I z nim porozmawiać, bracie, po co tytło robisz, lepiej przestać i tak dalej. No, a z panem mamy kłopoty.

Mężczyzna poprawi się na swoim miejscu, zapali papierosa, ty odnówisz, gdy przedtem wyciągnie w twoim kierunku; ja nie palę, wiemy, że pan pali, ja nie mówię, że w ogóle nie palę; zapałkę wrzuci do szklanej popielniczki, ustawionej na biurku, i znów zacznie ci się przyglądać.

- Mam dwie wolne godziny dla pana. Możemy sobie szczerze porozmawiać. Bez ogródek, jak to się mówi.

- Możemy.

- No, mam parę takich pytań...

- To będzie oznowa, czy pytanie.

- Chciałbym usłyszeć odpowiedź na parę zwykłych pytań...

- Jak mają być pytania, to chyba będzie i protokół? Chyba tak? O ile się nie mylę?

Mężczyzna spojrzy na ciebie smutno i pokręci głową.

- Eeech...

Potem pomilczy chwilę i znów podniesie już znęczony wzrok.

- Ja tu z panem chciałem... prawda... Ma pan przy sobie szczoteczkę do zębów?

- Nie, nie wziąłem. Myłem już zęby.

- Wieczorem też trzeba. I rano...

- Wiem. Ale mogę odpowiadać tylko do protokołu.

Mężczyzna zgasi nerwowo papierosa i dłońmi płasko uderzy w biurko po swojej stronie. Natychmiast otwiera się boczne drzwi i wejdzie inny mężczyzna, patrząc wyczekująco jak wyżej.

- Siadaj do maszyny. Będiesz protokółował.

Klawisze zaczynają łakomie kłapać, a ty przez chwilę będziesz mógł siedzieć w milczeniu. Dopóki mężczyzna nie podyktuje magicznych słów wstępu. A potem ze zdziwieniem usłyszysz, że ten stary znajomy pyta cię o nazwisko, o imię, o różne inne szczegóły, które zna od dawna, ale odruchowo opowiesz mu to o sobie.

- Co pan robił kolejno przez wszystkie dni zeszłego tygodnia? Zaczynał jąc od czwartku? Wie pan, który to był dzień miesiąca?

Bez słowa skiniesz głową; ręce tego przy maszynie drapieżnie, jak dłoń pianisty, zawisną nad.

- Odmawiam odpowiedzi - usłyszysz swój głos.

Twarz mężczyzny za biurkiem obleka się miną smutku. Zobaczysz też na niej ten pierwszy warunkowy odruch rezygnacji z ciebie.

Chwilę będzie siedział z opuszczoną głową, a potem bez słowa, delikatnie ujmie lilię słuchawki i wykręci jakiś numer.

- Cześć, to ja. Ceka numer osiem wolna? Tak? Co? Dobra. Cześć.

Potem popatrzy na ciebie z wyrzutem.

- Czemu pan nam robi tyle kłopotów. Pan wie, ile my tu mamy pracy?

Będiesz milczał, opuścisz głowę i wreszcie ze smutkiem, patrząc w dół, powiesz wolno.

- Wiem. I chciałbym złożyć oświadczenie. W związku z pierwszym pytaniem.

- Oświadczenie?

- Tak.

- Oświadczenie?

Twarz mężczyzny ożywia się i skądś spod kołnierzyka wypełza na nią uśmiech.

- No, to słucham. W takim razie.

Chwilę będziesz się zastanawiał, a potem odwrócisz się w stronę tego, przyczajonego za maszyną.

- Niniejszym oświadczam, że nie mam nic wspólnego...

Nic wspólnego, mruczy ten za maszyną, a łakome klawisze dają ci poklask.

...nic wspólnego z wybuchem pod pomnikiem Lenina w nowej hucie, który nastąpił cztery dni temu.

Usłyszysz, że zapadnie cisza; mężczyzna za biurkiem oprze głowę na dłoni i bez celu zapatrzy się przed siebie.

- Do dupy z taką robotą... - powie bezsilnie i umilknie.

Ty będziesz siedział jakiś czas cicho, a potem z obawą zapytasz.

- To już jestem wolny?

- Wolny? - podniesie głowę mężczyzna. - Jaki? Wolny?

- Czy mogę już iść do domu?

- Możesz pan iść do domu...

Z trzaskiem zasunie swoją szufladę w biurku i siądzie bliżej blatu.

Podniesiesz się bez słowa i usłyszysz jeszcze jedno zdanie, które nie ma już znaku zapytania.

- Zobowiązania o zachowaniu w tajemnicy naszej rozmowy to też pan nie podpisze...

- Wie pan... jednak nie...

Mężczyzna włoży do ust nie zapalonego papierosa i pokiwa głową.

Ty odwrócisz się jeszcze od progu.

- To do widzenia.

- Do zobaczenia - usłyszysz.

Zamkniesz za sobą drzwi i obraz pokoju zanaże półmrok, ekran przestanie się jarzyć, a ty poczujesz się oddzielony od tamtych jędrnym drewnem i zapłonie w tobie ta odrobina pewności i spokoju.

A potem, po skrzypiących stopniach, będziesz schodził w dół, ku kracie przy dyżurce, ku dyżurnemu, ku staczącemu się światłu dnia i może pomyślisz też o tym, że jednak nic cię nigdy nie odgrodzi od czegoś, co jest w tobie.

#### CHAŁWA, PUMEK, BENZYNA

Tynk tego domu obsypany jest maleńkimi otworkami, które zostały po przebytej trzydziści parę lat temu czarnej ospie.

Na ścianie trzyma się ostatkiem sił na jednym haku przekrzywiona gablotka z liszczami politory; za mgłą szybki widać trzy, rysunki wykonane przez dzieci; nad tymi rysunkami jest napisane zawsze razem, pierwsza, druga, ... trzecia nagroda, Bliżej gwiazd. Na każdym z nich rozlewającymi się plankami akwarel namalowany jest Krenl, a z każdego Krenla, z najwyższej wieży, wytryskuje w niebo stalowy sputnik, wyglądający jak zkośliwy plemnik, który chce doprowadzić świat do niepożądanego ciąża.

Drzwi tego domu zamykają kaźnię, ale mogą też chronić wewnątrz każdej instytucji.

Możliwe, że te drzwi, z których bezszelestnie kuszczy się farba w kolorze dworcowym, prowadzą do kaźni.

Możliwe, że tam, w środku, są niskie korytarze, przepocone parą śliskie poręcze, których nikt nie dotyka, by nie zostawić odcisków palców, schody, ociężałe kotary i stojące blaszane popielniczki. Duszący zapach wilgotnych koców i na pewno ta maleńka kobieta z ogromną, opadającą do tyłu głową, sprzedająca bilety wstępu.

Wąskie korytarzyki prowadzą w różnych kierunkach, wanny, bicze wodne, natryski, kąpiele borowinowe; na drzwiach wiszą emaliowane tabliczki z zartartymi napisami.

Wczepieni w drewniane ławki ludzie czekają, by ktoś przywrócił im chęć do życia, a w oczach mają tak głęboką ufność, jakby przygotowywali się do spowiedzi.

Co jakiś czas pojawiają się funkcjonariusze, okręceni w szare kitle i czujnym wzrokiem wykawiają kogoś spośród oczekujących.

W pomieszczeniu, odgrodzonym od kaźni parowej ogromnym prześcieradłem,



całym w siniakach pieczętek, jest bufet i stolik z samotnym krzesłem, na którym ktoś siedzi; inni, owinięci kawałkami płótna, stoją dookoła w nieru-  
chomych pozach, we włóknach pary, która jest cicha jak pierwszy śnieg; ci  
ludzie wyglądają jak pomniki tej epoki.

Za wysoką ladą porusza się głowa bufetowego - wygląda to tak, jakby  
ślizgała się we wszystkich kierunkach po omszałym od wilgoci blacie; bufe-  
towy podzwania butelkami z piwem grodziskim - podnosi te butelki łakomie do  
ust, jakby z każdej po kolei chciał się napić - między przednimi zębami ma  
obszerną szparę; wciska tam brzeg kapsla i jednym pociągnięciem zrywa go z  
szyjki. Brak mu czasu, by ocierać strzępy piany, która wydobywając się z  
butelek, osiada mu na ustach i przez to ta głowa, tocząca się po blacie,  
wygląda jakby była głową szaleńca.

Bufetowy rozdaje butelki, które są rozbierane w milczeniu, monety wrzu-  
ca się do plastikowego pudełka od pasty do podłogi, kolor kość słoniowa,  
grzechocze tymi monetami i śnieje się gdzieś w przestrzeń.

- Wsio jest dobrze! Chałwa, pumeks, benzyna!

- Jeszcze żeby tylko putany były na szkiertanie - odzywa się ten od  
stolika. - To już by było pełne pedałstwo.

- No, to wtedy chałwa, pumeks, benzyna! - śmieje się bufetowy spienio-  
nymi wargami.

- Szefie! Nie pytałeś dziś o mnie taki brunecik z krótkimi piórami? -  
pyta ten od stolika.

- Jeszcze się nie pytałeś - bulgocze bufetowy. - Jak się miał pytać, to  
się jeszcze zapyta. Pan władzio to się pytał, ale się zmył.

- Szkoda, że się zmył. Ni na zabawy bez pana władzia. Dowcip opowie,  
chujka-pokaże...

- Chałwa, pumeks, benzyna! - ryczy bufetowy i waryńskim z banknotu  
ociera łzy, które płyną mu po twarzy.

- Nie ma który paczki? Bo jestem pusty - odstawia butelkę ten od sto-  
lika.

Nieme postacie w bieli kręcą głowami.

Zaskona, oddzielająca pomieszczenie od łaźni parowej faluje nieznacz-  
nie; ukazuje się zza niej ostrożnie jakaś postać i chyłkiem, przytulona do  
ściany, przemyka się w stronę bufetu.

- Cześć, atasze! Siemasz.

Atasze zatrzymuje się raptownie w pół kroku i tak ostrożnie stawia bo-  
są stopę na posadzce, jakby badał wcześniej grunt.

- Czy-czyeść.

- Zaraz się coś zrobi - ten od stolika mruga do niemych postaci, uno-  
si się nieznacznie i wyciąga spod siebie jakąś książkę w wiotkich, niepew-  
nych okładkach.

- Atasze. Chcesz zrobić dobry interes?

- Chy-chyyyce-e. Ja-aasne.

- Atasze. Tu masz dzieło. Dramaty. Dwie paczki na tym trafisz. Ja ci  
oddam za paczkę.

- A-aa wyja-wy-wygarto?

- Jasna sprawa. To jest biały kruk. Posłuchaj, atasze. Walenty zielen-  
cow ulega wpływowi zachodniego stylu życia swego mistrza wawerlejskiego,

sprawy osobiste stawia na pierwszym miejscu, zaniedbuje pracę produkcyjną  
i kulturalną w zespole teatralnym przy fabryce. Dopiero zdecydowana postawa  
towarzyszy i wychowawcze działania kolektywu pozwalają zarówno kostii jak  
i walentynowi podejść właściwie do zagadnień. Wszystkie sztuki charaktery-  
zuje optymistyczne zakończenie, ukazanie dalszych perspektyw rozwojowych obo-  
zu walki o pokój i socjalizm. Zgodnie z historycznym rozwojem ludzkości  
przegrywają reprezentanci gnijącego, zwyrodniałego świata kapitalistycznego,  
a zwyciężają wspaniali i szlachetni ludzie, walczący o zdobycie lub reali-  
zujący już ustroj sprawiedliwości i szczęścia - komunizm. Widzisz, że gites.  
Przyjaciele sztuki. Paczka, to całkiem darmo. Ja cie, atasze, nie oszukam.  
Nie? - patrzy na milczących w bieli.

- Ty-ooo zy-zyaaraz - odpowiada gorączkowo atasze i rzuca się za kotarę.

- Może pan otwierać flaszki, szefie!

Głowa bufetowego toczy się ku skrzynce z butelkami; obiema krótkimi rączkami unosi po kilka jak bukiety, a źle przyklejone etykiety wirując spływają w dół lotem zeschniętych liści.

- Z panem, szefie, to dobrze tu mamy, tak? Pan smaży, a my dziobiemy. Elegancja. Ci, to powinni do tych pieluch zakładać czerwone krawaty. Bez czerwonych krawatów nie powinien pan wpuszczać do lokalu.

- A jak! Chałwa, pumeks, benzyna! Tak, czy nie?

Niemie w bieli podnoszą butelki do ust.

Kotara faluje; pojawia się Atasze jak wypchnięty przed kurtynę i chyłkiem zbliża się do tego za stolikiem.

- Daj szmalec panu szefowi - wskazuje głową bufetowego; Atasze zatrzymuje się nagle w pół kroku, potem ostrożnie się odwraca i składa banknot na ladzie. Bufetowy natychmiast odkleja go od wilgotnej powierzchni.

- Trzymaj dzieło - mówi ten od stolika; Atasze porzywa książkę, później sunie ku kotarze, ale zatrzymuje się jeszcze na moment i patrzy błagalnie na bufetowego.

- Py-pyaaanie szsz-szczefie. Daa-haaałby paan pap-paa-re k kkaapsli dla dzie-ciaaa-ków.

- Nie mogię, kochany. Jak pragne boga. Sam coś muszę swoim przynieść, tak?

- Nooo tha-aaak - szepce Atasze i znika za kotarą, unosząc książkę.

Ten przy stoliku przechyla głowę do tyłu i pozwala płynąć piwu swobodnie; ci w bieli poprawiają prześcieradła, moszcząc w nich dokładniej gąbczaste ciała. Para cicho podzwania biela.

Drzwi otwierają się wolno; ten, który się w nich pojawia, zatrzymuje się teraz i wypatruje wśród nieruchomych postaci jakiejś twarzy.

- Po cywilnemu nie wolno? - odzywa się głowa bufetowego.

- To do mnie, szefie - mówi ten od stolika. - Robote mam chłopakowi załatwić. Siemasz.

- Cześć.

- Kumpel - mówi ten od stolika, odwracając się do milezących. Robił doktorat i na samym finiszu wyruchali go. Znajomych miał nie takich, co trzeba. Tych korowców, co to tego.

Stojący milczą, a ten, który przyszedł, zbliża się teraz do stolika.

- Browarek? - pyta siedzący.

- Może być.

- Szefie, Pan otworzy pare flaszek. Zapłać panu szefowi. Po dwanaście flaszka.

Bufetowy znów toczy pianę z ust, spadające kapsle i monety brzęczą delikatnie; ci w bieli piją milcząco.

- To jaką robote chcesz? - pyta ten od stolika.

- No, nie wiem jakie są możliwości...

- Możliwości to jest dużo. Na razie masz dwie możliwości. Albo wydział kultury w urzędzie miasta. Praca ideowa. Ruch. Rozumiesz. Jakieś planowanie, nanoszenie na grafik. Organizowanie. Ciągły ruch. Albo rozgłośnia harcerska. Zrobisz pare audycji na próbe. Umiesz się posługiwać magnetofonem?

- Zależy jakim.

- W miasto przeważnie chodzi się z kasetą filipsa. Nacisnąć klawisz chyba umiesz. Machniesz pare programów, a potem podpiszą z tobą umowę. Powiedz jakieś zdanie. Muszę posłuchać, czy masz radiowy głos.

- Co mam powiedzieć?

- Już wystarczy. Głos w porządku. To teraz skocz po dwie flaszki do delikatesów.

- Co kupić?

- Horeńka. Zwykła horeńka. I coś, żeby zagryźć. Byle co. Kawalek marmelady. Może być ucho czombego. Albo lastryko. Byle co.

- Dobra. To ja zaraz wracam. Szybko obróć. Tylko kolejka może być w wędlinach. Ale może nie będzie takiej. To szybko będę z powrotem. No i w

ogólcie się cieszyć. Bo już słabo było. Nigdzie się nie dało zarobić. Jakoś trzeba stanąć na nogi. Zaraz będę. Ale to pewne? Z tą robotą?

- A jak? Coś ty myślał. Jak lubisz młodzież, to żaden problem. Tym mi pasujesz, no to masz z czapy.

Ten, który przyszedł, znika teraz za drzwiami. Milczący w bieli trwają nieruchomo obok swoich butelek.

Siedzący za stolikiem oblizuje chryzantemę piany, która zakwitła cicho na szyjce, wyciąga z paczki papierosa i odwraca się do zastygłej głowy bufetowego.

- Jakiś ruch jest w interesie, tak? Na te rozgłoszanie harcerską, to ja już skrzynkę hary obaliłem. Harcerzy to ja za to lubię. I pan coś zawsze przy okazji chłapnie, szefie.

- A jak! Gdzieś go pan podłapał?

- Mało się takich teraz kręci po mieście? Tylko trzeba zrozumieć człowieka, Nie?

- Chałwa, pumeks, benzyna - śmieje się głowa bufetowego. - I niech pan nie wyrzuca naklejek z butelek. Ja sobie zabiorę. Coś trzeba przynieść dzieciakom w końcu...

Cierpliwie czekają senatorowie w bieli.

Janusz Anderman

#### STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ O "PULSIE"

ZDOBYĆ MARKĘ DOBRYM WYROBEM, A NASTĘPNIE OBNIŻYĆ WARTOŚĆ PRODUKTU DLA DORAŻNYCH DOCHODÓW WYDAJE SIĘ BYĆ BARDZO ZŁĄ ZASADĄ W PRZEMYSLE. MOJA FIRMA TAK NIE POSTĘPUJE.

OSTATNIO FIRMA P U L S OSIAGNĘŁA NIEZŁE WYNIKI.

"Narkotyki. Niemyte dusze", s. 180

Janusz ANDERMAN

## STRAJK OKUPACYJNY

/słuchowisko radiowe/

Osoby: Szósty  
Trzeci  
Sprzątaczką

/Słysząc gwar, hałas odsuwanych krzeseł, tupot wielu nóg; trwa to koło minuty i powoli wygasa, aż do zupełnej ciszy. Potem krótka pauza/

Szósty: Wyszli już?...

Trzeci: Chyba wyszli. Zamknij dziób i siedź cicho.

Szósty: Może wyjrzeć?

Trzeci: Nie wyglądać. I pociągnij jeszcze trochę w dół ten obrus. Bo mogłby nas ktoś zobaczyć od dołu.

Szósty: Chyba popatrzę...

Trzeci: Mówię ci, nie wystawiaj łba. Jak nas nakryją, to będzie po ptakach...

Szósty /cichutko woła/: Ziuuutek!... Ziuuutek!...

Trzeci /głośnym szeptem/: Czyś ty zwariował! Chcesz, żeby cię usłyszeli?

Szósty: Ziutka wołam. Miał się schować w mównicy...

Trzeci: Ziutek pękł. Widziałem go, jak się to wszystko skończyło. Bokiem się przemykał. Przy ścianie.

Szósty: O, skubany. A w przerwie umawiał się ze mną, że zostanie w mównicy.

Trzeci: Ziutka nie znasz? Zawsze był tchórzliwy. Pamiętasz w pięćdziesiątym szóstym? Jak Władek nastął? Przez tydzień bał się do niego podejść. Myślał, że Władek się obraził o te odchylenia prawicowe i o ten rewizjonizm, co mu wyciągnął wcześniej. Ale Władek taki nie był. Ja się tam nie bałem. I zawsze dobrze na tym wychodziłem.

Szósty: Ziutek tylko Żydów się bał. Pamiętasz, jak dokazywał w sześćdziesiątym ósmym? Były czasy... Chyba wyjrzę...

Trzeci: Ale ostrożnie...

/pauza, szuranie/

Szósty /szeptem/: O, rany...

Trzeci: Co jest?

Szósty: Nie, nic... Myślałem, że to żywy człowiek...

/pauza/

Trzeci: No i jak tam?

Szósty: Nikogo już nie ma... Ale światło się świeci...

Trzeci: Nigdy nie pomyślał, żeby zgasić. Tylko żarówki wypalają!

Szósty /już swobodniejszym głosem/: A co się martwisz? Twoje żarówki? Nawet lepiej, że zostawili, bo byśmy musieli siedzieć po ciemku.

Trzeci: No, niby tak... Ale zawsze.

Szósty: Ty! Kamery telewizyjne zostały. Mogą po nie wrócić i nakryją nas.

Trzeci: Gdzie tam wrócą. Zapomnieli i poszli. Zawsze zapominali. Potem tylko Maciek kłopoty miał, bo się nie mógł wyliczyć.

Szósty: No, racja.

Trzeci: To co? Przekąsimy coś i do roboty.

Szósty /ze strachem/: Jak to, do roboty?

Trzeci: Jak to, jak to... Trzeba przecież barykadę ustawić, jak strajk okupacyjny, to strajk okupacyjny. Jak się nie zabarykadujemy, to nas wyrzucą. A jak będzie barykada, to nie dadzą rady.

- Szósty: Ja się nie dam tak łatwo...
- Trzeci: Tak czy siak, trzeba będzie ustawić tę barykadę.
- Szósty: Ustawimy! /śpiewa bojowo/ Na barykady ludu robu... czy... To nie pasuje.
- Trzeci: Hasła jakieś trzeba będzie wypisać.
- Szósty: Transparenty. Płoc... płoc... proletariu... cholera, nie mogę wymówić... Z tych nerwów!
- Trzeci: To nic. Coś innego się wymyśli.
- Trzeci: Kartkę się wywiesi na drzwiach, że strajk kupacyjny. I że wzywamy do negocjacji. Dotąd będziemy strajkowali, aż nas przywróca.
- /pauza/
- Szósty /z nadzieją/: Myślisz, że przywróca?
- Trzeci: Nie będą mieli wyjścia.
- Szósty: Ty! Ale musimy założyć komitet strajkowy przecież.
- Trzeci: No właśnie. Nie pomyśleliśmy o tym.
- Szósty: I to zanim coś zjemy. Bo tak, to jakiś dziwny strajk bez komitetu.
- Trzeci: Tylko jak ten komitet założyć? Dwóch nas jest...
- Szósty: A nie możemy być jednocześnie komitetem strajkowym i strajkującymi?
- Trzeci: Jakos głupio. Ale nie ma wyjścia.
- Szósty: No to wybieramy się...
- Trzeci: Trzeba protokółować.
- Szósty: Jasne. Kto będzie protokółował?
- Trzeci: Może ty?
- Szósty: Dlaczego ja?
- Trzeci: Masz ładniejszy charakter pisma. Ja sobie wyrobiłem nieczytelny charakter.
- Szósty: Racja, dobra. Mogę protokółować.
- /szelest papieru/
- Trzeci: Tylko wszystko zapisuj. To jest dokumentu
- Szósty: Nic się nie martw.
- Trzeci: W takim razie trzeba wybrać przewodniczącego komitetu strajkowego. Proponuję na to stanowisko mnie.
- Szósty: Dlaczego ciebie? Ja chcę być przewodniczącym. Ty możesz być członkiem komitetu.
- Trzeci: Nie chcę być członkiem. Chcę być przewodniczącym!
- /chwila ciszy/
- Szósty: Ja chcę...
- /znów pauza/
- Trzeci: No to może rzucimy monetę?
- /pauza/
- Szósty: Monetę? Dobry pomysł. Masz jakąś monetę?
- /chwila ciszy, szelest/
- Trzeci: Mam tylko po dwa tysiące...
- /pauza/
- Szósty: Ja też mam po dwa... Nie! Jakiś tysiąc mi się zaplątał.
- Trzeci: No to rzucimy ten tysiąc.
- Szósty: Uwaga, rzucam.
- Trzeci: Zaczekaj. Przecież musimy sobie wybrać strony.
- Szósty: Aha, no tak.
- Trzeci: To ja tego tu, Kopernika.
- Szósty: Ale ma kłaki długie... To ja tę tarczę strzelniczą z drugiej strony. Uwaga, rzucam.
- Trzeci: Zaczekaj. A kto będzie przewodniczącym? Jak na co wypadnie?
- Szósty: No jak to? Jak na Kopernika, to ja. Jak na tarczę, to ty. Uwaga, rzucam.
- Trzeci: Rzucaj
- /chwila ciszy/
- Szósty: Ale wolno spada...
- Trzeci: Spada i spada.
- /chwila ciszy/

Szósty /nerwowo/: Ty, gdzie to poleciało?

Trzeci: Przed chwilą jeszcze było... Leciało, leciało i znikło.

/pauza/

Szósty /podejrzliwie/: Może tego... może... wiesz, jak to jest...

Trzeci: Coś ty, zwariował? Na cholere mnie to? Mało mam tego koksu? Trzeba poszukać.

/słychać kroki, odsuwanie krzeseł/

Szósty: Jest! Za stołem było. Tak skubane krzywo poleciało.

Trzeci /nerwowo/: No i kto wygrał? Ja?

/pauza/

Szósty: Dziwna sprawa... To stoi na sztorc... Jakoś tak się ustawiło.

Trzeci: Pokaż.

Szósty: O, tu. Widzisz?

Trzeci: Rzeczywiście. Niech to piorun spali.

Szósty: To co? Jeszcze raz rzucić?

Trzeci: Nie, chyba nie. W końcu rzucanie było ważne.

Szósty: To co robimy?

Trzeci: No, wynika z losowania, że każdy z nas jest połową przewodniczącego komisji strajkowej. Ty jesteś połowa i ja jestem połowa. Razem jesteśmy całym przewodniczącym.

Szósty: Ale to niesprawiedliwie.

Trzeci: Dlaczego?

Szósty: Bo tego... Bo ja jestem... tego... dość niewysoki... Jestem mniej-szą połową...

Trzeci: To ja się zgarbię.

/pauza/

Szósty /rozżalony/: I tak jesteś jeszcze o głowę wyższy...

Trzeci: To wiesz co? Jak będziemy obradować, ja będę siedział na krześle, a ty na stole. W ten sposób będziemy równi.

Szósty: Dobry pomysł. Zawsze miałeś dobre pomysły.

Trzeci: O, bracie... Pamiętaj, jak w siedemdziesiątym szóstym, w czerwcu...

Szósty: Czekać, czekać, bo musimy zaprotokółować wybory przewodniczącego...

Trzeci: Aha, dobra.

/pauza, Trzeci nuci sobie/

Trzeci: Czerwone jabłuszko, przekrojone na krzyż... /do siebie/ Dlaczego na krzyż akurat... /do Szóstego/ Już?

Szósty: Już... /grobowym głosem/ Jedno jest najgorsze...

Trzeci /przestraszony/: Co się stało?

/pauza/

Szósty /pomuro/: Nie mamy ekspertów.

Trzeci: O, jasny piorun by to strzelił!

Szósty: I co my teraz zrobimy?

Trzeci: Ja wiem? Jakoś sami będziemy musieli sobie radzić.

Szósty: Widzisz? Jakby Ziutek nie pękł i nie zwiął, to by było, jak znalazł. Zrobiło by się z niego eksperta.

Trzeci: Jaki tam ekspert z Ziutka. Przecież on na niczym się nie znał.

Szósty: No, niby fakt. Ale zawsze... I co jeszcze powinniśmy zrobić? Żeby o czymś nie zapomnieć...

Trzeci /zastanawia się głośno/: Co robolę jeszcze robiły na tych swoich strajkach...

Szósty: Msze mieli zawsze z księdzem...

Trzeci: Czyś ty chłopie zgłupiał? My mamy sobie msze robić?

Szósty: Ja tylko tak... Przecież pytałeś, to mówię.

/pauza/

Szósty /niepewnie/: A może bez mszy, to nie da rady, żeby się udało?...

Trzeci: Przestań z tą mszą! Musi się udać. Zaprzemy się, zewrzymy szeregi i wygramy! Nieraz już było ciężko, a po strajk nie musieliśmy się-gać. Na strajk nie ma silnych. Widzisz przecież, co się porobiło przez te strajki, nie?

Szósty /ze smutkiem/: Widzę, widzę... Mogli chociaż na ambasadorów dać...  
A nie tak, od razu za burtę...

Trzeci: Ja mam iść do ambasadora? Nie ma mowy! Muszą nas przywrócić. Będzie-  
my strajkować aż do pełnego zwycięstwa!

/pauza/

Szósty /z goryczą/: Mnie moja powiedziała, że jak się dam zdjąć, to mnie do  
domu nie wpuści. Ja z tych marmurów nie wyjdę, powiedziała. /pauza/  
Do domu nie wpuści...

Trzeci: Nie wpuści do jednego, to do drugiego pójdziesz.

Szósty: Ale ona ma klucze do wszystkich domów. Gdzieś schowane trzyma. Bała  
się, żeby dziwek nie sprowadzała.

Trzeci /śmieje się/: Co ona, biedula, sobie wyobrażała? Że my do domów bę-  
dziemy dziwki ciągnąć? Z ulicy, czy jak? Ale nic się nie przejmuj.  
Wpuści cię, wpuści. Na strajk nie ma silnych. Muszą nas przywrócić.  
Jeszcze na rękach cię będą nosić. Zobaczysz...

Szósty: Dałby Bóg... Co ja gadam... To z tych nerwów...

/pauza/

Szósty: Przekaszamy coś?

Trzeci: A co masz?

Szósty: No, baleron... dwa balerony, szynka w szmatce, kabanosy... /pauza/  
Jeszcze tu coś jest... Zakadowała moja całą teczkę... /pauza/ Dobry  
pomysł miałeś z tym żarciem. I w ogóle ze strajkiem. Jak się dowie-  
działem, że mają nas zdejmować, to zupełnie nie miałem pojęcia, co  
ze sobą zrobić... To mówisz, że przywróca?

Trzeci: Jasna sprawa. Nic się nie łam. Zobaczysz, co ja tu mam...

Szósty: Gorzaka!

Trzeci: A coś ty myślał!

/pauza/

Szósty: Ale robale nie pili gorzaka, jak nieli strajki. Wylewali, jak u ko-  
goś znaleźli...

Trzeci: Bo głupi byli. Gorzaka, to jest gorzaka. Jakiś napęd trzeba mieć,  
nie? Ale oszczędnie. Po jednym dziennie będziemy pykać.

Szósty: Dobrze, że to zwykła. Ja ci powiem, że ja nigdy nic tak nie lubiłem,  
jak tej zwykłej gorzaka. Te wszystkie koniaki, te aperitify, te pti-  
fiury... Aż mi się rzygać zawsze chciało od tego. Tylko zwykła. Z  
lasu bracie, to przyzwyczajenie wyniosłem. Z lasu.

Trzeci: Ja też najbardziej tę czystociochę lubię. Wódka, to musi być wódka...  
Trzeba czuć, że się pije. Mam tylko jedną szkalneczkę...

/odgłos nalewania/

Trzeci: Trzymaj.

Szósty: No, to za nasz strajk! /pauza/ Uaaaaach!

Trzeci: Zagryź kabanosem.

/odgłos nalewania/

Trzeci: Kabanos... uuuuuuch!... kabanos najlepszy. Dobra ta czystociocha. Naj-  
bardziej ją lubię. Ze wszystkich. Z lasu, bracie, to przyzwyczajenie  
wyniosłem. Z lasu.

/pauza, potem mówią, jedząc/

Szósty: Myślisz, że Maniek się wywinie z tego wszystkiego?

Trzeci: Chyba się nie wywinie. Wezmą go za dupę ostro.

Szósty: Ale on teraz wariata udaje. Wariatowi nic nie można zrobić.

Trzeci: Długo tego wariata nie będzie strugał. Nikt się na to nie da nabrać.

Szósty: Jak nas przywróca, to pomożemy chłopakowi, nie?

Trzeci: Jasne, że pomożemy. Równiacha był. Z fantazją. Miał pomysły.

Szósty: Fakt. Umiał się zabawić.

/pauza, szelest papierów/

Trzeci: To co? Podjadło się i do roboty trzeba się brać.

Szósty: Do rob... Aha. No tak. To gdzie robimy tę barykadę?

Trzeci: Chyba tu będzie najlepiej. Pod oknem.

/pauza, słychać rumor przestawianych mebli/

Szósty: Ty!

Trzeci: Czego się drzesz? Co się stało?

Szósty: Dziennikarzy musimy mieć. Muszą o nas napisać, Robole mieli dziennikarzy...

/pauza/

Trzeci: Ale oni nioli głównie zachodnich. Do nas zachodni chyba nie przyjdą. Oni teraz tylko o robotach piszą.

Szósty: A nasi?

Trzeci /zniecierpliwiony/: Nasi... nasi... Co ci dadzą nasi. Przecież jak o nas napiszą, to im cenzura i tak nie puści.

Szósty: Niech to piorun spali. Ty!

Trzeci: Czego się drzesz?

Szósty: Oni swoje własne gazety strajkowe wydawali... Też powinniśmy wydawać gazetę.

Trzeci: Jak wydawać? Umiesz drukować? I na czym będziesz drukował? Przecież nie mamy drukarni.

Szósty: To niedobrze, że nie będziemy mieli gazety. Społeczeństwo powinno być poinformowane o tym naszym strajku.

/pauza, przestawianie mebli/

Szósty: Nie trzeba było tak gonić tego Chojeckiego. Byłby teraz jak znalazł. Poprosiliby się go i robiłby nam gazetę...

Trzeci: Nie trzeba było gonić! Za mało się goniło. Od razu trzeba było to towarzystwo w dupę lać, a nie cackać się... Tyle razy to tłumaczyłem. To wszyscy nie, nie, samo się rozleci wcześniej, czy później. A jak powsadzamy to tylko wrzask na Zachodzie będzie i pożyczek nam odmówią... No i ładnie się rozleciało, cholera jasna!

/pauza/

Szósty: Chyba już wystarczy taka barykada? Bo się znachalem.

Trzeci: Może być.

Szósty: Odpoczniemy trochę?

Trzeci: Trzeba odsapnąć.

/pauza, głośne wdychanie/

Szósty: Tego klechy też nie trzeba było wpuszczać w zeszłym roku. Od niego dużo poszło i ludzie zaczęli rogi pokazywać. Mówiłem. Tłumaczyłem. I proszę, jak się porobiło.

Trzeci: Nie dało się nie wpuścić. Jak byśmy nie wpuścili, to tylko wrzask by na Zachodzie podnieśli. Pożyczek by odmówili. No i ludzie by się zaczęli burzyć.

Szósty: Ale by może nie siedzieli po fabrykach, tylko by wyszli na ulice. Raz dwa by się to załatwiło i spokój. A tak widzisz co się dzieje.

/pauza/

Trzeci: Trzeba spisać postulaty, panie przewodniczący.

Szósty: I wywieścić na drzwiach, panie przewodniczący. Żeby od razu wiedzieli, że tu nie ma żartów. Strajk okupacyjny.

Trzeci: Daj mi kartkę. Ja będę pisał. Już nie ma tak dużo czasu znowu. Do późnej nocy to wszystko się ciągnęło. Zaraz się będzie widno robić.

Szósty: To może wejdźmy za barykadę od razu. Tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo.

Trzeci: Masz rację, panie przewodniczący. I ściągnij sukno ze stołu prezydielnego, to sobie podścielimy na podłodze za barykadą.

Szósty: To na podłodze będziemy siedzieć?

Trzeci: Na podłodze lepiej. Z krzesła łatwiej człowieka ściągnąć, jakby nas zaatakowali.

/pauza, kroki/

Szósty: No dobra. Tylko trochę twardo. Połóż sobie kartkę na krześle, jak będziesz pisał.

Trzeci: To zaczynamy.

Szósty: Tylko od czego zacząć? My, komitet strajkowy, w imieniu... w imieniu... Jak to, w imieniu? W czym my występujemy imieniu?

Trzeci: Jak to w czym? We własnym.

Szósty: I może tak być napisane?



Trzeci: Dlaczego nie?

Szósty: Jak może, to pisz.

Trzeci /powtarza głośno/: Postulat pierwszy. My, komitety strajkowe, w imieniu własnym, stanowczo żądamy natychmiastowego przywrócenia.

Szósty: Nie za ostro?...

Trzeci: Musi być ostro. Inaczej to nic nie da. Musimy być twardzi albo przegrani.

Szósty: Masz rację. Musimy być twardzi. Pisz postulat drugi.

Trzeci: Postulat drugi. My, komitet strajkowy, w imieniu własnym, stanowczo żądamy...

/pauza/

Szósty: To już było w postulacie pierwszym... Czego my jeszcze możemy chcieć więcej? Niech nas tylko przywróca, to z resztą sami sobie damy radę, nie? Panie przewodniczący?

Trzeci: Właściwie masz rację. Nawet nie będziemy prowadzić żadnych negocjacji, więc nie musimy się domagać powołania komisji rządowej.

Szósty: Żadnych negocjacji. Mają przywrócić i cześć.

Trzeci: To trzeba teraz powiesić tę kartkę na drzwiach. Żeby od razu wiedzieli, co się święci. Pójdiesz powiesić?

/pauza/

Szósty: A jak mnie dopadną pod drzwiami? I zatrzymają? To co wtedy będzie? Wygonią i co? W domu będę strajkował?

Trzeci: Nikt cię nie dopadnie. Przecież nikogo nie ma. Głucha cisza. Idź zawiesić.

/pauza/

Szósty: No dobra. Zawsze byłem na najtrudniejszych odcinkach. Ale czym to przypiąć?

Trzeci: Jaką pluskiewkę by trzeba. Gwoździak, szpilkę...

Szósty: Ja mam w krawacie szpilkę. Ale złotą...

Trzeci: No to co, że złotą? Zależy ci? Jak nas przywróca, to ją sobie zabierz.

Szósty: Myślisz, że jeszcze będzie, co? Złota szpilka w końcu.

Trzeci /zniecierpliwiony/: No to ci kupię wywrotkę takich szpilek, jak nas przywróca. Jednej szpilki mu szkoda dla sprawy...

Szósty: To zaczekaj na mnie. Zaczekasz?

Trzeci: A gdzie niby mam iść? Jasne, że zaczekam.

/pauza, słychać kroki/

Szósty /głośno, z daleka/: Ty! Przewodniczący!

Trzeci /nerwowo/: Czego się drzesz!

/słychać przybliżające się kroki/

Szósty: A co się łamiesz? Zawiesiłem i teraz mogą już przyjść. Już wiadomo, że jest strajk okupacyjny.

Trzeci: No, niby fakt.

Szósty: Ale jest jeszcze jeden problem.

Trzeci: Jaki problem?

Szósty: Robole w każdej fabryce wywieszali biało-czerwoną flagę, jak strajkowali.

Trzeci: Racja. To był znak, że jest strajk.

Szósty: Powinniśmy wywiesić.

Trzeci: A skąd ja ci wezmę biało-czerwoną flagę. Przecież nie będę latał po budynku i szukał, bo mógłbym już nie wrócić.

Szósty: Może by zrobić z tego sukna ze stołu prezydielnego?

Trzeci: Ale to by była czerwona flaga, a nie biało-czerwona...

/pauza/

Szósty: Co tu robić?

/pauza/

Szósty: Daj no chlapnąć tej gorzalki. Zaraz mi się lepiej będzie myślało.

Trzeci: Zaraz.

/pauza, słychać odgłos nalewania/

Szósty: Uuuuuuch!

Trzeci: Zagryź kabanosem.

/odgłos nalewania/

Trzeci: Uuuuuuch!... Kabanos najlepszy... mieliśmy pyknąć po jednym, a już po dwie sety obaliliśmy.

Szósty: No to dorzniemy tęflaszkę? Szkoda, żeby zostało.

Trzeci: Dobra.

/odgłos nalewania/

Szósty: Tylko równo. /pauza/ Uch.

/odgłos nalewania/

Trzeci: Równo jest. Uch.

Szósty: No i po kłopotcie.

Trzeci: Wymyśliłeś coś?

Szósty: Jeszcze nie... Już!... Może by z tego sukna wyciąć, ze stołu prezy-  
dialnego?...

Trzeci /zniecierpliwiony/: Przecież ci mówiłem, że będzie czerwona.

Szósty: Zaczekaj! Zrobi się kreskę przez połowę i na górnej części napisze się długopisem biała. I będzie białoczerwona.

Trzeci: To jest myśl.

Szósty: No widzisz? Jak mam napęd, to zaraz mi wszystko lepiej idzie.

Trzeci: Posuń się trochę, żebyś mógł złapać za róg.

/słychać odgłos dartej tkaniny/

Trzeci: Słaby ten materiał teraz robią. Łatwo się drze.

Szósty: Pracować nie chcą. A do strajkowania to pierwsi. Masz długopis.

/pauza/

Trzeci: Fajny ten długopis. Tak - w kostiumie... Tak - goła... Tak - w kos-  
tiumie... Goła...

Szósty: Niezła, co? Zbieram takie długopisy.

/pauza/

Trzeci: Gotowe. Tak - w kostiumie... Tak - goła...

Szósty: To trzeba wywiesić. Gdzie wywiesimy?

Trzeci: Robią normalnie to wywieszają na bramach...

Szósty: To może z okna wywiesimy?

Trzeci: Chyba raczej na drzwiach. To jakby nasza brama.

Szósty: To ty teraz wywieś.

Trzeci: Ale na czym to powiesić?

/pauza/

Szósty: Może na szelkach?

Trzeci: Ty masz łeb!

/pauza/

Trzeci: Tylko żeby partek nie zgubić.

Szósty: Przecież będziemy siedzieć. To ci nie opadną. Zaczep na obu rogach.  
I za drzwi na górze. Widzisz, że ty musisz zawiesić. Ja i tak bym  
nie dostał.

Trzeci: Fakt. Ale łeb to ty masz.

/kroki, pauza, głos Trzeciego z daleka/

Trzeci: To chyba już będzie wszystko, nie?

/zbliżające się kroki/

Szósty: Chyba tak... trzeba pomyśleć... Komitet strajkowy mamy. Barykadę  
mamy. Nie ruszą nas. Postulaty mamy. Flagę mamy. Będziemy wpusz-  
czać ludzi z zewnątrz?

Trzeci: Jakich ludzi z zewnątrz?

Szósty: No, do stoczni na przykład masę różnych ludzi wchodziło, oprócz  
dziennikarzy. Literaci na przykład...

/pauza/

Trzeci: Myślisz, że by do nas przyszli jacyś literaci?

Szósty: Ja wiem? Jakby się wydało polecenie, to paru by się znalazło. Coś  
by o nas mogli napisać potem w książkach. Żukrowskiego by można  
ściągnąć... Ryśka Wojnę...

Trzeci: To jest myśl.

Szósty: Tylko by trzeba im specjalne przepustki wypisywać. Tak, jak tamci.

- Trzeci: To nie jest problem. Zrobi się.
- Szósty: Trzeba będzie jutro o tym pomyśleć.
- Trzeci /entuzjastycznie/: To co? Strajkuje się. Nie?
- Szósty: Strajkuje się!  
/pauza/
- Szósty: Ciekawe, co tam Ziutek teraz porabia...
- Trzeci: A co cię to obchodzi. Mięczak był, to niech się teraz martwi. Jakby został z nami, to by go przywrócili.
- Szósty: A taki był twardziel kiedyś. Co to się z ludźmi robi...
- Trzeci: Normalna sprawa. Zestarzał się.
- Szósty: Szkoda chłopca. Razem umacnialiśmy... Zręby budowaliśmy... I pękł...  
/pauza/
- Trzeci: Widno już się robi...
- Szósty: Nie chce ci się spać?
- Trzeci: Chce mi się. Ale nie możemy spać. Jeszcze by nas wynieśli przez sen i co wtedy. Musimy czuwać.
- Szósty: To może na zmianę będziemy spać?
- Trzeci: Lepiej nie. Musimy się trzymać szerokim frontem. Sam przecież nie będziesz robił szerokiego frontu jak ja będą spał.
- Szósty: No, nie...  
/pauza/
- Trzeci: Ech, bracie. Na żywioł wszystko puściliśmy. Nie dopilnowało się. A trzeba było trzymać... Łać w dupę, jakby co i trzymać!
- Szósty /ze smutkiem/: Porobiło się...  
/pauza/
- Trzeci: Teraz się inaczej za to wszystko weźmiemy. Po dobroci nic się nie da.
- Szósty: Tylko ostro. Nie ma po dobroci. Jak tylko nas przywróca...
- Trzeci: Gdzieś nie dopatrzyliśmy.  
/pauza/
- Szósty: Ale jak się ostro weźmiemy, to się znowu wrzask na Zachodzie podniesie i pożyczek nie dadzą.
- Trzeci: Nie dadzą, to nie dadzą. Srubę się przykręci i zawsze parę lat jakoś pociągniemy. A potem się zobaczy. Na zapas nie będziemy się martwić. Dwa razy tego samego błędnie nie wolno nam popełnić.
- Szósty: Może od studenterii zacząć... Na ulicę wyciągnąć, spałować... może inni wtedy wyjdą...
- Trzeci: Wszystko się przemyśli. Jakoś to będzie. Tylko z głową trzeba.
- Szósty: Taaak...  
/pauza, potem słychać jakieś kroki, pobrząkiwanie wiadra, odgłos otwieranych drzwi, głos kobiety/
- Sprzątaczką: Kiedy ranne wstają zorze, tobie ziemia, tobie morze... O Jezusie, Maryjo, co oni tu powyprawiali... Matko Święta! Bili się, czy jak?!
- Trzeci /groźnie/: Nie czytaliście postulatów, wywieszonych na drzwiach? Nie wiecie, że tu trwa strajk okupacyjny?
- Sprzątaczką: A... to te... Jakie postulaty? Jakichś bzdurów nie będą tam czytać. To wyście tę szmatę powiesili?
- Szósty: My. To jest flaga biało-czerwona na znak strajku. Pisze na niej przecież.
- Sprzątaczką: O Jezu i obrus zniszczyły... Ja wam dam strajki! Dupy w troki i do domu!
- Szósty /niepewnie/: Co wy... co wy...
- Trzeci: My, komitet strajkowy...
- Sprzątaczką: Ja wam dam komitet strajkowy! Do domu mówię! Od wczoraj tu nie pracujecie. I nie ma tu czego więcej szukać.
- Trzeci: My...
- Sprzątaczką /bardzo grzecznie/: Jak ja zaraz szmatę wezmę... Jak pogonię...  
Całą salę zrujnowały!
- Szósty: Ja bym chciał...

Sprzątaczką: Tu nie ma nic do chcenia! Dwa razy nie będą powtarzała!  
 /słychać odgłos, jaki jest zwykle przy uderzeniach mokrą szmatą,  
 słychać też szamotaninę, krzyki wszystkich trojga/

Sprzątaczką: Do domu! Wynocha! Już! Już! Już!

Szósty: O Jezu!

Trzeci: Teczka! Moja teczka!

Sprzątaczką: A zabieraj te swoją teczkę! Już was nie ma!  
 /głosy oddalają się, cichną, wreszcie słychać trzaśnięcie drzwi,  
 kroki/

Sprzątaczką: Ale narobiły... Tylko ręce do łokci... Skazanie boskie. Tyle  
 sprzątania teraz po nich...

/odgłos przestawianych krzeseł, potem śpiew, który cichnie/

Sprzątaczką: Kiedy ranne wstają zorze.....

Janusz Anderman .

LISTA OSÓB, KTÓRE JESZCZE NIE CZYTAŁY "PULSU"

OBEJMUJE SZEREG POWAŻNYCH NAZWISK.

BĘDIEMY JE OGŁASZAĆ W NASTĘPNYCH NUMERACH !

Mirosław WITKOWSKI

MIAŁEM WTEDY 16 LAT

Siedziny w domu, kręciny gałką aparatu radiowego, próbując złapać Wolną Europę. Ze strzępków zagłuszanych komunikatów nie dowiadujemy się niczego nowego.

Stocznie szczecińskie stoją. Główne punkty miasta kontrolowane są przez specjalne, uzbrojone po zęby, oddziały milicji. Słychać strzały.

Trwa to już od kilku dni, od chwili, kiedy się wszystko zaczęło. Żyję w niezwykłym napięciu - chciałbym być tam, gdzie się coś dzieje. Ale boję się reakcji rodziców, szczególnie matki. Przychodzi wiadomość, że zakłady chemiczne Wiskord ogłosiły strajk okupacyjny. Matka, która tam pracuje, nie wróci więc do domu. Teraz już nic nie może mnie zatrzymać.

Szczecin początkowo nie wydawał się inny niż zwykle. Razika tylko pustka na Dworcu Głównym. Po chwili oczy wychwytują nowy element krajobrazu - wszędzie stoją milicjanci w asyście jakiś cywilnych osobników, jedni i drudzy uzbrojeni w karabiny maszynowe. Na dworcu wiele szyb zastąpiono tekturowymi wkładkami. Jest brudno, przeciąg tarłosi stare gazety. Nagle zorientowałem się, że wokół nie ma ludzi, jestem sam. Ja i oni. Zastanawiam się, w jaki sposób iść. Szybko - pomyślałem, że uciekam, wolno - że prowokuję. W końcu wychodzę na ulicę. Domy niby te same, a jednak coś się zmieniło. Na skwerze Placu Tobruckiego stoją wozy opancerzone. Wszyscy śpieszą się, nikt nie czuje się tutaj bezpiecznie. Nawet kilkuosobowe grupy ludzi są obserwowane z suk milicyjnych. Jestem na ulicy Wojska Polskiego, tu ludzi jest więcej, napięcie jakby spada. Ruch wzrasta, coraz więcej też kręci się podejrzanych samochodów, ale odnoszą wrażenie, że ludzie przestają na nie zwracać uwagę.

Staję obok Banku. W pobliżu zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Tam coś się dzieje. Podchodzę.

Jakiś mężczyzna podniesionym głosem opowiada o ulicznej egzekucji. Mówi, że kilkunastu ludzi postawiono pod ścianą i wzięto z trzech stron w ogień karabinów maszynowych. Ci, co strzelali, byli w mundurach wojskowych. Odzywają się głosy... To nie mogli być żołnierze... przebijają milicję. Ci, którzy tak mówili, mieli rację. Dowiedziałem się o tym później od kogoś, kto był odpowiedzialny za transport mundurów z jednostek wojskowych do komend MO. Ludzie coś krzyczą, są wstrząśnięci i oburzeni. Wkrótce pojawia się oddział milicji. Tłum rozbiega się, pędzą milicyjne więźniarki. Początkiem bolesne pieczenie na ramionach, plecach i głowie, pochyliłem się, wtedy zaczęli mnie kopać. Nigdy nie zapomnę tej twarzy. Był w furii, wydawało się, że jest szalony albo po narkotykach. Jego ciosy bolały, jakby miał podeszwy podkute metalem. Zaciągnięto mnie do więźniarki i wepchnięto tam z kilkunastoma osobami. Samochód wjechał na teren jakiegoś budynku. To było więzienie. Wszystkich zrewidowano, po czym kazano iść przed siebie. Stali tam w dwóch szeregach milicjanci i bili idących. Mężczyzna, który szedł przede mną zaskaniał głową rękami, uczynikiem podobnie. Milicjanci bili z jakąś wściekłą pasją.

Gdy się to skończyło, zaciągnięto nas do celi. Siedziałem tam w towarzystwie kilkunastu osób przez pół dnia, potem zaprowadzono nas na przesłuchanie. Jakiś cywil wypytywał mnie, co robiłem na ulicy Wojska Polskiego. Pamiętam, że mówiłem dużo i chaotycznie, próbując usprawiedliwić moją obecność na ulicy.

Nagle tuż obok, nie wiadomo dlaczego, zaczęto bić chłopca. Pamiętałem go z celi. Siedział tam nieruchomo z zaciśniętymi wargami, z nikim nie rozmawiał. Miał na sobie pokątane dżinsy i starą kurtkę. Długie, jasne, niemal

wiaże włosy spływały mu na ramiona, jego twarz była okrwawiona.

Teraz bito go i kopano. Najpierw jęczał cicho, potem zamilkł i przestał reagować. Wydawało się, że nie żyje. Milicjanci uspokoiili się, ale on nagle drgnął, poderwał się i stojąc chwiejnie na sztywnych nogach, zaczął krzyczeć. Strasznie wyglądała jego twarz. Krzyczał, że milicjanci są faszystami. Krzyczał, że faszystowski komunizm upadnie w Polsce. Przeklinał Comukę. Wówczas jakiś oficer podszedł do niego, wyciągnął pistolet i strzelił. Chłopak runął na ziemię, "Wziąć ich" - wrzasnął oficer. Wyprowadzono nas. Wkrótce kazano nam pojedynczo wchodzić do niewielkiego pomieszczenia. Teraz na nas kolej - pomyślałem. "Nic nie widziałeś" - usłyszałem głos człowieka w cywilnym ubraniu, który siedział za biurkiem. "Tak jest!" - powiedział gorliwie, jakbym deklarował wspólnotę zbrodni. Dawało mi to perfidne poczucie bezpieczeństwa, ale miałem wrażenie, że walczę o życie. Wręczono mi zaświadczenie o zatrzymaniu i wsadzono do samochodu. Jadąc zastanawiałem się nad tym, co widziałem. To nie był koszmarny sen. Widziałem jak oficer milicji z zimną krwią zabił człowieka! Miałem wtedy szesnaście lat.

Przejechaliśmy przez Długi Most, samochód zatrzymał się i wysadzono nas. Byłem wolny, ale nie wiedziałem, co mam teraz ze sobą zrobić. Nie było mowy o bezpiecznym wydostaniu się z miasta i dotarcia do Gryfina. Poszedłem więc do kościoła św. Jana Ewangelisty. Kościoły były najbezpieczniejszymi miejscami w tych dniach. Wydawało mi się, że tam już nie sięga władza bożypieki i milicji. Czuję w sobie pustkę i nie wiem, dlaczego nie mogłem się przeżegnać.

W kościele było kilkunastu ludzi, niektórzy szeptali coś między sobą. W końcu część z nich postanowiła wyjść na miasto. Poszedłem za nimi, nie wiedząc, dokąd idą i po co.

I tak znalazłem się z liczną grupą na strychu - kamienicy przy ulicy Mieszka I. Chłód był przejmujący, ale szybko wytworzyła się ciepła atmosfera. Wszyscy komentowali wydarzenia, opowiadali o swoich przeżyciach. Dochodziło czasami do ostrych polemik. Klócono się na przykład o sprawę pustoszenia wytwornych sklepów, szczególnie sklepów dolarowych. Niektórzy byli za przywłaszczeniem sobie towarów, powoływali się na poprzednie rezolucje, mówili, że odbiorają tylko swoją własność zrabowaną przez nowych, czerwonych magnatów. Inni twierdzili, że to zwykły rabunek i rozbój. Rozmawiano też o zbrodniach milicji. Niektórzy z obecnych obserwowali niedawno Cmentarz Główny na ulicy Ku Słońcu. Twierdzili, że od pewnego czasu późnym wieczorem lub w nocy odbywają się tam masowe pogrzeby zamordowanych ludzi.

Tej samej nocy poszedłem z nimi na pobliski cmentarz. Było już ciemno, ukryliśmy się. Koparka kończyła właśnie drążyć jamę. Wkrótce zamigotały światła i w asyście wozów milicyjnych pojawił się duży samochód. Słabo widziałem w ciemności, ale była to chyba chłodziarka, jaką rozwozi się mięso. Samochody oświetlały reflektorami teren z kilku stron. Otwarto drzwi chłodziarki i zaczęto z niej wyjmować zwłoki w foliowych workach. Kładziono je do dołu starannie, tak by zmieściło się ich jak najwięcej. Milicjanci śpieszyli się, akcja przebiegała szybko i sprawnie. Potem spychacz zgarniał ziemię, a milicjanci pomagali łopatami. Liczyłem. Na moich oczach zekopano 11 zwłok.

W kilka lat później, gdy poszedłem na cmentarz, rosły w tym miejscu wielkie, dzikie krzowy. Obecnie znam tylko trzy groby ofiar Grudnia. Są to groby ludzi, którzy nie brali udziału w zajściach, i zginęli od zabłąkanych posisków. Innych grobów nie ma. Zniknęły też rodziny pomordowanych; podobno większość została wysiedlona ze Szczecina.

Na strychu spędziłem potem jeszcze dwie noce. Młodzi ludzie, do których się przyłączyłem, tworzyli coś w rodzaju bojówki i mieli kontakt z kimś w mieście. Myślę, że był to po prostu kontakt ze stoczną. Na naszym strychu produkowaliśmy setki pocisków z butelek napełnionych benzyną. Współpracowała z nami karetka pogotowia. Samochód jechał na miasto zwozić rannych, a przy okazji zabierał kolejny transport butelek.

Damiętam, że wiele mówiono wówczas o pewnym milicjancie, który dzia-

łaż na terenie Pomorza. Widziano go, jak biegał z pistoletem w dłoni, podobno niejedno miał na sumieniu. Zorganizowano akcję. Milicjant został porwany i wywieziony samochodem za miasto. Nie wiem, co się z nim stało. W akcji tej brali udział ludzie, którzy razem ze mną byli świadkami mordu na terenie więzienia.

Czas upływał, ulicami płynęła krew. Chciałem przynajmniej na krótko spotkać się z matką. Karetka pogotowia odwiozła mnie w pobliże domu. Umówiłem się, że po mnie wróci. Nie robiłem wiele, byłem tylko potrzebny przy produkcji butelek z benzyną. Niestety, aż po dziś dzień nikt po mnie nie przyjechał. Podobnie po dziś dzień nie wiemy, ilu ludzi zginęło podczas Wydarzeń Grudniowych, i gdzie się ci, którzy odpowiadają za zbiorowe mordy.

Mirosław Witkowski

Mirosław WITKOWSKI urodził się w 1955 roku, w Gryfinie koło Szczecina. Pracował w zakładach suchej destylacji drewna, skąd został usunięty za działalność opozycyjną.

Współpracownik KSS "KOR" i działacz Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego sprzed sierpnia 1980.

Zofia KOWALCZYKOWA

MOJ ZAMORDOWANY SYN

Syn mój, Jan Kowalczyk, w dniu 20 lutego, w poniedziałek, o godzinie 5.45 wyszedł jak zwykle do pracy. Pracował w Zgierzu, na terenie Fabryki Barwników "Boruta", w Przedsiębiorstwie Montażowym "Kotłomontaż" /z Centralą w Siemianowicach Śląskich/. Do domu, po pracy, tego dnia już nie powrócił, ani w dni następne, tj. 21 we wtorek, ani też 22 w środę. Nie pojawił się również więcej w pracy. Ostatni raz pracował od godziny 7.00 do 15.00 20 lutego, w poniedziałek. Byłam zaniepokojona jego nieobecnością w domu, ale nie wiedziałam, gdzie go szukać. Rozpytywałam kolegów, czy go nie widzieli, ale nikt go nie widział.

W czwartek, 23 lutego w godzinach popołudniowych zostałam zawiadomiona telefonem do pracy, przez dozorczynię domu, w którym mieszkam, ob. Marię Paprocką, że syn mój nie żyje. Powiedziała mi, że dowiedziała się od funkcjonariuszy MO, którzy chodzili po podwórku naszej posesji, że syn mój zmarł na ulicy, i poradziła mi, żebym zgłosiła się do Prokuratury Rejonowej przy ul. Ciesielskiej (nr 7).

W kancelarii Prokuratury powiedziano mi, że syn mój został znaleziony martwy, o godzinie 5.00 rano, w posesji przy ul. Marysińskiej 69, przed V klatką schodową; oddano mi dokumenty i przedmioty, jakie znaleziono w jego kieszeniach. Oddano mi legitymację Ubezpieczalni Społecznej oraz wejściówkę zakładową również ze zdjęciem, co nie pozostawiało wątpliwości, że są to dokumenty mojego syna. Poinformowano mnie jednocześnie, że nie znaleziono

przy nim dowodu osobistego, co wydawało mi się dosyć dziwne, bo wiedziałam, że zawsze dowód nosił przy sobie. Oddano mi również jego grzebień do włosów i pudełko z zapalnikami oraz kilka skasowanych biletów tramwajowych i autobusowych, których nigdy nie wyrzucał, ponieważ w końcu miesiąca otrzymywał zwrot kosztów <sup>za</sup>dojazdu do Zgierza. Zwróciłam uwagę na to, że zarówno legitymacja ubezpieczeniowa, jak i wejściówka zakładowa nie były zniszczone, były czyste. Okładki legitymacji ubezpieczeniowej nie były zgniecione, ani zakamane, zdjęcie również było czyste i nie pogniecione, wejściówka także i zdjęcie w niej nie nosiły żadnych śladów zniszczenia czy wypadku. Grzebień do włosów także był cały i pudełko z zapalnikami też zgniecione nie było /zapalniki znajdujące się wewnątrz pudełka były nie zgniecione/. Dziwna wydała mi się informacja dozorczyń, że syn mój zmarł, więc zadałam pytanie w Prokuraturze, jak mój syn mógł zamarznąć, podczas kiedy tej nocy z 22 na 23 lutego w ogóle nie było mrozu /padała mżawka/. Odpowiedziano mi, że w protokół nie pisze o zamarznięciu, tylko że został znaleziony martwy.

Z kancelarii Prokuratury skierowano mnie do Prokuratora, ob. Klimczaka, który potwierdził straszną wiadomość o śmierci syna i poinformował mnie o tym, że ciało mojego syna znajduje się w Zakładzie Medycyny Sądowej przy ul. Sędziowskiej, oraz dał mi karteczkę z zezwoleniem na obejrzenie ciała w dniu następnym.

Po wyjściu z Prokuratury wróciłam do domu i w towarzystwie sąsiadki, p. Krystyny Sztajgert, udałam się na miejsce znalezienia mojego syna czyli na ulicę Marysińską 69, w celu ustalenia bliższych danych. Na miejscu odszukał nas dozorca domu, ob. Wacława Majtczaka, który pokazał nam miejsce, gdzie syn mój leżał i dokładnie określił, jak był ułożony, jak wyglądał, oraz powiedział, w jakich okolicznościach został znaleziony. Od Wacława Majtczaka dowiedziałam się, że ciało mojego syna znalazł mieszkaniec V klatki schodowej bloku przy ul. Marysińskiej 69, ob. Stanisław Syguła, zamieszkały w mieszkaniu nr 134, kiedy wychodził do pracy. Wcześniej spacerując z psem ob. Syguła widział stojący na parkingu przed blokiem samochód marki "Żuk" lub "Nysa" /w ciemnościach nie rozróżnił/ i dziwnie zachowujących się ludzi, kręcących i czających się obok tego samochodu. Było to 23 lutego, o godzinie



5.00 rano. Nie było tego dnia mrozu; padała mżawka. Dozorca opowiedział, że ob. Stanisław Syguła obudził go i zaalarmował jeszcze innych spotkanych w tym czasie sąsiadów, dwie kobiety i mężczyznę, którzy wracali o świcie do domów od rodziny ze wsi. Powiedział im, że przed V klatką schodową leży człowiek nieprzytomny lub nieżywy. Ludzie ci byli mieszkańcami spod numeru 80 - p. Teresa Szymczak oraz małżeństwo Marek i Zofia Pietruszka.

Dozorca opowiedział dalej jak wraz z ob. Sygułą i Markiem Pietruszką przewrócili mojego syna na plecy, bo leżał ułożony twarzą do ziemi, z głową w kierunku klatki schodowej, ręce ułożone blisko ciała, nogi złożone razem z lekko rozchylonymi piętami. Dozorca relacjonował dalej, że syn mój miał zakrzepłą krew pod nosem i widoczne okaleczenie u nasady nosa, między brwiami. Spodnie miał mokre, aż ociekające wodą, a kurtkę suchą. Buty całe, nie pogięte, ani nie porozrywane, również miał suche - aż podeszwy były białe od suchego kurzu na nich. Dozorca Majtczak mówił również, że wydawało mu się, iż buty były bez sznurowadek. Opowiadał, że dotykano rąk syna, żeby sprawdzić czy bije puls. Pulsu nie wyczuwano, więc dostawiono do ust lusterko, żeby sprawdzić czy może żyje. Ciało nie wykazywało jeszcze zeszywnienia. Ludzie pobiegli do III klatki schodowej, gdzie znajduje się aparat telefoniczny, żeby wezwać pogotowie ratunkowe, ale okazało się, że kabel od aparatu został obcięty lub wyrwany. Wobec tego ob. Stanisław Syguła wraz z Markiem Pietruszką pobiegli do zamieszkałego tam także funkcjonariusza MO tamtejszego dzielnicowego, ob. Bonieckiego, który ma również aparat telefoniczny w domu, żeby zadzwonił po pogotowie. Funkcjonariusz Krzysztof Boniecki, według relacji dozorca, długo nie otwierał, mimo silnego pukania i nawoływania sąsiadów. Wreszcie, po upływie około 15 minut, Boniecki uchylił nieco drzwi i usłyszawszy, że pod blokiem leży człowiek nieprzytomny lub zmarły i żeby zadzwonił po pogotowie, zamknął drzwi, obiecując, że zaraz przyjdzie, ale jednak nie wyszedł w ogóle przez około 3 godziny, póki ciało nie zostało zabrane do Zakładu Medycyny Sądowej. Prawdopodobnie również nie zadzwonił po pogotowie, ponieważ upłynęło więcej niż 40 minut i Karetka Pogotowia nie przyjechała.

Ludzie usiłowali ratować mojego syna we własnym zakresie, mając nadzieję, że może jeszcze żyje. W tym celu dozorca Majtczak zawiązał z przodu mojemu synowi swetry, jakie miał na sobie i chciał mu zrobić masaż klatki piersiowej. Wtedy zobaczył - jak również inni zebrani tam ludzie - że syn mój ma wgniecione w ciało kilka guzików w okolicy żołądka. Majtczak mówił, że guzików było kilka - 6 lub 7 - i że były ciemne, prawdopodobnie szare, plastikowe z połyskiem, wielkości dziesięcio- lub dwudziestogroszówki. Były wgniecione dość głęboko w ciało, tak że ludzie w pierwszej chwili wyobrazili sobie, że syn mój miał zamontowaną aparaturę medyczną po jakiejś operacji, ale zaraz po tym zorientowali się, że były to guziki, bo przy poruszeniu syna 3 sztuki z tych guzików wyskoczyło na zewnątrz, a reszta została w ciele. Ludzie widząc te guziki przestali ruszać syna.

Z dalszej relacji dozorca wiem, że dwie kobiety, p. Szymczak i p. Pietruszka, przypomniały sobie, że również posiada telefon inna mieszkanka tego domu, p. Kujawska. Pobiegły tam i poprosiły o wezwanie pogotowia. Pani Kujawska natychmiast zadzwoniła i po upływie około 15 minut przyjechała karetka reanimacyjna. Lekarz stwierdził, po osłuchaniu, że już jest po zgonie, ale na prośbę zebranych osób jeszcze raz podłączył aparaturę medyczną, która potwierdziła raz jeszcze zgon. Dozorca mówił, że guziki te widzieli wszyscy zebrani tam ludzie, których przybywało, jak również lekarz pogotowia, któremu zaraz jak się zbliżył do mojego syna powiedział Stanisław Syguła, że leżący człowiek ma wciśnięte w ciało jakieś guziki. Wiadomo mi od dozorca - jak również od innych ludzi obecnych na miejscu znalezienia mojego syna - że po bardzo długim czasie oczekiwania karetki reanimacyjnej na przyjazd MO, które również wezwała p. Kujawska dzwoniąc 07 po pogotowie MO /ponieważ innego numeru milicyjnego nie znała/, przybyło 2 funkcjonariusze MO z II Komisariatu z ul. Nowopolskiej. Przybyli na miejsce funkcjonariusze przypatrywali się leżącemu i wówczas jeden z nich w obecności zebranych tam ludzi wypowiedział takie słowa: "Wiedać bracie, że ty tutaj nie przyszedłeś

na własnych nogach i tutaj nie umarłeś, bo twoje buty o tym świadczą - masz zupełnie suche buty". Właśnie po tej uwadze milicjanta wszyscy zebrani ludzie spojrzeli na buty i spostrzegli, że buty były suche z białym kurzem na podszewkach, że nie były pogniecione, ani porozrywane, wyglądały normalnie, ale niektórzy zapamiętali, że w butach nie było sznurowadek. Zapamiętała to np. mieszkanka spod numeru 42.

Po wstępnych oględzinach milicjanci przystąpili do obszukania kieszeni w odzieży mojego syna. Wyjęli mu z zewnętrznej lewej kieszeni kurtki, znajdującej się na wysokości klatki piersiowej, dokumenty, z których dowiedzieli się kim jest nieżyjący człowiek i gdzie mieszka, gdyż w legitymacji ubezpieczeniowej, jaką trzymał w ręku funkcjonariusz MO, był dokładny adres. Wówczas dozorca zaproponował, żeby zawiadomić rodzinę zmarłego, ale funkcjonariusz odpowiedział, że nie potrzeba, "bo przyjdą i będą robili cyrk" - jak określił, i że będą przeszkadzali. Ponieważ jednak ob. Majtczak upierał się przy tym, że trzeba zawiadomić rodzinę, a obecny tam również mieszkający w tym domu taksówkarz zaoferował się jechać wraz z dozorcą odszukać rodzinę zmarłego - milicjant podał adres, ale mylny, pod którym dozorca i taksówkarz, mimo półgodzinnego rozpytywania ludzi, rodziny nie znaleźli i wrócili z niczym.

Dozorca poinformował mnie, jak również potem inni mieszkańcy tego domu, którzy obserwowali wydarzenia tego ranka do końca, że funkcjonariusze MO, mimo że od początku było podejrzenie śmierci nienaturalnej u mojego syna /choćby te buty całe i suche, a spodnie mokre, ociekające wodą i wciśnięte w ciało guziki - milicjanci również wiedzieli o guzikach/ nie spowodowali dokonania żadnych czynności zabezpieczających ślady. Nie wezwali żadnej ekipy specjalistów od kryminalistyki, ani nie było prokuratora, nie były wykonane zdjęcia ciała na miejscu, gdzie leżało, ani nie sfotografowano tych guzików. Nie wykonano chociażby szkicu w miejscu ułożenia ciała. Nie zdjęto również żadnych śladów, a było ich mnóstwo /istnieje podejrzenie, że w podrzuceniu zwłok mojego syna i w morderstwie brało udział i jest w to zamieszanych kilka osób/. Nie zabezpieczono również guzików, które widzieli wszyscy obecni przy znalezieniu zwłok syna, a które zaginęły lub celowo zostały usunięte, gdyż jest wiadomo, że nie pochodziły od odzieży syna. Ciało zostało znalezione o godz. 5.00 rano i leżało do godz. 8.00 i nie wiadomo mi do tej pory, na czyje polecenie zostało przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej bez dokonania podstawowych czynności zabezpieczających ślady. Podejrzewam, że nie było to przypadkowe zaniechanie i lekceważenie swoich obowiązków, lecz celowe zacieranie wszystkich śladów przez przybyłych na miejsce milicjantów, którzy po obejrzeniu dokumentów mojego syna natychmiast zorientowali się w sytuacji, gdyż musieli wiedzieć o zatrzymaniu mojego syna w areszcie Komendy Łódź - Bałuty. Uczynili to prawdopodobnie przez solidarność lub otrzymali już jakieś instrukcje w tej sprawie.

Następnego dnia spotkana dozorczyńni mojej posesji, p. M. Paprocka, opowiedziała mi w jaki sposób dowiedziała się o śmierci mojego syna. Oto jej relacja: W dniu 23 lutego około godz. 9.00 rano zaniatała uliczkę obok mojego domu i zauważyła, że trzech lub czterech milicjantów, wśród nich również Boniecki, przechodziło na przełaj przez trawnik, więc im zwróciła uwagę, że deptają trawniki i dają tym samym zły przykład innym. W odpowiedzi zapytała ją, czy może jej wiadomo kto tak pobił młodego Kowalczyka. Odpowiedziała, że nic jej nie wiadomo o pobiciu Kowalczyka w ogóle i zapytała co się wydarzyło z tym Kowalczykiem. Odpowiedzieli, że nic się nie stało i jeden wszedł do klatki schodowej, po chwili wyszedł i chcieli odejść, ale ona zaciekawiona nalegała, żeby powiedzieli co się stało. Wówczas jeden z odchodzących milicjantów odwrócił się i odpowiedział, że "kopnął w kalendarz". Kiedy zapytała co to znaczy - odpowiedział jej któryś, że zamarzał na ulicy. Wówczas ona powiedziała, że trzeba powiadomić rodziców, ale milicjanci odchodząc, odpowiedzieli, że nie potrzeba - jak przyjdą z pracy, to sami się dowiedzą - i poszli. Ob. Paprocka poszła więc z własnej woli do znajdującej się w pobliżu Administracji Budynków Mieszkalnych i tam dowiedziała się o mój zakład pracy oraz zakład pracy mojego męża i uzyskawszy poprzez biuro informacji numer telefonu naszych zakładów, powiadomiła mnie, jak również mojego męża,

o śmierci naszego syna, informując nas tak jak słyszała od tych milicjantów, że przyczyną zgonu syna było zanarżnięcie, co okazało się zaraz potem nieprawdą. W ten sposób zostałam powiadomiona o śmierci mojego syna, zupełnie prywatnie, ani nie przez MO, ani nie przez prokuraturę.

W dniu 24 lutego, zgodnie z poleceniem prokuratora, zgłosiłam się do Medycyny Sądowej w celu zidentyfikowania zwłok mojego syna. Pracownicy Medycyny Sądowej pokazali mi pismo z ustaleniami pierwszych oględzin lekarskich, dokonanych zaraz po przywiezieniu ciała do Zakładu Medycyny Sądowej. Treść pisma mówiła, że zgon był natychmiastowy, i że jest niewykluczone, że nastąpił przy udziale osób trzecich. Od obecnych tam trojga pracowników - dwóch mężczyzn i kobiety - dowiedziałam się, że podczas oględzin stwierdzono, że mój syn jest w wielu miejscach kompletnie pokamany. Następnie umożliwiono mi wejście do kostnicy i dokonanie identyfikacji. Syn mój leżał całkiem rozebrany z odzieży, nogami ułożony w stronę wejścia. Pierwsze na co zwróciłam uwagę - to straszne okaleczenie obydwu stóp od spodu. Stopy były od spodu jak gdyby czymś w kilku miejscach poprzecinane, aż ciało porozchyłało się w miejscach tych przecięć, ale zakrzepłej krwi w tych miejscach nie było. Wyglądały te rany jak gdyby były wymyte z krwi pod silnym strumieniem wody. Następnie, co mi się rzuciło w oczy, to ciemne, niewielkie, okrągłe siniaki na ciele, gdzieś w okolicach żołądka. Było ich kilka. Od razu skojarzyłam sobie te siniaki z guzikami, o których słyszałam od dozorczy, że właśnie w tym miejscu miał je wcisnięte dość głęboko w ciało. Zauważyłam również, że klatkę piersiową syn miał dziwnie zapadniętą oraz jakąś zapadniętą górną wargę i twarz o bardzo zbolalym wyrazie. Również głowa wraz z szyją była dziwnie skurczona w ramiona. Rozpoznałam syna i bardzo rozpaczalam, więc wprowadzono mnie. Zapytałam owych pracowników Medycyny Sądowej o ubranie i o te guziki - gdzie one są? Odpowiedzieli mi, że rozbierając syna nie widzieli żadnych guzików. Pytałam ich zresztą o te guziki jeszcze kilkakrotnie w dni następne, podczas kiedy zakatwiałam dalsze sprawy związane z tragiczną śmiercią syna. Za każdym razem odpowiadano mi, że guzików już musiało nie być w momencie przewiezienia ciała do Medycyny Sądowej, gdyż oni żadnych guzików już nie widzieli.

Po wyjściu z Zakładu Medycyny Sądowej udałam się natychmiast do Prokuratury Rejonowej i zażądałam rozmowy z prokuratorem Klimczakiem. Na wstępie oświadczyłam mu, że stwierdzam, iż syn mój został zamordowany. Zapytałam go, dlaczego na miejscu znalezienia ciała mojego syna nie były dokonane żadne czynności zabezpieczające ślady, dlaczego nie przybyli specjaliści od kryminalistyki, dlaczego nie zabezpieczono owych guzików i na czyje polecenie ciało zostało zabrane do Zakładu Medycyny Sądowej? Odpowiedział, że będzie sekcja, żebym nie uprzedzała wyników sekcji i żebym organów ścigania nie uchyła, co należało zrobić i co należało do ich obowiązków. Ponadto powiedział, że on ma inną wersję i krzycał /cytuje/: - uchrął się, szedł, przewrócił się, uderzył się w głowę i zabił. Zwróciłam mu uwagę, że ja widziałam właśnie przed 15 minutami mojego syna, i że widziałam niektóre widoczne obrażenia, że nie mógł postąpić ani kroku, na tak zmasakrowanych nogach, a nie tylko iść, i upaść, i zabić się. Powiedziałam również, że guziki, które miał wgniezione głęboko w ciało również świadczą o tym, że ktoś go zamordował, i że jest mi wiadomo, że ma pokamane ręce, nogi i wgniecioną klatkę piersiową, i że nie mógł sobie tych obrażeń spowodować żadnym upadkiem, tym bardziej, że pismo sporządzone po pierwszych oględzinach lekarskich w Medycynie Sądowej mówi wyraźnie, że nie wyklucza się, że obrażenia te mogły powstać przy udziale osób trzecich, i że ja sama to wszystko widziałam i czytałam to pismo, podczas gdy to co powiedział ob. Klimczak było zupełnie bezpodstawne. Wówczas zaczął krzyczeć jeszcze bardziej /znów cytuję/: "A uchrął się, szedł i upadł pod samochód, jak sekcja zwłok wykaże alkohol, nie będę prowadził żadnego dochodzenia, na tej podstawie umorzę sprawę, a pani skąd taka mądra, za dużo pani ogląda kryminałów w TV i chce pani nas uczyć..." Zirytywałam się takim zachowaniem prokuratora, który pozwalał sobie mówić do mnie - matki - w tak tragicznej dla mnie chwili w ten sposób o moim synu, więc zwróciłam mu uwagę, że nie go do tego nie upoważnia, jak również że jego

twierdzenie jest jak najbardziej bezpodstawne, i że sam uprzedza wyniki sekcji, bo nic nie wiadomo na razie czy mój syn pił przed zgonem alkohol, a gdyby nawet pił, to nikt nie miałby również prawa pozbawiać go życia. Jeżeli upadłby pod samochód, to należałoby również znaleźć ten samochód i tego kierowcę, bo wiadomo, że tam gdzie został syn znaleziony, nie było ani miejsca wypadku, ani zgonu, że zgon był gdzieś wcześniej.

Poza tym zwróciłem prokuratorowi uwagę, że syn mój wyszedł z domu 20 lutego, w poniedziałek, do pracy i nie wrócił więcej, a znaleziony został dopiero w czwartek, 23 lutego, wobec czego należałoby sprawdzić gdzie przebywał między wyjściem z pracy w poniedziałek do dnia znalezienia go martwego w czwartek. Co działo się z nim od popołudnia w poniedziałek do świtu w czwartek, kiedy to został znaleziony w dosyć dziwnych okolicznościach. Odpowiedział mi, że będzie czekał na sekcję i jej wyniki. Tymczasem nie może prowadzić żadnych dochodzeń bez wyników sekcji.

W dniu 25 lutego, w sobotę, w dniu sekcji, oboje z mężem udaliśmy się do Zakładu Medycyny Sądowej w celu uzyskania karty zgonu. Tam dowiedzieliśmy się, że sekcja dopiero się zacznie, że była w związku z naszym synem ekipa funkcjonariuszy z Komendy Ruchu Drogowego, i że pojechali po jakąś precyzyjną aparaturę, za pomocą której będą przeprowadzali czynności i ekspertyzy wykrywające oraz zabezpieczające ewentualne ślady na ciele i odzieży naszego syna. Tych informacji udzielało nam dwóch pracowników mających w tym dniu dyżur w prosektorium w Zakładzie Medycyny Sądowej, przy ul. Sędziowskiej. Powiedzieli nam również, żebyśmy zgłosili się później, o godzinie 15.00, to będzie już po sekcji i po czynnościach, jakie ma przeprowadzić ekipa z Komendy Ruchu. Wtedy będzie już coś wiadomo. Polecili nam również przynieść zezwolenie od prokuratora na zabranie zwłok i na pochowanie.

Kiedy zgodnie z poleceniem, zgłosiliśmy się ponownie do Medycyny Sądowej o godzinie 15.00 wydano nam kartę zgonu i powiedziano nam, że była ekipa z Komendy Ruchu z ową aparaturą, że przeprowadzono czynności wykrywające jakiś lakiér na kurtce syna, co sugerowałoby wypadek samochodowy, że niby wykryto jakieś szczątki srebra od lakiéru ewentualnej stłuczonej lampy samochodowej. Odzież syna zabrano do dalszej ekspertyzy. Ci sami dwaj pracownicy z Zakładu Medycyny Sądowej /nazwisk nie znam/ wypowiedzieli się, że według ich opinii nie mógł to być wypadek samochodowy, gdyż pracując ponad 10 lat w Zakładzie Medycyny Sądowej mają duże doświadczenie. Stwierdzili, iż mnóstwo ludzi przywiezionych do badań po wypadkach drogowych nie znajdowało się w takim stanie, z tak dużą ilością obrażeń. Syn miał aż 22 ciężkie obrażenia, nie licząc drobniejszych, oraz wylewów, siniaków i innych. Powiedzieli wręcz: - "Nie wiercie państwo w żaden przypadkowy wypadek, musiano by położyć go i umyślnie po nim kilkakrotnie jeździć, żeby go tak w każdym miejscu połamać, bo przecież samochód im większy, tym większą ma odległość w rozstawieniu kół i nie mogłyby go te koła dotknąć jednocześnie przejeżdżając przez klatkę piersiową, łamiąc mostek, żebra, rozrywając serce i jednocześnie masakrując jednakowo obydwie stopy i kości obydwóch nóg w miejscu przegubów stóp".

Do tej pory nie udostępniono mi wglądu w akta i protokoły z sekcji zwłok. Wiem jakie syn odniósł obrażenia jedynie na podstawie karty zgonu i z formularza wypełnionego przez p. adiunkt Garbowską-Górecką, która przeprowadzała sekcję. Formularz ten został wysłany przeze mnie do Zakładu Ubezpieczeń w Katowicach, w celu otrzymania wypłaty odszkodowania. Do chwili obecnej jeszcze w/w odszkodowania nie otrzymałam, mimo zaistniałych warunków wymaganych do wypłaty odszkodowania, tzn. że syn nie popełnił samobójstwa i że był trzeźwy w chwili zgonu. W formularzu tym p. adiunkt Garbowska-Górecka wymienia główne obrażenia jakie syn odniósł i zaświadcza, że w chwili zgonu był trzeźwy. Karta zgonu stwierdzała, że główną przyczyną zgonu było urazowe porwanie serca i złamanie kręgosłupa. W formularzu dla Zakładu Ubezpieczeń wymienionych zostało więcej obrażeń takich jak: wgnięcie klatki piersiowej ze złamaniem mostka, obojczyka, pęknięcie potylicy, złamanie kręgosłupa na wysokości lędźwi, zmiążdżenie stóp, pęknięcie wątroby na dużym odcinku, połamanie rąk, podbiegnięcia krwawe i inne, których już nie potrafię wymienić.

Pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej, ludzie o dużym doświadczeniu, słusznie zauważyli, że takich i tylu obrażeń nie mógł człowiek odnieść w przypadkowym wypadku samochodowym. Po pogrzebie rozmawiałam z p. Garbowską-Górecką, i wówczas w bezpośredniej rozmowie, poinformowała mnie, że sekcja wykazała, że syn mój w chwili zgonu był jak najbardziej trzeźwy. Wypowiedziała się, że również nie twierdzi, że to był samochód. Powiedziała, że syn mój odniósł tak liczne i tak ciężkie obrażenia, że mogły one powstać przy użyciu jakiegos silnego mechanizmu, ale nie twierdzi, że to był samochód; że od ustalenia kto i czym zadał tak ciężkie obrażenia, są organa ścigania, tzn. prokuratura i MO.

Zakatwiając formalności pogrzebowe miałam trudności z otrzymaniem aktu zgonu bez dowodu osobistego syna, którego rzekomo nie znaleziono przy nim. Udałam się więc do prokuratury z prośbą o wydanie zaświadczenia o zaginięciu dowodu osobistego syna, ale zaświadczenia mi nie wydano. Zarówno w kancelarii, jak i u prokuratora Klimczaka spotkałam się z odmową, z nieuprzejmym, a nawet wrogim potraktowaniem - jak odczułam wyraźnie. Prokurator Klimczak krzyczał, że nie wyda mi żadnego zaświadczenia, i że nie będzie mi szukał tego dowodu, bo to nie należy do jego obowiązków. Dopiero po ostrej wymianie zdań powiedział mi, że mogę otrzymać akt zgonu, jeżeli napiszę w Urzędzie Stanu Cywilnego oświadczenie o zaginięciu dowodu osobistego w czasie wypadku, w którym syn zginął. Tak też uczyniłam i zakatwiłam resztę formalności.

W dniu 28 marca, we wtorek, odbył się pogrzeb syna na cmentarzu przy ul. Szczecińskiej, w Łodzi. W pogrzebie oprócz najbliższej i dalszej rodziny uczestniczyli sąsiedzi dorośli i młodzież, również mieszkańcy okolicznych domów z naszego osiedla. Uczestniczyli także koledzy i kierownictwo z "Kotłomontażu". Wszyscy byli wstrząśnięci śmiercią naszego syna, składając wieńce i wyrażając ogromny żal i współczucie. Po skończonych obrzędach religijnych, jeden z kolegów syna z "Kotłomontażu" podszedł do męża i poinformował go, że nasz syn w poniedziałek, 20 lutego, wracając z pracy w towarzystwie trzech kolegów mówił, że udaje się do Komendy MO Łódź-Bałuty, ponieważ był wezwany na ten dzień przez jakiegoś oficera lub inspektora dochodzeniowego. Wsiadł z tramwaju i udał się prosto do budynku Komendy, który jest widoczny z przystanku /koledzy widzieli jak się skierował prosto do budynku Komendy/. Przedtem, żegnając się z nimi wyrażał obawę, że może być zatrzymany i prosił, że gdyby nazajutrz nie przyszedł do pracy, to by znaczyło, że został aresztowany i żeby koledzy przynieśli mu papierosy. Prosił również kolegę Mocha o pobranie za niego zaliczki, którą przywożono z Siemianowic Śląskich. Mówił również, że był już raz wzywany w jakiejś sprawie, ale nie był zorientowany, o co funkcjonariuszem MO chodziło, gdyż jasno się widocznie nie wypowiedali o sprawie, w której syna wezwano. Informacja kolegi była zaskakująca, gdyż syn wychodząc z domu nie zawiadomił nas o tym, że ma wezwanie do Komendy MO, chcąc prawdopodobnie uniknąć wymówek z naszej strony, że znów coś "przeskrobał", ponieważ wrócił niedawno z Zakładu Karnego /marzec 77, r./

Wychodząc z domu 20 lutego, w poniedziałek, do pracy nie powiedział o tym, że ma wezwanie do MO, powiedział natomiast, że się wyprowadza od nas, rodziców, ale nie określił kiedy i gdzie. Wówczas tego nie rozumiałam, gdyż wielu rzeczy tych, które wiem teraz, wtedy jeszcze nie wiedziałam. Teraz wiem, że obawiając się zatrzymania w areszcie Komendy, celowo powiedział w domu, że się "wyprowadza", żebym nie martwiła się jego zniknięciem w wypadku jego ewentualnego zatrzymania go w areszcie. Wolał postawić mnie wobec faktu dokonanego, a poza tym miał nadzieję, że może sprawa się wyjaśni i nie dojdzie do osadzenia go w areszcie. Wolał więc nie mówić o tym ze mną w celu uniknięcia wymówek. Liczył również na to, że w przypadku aresztowania matka zostanie powiadomiona pisemnie przez Komendę MO lub prokuraturę, o czym właśnie mówił do kolegów z pracy Edwarda Mocha i Kulika, żegnając się z nimi w pobliżu Komendy MO Łódź-Bałuty, gdy udawał się tam w dniu 20 lutego około godziny 15.30.

Po pogrzebie syna, w pierwszych dniach marca, udałam się do Prokuratu-

ry Rejonowej w celu dowiedzenia się co ustalono w sprawie tragicznego zgonu syna. Czy MO i Prokuratura są już na tropie zabójcy. Nadmieniałam w rozmowie z prokuratorem, ob. Klinczakiem, o ekipie z Komendy Ruchu Drogowego i o czynnościach dokonanych w dniu sekcji, tj. 25 lutego, w Zakładzie Medycyny Sądowej. Zapytałam co mu jest wiadomo w związku z przerwanyimi ekspertyzami oraz jakie są wyniki. Prokurator wyraził zdziwienie i powiedział, że nie mu nie wiadomo o żadnych czynnościach przeprowadzanych przez funkcjonariuszy z Komendy Ruchu Drogowego, ani o wynikach ekspertyzy, ani o zabraniu butów i odzieży mojego syna do dalszych ekspertyz. W mojej obecności łączył się telefonicznie z Komendą Ruchu Drogowego i pytał o wyniki tych czynności. Odpowiedziano, że nie im nie wiadomo, że nie wysłano żadnej ekipy do Medycyny Sądowej oraz że nie wiedzą o wynikach ekspertyz, ani o zabraniu butów i odzieży mojego syna do dalszych ekspertyz. Wobec zaprzeczenia Komendy Ruchu o jakichkolwiek czynnościach, a nawet obecności ekipy w ogóle w Zakładzie Medycyny Sądowej, prokurator Klinczak łączył się telefonicznie z Komendą Dzielnicową Łódź-Polesie, która też czasem zajmuje się wypadkami drogowymi i pytał, czy może oni wysłali swoich funkcjonariuszy do Zakładu Medycyny Sądowej, ale odpowiedziano również przecząco, i że nie im nie wiadomo o żadnym wypadku. Dzwonił również do Komendy Łódź-Bałuty przy ulicy Ciesielskiej 27 /do tej samej, do której udał się mój syn na jakieś wezwanie i nie wrócił więcej do domu, ani do pracy/. Komenda Łódź-Bałuty również odpowiedziała, że nie im nie wiadomo o żadnym wypadku, i że na ich polecenie nie wysłano żadnej ekipy w celu wykonania jakichkolwiek czynności. Prokurator dzwonił również do KDMO Łódź-Śródmieście i wreszcie do Komendy miasta - wszędzie odpowiedziano przecząco, że nie im nie wiadomo o tej sprawie. Powiedziałam prokuratorowi Klinczakowi również, że jest mi wiadomo, że syn mój w dniu 20 lutego, w poniedziałek, po południu, po wyjściu z pracy udał się do Komendy Łódź-Bałuty na jakieś wezwanie i nie powrócił do domu, ani nie pojawił się w pracy. Prosiłam, żeby sprawdził, do kogo był wezwany, i w jakiej sprawie. Zapytałam również o te guziki, które syn mój w relacji ludzi obecnych przy znalezieniu go, miał wgniecione w ciało. Gdzie one są, kto je zabezpieczył? Zapytałam również, czy mieszkaniec bloku przy ul. Marysińskiej 69, ob. Stanisław Syguła, który mojego syna znalazł i widział te guziki oraz samochód, którym mój syn prawdopodobnie został podwieziony na miejsce znalezienia, czy był już przesłuchiwany? W odpowiedzi usłyszałam, że tego, czy mój syn był w Komendzie nie da się sprawdzić, i żebym jemu, prokuratorowi, nie wydawała poleceń. Prokurator Klinczak głośno krzychał, że po co ja w ogóle chodzę na miejsce znalezienia syna, i po co wypytywałam ludzi. Następnie, po co opowiadałam głupstwa o guzikach, jakich w ogóle nie było i o jakichś ludziach. Krzychał na mnie, że prowadzę prywatne dochodzenie, to niech sobie prowadzę dalej, a on będzie czekał na wyniki sekcji, czyli na protokół sekcji zwłok, i dopiero po otrzymaniu protokołu będzie prowadził dochodzenie. Jeżeli wykaże, że nie było alkoholu, mimo że już wspomniałam, że syn w chwili zgonu był trzeźwy.

Ponieważ nie ustępowałam i domagałam się przesłuchania tego człowieka, który znalazł mojego syna, Stanisława Sygułę, oraz dozorca i innych mieszkańców domu przy ul. Marysińskiej 69, prokurator Klinczak zaczął mi grozić, że już on się za mnie weźmie, jeżeli Stanisław Syguła nie potwierdzi wersji o samochodzie, tajemniczych ludziach i guzikach. Jego zdaniem opowiadałam historie, które sama wymyśliłam i szkoda czasu na sprawdzanie tych rzeczy, ale on sprawdzi i wówczas wyciągnie konsekwencje za wprowadzanie w błąd. Tego było mi już za wiele, więc zwróciłam mu uwagę, że nie miałby żadnych wątpliwości co do prawdziwości zdarzeń z 22 na 23 lutego, gdyby był na miejscu znalezienia mojego syna, i gdyby na miejscu dopilnował czynności sfotografowania ciała zmarłego, owych guzików i zabezpieczenia śladów, co było jego obowiązkiem, a czego właśnie zaniedbał, lub celowo te rzeczy nie były dokonane, bo moim zdaniem wygląda na to, że komuś zależało na zatarciu wszelkich śladów, a nie na zabezpieczeniu. Zagroziłam prokuratorowi złożeniem skargi w Prokuraturze Generalnej i dopiero wówczas zreflektował się, przestał krzyczeć i grozić, ale polecił mi, żebym napisała, co mi jest wiadomo o kontak-

tach syna, jakie i z kim miał i co mi wiadomo o jego sprawach, gdzie i u kogo bywał, czy miał kontakty z dziewczętami i tym podobne rzeczy, oraz kogo podejrzewam o zamordowanie syna, ale podtrzymywał w dalszym ciągu wersję, że mojego syna przejechał samochód, bo był pijany.

Po wyjściu z prokuratury udałam się do Komendy Ruchu Drogowego na ul. Władcy Bytomskiej 60 do kierownika Działu Dochodzeniowego, który również zaprzeczył jakoby funkcjonariusze z Komendy Ruchu Drogowego wykonywali jakieś czynności w Zakładzie Medycyny Sądowej. Zaprzeczył, że w ogóle nie byli wysyłani. Twierdził, że nie wydawał żadnego polecenia w tej sprawie i że nic mu nie wiadomo o żadnym śmiertelnym wypadku. Upierałam się, żeby sprawdzono zapisy w rejestrze. Nigdzie nie było prawdopodobnie wzmianki o żadnym wypadku samochodowym i nie było wspomniane nazwisko mojego syna jako poszkodowanego. Powoływałam się na świadectwo pracowników Zakładu Medycyny Sądowej, którzy byli świadkami wykonywania zdjęć i innych czynności, oraz wydawali tej ekipie odzież syna i buty, które te rzeczy zabrali funkcjonariusze do dalszych ekspertyz. Pytałam, gdzie i u kogo są te rzeczy. Kierownik w dalszym ciągu zaprzeczał. Mówił, że nic mu o niczym nie wiadomo. Było w tym pokoju obecnych jeszcze dwóch funkcjonariuszy, którzy skwapliwie przytakiwali Kierownikowi, że nie słyszeli o wysłaniu takiej ekipy i nie mają wiedzy, ale odniosłam wrażenie, że wszyscy kłamali, mając w tym jakiś cel.

Postanowiłam odszukać człowieka, który znalazł ciało mojego syna, ob. Stanisława Sygułę i zapytać go o szczegóły. Co widział? Jak wyglądał mój syn? Co to był za samochód? Jacy byli ci ludzie kręcący się koło samochodu? Chciałam słyszeć o zdarzeniu tego pamiętnego ranka 23 lutego 1978 r. od najbliższego, głównego świadka. W tym celu poszłam do domu dozorca w towarzystwie mojej sąsiadki Krystyny Sztajgerst. Dozorca mieszkał w Łodzi przy ul. Marysińskiej 69. Ten wskazał mi mieszkanie Syguły i raz jeszcze opowiedział wydarzenie w swojej wersji; o tym co się wtedy dzieło w dniu znalezienia mojego syna martwego. Potwierdził wszystko co mówił za pierwszym razem, w dniu 23 lutego. Nadmienił również o tym, co widział i swoje uwagi w tej sprawie złożył na ręce funkcjonariusza o nazwisku Pająk z Działu Dochodzeniowego z KDMO. Nadmienił również, że Pająk zajmuje się sprawą tajemniczego zgonu mojego syna. Zapytałam, skąd zna tego Pajaka, i skąd mu wiadomo, że zajmuje się tą sprawą? Wyjaśnił, że Pajaka zna, ponieważ przebywa u jednego z mieszkańców tego domu i słyszał od tego kogoś, że Pająk będzie się zajmował tą sprawą.

Po rozmowie z dozorcą, Wacławem Majtczakiem, udałam się do V klatki schodowej, do mieszkania nr 134, gdzie mieszkał Stanisław Syguła, człowiek lat około 50, dowiedziawszy się, że jestem matką młodego martwego człowieka, którego znalazł 23 lutego przez V klatkę schodową wychodząc do pracy, opowiedział mi, cały wstrząśnięty wspomnieniami owego ranka, szczegółowo opowiedział mi to, co się wtedy dzieło w dniu znalezienia mojego syna. Oto opowiadanie Syguły. Syguła w dniu 23 lutego wstał o godzinie 4.30 i wyszedł na spacer z psem. Po wyjściu z klatki schodowej na zewnątrz został zaskoczony niezwykłym zachowaniem psa, który natychmiast rzucił się z głośnym ujadaniem w stronę stojącego na parkingu samochodu marki "Żuk" lub "Nysa" /w ciemnościach nie widział wyraźnie - tym bardziej, że padała mżawka/. Samochód stał po środku parkingu, przed blokiem i był nie oświetlony. Syguła był zdziwiony zachowaniem psa, gdyż kilkulatki, mądry wyżeł nigdy na nikogo nie szczekał i nie atakował bez powodu. Tym razem wściekle atakował stojący samochód, usiłując gryźć koła tego samochodu. Syguła odwołał psa, ale pies co chwila usiłował zawracać do samochodu - warczał i ujadł w stronę samochodu. Syguła poszedł wzdłuż bloku, w stronę ul. Marysińskiej, chwilę stał, poświecił elektryczną latarką w ul. Marysińską i w stronę pobliskiego pawilonu handlowego. Nigdzie nikogo nie było. Nikt nie szedł. Zawrócił i kiedy był w połowie ścieżki przed blokiem, znów musiał odwołać psa rzucającego się w stronę owego samochodu. Koło w/w samochodu zauważył jakieś postacie. Były to sylwetki ludzi młodych /wynikało to z lekkości ruchów/, odzianych jak gdyby w skórzane kurtki. Było bardzo ciemno, ludzie ci zachowywali się dość dziwnie, czaili się, nie to wsiadając, nie to czekając na coś.

Syguła przeszedł wzdłuż całego bloku wciąż odwołując psa, minął V klat-

tkę schodową, ostatnią, wszedł po kilku stopniach na skarpę, za którą jest już park. Stanął na skarpie, poświecił latarką po parku. W parku również nie widział nikogo, ani jedna gałązka nie poruszyła się. Odwrócił się i popatrzył w stronę samochodu. Widział jak ci ludzie obok samochodu chodzili po coś do szoferki, coś nosili na tył samochodu. "Działy się tam jakieś obrządki". Tak to określił p. Syguła. Poświecił w stronę samochodu, ale nie podchodził bliżej i nie przyszło mu na myśl, żeby zobaczyć numer rejestracyjny samochodu. Pomyślał sobie, że może ci ludzie przywieźli mięso ze wsi z nielegalnego uboju i tak się czają, bo nie chcą żeby ktoś niewtajemniczony zobaczył. Syguła postanowił nie interesować się tymi sprawami, tym bardziej, że widział, jak w pewnej chwili z III klatki schodowej wybiega niewysoka postać ubrana w jakiś skafander, z naciągniętym kapturem na głowę. Postać ta pobiegła szybko w stronę samochodu. Z tyłu samochodu naradzano się. Ta postać stanęła z boku samochodu /między w/w samochodem i stojącym obok osobowym/, opierając się ręką o ten samochód osobowy. Wyglądało, że postać ta stanęła tam w celu obserwacji. Syguła czuł się obserwowany przez tę postać, która sądząc z ruchów mogła być kobietą. Syguła spojrzął na zegarek i stwierdził, że czas mu iść do pracy, więc poszedł zaprowadzić psa i zabrać teczkę. Kiedy wchodził do klatki schodowej, przed wejściem nikt nie siedział, ani nie leżał, a gdy za kilka minut wracał idąc do pracy wychodząc z klatki schodowej zatrzymał się w otwartych drzwiach żeby zapalić papierosa. Wówczas zobaczył, że tuż przed klatką schodową leży nieruchomo człowiek. Człowiek leżał twarzą ku ziemi. Głową skierowany był w stronę klatki schodowej, z rękoma wzdłuż ciała blisko, z nogami razem złączonymi i piętami lekko rozchylonymi od siebie. Syguła pochylił się nad leżącym i zawołał, żeby wstawał bo w pierwszej chwili pomyślał sobie, że może leżący człowiek jest pijany i przewrócił się, straciwszy równowagę, albo że może człowiek pośliznął się i upadł, zanurczywszy się upadkiem. Leżący na nic nie reagował. Wówczas Syguła, chcąc sprawdzić co się stało, podniósł trochę leżącemu głowę i zobaczył, że człowiek nie daje znaku życia. Podniósł leżącemu rękę i puścił - ręka bezwładnie opadła.

Syguła uświadomił sobie, że może ten człowiek jest nieprzytomny lub martwy, więc zaczął alarmować sąsiadów i pobiegł obudzić dozorcę Wacława Majteczaka. Zaalarmował również troje sąsiadów wracających od rodziny ze wsi: Teresę Szymczak i jej współmieszkańców Marka i Zofię Pietruszków, z mieszkania nr 80. Wspólnie z dozorcą i Markiem Pietruszką przewrócili leżącego na twarzy człowieka na plecy i pobiegli do III klatki schodowej, gdzie jest umieszczony aparat telefoniczny, żeby zadzwonić po pogotowie. Okazało się, że kabel telefoniczny jest odcięty, czy wyrwany i telefon z tego powodu jest nieczynny. Wtedy Syguła przypomniał sobie samochód, ludzi i postać, która wybiegła z III klatki schodowej i uświadomił sobie, że to może mieć jakiś związek z leżącym człowiekiem. Samochodu i ludzi już wówczas nie było. Ludzie przypomnieli sobie że również posiada telefon w domu funkcjonariusz MO o nazwisku Boniecki, mieszkający w tym domu w II klatce na parterze. Syguła, wraz z Markiem Pietruszką i dozorcą pobiegli do milicjanta Bonieckiego, żeby wezwać pogotowie, ale bardzo długo pukali, a Boniecki nie otwierał. Wreszcie po około 15 minutach pukania i nawoływania przez Sygułę, Boniecki uchylił nieco drzwi i zapytał "co jest". Syguła wyjaśnił, że przed V klatką schodową leży człowiek nieprzytomny lub nieżywy i prosił o wezwanie pogotowia. Boniecki usłyszawszy to zamknął drzwi na powrót obiecując, że zaraz wyjdzie, ale nie wyszedł przez około 3 godziny, póki ciało nie zostało zabrane do Zakładu Medycyny Sądowej i prawdopodobnie również nie wzywał pogotowia, ponieważ upłynęło więcej niż 40 minut, a żadne pogotowie nie przyjechało.

Ludzie niecierpliwie się usiłowali mojego syna ratować, gdyż wydawało im się, że może żyje, bo ciało jeszcze nie było zimne /zesztywniałe/. Dwie kobiety, p. Teresa Szymczak i Z. Pietruszka, przypomniały sobie, że inna mieszkanka bloku, p. Kujawska, ma również telefon w mieszkaniu, więc pobiegły prosić o wezwanie pogotowia. Pani Kujawska natychmiast zadzwoniła i po 15 minutach przyjechała karetka reanimacyjna. Zanim przyjechało pogotowie, do-



zorca Majteczak podwinął mojemu synowi swetry do góry i chciał zastosować masaż klatki piersiowej i wtedy zebrani ludzie zobaczyli, że syn mój miał wgniezione dość głęboko w ciało, w okolicach żołądka, guziki. Początkowo Syguła i inni wyobrażali sobie, że to jest aparatura medyczna wmontowana po jakiejś operacji. Przy poruszaniu syna trzy z guzików wyskoczyły na zewnątrz, a reszta została w ciele. Było tych guzików kilka - sześć lub siedem. Ludzie widząc to przestali syna ruszać. Po chwili przyjechało pogotowie. Syguła zwrócił się do lekarza oznajmiając mu, że leżący człowiek ma coś wciśnięte w ciało. Lekarz zgarnął ręką resztę tych guzików, które obsunęły się na rozpiętą kurtkę, w którą mój syn był ubrany. /Ten moment zgarnięcia guzików przez lekarza zauważyła również p. Teresa Szymczak/. Według opisu Syguły guziki były trochę większe od dziesięciogroszówek, były wypukłe, koloru ciemnego, prawdopodobnie ciemno-szare, plastikowe, z lekkim połyskiem. Nie były to guziki spodniowe. Stanisław Syguła opisał jak wyglądał mój syn i jego odzież. Zauważył, że mój syn miał zakrzepłą krew pod nosem i miał okaleczenie - także zaschłe - u nasady nosa, między brwiami. Kurtka w kolorową kratę była czysta, nie ubłocona i sucha, a spodnie tak mokre, że aż ociekające wodą. Buty miał całe, nie zgniecione, ani nie porozrywane, i - mimo mżawki - zupełnie suche, aż były białawe podeszwy od kurzu. Na butach również nie było ani kropli krwi. Wygląd butów zupełnie nie świadczył o żadnym skaleczeniu i zmazakowaniu stóp w jakims wypadku. Buty wyglądały normalnie, z tym, że wydawało się Sygule, że w butach nie było sznurowadek.

Według dalszej relacji Stanisława Syguły, lekarz z karetki reanimacyjnej stwierdził, że jest po zgonie, ale na prośbę Syguły i innych zebranych ludzi podłączono jeszcze aparaturę medyczną, która potwierdziła całkowicie stwierdzenie lekarza. Zmarłego zakryto i lekarz wraz z całym zespołem karetki reanimacyjnej bardzo długo oczekiwał na przyjazd pogotowia MO, które jednocześnie wzywała p. Krystyna Kujawska dzwoniąc pod numer 07, ponieważ nie znała innego numeru MO. Boniecki cały czas nie pojawił się w ogóle i nie zainteresował się tym, co się działo pod jego domem, mimo że jest dzielnicowym na tym terenie. Wreszcie przyjechało dwóch funkcjonariuszy z Komisariatu przy ul. Nowopolskiej. Jeden z milicjantów, kiedy podszedł i przypatrzył się mojemu synowi wypowiedział taką uwagę: "Widać bracie, że ty tutaj nie przyśzedłeś na własnych nogach i tutaj nie umarłeś, bo twoje buty o tym świadczą, masz suche buty". Słowa te słyszeli wszyscy zebrani i właśnie wtedy uważnie przypatrywali się butom i zapamiętali różne szczegóły m.in. to, że buty były bez sznurowadek. Zapamiętała tę uwagę milicjanta również p. Szymczak, o czym mnie poinformowała później. /To że w butach syna nie było sznurowadek zauważyła również lekarka z mieszkania nr 42/. Stanisław Syguła zapamiętał również moment, kiedy milicjanci przeszukiwali kieszenie syna, a także co z nich wyjęto. Były to: legitymacja Ubezpieczalni Społecznej, ze zdjęciem i wejściówką zakładową też ze zdjęciem, kilka skasowanych biletów, pudełko z zapalnikami, kilka skasowanych biletów, pudełko z zapalnikami i jeszcze jakiś przedmiot - coś w rodzaju legitymacji podłużnego kształtu w kolorze granatowym /mogła to być legitymacja milicyjna/. Przedmiotu tego nie oddano mi w Prokuraturze, ani o znalezieniu takiego nie wspomniano.

Stanisław Syguła opowiadał również, że po odjeździe karetki pogotowia milicjanci kazali ludziom rozejść się i nikogo nie zapisali na świadka, prócz Syguły, który sam zgłosił się, ażeby go zapisano na świadka, gdyż musiał odejść do pracy, czy na badanie lekarskie. Samego momentu zabrania ciała syna do Zakładu Medycyny Sądowej już nie widział i w związku z tym nie wie, kto zabrał owe guziki. Nadmieniał jeszcze w późniejszej rozmowie ze mną, że sylweta postaci, która wybiegła owego ranka z III klatki schodowej, zgaźałaby się z sylwetką jednej mieszkanki V klatki schodowej zamieszkałej na 10 piętrze, w mieszkaniu nr 160, u której bywa właśnie jeden z inspektorów dochodzeniowych z KDMO Łódź-Bałuty, o nazwisku Pająk. Syguła powiedział mi również, że dozorca, Wacław Majteczak, jak tylko mojego syna zobaczył, natychmiast wbiegł do V klatki schodowej, pojechał windą prawdopodobnie na 10 piętro, i za chwilę wrócił, nie wyjaśniając gdzie był, oraz co sprawdzał. Wyjaśnił mi później sam Majteczak, że był właśnie na 10 piętrze, w mieszkaniu

160. Wiedziony jakimś podejrzeniem chciał sprawdzić kto tam jest, i co tam dzieje. W mieszkaniu tym, zajmowanym przez Grażynę i Stanisława Czubów, nie spano mimo wczesnej pory /oboje nie pracujący w tym czasie/. Było tam jeszcze dwóch osobników. Byli to: niejaki Tadek z dzielnicy Widzew i brat Stanisława Czuby - Henryk Czuba.

Dowiedziałam się również od Stanisława Syguły, że dostał wezwanie do KDMO Łódź-Bałuty w charakterze świadka, w sprawie okoliczności znalezienia zwłok mojego syna. Wezwanie zostało zatknięte w drzwi w sobotę, w pierwszym dniu marca /nie pamiętam dokładnie daty/, po powrocie z pracy o godz. 16.00. Wezwanie było właśnie na tę właśnie sobotę na godz. 15.00 czyli było już za późno - wobec czego zgłosił się do KDMO w poniedziałek rano. Kiedy zgłosił się do pokoju 47 lub 49, zastał tam dwóch inspektorów. Nie chcieli oni Syguły przesłuchiwać, tłumacząc, że nie ma tego, który miał z nim rozmawiać. Kazano mu wyjść, ale po chwili narady między sobą wezwali go do pokoju i kazali mu powiedzieć co widział, i co mu jest wiadomo, jednak niczego nie notowali, a on niczego nie podpisywał. Zapowiedzieli mu, że jeszcze będzie wezwany.

W dniu 7 marca ponownie udałam się do Prokuratury, ażeby porozmawiać i uzyskać jakieś informacje w sprawie wyników dochodzenia. Prokurator Klimczak poinformował mnie, że sprawę dochodzenia przekazał w dniu 3 marca KDMO Łódź-Bałuty, i że tam mogę zasięgnąć informacji. Dał mi karteczkę z numerem akt. Z karteczką tą udałam się do pobliskiej KDMO Łódź-Bałuty /parę posesji dalej/, do kancelarii, żeby dowiedzieć się, kto zajmuje się tą sprawą. W kancelarii KDMO Łódź-Bałuty okazało się, że takie akta nie widnieją w zadanym rejestrze - miało długotrwałego wertowania wielu ksiąg. Odpowiedziano mi, że KDMO-Bałuty nie ma akt sprawy zgonu syna. Zdenerwowana, wróciłam do prokuratora Klimczaka i zarządkąm wyjaśnienia. Prokurator Klimczak pokazał mi rejestr prokuratury, w którym rzeczywiście była adnotacja o przekazaniu akt sprawy zgonu Jana Kowalczyka w dniu 3 marca 1978 r. do KDMO-Bałuty. Prokurator uznał, że on jest w porządku i że jego rola jest zakończona. Mimo to upierałam się, że musi wyjaśnić, gdzie są akta tej sprawy. W mojej obecności wezwał gońca - panienkę, która okazała pokwitowanie KDMO-Bałuty, z pieczęcią potwierdzającą przyjęcie akt sprawy. Prokurator Klimczak, aczkolwiek niechętnie, dzwonił przy mnie wielokrotnie do KDMO-Bałuty wciąż panując pracownikom Komendy do poszukania akt. Po bardzo długim czasie /około półtorej godziny/ zagroziłam, że nie ruszę się z Prokuratury, póki nie odnajdą się wspomniane akta. Akta znalazły się w Komendzie. Prokurator Klimczak polecił odczekać dwa dni, a po tym czasie miałam zgłosić się do KDMO-Bałuty, bo wówczas już miało być wiadomo kto będzie zajmował się wyjaśnieniem sprawy śmierci mojego syna. Po odczekaniu dwóch dni udałam się do KDMO-Bałuty z karteczką z numerem sprawy, z tą, którą otrzymałam od prokuratora Klimczaka.

Udałam się wprost do Działu Kryminalnego do pokoju 47 lub 49 /nie pamiętam/, gdyż wiedziałam, że tam był przesłuchiwany ob. Stanisław Syguła. W pokoju tym zastałam czterech ludzi. Na pytanie moje, kto zajmuje się sprawą tragicznego zgonu mojego syna, jeden z obecnych tam ludzi odpowiedział: "a nikt się nie zajmuje". Kiedy zapytałam: "jak to się nie zajmuje?" któryś z nich, ironicznie uśmiechnięty, odpowiedział: "my takiej sprawy nie mamy". Na moje pytanie, kto ma akta tej sprawy, usłyszała odpowiedź: "a to już nas nie obchodzi".

Dowiedziałam się później, że jednym z tak nietaktownie w stosunku do mnie zachowujących się inspektorów dochodzeniowych był właśnie Pajak. Oburzona wyszłam z pokoju udając się do kancelarii. W kancelarii poinformowano mnie, że akta sprawy zostały odesłane do II-go Komisariatu na ul. Nowopolską, nie wiadomo w jakim celu. Odczułam, że na domiar nieszczęścia jakie mnie spotkało, funkcjonariusze Komendy urządzają sobie ze mnie kpiny, które jednak świadczą nie tylko o braku kultury i odpowiedzialności. Rzuciło to również światło na całą sprawę i niejasną rolę Komendy w tej sprawie.

Wprost z Komendy udałam się ponownie do Prokuratury. W Prokuraturze, zarówno w Kancelarii, jak i prokuratora Klimczaka, spotkałam się z nieukrywaną niechęcią. Prokurator Klimczak powiedział mi wręcz, że on ma dużo waż-

niejszych spraw, niż ciągle zajmowanie się sprawą zgonu mojego syna. Wobec takiej postawy prokuratora Klimczaka, udałam się w ramach skargi do szefa Prokuratury, ob. prokuratora Pawłowskiego. Prokurator Pawłowski uprzejmie wysłuchał, próbował telefonicznie wyjaśnić pewne rzeczy związane ze sprawą, np. sprawę czynności wykonywanych przez ekipę z Komendy Ruchu w Medycynie Sądowej, ale również niczego nie ustalił. Nikt nie przyznawał się do bytności w Zakładzie Medycyny Sądowej w ogóle, ani do zabrania odzieży i butów mojego syna. Również nie mógł ustalić, czy mój syn był, i u kogo, i w jakiej sprawie, w dniu 20 lutego w KDMO-Bałuty. Powiedział, że sprawa nie jest mu znana, że zainteresuje się. Tłumaczył zachowanie się funkcjonariuszy Komendy i prokuratora Klimczaka brakiem kultury, oraz obiecał, że zażąda akt i zorientuje się w sprawie. Polecił mi również sporządzenie i dostarczenie pism na temat co mi jest wiadomo o kontaktach i ewentualnych sprawach syna - jeżeli cokolwiek wiem - mimo, że ustnie udzieliłam mu informacji o trybie życia i o otoczeniu mojego syna, jak również o tym, co syn robił i mówił w ostatnich dniach życia.

Mówiłam również czego dowiedziałam się od naczynych świadków na miejscu znalezienia syna, o niedopełnieniu obowiązku zabezpieczenia śladów, o postawie Bonieckiego i ówch funkcjonariuszach z II Komisariatu. Przytoczyłam również relacje Syguły i dozercy. Prokurator Pawłowski mimo, że w dużo uprzejmiejszej formie, ale dał mi do zrozumienia również, że organa ścigania decydują o tym co należało uczynić, żebym zbytnio w tej sprawie nie przejmowała inicjatywy i pozwoliła prowadzić dochodzenie według własnego ich uznania. Twierdził również, że do wszczęcia dochodzenia konieczny jest szczegółowy protokół z sekcji zwłok. Pokazałam pisemko wystawione przez adiunkt Garbowską-Górską, które przeprowadzała sekcję, w którym to pisemku były wyszczególnione główne obrażenia /bardzo liczne i ciężkie/, jakie odniósł mój syn. Nadmieniał, że wiadomo mi od doktor Garbowskiej-Górskiej, że Prokuratura została poinformowana o wynikach sekcji telefonicznie, zaraz po przeprowadzeniu sekcji. Wobec powyższego, wiadomo było Prokuraturze jakie syn mój odniósł obrażenia. Prokurator Pawłowski był zaskoczony i niezadowolony z tego, że uzyskałam tę informację o natychmiastowym powiadomieniu Prokuratury o wynikach sekcji. Zrobił nawet uwagę, że pani dr Garbowska przekroczyła swoje uprawnienia, że nie wolno jej było udzielać informacji o tym. Uwaga prokuratora Pawłowskiego była <sup>to</sup> zastanawiająca.

Następnego dnia udałam się do II-go Komisariatu przy ul. Nowopolskiej, gdzie poinformowano mnie, że akta sprawy już zostały przesłane do Prokuratury Rejonowej, na żądanie szefa Prokuratury czyli prokuratora Pawłowskiego. Pytałam tam o nazwiska tych funkcjonariuszy, którzy byli na miejscu znalezienia syna, i którzy właśnie mimo widomych oznak śmierci nienaturalnej nie spowodowali dokonania żadnych czynności zabezpieczających ślady, ale odmówiono mi podania tych nazwisk. Powiedziano mi natomiast, że za dużo czytam i oglądam kryminałów.

Wobec tego ponownie udałam się do Prokuratury Rejonowej, do prokuratora Pawłowskiego, i zapytałam czy sprawdzono u kogo, i w jakiej sprawie syn mój był w dniu 20 lutego w KDMO Łódź-Bałuty. Prokurator Pawłowski odpowiedział, że ustalił z całą pewnością, że syn mój nie miał pisemnego wezwania, ale czy był u jakiegoś poszczególnego funkcjonariusza na ustne wezwanie, i w jakiej sprawie, tego nie można ustalić ze względu na dużą ilość pracowników Komendy. Utrzymywał w dalszym ciągu, że protokół z sekcji jest konieczny do wszczęcia dochodzenia, i że nie spodziewa się otrzymania go wcześniej, niż po upływie miesiąca. Prokurator Pawłowski powiedział także, że nie udało mi się dotąd ustalić, kto i gdzie zabrał odzież i buty syna, wobec czego nie może mi udostępnić do obejrzenia tych rzeczy w celu identyfikacji. Powiedział również, że nie ma znaczenia fakt w czym mój syn wyszedł z domu, tylko to w czym go znaleziono. Podtrzymał, w dalszym ciągu, żądanie bym dostarczyła informacji na piśmie, które dałyby jakiś punkt zaczepienia, bo jak twierdził, nie wiedział od czego zacząć śledztwo. W odpowiedzi tłumaczyłam prokuratorowi Pawłowskiemu, że jestem obecnie w stanie złożyć żądane pisma ze względu na zły stan zdrowia, w związku z ciężkim przeżyciem jakie

nie spotkało, że już podałam ustnie wszystkie informacje jakie w tym czasie posiadałam, i że jeżeli czegoś się dowiem natychmiast poinformuję, bo mnie przecież najbardziej zależy na wykryciu i ukaraniu sprawców bestialskiego morderstwa dokonanego na moim dziecku. Na zakończenie rozmowy prokurator Pawłowski wyraził powątpiewanie, czy uda się wykryć sprawców zbrodni, bo jak mówił - nie zawsze tym kończy się dochodzenie, które trwa nieraz bardzo długo, wobec czego nie może podać mi żadnego terminu ani zapewnienia. Podobną wypowiedź słyszałam już wcześniej od prokuratora Kliaczaka. Zbieżność wypowiedzi obydwóch prokuratorów wydała mi się zastanawiająca.

W ostatnich dniach marca otrzymałam wezwanie na przesłuchanie w charakterze świadka do KDMO Łódź-Bałuty, przy ul. Ciesielskiej, do pokoju 32. Wezwanie doręczył mi do domu osobiście funkcjonariusz nazwiskiem Knieć. Kiedy wchodził do mojego domu poprosiłam go o okazanie legitymacji MO, ponieważ był w cywilnym ubraniu, i wyjaśniłam, że od czasu, kiedy zamordowano mojego syna żyję w lęku. Knieć odpowiedział na pytania, dlaczego uważam, że mój syn został zamordowany, i dodał, że oni, czyli MO, mają inną wersję tragicznej śmierci syna. Powiedział, że jego kierownik przedstawi mi ją, jak przyjdę do Komendy, ale po chwili sam mi ją podał. Powiedział, że według wersji MO, mojego syna przejechał samochód. Odpowiedziałam, że to jest oczywiste, że mój syn został zamordowany, gdyż wiele faktów na to wskazuje, natomiast wersja o przejechaniu samochodem jest całkiem nieprawdopodobna, bo tam gdzie syna znaleziono nie było miejsca wypadku, ani miejsca zgodnu. Zgon nastąpił w innym miejscu i dużo wcześniej niż syna znaleziono. Na miejscu znalezienia ciała nie było ani krwi, ani żadnych innych śladów wypadku. Również z ułożenia ciała wynikało, że zostało celowo położone tuż przed wejściem do klatki schodowej. Uzasadniałam dalej, że nie mógł syna również gdzie indziej przejechać przypadkowo żaden samochód, i nie podwiózł go tam i nie położył żaden przypadkowy zabójca - kierowca, gdyż byłoby to z jego strony całkiem nielogiczne i ryzykowne. Przecież mógłby go ktoś zobaczyć w momencie podkładania ciała pod blokiem mieszkalnym o świcie, kiedy ludzie wstają i wychodzą do pracy. Byłoby o wiele bezpieczniej zostawić ciało na miejscu wypadku, albo wywieźć w jakieś odległe miejsce. Poza tym, twierdziłam, że w podrzucaniu ciała musiałoby brać udział więcej osób, bo syn ważył około 87 kg. Jednemu człowiekowi, nawet silnemu, byłoby zbyt trudno załadować bezwładne ciało do samochodu, potem zdjąć i położyć szybko pod blokiem mieszkalnym, gdzie pośpiech był bardzo ważny, gdyż w każdej chwili mógł ktoś nadejść. Musiałoby brać w tym udział najmniej 4 osoby. Mówiłam również, że obrażenia tak ciężkie i tak liczne, jakie syn odniósł, również świadczą o tym, iż nie mógł to być przypadkowy, niezamierzony wypadek przejechania samochodem i przytoczyłam wypowiedź pracowników Zakładu Medycyny Sądowej, którzy mówili do mnie i mojego męża, że tylko przy celowym kilkakrotnym przejechaniu w różnych kierunkach mógłby człowiek odnieść aż tyle i tak ciężkich obrażeń. Wówczas Knieć powiedział lekceważąco "co oni tam się znają". Zwróciłam uwagę, że są to jednak ludzie o dużym doświadczeniu, gdyż widzą codziennie wielu denatów i na ogół wiedzą w jakich wypadkach ponieśli śmierć. Na poparcie mojej hipotezy, że syn nie zginął w przypadkowym wypadku samochodowym, nadmieniałam, że świadczą o tym również buty mojego syna i dokumenty jakie miał przy sobie. Mówili mi ludzie, którzy widzieli syna na miejscu znalezienia, że buty były suche, mimo padającej mżawki i całe, nie zgniecione, ani nie porozrywane, a przecież stopy były okaleczone bardzo od spodu i zmiażdżone w kostkach, co świadczy o tym, że stopy były miażdżone i kaleczone boso, bez butów, co nie mogło zaistnieć w żadnym przypadkowym, nieszczęśliwym wypadku samochodowym. Ktoś przedtem zdjął synowi buty - zanim odniósł obrażenia stóp. Wspominałam również, że zebrani na miejscu znalezienia ludzie zauważyli i zapamiętali, że w butach nie było sznurówek. To również zaprzecza wersji o wypadku.

Dowodziłam dalej, że również nie mogli mojego syna zamordować i podrzucić pod ten blok jacyś przypadkowi rzezimieszkwowie, na przykład w celu rabunkowym, ani tacy, którym naraziłby się z jakiegoś powodu, gdyż tacy również nie podrzuciliby go o świcie pod blok mieszkalny, narażając się na nie-

bezpieczeństwo, że ktoś mógłby ich przy tym zobaczyć. Byłoby to dużo bezpie-  
czniej dla takich pokłóżyć ciało w pobliskim parku. Zresztą zostawiliby syna,  
tam gdzie go napadli. Utrzymywałam, że chodziło mordercom zapewne o stworze-  
nie pozorów, że syn wypadł lub został wyrzucony z dużej wysokości z okna,  
ale stworzenie takich pozorów nie udało się, bo wówczas ciało byłoby rozbi-  
te /na miejscu upadku byłoby dużo krwi, a krwi nie było wcale/ i byłoby ina-  
czej ułożone. Poza tym, byłby świeży zgon, bo między wejściem Stanisława Sy-  
guły z psem do klatki schodowej, a ponownym z niej wyjściem do pracy upłynę-  
ło zaledwie kilka minut, a przecież kiedy Syguła wchodził z psem do klatki  
schodowej ciało jeszcze nie było. Przypomniam o postaci, którą widział Sy-  
guła jak wybiegała z III klatki schodowej i pobiegła do swego samochodu, a  
po nardzie z ludźmi kręcącymi się koło tego samochodu stanęła obok i obser-  
wowała. Postać ta, moim zdaniem, biegła do III klatki schodowej w tym celu,  
by odciąć, czy wyrwać kabel od automatu telefonicznego, żeby nie można było  
szybko zadzwonić, na wypadek gdyby ktoś zauważył moment podkładania ciała.  
Zaznaczyłam, że według opinii Syguły postać ta mogła być kobietą.

Mówiłam, że wszystko świadczy o tym, że ciało mojego syna położono rów-  
nież pod ten blok nieprzypadkowo, że to byli ludzie doskonale obeznani z  
blokiem i absolutnie pewni, że niczego nie ryzykują. Mówiłam, że ci osobnicy  
mają jakiś związek właśnie z tym blokiem, że dlatego położono mojego syna  
tam, a nie gdzie indziej. Słowa moje wywołały całkiem nieoczekiwaną reakcję  
u funkcjonariusza Kniecia, który rozkładając ręce wykrzyknął: - "No, prze-  
cięż milicja go nie zabiła!". W odpowiedzi przytoczyłam wersję jaka krążyła  
właśnie w związku ze śmiercią syna wśród mieszkańców dzielnicy. Według tej  
wersji widziano, jak na krótko przed śmiercią kilku milicjantów biło mojego  
syna pałkami przed pobliską kawiarnią przy ul. Wojska Polskiego, w której  
rzadko, ale czasem bywał. Funkcjonariusz Kniec odparł, że milicja nie bije.  
Nie zgadzając się z tym twierdzeniem (na dowód odpowiedziałam, co spotkało  
mojego syna jesienią 1977 r. ze strony milicjantów KDMO Łódź-Śródmieście,  
kiedy to wracając pewnej soboty wieczorem do domu, został zatrzymany bez po-  
wodu na ulicy Piętkowskiej przez samochodowy patrol milicyjny. Osadzono go  
na 48 godzin w areszcie oraz dotkliwie pobito, a u mnie w domu, w poniedziałek,  
zrobiono rewizję, poszukując jakichś drobnych przedmiotów, jak zauwa-  
żył mój mąż, będący przy rewizji. Syna zwolniono w dwie godziny po rewizji  
i widziałam, że był pobity, miał ślady bicia. Dowiedziałam się potem, że  
wcześniej dokonano włamania do sklepu "Pewexu" przy ul. Wojska Polskiego,  
gdzie ukradziono pewną ilość srebrnych monet, i w związku z tym mojego syna  
podejrzewano tylko na tej zasadzie, że w niedalekiej przeszłości był karany,  
nimo że nie miał z tym włamaniem, ani żadnym innym, nic wspólnego. Nadmieni-  
łam również, że wkrótce potem znaleziono wszystkich sprawców tego włamania,  
a mojego syna zatrzymano i pobito bezpodstawnie, nadużywając prawa. Wówczas  
ob. Kniec przyznał, że wiadomo mu o tym, że była u mnie przeprowadzona rewiz-  
ja, gdyż przeprowadzali ją funkcjonariusze z KDMO Łódź-Bałuty, ale podej-  
rzewanie i stosowane metody uważał za słuszne, bo jak powiedział: "kogo mamy  
podejrzewać - dyrektorów albo ministrów?".

Mówiłam również, że wtedy, zaraz w niedzielę, byłam w komisariacie na  
ul. Nowopolskiej i zgłosiłam, że syn zaginął. Powiedziano mi, że jak w po-  
niedziałek się nie znajdzie, to będą go szukać. Prawdopodobnie dobrze wie-  
dziano, że syn przebywał w Komendzie Śródmieście. Również w poniedziałek  
dzwoniłam do Komisariatu i trzykrotnie do KDMO Łódź-Bałuty i odpowiadano mi,  
że nie notowany, a wiem, że wiadano o jego pobycie w areszcie Komendy -  
Śródmieście. Był bity również po głowie, na której miał dopiero świeżo zago-  
joną ranę po rozcięciu głowy podczas napaści na syna przez niejakiego Bogie-  
la. Mogło się zdarzyć, że mógł być pozbawiony życia, bo w świeżo zagojonej  
głowie mógł nastąpić jakiś wylew. Wtedy nie przyznano by się do tego, że był  
w areszcie, tak samo jak teraz nie można ustalić u kogo był, i w jakiej  
sprawie. Po tym wszystkim Kniec zakończył rozmowę stwierdzeniem, że wojna  
jest nieunikniona, i że zginie wówczas wielu ludzi, a nie jeden człowiek.  
Stwierdzeniem tym chciał mi dać do zrozumienia, że wobec tego nie ma znacze-  
nia śmieć i krzywdą jednostki. Powiedziałam, że jednak jest jeszcze czas po-

koju, i że mój syn nie zginął walcząc w obronie ojczyzny, ale został bestialsko zamordowany przez niebezpiecznych, bezwzględnych morderców, którzy będąc dotąd bezkarni, mogą zagrażać również innym ludziom. Dodałam, że - zgodnie z prawem - za tak straszną zbrodnię, mordercy powinni ponieść najwyższą karę, bez względu na to kim są. Kmieć już nic nie odpowiedział, zostawił wezwanie i wyszedł.

Analizując przebieg wypadków tuż przed śmiercią syna i wszystko co nastąpiło od chwili znalezienia jego ciała z wyraźnymi oznakami popełnienia na nim morderstwa, oraz widząc jawną niechęć Prokuratury do prowadzenia śledztwa, biorąc pod uwagę niejasną w tej sprawie od początku postawę i Komendy, i Prokuratury Rejonowej doszłam do wniosku, że jest to stwarzanie pozorów prowadzenia dochodzenia. Widoczne stało się granie na zwłokę, by upłynął pewien czas. Później można by umorzyć dochodzenie. Widziałam to jasno, ale mimo to nie chciałam jeszcze uwierzyć w straszną, wyłaniającą się wyraźnie, prawdę. Postanowiłam szukać sprawiedliwości u wyższej instancji. W związku z tym złożyłam 29 marca skargę do Prokuratury Wojewódzkiej.

W dniu 29 marca, zgodnie z wezwaniem, zgłosiłam się do KDMO Łódź-Bałuty. W pokoju 32 byłam przesłuchiwana przez funkcjonariusza - kobietę, której nazwiska nie pamiętam. Był tam również funkcjonariusz Kmieć. Pani funkcjonariuszka zadawała mi pytania, na które mimo wszystko szczerze i wyczerpująco odpowiadałam. Mówiłam o wszystkim, o czym wiedziałam: o dziwnych okolicznościach, w jakich znaleziono ciało mojego syna, o tym, że jest mi wiadomo, że syn w dniu 20 lutego udawał się właśnie do KDMO-Bałuty, że bał się aresztowania, o czym mówił do kolegów, że sprawił w ostatnim czasie wrażenie człowieka, który miał zamartwienie, że nadużywał ostatnio alkoholu.

Powiedziałam, że syn obawiał się prawdopodobnie aresztowania, gdyż miał już przykre doświadczenie jako uprzednio karany. Mógł się obawiać i teraz, bo jest mi wiadomo, że tuż przed śmiercią syna, i potem, były aresztowane osoby, które mógł nawet znać, jako że niektóre z tych osób mieszkały w pobliżu. Mówiłam, że słyszałam, że niektóre z tych osób były wyprowadzone z tej właśnie kawiarni "Nowonięjskiej". Wówczas ob. Kmieć powiedział, że mój syn nie musiał obawiać się aresztowania, ponieważ nikt mu niczego nie zarzucał i o nic go nie oskarżano. Mówiłam o tym, jak syn spędzał wolny czas po pracy, że przeważnie w towarzystwie synów sąsiadów jeździł na łyżwach, na lodowisku w pobliskim parku im. "Promienistych", że znałam jego otoczenie, które nie było złe. Opowiadałam nawet z kim wymieniał ukłony w świetlicy, czy w kawiarni, o czym słyszałam od obsługi, rozpytując o wszystko ludzi, którzy go znali. Mówiłam o wszystkim, co ktokolwiek mówił, i o czym słyszałam przez osoby pośrednie. Pani funkcjonariuszka notowała według własnego uznania.

Opowiedziałam również o incydencie, jaki zdarzył się w lipcu 77 r., kiedy to pijany mieszkaniec sąsiedniego domu nazwiskiem Bogiel Ryszard uderzył mojego syna, wypoczywającego na skwerku przed naszym domem, bez żadnego powodu cegłą w głowę. Syn mój na skutek uderzenia spadł z ławki, tracąc przytomność, z bardzo okaleczoną głową. Ow Bogiel, mimo że syn leżał nieprzytomny na trawie, wraz ze swoim bratem oraz szwagrem kopali syna po twarzy i głowie, na co byli świadkowie. Syna zabrano pogotowie do szpitala, gdzie przebywał kilka dni, a potem jeszcze przez pewien czas nie był zdolny do pracy. Było to ciężkie uszkodzenie ciała, a mimo to przybyła na miejsce, wezwana na moją prośbę MO nawet nie zabrała Bogiela i pijanych współnapastników chociaż byli świadkowie, którzy widzieli, że syn mój został napadnięty przez tych osobników i uderzony zniemacka, zza krzewu rosnącego za ławką, na której siedział wraz z dwoma sąsiadami, którzy również zostali pobici. Zaraz po powrocie syna ze szpitala przyszedł funkcjonariusz MO z II komisariatu i nakłonił syna do napisania oświadczenia, że nie rości sobie pretensji do Bogiela. Mówił, że czyn Bogiela został objęty amnestią i wobec tego, jeśli syn upierałby się przy ukaraniu Bogiela, to musiałby oskarżać go z prywatnego oskarżenia. Syn słysząc, że ma dochodzić swojej krzywdy z prywatnego oskarżenia, wydawać pieniądze na sąd i adwokata, zrezygnował i napisał oświadczenie, które podpisywał mu ten funkcjonariusz MO. Wynikało z te-

go, że ów Bogiel miał jakieś znajomości wśród milicjantów, jak mówiono wśród sąsiadów. Świadczyło o tym postawa tych, którzy wówczas tak łagodnie potraktowali Bogiela, jak gdyby nic nie zawił, a potem również starano się uchronić go od kary, wprowadzając syna w błąd, że czyn Bogiela został objęty amnestią, i że nie podlega publicznemu oskarżeniu choć to było nieprawda, bo był to czyn chuligański, którego amnestia nie obejmowała. Funkcjonariusz wykorzystał nieświadomość syna w tej sprawie.

Nadmieniłam również, że po rozejściu się wieści o śmierci syna zauważyłam, że Bogiel z dużym zadowoleniem, często, spoglądał w moje okna, na co również zwrócili uwagę niektórzy sąsiedzi. Bogiel, nie dość, że pokrzywdził mojego syna wówczas bez żadnego powodu, to jeszcze wtedy śmiało odgrażał się, usiłując wejść do mojego mieszkania wraz z lekarzem z pogotowia, lecz jeden z lekarzy prawdopodobnie przepędził go ze schodów w mojej klatce schodowej. Ja również słyszałam, jak Bogiel odgrażał się jeszcze wówczas pod moim balkonem, że mój syn i tak będzie zabity.

Pani funkcjonariuszka słuchała tej historii bardzo niechętnie i nie chciała tego nawet zanotować, mówiąc, że takich głupstw nie będzie notowała, że skoro wtedy było wzywana milicja, to na pewno w II komisariacie jest w tej sprawie jakaś notatka, i jeżeli uznają za stosowne, to zojrzą tam, ale na moje wyraźne żądanie zaledwie pobieżnie o tym wspomniała. Zauważyłam, że panią funkcjonariuszkę nie bardzo interesowały te informacje, wówczas moim zdaniem - mające znaczenie. Miała już wcześniej wytknięty kierunek i właśnie pod tym kątem zapisywała protokół i pod tym kątem prowadziła cały czas przesłuchanie, o czym zresztą za chwilę mnie poinformowała przy okazji sporo o zanotowanie czegoś, co zauważyłam będąc w parku na spacerze z psem. Opowiedziałam wówczas, że spacerując z psem w parku słyszałam - całkiem przypadkowo - strzęp rozmowy kilku podejrzanych osobników, którzy, jak mi się wydawało, rozpierzchli się na mój widok - natychmiast w różnych kierunkach, gdyż im z kłóci wydawało się, że być może słyszałam całą ich rozmowę, która dotyczyła bicia, czy mordowania jakiegoś człowieka. Uwawiano się na wypadek, gdyby ktoś o to pytał. Mówiłam wówczas, że przyjrzałam się tym osobnikom, i że niektóre z tych osób poznałabym.

Pani funkcjonariuszka wyraźnie zaprotestowała przeciwko zanotowaniu moich spostrzeżeń i powiedziała wówczas, że ona decyduje co ma znaczenie w tej sprawie i o tym co zanotować.

Panią funkcjonariuszkę zainteresowała jedynie sprawa braci Gabrysiaków i wciąż zadawała mi pytania dotyczące braci Gabrysiaków, mimo że kilkakrotnie wyjaśniłam, że mój syn był karany w sprawie z jednym z braci Gabrysiaków, ze Zbigniewem Gabrysiakiem, a nie z braćmi Gabrysiakami, że nie mi nie wiadomo w sprawie braci Gabrysiaków, że nie znam żadnego z braci, że nie znam również Zbigniewa, gdyż nie bywał nigdy u syna w moim domu, i że nie mógł mój syn mieć nic wspólnego z drugim bratem Gabrysiakiem, ponieważ słyszałam, że drugi z braci, już w tym czasie, odbywał jakąś karę w zakładzie karnym. Nadmieniłam również o tym, że w końcu listopada, lub w grudniu 77 r. przychodził może trzykrotnie do syna jakiś osobnik, który raz syna nie zastał, a innym razem wywołał syna na korytarz i tam rozmawiali podniesionymi głosami, co świadczyło o jakiejś różnicy zdań. Syn mój wyjaśnił mi potem, że osobnik ten nazywał się Dąbrowski, i że żądał od syna zmiany zeznań, które syn składał w czasie odbywania swojej kary w jakiejś sprawie, i że zeznania te prawdopodobnie dotyczyły owego Dąbrowskiego, i że temu Dąbrowskiemu znowu groziła jakaś sprawa w sądzie, i że sąd może się oprzeć na poprzednim zeznaniu syna. Domyślałam się, że owo zeznanie syna było niekorzystne dla Dąbrowskiego i dlatego żądał jego zmiany. Syn odmówił. Dąbrowski więcej nie przychodził.

Ten fragment mojego zeznania bardzo panią funkcjonariuszkę zainteresował i szczegółowo mnie wypytywała, sugerując, że może Dąbrowski ma coś wspólnego ze śmiercią syna. Wyjaśniłam, że wiadomo mi, że w chwili zgonu syna Dąbrowski już nie przebywał na wolności, gdyż wiem o jego matce, że w końcu grudnia został aresztowany. Widziałam u niej zawiadomienie prokuratury o tym, że Dąbrowski został osadzony w areszcie tymczasowym, jako podejrzany.

Pisenko nosiło datę 10 stycznia 78 r.

W czasie przesłuchania przebywał w pokoju funkcjonariusz Kmiec, który często wychodził. Wchodził natomiast inny człowiek, ktoś ze zwierzchników owej partii funkcjonariusz, który po cichu udzielał wskazówek tej pani, pokazując okówkiem na co ma kłaść nacisk protokółując moje zeznania.

Pani funkcjonariusz wypytywała z kim mój syn miał kontakty w ostatnim czasie. Wymieniłam, między innymi, niejakiego Wojciecha Bartnickiego, którego zachowanie wydało mi się dosyć dziwne, gdyż po śmierci syna mówił do mojego męża i innych osób, jakoby miał widzieć naszego syna w autobusie linii D, w dniu 22 lutego między godz. 15.30 a 16, wracając z pracy w towarzystwie swojego zwierzchnika /mistrza lub kierownika/, z którym był zajęty rozmową i dlatego wymienił z synem ukłon z daleka, nie podchodząc do niego, a potem nie zauważył gdzie mój syn wysiadł. Wydało mi się to dziwne, gdyż Bartnicki nic o tym nie wspominał do mnie, kiedy go pytałam wcześniej szukając syna, a nie wiedząc jeszcze o jego śmierci. Bartnickiego pytałam spotkawszy go rano na przystanku autobusowym, najprawdopodobniej w czwartek 23, kiedy jechałam do pracy. Bartnicki odpowiedział wówczas, że nie widział mojego syna i nie wie gdzie mógłby przebywać. Już po śmierci syna, kiedy go pytałam, czy może coś wie o jakich kontaktach syna z osobami, których ja nie znałam, również zaprzeczył. Później dowiedziałam się od dozerczyni mojego domu, ob. Poprockiej, że dwa tygodnie wcześniej przed śmiercią widziała mojego syna w towarzystwie właśnie Bartnickiego i jeszcze dwóch obcych ludzi w kożuszkach stojących przed II klatką schodową. Bartnicki w rozmowie ze mną zaprzeczał, mówił że nie znał tych ludzi, ale potem dowiedziałam się, że jednym z obcych był jeden z braci Janików, którzy zostali aresztowani w tym czasie kiedy mój syn zniknął, a potem zostali zwolnieni, a po kilku dniach znowu aresztowani pod zarzutem dokonania jakiegoś włamania.

Określiłam również w czasie przesłuchania dokładnie w jakiej odzieży wyszedł mój syn z domu do pracy w dniu 20 lutego, czyli ostatni raz.

Pani funkcjonariusz na początku przesłuchania poczęstowała mnie herbatą. Podała mi również krople na serce, gdyż czułam się bardzo źle. Pod koniec przesłuchania byłam bardzo oszołomiona, bliska omdlenia, ale kiedy doszło do podpisania zeznań, to mimo że nie mogłam odczytać pisma pani funkcjonariuszki zauważyłam, że moje zeznanie zostało zaprotokółowane bardzo niedokładnie, nieściśle lub wręcz niezgodnie z tym co mówiłam. Zakwestionowałam wówczas protokół na podstawie tego co zauważyłam, ale pani funkcjonariusz obiecała, że dokona poprawek. Na tym przesłuchanie zakończyło się.

Następnego dnia udałam się ponownie do KDMO-Bakuty, do pokoju 32 w celu sprawdzenia, czy pani funkcjonariusz dokonała obiecanych poprawek i uzupełnień mojego zeznania, ale spotkałam się z odmową, wręcz wręgin, nieuprzejmym potraktowaniem. Pani funkcjonariusz krzyczała, że niczego nie będzie poprawiała ani uzupełniała, że wychowałam pijaka i "lumpa", że mój syn zadął się z wielkimi bandytami. Będąc w tym czasie w pokoju funkcjonariusz Kmiec dodał ze swej strony, że "pani go sobie może idealizować, ale my go tak łatwo nie rozgrzeszamy". Następnie wyjął z szuflady cały plik jakichś akt i rzucił nimi z pasją o biurko, tuż przede mną. Krzyczał, że przez takich "lumpów", jak mój syn, musi godzinami wertować akta jakichś starych spraw. Wynikało z tych krzyków, z tych obelżywych określeń i uwag wypowiedzianych o synu przez oboje funkcjonariuszy, że jednak coś synowi zarzucano, że jednak musiał być wzywany w jakiejś sprawie do KDMO-Bakuty, i że musiało to mieć związek z okresem sprzed karalności syna. Oburzona zachowaniem obojga funkcjonariuszy, zwróciłam im uwagę na niewłaściwe ich zachowanie i zażądałam udostępnienia mi do zidentyfikowania odzieży i butów syna. Funkcjonariusz Kmiec odmówił, pokazując mi jedynie pudełko, na którym było napisane, że są to rzeczy Jana Kowalczyka znalezionego 23 lutego 1978 r., przy ul. Marysińskiej 69. Wobec tego poprosiłam o pokazanie mi spisu rzeczy syna. Kmiec odnalazł w teczce z aktami długą, wąską karteczkę, na której w kolumnie były wyszczególnione części odzieży syna, w które jakoby miał być ubrany w chwili znalezienia. Funkcjonariusz Kmiec kolejno odczytał, że spodnie były brązowe, przepasane skórzanym pasekiem zapiętyu metalową kłanrą, że



miął kurtkę brązową, ortalicjonową, zasuwaną na zamek błyskawiczny, że znalazł jakąś podkoszulkę i bliżej nieokreślone ciemnoswetry, oraz beżowe skarpetki, brązowe buty i brązowy szal. Poinformowałam o niezgodności tego spisu z odzieżą syna, w jakiej wyszedł ostatni raz z domu, i oświadczyłam, że wiadomo mi od ludzi, którzy byli i widzieli syna na miejscu znalezienia, że był on ubrany w swoją granatową kurtkę w kolorową kratę z wełny - flauszu, zapinaną dwurzędowo na czarne, duże guziki, a nie w żadną brązową, ortalicjonową, na zamek błyskawiczny. Zakwestionowałam również te brązowe spodnie i skórzany pas z metalową klamrą, które to rzeczy były wymienione w spisie, i wyjaśniłam, że mój syn wyszedł z domu w spodniach beżowych, szytych na miarę u krawca, że spodnie były z karczkiem w tyle, dobrze dopasowane w biodrach, w związku z czym nie nosił pasa, a nawet nie posiadał żadnego pasa, ani skózanego z metalową klamrą, ani innego. Zdziwiłam się skąd ten dziwny spis, bo syn również nie nosił żadnej podkoszulki i pytałam kto go sporządził?

Kmiec nie odpowiedział, natomiast pani funkcjonariusz poparła Kmiecicia, że to jest zgodne, bo w moim zeznaniu, nie wiadomo dlaczego, wpisała jakoby podała, że syn wyszedł ubrany w brązową, ortalicjonową kurtkę, mimo że ja określając odzież syna wyraźnie podałam, że kurtka była granatowa w kolorową kratę.

Zdziwił mnie ten spis nie wiadomo przez kogo sporządzony, jak również to, że pani funkcjonariusz zapisała tak niezgodnie z tym, co ja podałam. Mimo tak rażących nieścisłości, pani funkcjonariusz nie chciała nanieść żadnych poprawek ani sprostowań, lecz krzyczała, że nie chce mnie więcej widzieć, że nie będzie się więcej zajmować tą sprawą, bo stwierdziła, że ja nie mam do nikogo zaufania.

Nadmieniam, że zarówno w czasie przesłuchania, jak i dnia następnego w czasie sporu o te nieścisłości i niezgodność w zapisie protokołu, powoływałam się na informacje usłyszane od naocznych świadków będących przy znalezieniu syna, między innymi Stanisława Syguły, oraz dozorcę W. Majtczaka, od których dowiedziałam się jak wyglądał mój syn, i w co był ubrany w chwili znalezienia, oraz co działo się tam tego ranka dnia 23 lutego. Kiedy powołując się na Majtczaka powiedziałam, że widział on, że mój syn miał wgniecione w ciało kilka guzików, że wiadomo mi również o tym od Syguły i innych, jak również, że Majtczak widział, że nie były wykonane żadne czynności zabezpieczające ślady na miejscu znalezienia ciała, to wówczas funkcjonariusz Kmiec wypowiedział się pogardliwie i obelżywie o Majtczaka /chocąc pomniejszyć wartość jego świadectwa/, że opieram się na świadectwie "kretyna i debila", który przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Natomiast pani funkcjonariusz pokazała mi fragment protokołu z przesłuchania Stanisława Syguły, gdzie było napisane, że tych guzików było tylko cztery. To co było napisane u góry i niżej zakryła dłońmi.

Nadmieniłam również, że w chwili wejścia do pokoju 32, w tym dniu kiedy chciałam sprawdzić czy zostały wprowadzone poprawki i uzupełnienia do protokołu z dnia poprzedniego, zastałam tam prócz pani funkcjonariusz i ob. Kmiecicia jeszcze jednego funkcjonariusza ubranego po cywilnemu, w którym rozpoznałam jednego z czterech ludzi z pokoju 47, którzy kpili sobie wówczas, na początku marca, ze mnie kiedy pytałam, który z nich zajmuje się wyjaśnieniem sprawy tragicznego zgonu mojego syna, kiedy to akta tej sprawy gdzieś ginęły lub były celowo przesyłane to tu, to tam. Tym człowiekiem był funkcjonariusz Pająk, który zresztą sam mi się przypomniał, że jest jednym z tych, tak bezczelnie wówczas zachowujących się wobec mnie ludzi.

Na tym zakończyły się moje kontakty z KDMO. Łódź-Bałuty.

Po wyjściu z Komendy wiedziałam już, że dochodzenie w sprawie zgonu syna jest tylko fikcją obliczoną na upływ czasu, kiedy będzie można umorzyć śledztwo z powodu nie znalezienia sprawców. Dowiedziałam się wkrótce potem jak wyglądało przesłuchanie Stanisława Syguły, którego przesłuchiwało w KDMO-Bałuty kilka osób, pytając wielokrotnie o to samo, kłując świadka, zadając jednocześnie kilka pytań przez niejedną osobę. Z taśmy magnetofonowej odtwarzano pewne fragmenty zeznania i znów pytano o to samo, wyraźnie

usiłowano skołować Sygułę i nastraszyć, jak gdyby przesłuchującym zależało na tym, żeby świadek zagnatwał się w zeznaniach. /Wiadomo mi, że Stanisław Syguła od tej pory jest rzeczywiście zastraszony, a nawet lęka się o swoje życie. Jest mi również wiadomo, że dozorca Majtczak był przesłuchany dopiero w czerwcu, mimo że domagałam się jego przesłuchania wielokrotnie od dnia znalezienia ciała syna/.

W dniu 4 kwietnia, będąc w towarzystwie byłego kolegi syna, Andrzeja Chlebnego, od spotkanego przypadkowo dozorca domu przy ul. Marysińskiej 69 dowiedziałam się, że lokatorka tego domu z mieszkania 160, z V klatki schodowej /tej samej, pod którą znaleziono ciało mojego syna/, prosiła dozorcę o skontaktowanie jej ze mną, gdyż chciałaby dać mi jakieś oświadczenie mogące mieć znaczenie w wykryciu sprawców zbrodni popełnionej na moim synu. Usłyszawszy o tym, poprosiłam dozorcę Majtczaka, by mnie zaprowadził do owej lokatorki. Kiedy weszłam wraz z Majtczakiem oraz Andrzejem Chlebnym do mieszkania 160 przy ul. Marysińskiej 69, gospodyni mieszkania, młoda kobieta, Grażyna Czuba, oświadczyła mi, że w dniu 3 kwietnia podsłuchując pod drzwiami sąsiadów, zamieszkujących w II klatce, w mieszkaniu 62, słyszała kłótnię. Głos kobiety za drzwiami 62 wykrzykiwał mężczyźnie, że on kogoś zabił, i że będzie za to siedział. Mężczyzna odpowiedział, żeby się uspokoiła, że wie, ale nie da się złapać, i że w dalszym ciągu tej kłótni mówili o jakichś pieniądzach, które ona miała od kogoś wziąć, ale nie wzięła, bo nie wiedziała, że jemu na tym zależało. Grażyna Czuba napisała to oświadczenie z własnej inicjatywy, w dwóch egzemplarzach i wręczyła mi je. Poza tym powiedziała mi w rozmowie, że utrzymuje stałe kontakty z milicjantem nazwiskiem Pająk z działu kryminalnego KDMO-Bałuty, u którego często bywa w komendzie. W mieszkaniu Grażyny Czuby był również obecny jej mąż, Stanisław Czuba, który wydawał mi się bardzo podobny do jednego z tych osobników, których widziałam w parku, i którzy rozmawiali wówczas o biciu lub zamordowaniu jakiegoś człowieka. /Ludzi tych widziałam w wolną sobotę/.

W dniu 10 kwietnia 78 r. zgłosiłam się na wezwanie, które otrzymałam do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi, do pani prokurator Zofii Kaczorowskiej, w związku ze złożoną przeze mnie skargą z dnia 29 marca 78 roku. W czasie rozmowy p. prokurator Kaczorowska poinformowała mnie, że w związku z moją skargą przeglądała akta zgonu, w których znalazła notatkę służbową sporządzoną przez jakiegoś milicjanta /nazwiska jego pani prokurator Kaczorowska nie podała mi/, potwierdzającą, że mój syn był 20 lutego 78 r. w KDMO Łódź-Bałuty. W czasie rozmowy wręczyłam p. prokurator Kaczorowskiej jeden egzemplarz oświadczenia Czuby i podałam ustnie, do protokołu, zaskłyszana od sąsiadów opinię o Czubie. Sąsiedzi powiedzieli mi, że Grażyna Czuba jest konfidentką MO, i że właśnie współpracuje z milicjantem Pająkiem /czego zresztą nie ukrywa/, który często bywa w jej mieszkaniu, podobnie jak inni milicjanci z Komendy Łódź-Bałuty. Podałam również, że jest powszechnie znanym faktem wśród mieszkańców tego domu, że oboje Czubowie nie pracują, i że przebywają często w ich domu do późnych godzin nocnych jacyś podejrzani osobnicy.

W dalszej rozmowie wyraziłam przypuszczenie, że inicjatorem napisania przez Czubę tego oświadczenia, rzucającego podejrzenie na sąsiadów z mieszkania 62, jest właśnie milicjant Pająk. Pani prokurator również uważała oświadczenie Czuby za niewiarygodne i podejrzaną. Na zakończenie rozmowy pani prokurator zapowiedziała, że dom Grażyny Czuby będzie pod obserwacją.

W dniu 18 kwietnia dowiedziałam się od mieszkańców domu przy ul. Marysińskiej 69, że dnia poprzedniego, czyli 17 kwietnia 78 r. około godziny 20.00, odbyła się wizja lokalna pod tym domem w związku ze śmiercią mojego syna. Ludzie opowiadali, że przywieziono manekina, którego ułożono w tym miejscu, przed wejściem do V-tej klatki schodowej, gdzie leżało ciało syna. Mówiono, że fotografowano Stanisława Sygułę, któremu polecono opowiadać o wydarzeniu z dnia 23 lutego 78 roku i nagrywano to co mówił na taśmę magnetofonową. Wiem od samego Syguły, że jedna z dwu kobiet prokuratorów usiłowała sugerować Sygułę, kiedy mówił o guzikach wgniezionych w ciało syna, że nie było żadnych guzików. Syguła mówił, że ta prokurator krzyczała na niego,

że głupstwa opowiada, że nie było żadnych guzików. Natomiast inny prokurator, czy funkcjonariusz nazywał Sygułę typowym "bałamuciarzem", obrażając go tym. Syguła mówił, że w czasie przesłuchania w Komendzie, a także podczas wjazdu lokalnej traktowano go nieuprzejmie, robiąc uwagi w tym rodzaju "jak pan taki nądry i tak wszystko dobrze widział, to dlaczego pan nie zapisał numeru rejestracyjnego tego samochodu?"

Wizja lokalna trwała do godziny 22.00. W trakcie jej trwania Sygułę wiele razy fotografowano. Syguła od tego czasu nie czuje się bezpieczny, tym bardziej, że w sylwetce osoby biegnącej z III klatki schodowej do samochodu stojącego na parkingu przed blokiem, w dniu 23 lutego o świcie, a potem stojącej w charakterze obserwatora, zauważył duże podobieństwo do sylwetki Grażyny Czuby.

Wkrótce potem zorientowałam się, że milicjant Pajak został natychmiast poinformowany o złożeniu przeze mnie w Prokuraturze Wojewódzkiej oświadczenia Grażyny Czuby, jak również o treści mojego oświadczenia podanego do protokołu, dotyczącego opinii Czuby i jej powiązań z KDMO-Bałuty, oraz jej kontaktów z Pajakiem w szczególności. Wiadomo mi było zaraz, że wkrótce po mojej bytności w Prokuraturze Wojewódzkiej Pajak osobiście przyjechał i zabrał Grażynę Czubę do KDMO Łódź-Bałuty, gdzie potwierdziła to oświadczenie oficjalnym zeznaniem.

W świetle przytoczonych wyżej faktów, oraz stosunku Prokuratury i Komendy do mnie i do świadków, widząc jasną intrygę w oświadczeniu Grażyny Czuby, straciłam całkiem zaufanie do prowadzących pozorne śledztwo.

W dniu 12 maja złożyłam ponowną skargę do Prokuratury Wojewódzkiej prosząc jednocześnie o przejęcie dochodzenia przez Komendę Miejską MO. Bardzo długo nie otrzyrywałam żadnej odpowiedzi. Prośba moja nie została również uwzględniona, gdyż wiedziałam, że w tej sprawie w dalszym ciągu działa właśnie Pajak, któremu ktoś przekazał treść mojej skargi. Wiadomo mi, że po wpłynięciu mojej ponownej skargi, w której nadmieniałam o trzech świadkach, kolegach syna z pracy, którzy widzieli, że udał się w dniu 20 lutego 78 r. do KDMO-Bałuty, właśnie Pajak z drugim funkcjonariuszem udali się do Zgierzka, do "Boruty", i zabrali brygadę "Kotłomontażu" do Komendy Łódź-Bałuty na przesłuchanie. Przesłuchując dowiedzieli się nazwisk owych trzech kolegów, których nie wymieniłam w skarżce, ze względu na ich bezpieczeństwo. Wiadomo mi, że na wstępie każdemu z przesłuchiwanym zadano pytanie, czy nie zauważono u mojego syna zaburzeń psychicznych w ostatnim czasie.

Jednego z tych trzech kolegów, z którymi wracał 20 lutego z pracy, i do których mówił, że idzie do komendy, na wezwanie jakiegoś oficera czy inspektora dochodzeniowego /tego samego, który zajmował się jego sprawą, tą w której był karany/, Edwarda Hocha przesłuchiwanego w innym dniu oddzielnie, bo w tym czasie przebywał na delegacji w Kłodawie. Wiadomo mi, że Hocha przesłuchiwało kilka osób najpierw w Komendzie Łódź-Bałuty, następnie zaprowadzono go do Prokuratury Rejonowej Łódź-Bałuty i znowu, po raz wtóry, do komendy. Krzyczano na świadka i zastraszano, żeby go skołować, żeby zdenerwowany nie był w stanie zauważyć co podpisuje.

Wiadomo mi, że Hocha rzeczywiście udało się przesłuchującym nastraszyć i zdenerwować, gdyż w chwili kiedy zwrócił uwagę, żeby dokładnie zaprotokółować ten fragment zeznania, że słyszał jak mój syn mówił do niego i pozostałych kolegów, że idzie na wezwanie do KDMO-Bałuty, i że Hoch widział jak syn skierował się do budynku komendy, wówczas kilka osób zerwało się z krzesła i krzyknęło na Hocha, że oni decydują o tym co ma być zaprotokółowane i żeby im nie rządził. Hoch rzeczywiście zastraszony już nic więcej nie powiedział, i nie czytając podpisał co mu kazano, bo bał się o swoje życie, nie był pewien, czy wyjdzie z komendy. Zaraz po tym przesłuchaniu zaczął się interesować Hochem Zielnicowym w miejscu zamieszkania Hocha i zaczął nachodzić go w domu, pod pretekstem jakiejś kontroli, czy Hoch pracuje w przedsiębiorstwie uspokojonym, mimo że przez całe życie milicja Hochem się nie interesowała i nigdy nie dawała do tego powodu.

Jednego z tych trzech świadków, Kulika, nie przesłuchiowano, ponieważ przebywał w tym czasie na delegacji w Niemczech. Wiadomo mi, że również ko-

legom z miejsca zamieszkania zadawano pytanie, czy zauważona może u mojego syna jakiegś zaburzenia psychiczne, oraz prawie wszystkich pytano o to, co mówią sąsiedzi i ludzie w naszej dzielnicy, w związku z śmiercią syna.

Upłynął prawie miesiąc i oczekiwanej odpowiedzi w związku z moją skargą z dnia 12 maja skierowaną do Prokuratury Wojewódzkiej nie otrzymałam. Otrzymałam natomiast w pierwszej dekadzie czerwca 78 pismo z Prokuratury Rejonowej Łódź-Bałuty informujące mnie, że w związku z moją skargą z 12 maja do Prokuratury Wojewódzkiej informuje się mnie, że nadal wykonywane są czynności zmierzające do wyjaśnienia okoliczności śmierci mojego syna, i że bliższe informacje w przedmiocie poczynionych ustaleń mogą uzyskać po zgłoszeniu się do Prokuratury Rejonowej Łódź-Bałuty. Pismo podpisane było przez zastępcę prokuratora rejonowego, Barbarę Tylman.

W końcu czerwca otrzymałam wezwanie do Prokuratury Rejonowej, ul. Ciesielska 7, do pani prokurator Łuczowskiej, na dzień 28 czerwca 78 roku. Zgodnie z wezwaniem udałam się w tym dniu do Prokuratury Rejonowej. Pani prokurator Łuczowska na wstępie zapytała mnie czy w dalszym ciągu upieram się przy tym, że chcę zobaczyć odzież i buty syna. Odpowiedziałam twierdząco. Wówczas młody człowiek, ubrany po cywilnemu, obecny w pokoju /nazwiska nie znam/, wyjął z pudełka odzież i buty syna. W pokoju oprócz pani prokurator Łuczowskiej był inny młody prokurator wyznaczony do pomocy w tej sprawie, którego nazwiska nie znam i młody człowiek /wykładający odzież z pudełka/, jak się potem okazało, jeden z funkcjonariuszy z Działu Dochodzeniowego KDMO Łódź-Bałuty, oraz redaktor z rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi, pani Urszula Nikołajczyk.

Przystąpiłam do identyfikacji i oglądania rzeczy syna. Kurtka była granatowa w kolorową kratę, zapinana dwurzędowo na duże czarne guziki. Rozpoznałam w niej kurtkę syna. Kurtka była rozpruta w bocznym szwie pod pachą, czego przed wyjściem syna z domu nie widziałam. Rozpoznałam również dwa swetry syna. Jeden w czarno-czerwony wzór, wkładany przez głowę, nie zapinany na żadne guziki i drugi, jasno-szary w kolorową kratę, również wkładany przez głowę, również nie zapinany na guziki. W spodniach również rozpoznałam spodnie syna, beżowe z karczkiem w tyle, ale zauważyłam, że spodnie były bardzo podarte na biodrach przy szwach bocznych. Spodnie były wyraźnie w tych miejscach rozszarpane, przy zapięciu brakowało 4 guzików spodniowych. Widoczne było wyraźnie, że spodnie były na synu przez kogoś rozszarpane. Oglądając spodnie wyrażałam na głos swoje spostrzeżenia i uwagi, jak wyżej. Pani prokurator Łuczowska słysząc to próbowała sugerować, że spodnie prawdopodobnie były na synu rozcinane nożyczkami w Zakładzie Medycyny Sądowej podczas rozbierania go, choć zupełnie wyraźnie było widać postrzępione, rozszarpane brzegi, a nie cięcia nożyczek. Poza tym cięcia w tych miejscach poniżej paska byłyby zupełnie niecelowe, zbyteczne. Rozpoznałam również pozostałe części odzieży, jak szal brązowy z frędzlami, jak również majteczki niebieskie i beżowe skarpetki. Spodnie były również bardzo brudne, sponiewierane, majteczki też, a skarpetki aż sztywne. Wiadomo mi, że wychodząc w poniedziałek 20 lutego, rano z domu do pracy, syn miał te rzeczy u. zupełnie czyste. /Spodnie z soboty na niedzielę były wyprane i wyprasowane, oraz były całe, nie podarte, ani nie porozpruwane/.

Butów nie mogłam rozpoznać, gdyż były całkiem zapleśniałe, aż zielone od pleśni. Buty były całe, nie porozrywane, miały nie pocięte, ani nie porzecinane podeszwy i były bez sznurowadek. W jednym bucie był może dziecięciocentymetrowy strzępek sznurowadła. W środku były również spleśniałe, z lekko podartą wkładką. Były to buty zimowe z cholewkami podwyższonymi, sznurowane, ocieplone w środku flanelą. Takie właśnie były w środku buty syna. To było zgodne, ale wydawało mi się, że buty syna miały bardziej porowatą podeszwy, a te podeszwy były drobno kratkowane, wydawały mi się również mniejsze. Biorąc jednak pod uwagę to, że identyfikacji dokonywałam dopiero po upływie ponad czterech miesięcy, mogłam zapomnieć niektóre szczegóły dotyczące na przykład koloru, rozmiaru czy rodzaju podeszwy, i tak też było. Po powrocie do domu, oboje z mężem dokonaliśmy przeglądu pozostałych w domu innych butów syna, które również ja sama synowi kupowałam, i stwierdziliśmy,

że w tych drugich była taka bardziej porwana podszwa, a mąż zapamiętał, że właśnie w tych zimowych butach syna była podszwa w drobną kratkę. /Sprostowania tej kwestii dotyczącej nie rozpoznania przeze mnie w czerwcu butów syna dokonałam później w dniu 4 sierpnia podczas mojej bytności w KDMO w rozmowie z porucznikiem Poprawskim/.

Po zakończeniu oględzin i identyfikacji odzieży syna zwróciłam uwagę pani prokurator Łuczukowskiej na to, że w protokóle z 29 marca 78 r. zauważyłam wiele rażących nieścisłości, a w szczególności w podanym opisie odzieży syna, w której wyszedł ostatni raz z domu, i w której został znaleziony, o czym wiedziałam od naocznych świadków, oglądających syna na miejscu znalezienia. W protokóle zostało zanotowane inaczej, według spisu odczytanego przez funkcjonariusza Kmiecia z tej małej, wąskiej kartki. W związku z tym prosiłam o dokonanie sprostowania protokołu. Pani prokurator Łuczukowska przychyliła się do mojej prośby i dokonała poprawy protokołu w części dotyczącej opisu odzieży, jak również kilku innych kwestii, na które zwróciłam uwagę, i które zapamiętałam choć w części, a których poprawy nie chciała dokonać zaraz w marcu przesłuchująca mnie funkcjonariuszka KDMO Łódź-Bałuty. Jedną z kwestii spornych dotyczyło ilości guzików widzianych w ciele syna przez ludzi na miejscu znalezienia. Podałam zgodnie z tym co słyszałam, że było ich kilka, 6 lub 7, a pani funkcjonariusz wpisała, że było tych guzików tylko cztery. Pani prokurator dokonała również sprostowania we fragmencie protokołu dotyczącym guzików.

W czasie składania zeznania, kiedy mówiłam na temat powiązań Grażyny Czuby z KDMO Łódź-Bałuty, a w szczególności z jednym z inspektorów z Działu Dochodzeniowego, Pająkiem, wyszło na jaw, że ów młody człowiek trochę wcześniej rozwijający paczkę z odzieżą syna, obecny w trakcie moich zeznań, jest również z Działu Dochodzeniowego KDMO Łódź-Bałuty. Zaprotestowałam przeciwko obecności tego funkcjonariusza w czasie mojego zeznania, tym bardziej, że ten człowiek, zupełnie nieuprawniony, zaczął zadawać mi pytania zawierające groźbę. Zażądałam opuszczenia pokoju przez tego człowieka pod groźbą przerwania zeznań, gdyż dalsze dochodzenie miało być prowadzone z całkowitym wykluczeniem KDMO Łódź-Bałuty, co było uzasadnione i konieczne w związku z zarzutami jakie zawierały obydwie moje skargi skierowane do Prokuratury Wojewódzkiej. Pani prokurator Łuczukowska zakończyła incydent wydając polecenie opuszczenia pokoju temu funkcjonariuszowi oraz na moją prośbę, wprawdzie nieścisłe, ale zaprotokółowała wzmiankę o tym incydencie. Poprosiłam panią prokurator o odszukanie w aktach tej małej, wąskiej kartki, na której był spis rzekomych rzeczy syna, z którego w marcu odczytał mi funkcjonariusz Kmiec, że syn miał kurtkę brązową na zamek błyskawiczny, że spodnie brązowe, przepasane skórzanym paskiem z metalową klamrą i podkoszulkę. Spisu tego pani prokurator nie znalazła. Ani żadnego innego. Nie było również notatki z ustaleniem jakiegoś funkcjonariusza, że mój syn był 20 lutego 78 r. w KDMO Łódź-Bałuty, tej, o której znalezieniu i treści w dniu 10 kwietnia poinformowała mnie pani prokurator Zofia Kaczorowska w Prokuraturze Wojewódzkiej. Pani prokurator Łuczukowska poinformowała mnie o innej notatce, a właściwie całej relacji napisanej przez funkcjonariusza KDMO przy ul. Lutomierskiej, niejakiego Zbigniewa Łagiewskiego, i odczytała mi ją. Notatkę widziałam całkiem z bliska i zapamiętałam jej treść. Była napisana na zielonym papierze, dość dużym pismem, i nosiła datę 25 marca, ale leżała między innymi kartkami noszącymi datę z maja. Treść notatki mówiła, że Łagiewski znalazł syna od czasów dzieciństwa, ze szkoły podstawowej, do której uczęszczał wraz z moim synem. Według relacji Łagiewskiego, mój syn w dniu 20 lutego o godz. 16-tej przyszedł do niego do KDMO przy ul. Lutomierskiej, kompletnie pijany, z prywatną wizytą, i powiedział Łagiewskiemu, że przebywał za granicami Polski, tam zamordował jakiegoś człowieka, i że ma <sup>bardzo</sup> więcej morderstw na sumieniu.

Łagiewski widząc, że mój syn był rzekomo pijany, nie uwierzył w to co syn opowiadał i powiedział mojemu synowi, że jak się upił, to niech idzie do domu i niech się położy spać. Syn posłuchał jego rady i wyszedł. Łagiewski nie widział go już więcej. Ja, usłyszawszy wręcz nieprawdopodobną treść relacji Łagiewskiego, zapytałam żeby się upewnić jeszcze raz o to, do jakiej

sakoły uczęszczali razem mój syn z Łagiewskim. Pani prokurator jeszcze raz odczytała ten fragment mówiący, że do szkoły podstawowej. Wówczas zrobiłam uwagę, że mój syn nigdy nie wyjeżdżał poza granice Polski, i że relacja Łagiewskiego jest wynysłem. Pani prokurator poinformowała mnie natychmiast o istnieniu drugiej notatki służbowej, z której wynikało, że sprawdzono, że mój syn nie wyrabiał nigdy paszportu zagranicznego, i rzeczywiście nigdy nie wyjeżdżał poza granice Polski. Reasumując, z treści obydwu notatek wynikało, że ludziom, którzy do tej pory zajmowali się prowadzeniem pozornego dochodzenia, zależało na stworzeniu w aktach obrazu postaci pijaka-maniaka, który miał urojone wyrzuty sumienia, z powodu urojonych zbrodni. Dlatego wypytywano wcześniej kolegów syna z pracy i kolegów w miejscu zamieszkania, czy nie zauważono u syna w ostatnim czasie przed śmiercią zaburzeń psychicznych. Zresztą pani funkcyjnariuszka z KDMO, z pokoju 32, w marcu w czasie przesłuchania też zadawała mi podchwytliwe pytania mające to samo na celu, gdyż widocznie już wtedy podjęto ten zamysł. Chodziło zapewne o to, żeby zmniejszyć wartość zeznań tych kolegów z pracy, z którymi syn wracał 20 lutego z pracy, do których mówił o wezwaniu przez jakiegoś oficera, czy inspektora dochodzeniowego /tego samego, który zajmował się jego sprawą - tą w której był karany/, do KDMO-Bakuty, i do których mówił, że obawiał się aresztowania; którzy zresztą widzieli, jak mój syn skierował się wprost do budynku Komendy Łódź-Bakuty, przy ulicy Ciesielskiej.

Wprowadzając do akt relację Łagiewskiego, chciano stworzyć mit o pijaku-maniaku mającym urojenia. Urojeniem miało być to, co mówił do kolegów o wezwaniu do KDMO Łódź-Bakuty i to, że miał obawę przed aresztowaniem.

Wyraziłam głośno mój pogląd na sprawę relacji Łagiewskiego, jak i oświadczenia Grażyny Czuby. Obydwa te oświadczenia, moim zdaniem, były napisane pod dyktando morderców mojego syna, których sylwetki same wycierają z tych prymitywnych wynysłów stworzonych przez równie prymitywnych, zwyrodniałych ludzi, zdolnych do popełnienia bestialskiego morderstwa na bezbronnym człowieku.

Wchodząc do pokoju, do pani prokurator Łuczowskiej, zauważyłam na korytarzu Wojciecha Bartnickiego, który również czekał na przesłuchanie. W rozmowie z panią prokurator wyraziłam powątpiewanie w prawdziwość twierdzenia Bartnickiego, jakoby miał widzieć mojego syna w dniu 22 około godziny 15.30 wracając w towarzystwie swojego zwierzchnika z pracy, w autobusie linii D. Bartnicki twierdził, że kiedy wsiadł z tym zwierzchnikiem do autobusu, mój syn był wewnątrz. Powiedzieli sobie z daleka "cześć", a potem - zajęty rozmową ze zwierzchnikiem /kierownikiem lub mistrzem/ - nie zauważył gdzie mój syn wysiadł.

Wyjaśniłam powody z jakich nie wierzę w twierdzenie Bartnickiego. Zachowanie Bartnickiego wydało mi się od początku dosyć dziwne, gdyż pytałam go jak syn nie wracał długo do domu, a jeszcze nie wiedziałam o jego śmierci, czy może nie wie gdzie mój syn przebywa. Odpowiedział, że go nie widział i nie wie gdzie może przebywać. Pytałam go również, już po śmierci syna, czy mu coś wiadomo o tym, z kim mógłby mieć mój syn kontakty. Również zaprzeczył, co okazało się potem nieprawdą. Poza tym, zachowanie Bartnickiego było w ogóle dosyć dziwne od śmierci syna. Opowiadał do ludzi różne dziwne rzeczy na temat: dlaczego niósł trumnę na pogrzebie syna i inne. Wiedziałam, że nie mógł widzieć mojego syna w autobusie, gdyż od poniedziałku już nikt syna nie widział, a przedtem zawsze kręcił się niedaleko domu i ktoś mógłby go widzieć. Poza tym nigdy nie zdarzyło się, żeby tak długo nie wracał do domu. W jednym tylko przypadku nie wrócił również długo - kiedy na jesieni 77 r. został zatrzymany na 48 godzin w KDMO Łódź-Śródmieście, o czym opowiadałam również pani Prokurator Łuczowskiej.

Twierdziłam, że Bartnicki wydaje mi się postacią dosyć podejrzaną. Rozgłasza, że widział mojego syna wracając z pracy autobusem na czyjeś polecenie, że być może fakt, iż przebywa na wolności jest uwarunkowany tym, że będzie tak twierdził. Mówił również, że Bartnicki nie jest człowiekiem o zbyt dobrej opinii, co pani prokurator potwierdziła. Mówiłam, że wiele osób zauważyło, że Bartnickiego - przez kilka dni, już po pogrzebie syna - nie było w domu.

Pani prokurator Łuczowska wydała polecenie młodemu prokuratorowi, który jej pomagał, żeby przesłuchał Bartnickiego na okoliczność, co robił w dni poprzedzające zniknięcie mojego syna; w tym okresie i potem, w szczególności co robił w dniu 22 lutego 78 roku, i żeby sprawdził alibi na ten okres. Kiedy prokurator wyszedł /przesłuchiwał Bartnickiego w innym pokoju/, a kiedy po pewnym czasie wrócił, zdawał relacje z tych ustaleń o Bartnickim pani prokurator Łuczowskiej w mojej obecności i w obecności pani redaktor Mikołajczyk, która cały czas była w pokoju podczas oglądzin i identyfikacji przeze mnie rzeczy syna, jak również podczas mojego przesłuchania i rozmowy z panią prokurator Łuczowską.

Kiedy prokurator mówił, iż ustalił, że Bartnicki nie był w pracy bez usprawiedliwienia się w sobotę, w dniu 18 lutego 78 r., następnie znów nie był w pracy w środę, w dniu 22 lutego 78 r., gdyż korzystał z dnia wolnego, potem również nie był w pracy bez żadnego usprawiedliwienia przez trzy kolejne dni, które potem po uzgodnieniu z mistrzem policzono mu na początek urlopu. Nie zapamiętałam daty tych kolejnych trzech dni. Bartnicki wyjaśnił, że był wtedy u rodziny na wsi. Ową kiedy prokurator uzyskał te informacje po skontaktowaniu się z zakładem pracy Bartnickiego.

Z ustaleń tych wynikało, iż moje podejrzenie, że Bartnicki nie mówił prawdy twierdząc, że widział mojego syna 22 lutego wracając z pracy, okazało się słuszne, gdyż Bartnicki nie będąc w ogóle w pracy, nie jechał z pracy autobusem ze swoim zwierzchnikiem, i nie mógł wiedzieć w tym autobusie mojego syna.

Na zakończenie pani prokurator Łuczowska zapewniła mnie o swojej bezstronności w prowa dzeniu dochodzenia i nadmienila, że od niedawna dopiero przekazano jej akta sprawy zgonu syna i przyznała, że rzeczywiście w tej sprawie do tej pory dziwnie działano, że właściwie niewiele robiono w celu wykrycia sprawców zbrodni. Nie chciała jednak wypowiedzieć się, co sądzi o oświadczeniu Czuby i relacji Łagiewskiego, natomiast zapytała mnie czy oświadczenie Czuby napisane było w dwóch egzemplarzach, co potwierdziłam.

Pani prokurator pokazała mi album, a konkretnie jedno zdjęcie ciała wykonane w Medycynie Sądowej przez ekipę z Komendy Ruchu Drogowego, to gdzie dość niewyraźnie były widoczne ślady po tych wgniecionych w ciało guzikach, nie pozwalając na oglądanie dalszych. Również odmówiła udostępnienia mi wglądu w akta i w protokół sekcji zwłok, tłumacząc to dobrem śledztwa, co mnie zupełnie nie przekonało o słuszności i prawdziwości pobudek tych przeciwwskazań.

Potem dowiedziałam się, że był przesłuchiwany dozorca Wacław Majtczak i również był pytany przez owego młodego prokuratora, czy oświadczenie Czuby było pisane w jego obecności, i czy zostało napisane w dwóch egzemplarzach. Wiadomo mi także, że w tym czasie była również przesłuchiwana Czuba, i że potwierdziła swoim zeznaniem kontakty służbowe z KDMO i fakt, że ściśle współpracuje z Pajakiem z działu dochodzeniowego.

W końcu lipca 78 r. otrzymałam pismo z Prokuratury Wojewódzkiej informujące mnie, że dochodzenie w sprawie śmierci mojego syna przejął Prokurator Wojewódzka i będzie ono prowadzone przy współudziale KWMO w Łodzi. Pismo to było podpisane przez Prokuratora Wojewódzkiego, ob. Niesyto.

W dniu 1 sierpnia udałam się do Prokuratury Wojewódzkiej, do prokuratora Niesyto, w celu uzyskania informacji w sprawie postępowania dochodzenia. Prokurator Niesyto na wstępie oznajmił mi, że zgodnie z moją prośbą zawartą w skardze z dnia 12 maja 78 r. skierowanej do Prokuratury Wojewódzkiej, akta sprawy znajdują się w KWMO w Łodzi, przy ul. Lutonierskiej, i dochodzeniem w sprawie będzie się zajmował poręcznik Poprawski z KWMO, którego prokurator Niesyto sam osobiście do działania w tej sprawie wybrał. Odpowiedziałam, że rzeczywiście składając 12 maja skargę prosiłam w niej o przekazanie czynności dochodzeniowych Komendzie Wojewódzkiej z uwagi na zarzuty, jakie zawarłam w skardze pod adresem KDMO Łódź-Bełuty i Prokuratury Rejonowej-Bałuty, w związku z całkiem jednoznaczną postawą tych organów od początku sprawy zniknięcia i zgonu mojego syna, a potem, postawy w całym toku dochodzenia w sprawie. Ale, że od chwili złożenia przeze mnie skargi upłynęło wiele czasu

i w tym czasie wiele się zmieniło, w związku z tym moją prośbę dotyczącą przekazania dochożenia w KDMO w Łodzi stała się nieaktualna, chociażby ze względu na oświadczenie funkcjonariusza Łagiewskiego, które świadczy o tym, że funkcjonariusze z działu kryminalnego KDMO Łódź-Bałuty, których podejrzewam o zamordowanie mojego syna /gdyż wiele na to wskazuje/, mają również swoje wpływy w KDMO poprzez pewne powiązania z funkcjonariuszami z Komendy Wojewódzkiej.

Prokurator Niesyto dość niegrzecznie odparł, że przecież Scotland Yardu dla mnie nie sprowadzi, i że moje oskarżenie opieram jedynie na tym, że mój syn w chwili zgonu był trzeźwy. Zwróciłam uwagę na ~~zaistniałe~~ fakty, które wyraźnie wskazują, gdzie należy szukać sprawców zbrodni: chociażby obrażenia jakich nie mógł mój syn odnieść w żadnym wypadku - obrażenia obydwu stóp od spodu /przy tym buty były całe i bez szmrowadek/. Wymieniłam również fakt istnienia świadków, do których syn mówił, że został wezwany do KDMO Łódź-Bałuty przez inspektora lub oficera dochożeniowego, tego samego który zajmował się poprzednią sprawą, w której był karany, i że obawiał się zatrzymania w areszcie, o czym właśnie mówił żegnając się z kolegami w pobliżu KDMO Łódź-Bałuty, i że ci koledzy widzieli jak skierował się prosto do budynku komendy i tu właśnie urwał się ślad po moim synu. Wówczas prokurator Niesyto rzucił mi błachy argument, że przecież koledzy nie widzieli samego momentu wejścia do komendy, bo patrzyli za odchodzącym już do budynku komendy moim synem od strony ul. Sycerskiej, a wejście jest od ul. Ciesielskiej. Odpowiedziałam, że ani koledzy, ani mój syn nie mogli przewidzieć tego, co go tam spotka, bo gdyby przewidział, nie poszedłby tam sam i zaangażowałby sobie fotografa z kamerą filmową.

Prokurator Niesyto odrzucił wszystkie fakty, jakie wymieniałam, przekręcał je, polecał mi wyjaśniać niektóre punkty zarzutów jakie zawarłam w skardze, a w trakcie składanych wyjaśnień przerywał mi, wpadając w słowa, kończąc za mnie zdania, dowolnie interpretując. Przekręcał moje słowa w pół minuty po ich wypowiedzeniu, odmawiał udzielania jakichkolwiek odpowiedzi na moje pytania w istotnych kwestiach dotyczących na przykład oświadczenia Czuby i jej powiązań z funkcjonariuszami Działu Kryminalnego w KDMO Łódź-Bałuty, a w szczególności z funkcjonariuszem Pajakiem, czego nie ukrywa sama Czuba, chętnie informując o tym swoje otoczenie. Do mnie również mówiła o tym w obecności świadków. Zwróciłam również uwagę na rażące, prymitywne wymysły funkcjonariusza Łagiewskiego, które z góry określają cel, w jakim napisano tę niby "relację", która wskazuje na konkretne postacie morderców. /Łagiewski być może jest jednym z nich/. Nadmieniam, że niemożliwością jest, żeby mądrzy inteligentni ludzie, prawnicy, zajmujący się tą sprawą w instancji nadrzędnej, jaką jest Prokuratura Wojewódzka nie dostrzegali widocznych, prymitywnych matactw w aktach, wymysłów obliczonych na ukrycie i uchronienie sprawców dokonania bestialskiego mordu na bezbronnym człowieku.

Zarzucałam, zgodnie z moimi spostrzeżeniami, że niektóre notatki, jak np. ta, o której zostałam poinformowana w dniu 10 kwietnia przez prokurator Kaczorowską /notatka, którą sporządził jakiś funkcjonariusz, z której wynikało, że ustalił, iż mój syn w dniu 20 lutego był w KDMO Bałuty, ale nie udało się ustalić u kogo i w jakiej sprawie/ została już celowo usunięta z akt, a na jej miejsce pojawiła się relacja Łagiewskiego, której w dniu 10 kwietnia jeszcze w aktach nie było, mimo że nosi datę 25 marca, a wpłynęła do akt dopiero w maju, po przesłuchaniu kolegów syna z "Kotłomontażu" przez Pajaka i innych funkcjonariuszy z działu kryminalnego, mimo że z mojej skargi z dnia 12 maja jasno wynikało, kogo podejrzewam o zamordowanie mojego syna i dlaczego.

Prokurator Niesyto, w czasie rozmowy nie słuchał i nie uznawał zaistniałych faktów, przekręcał je, oraz obrażał mnie, przerywając mi odpowiedzi na pytania, które zadawał, porównywaniem z przekupkami z Bałuckiego Rynku. Wreszcie oznajmił, że udostępni mi wgląd w akta i do protokołu sekcji, mówiąc: "żeby pani nie gadała, że coś tam się zmienia". W tym celu zadzwonił do perucznika Poprawskiego, do KDMO uprzedzając go, że zgłoszę się tam w dniu 4 sierpnia.



W dniu 4 sierpnia zeznałam się do porucznika Poprawskiego, który na wstępie zapytał mnie o jakieś wiadomości i nazwiska nowych świadków, które jakoby miałam mu podać, gdyż taki cel mojego przybycia podał mi prokurator Niesyto. Odpowiedziałam, że przyszedłam głównie w celu wglądu w akta i w protokół z sekcji, ale porucznik zaproponował wstępną rozmowę. W czasie rozmowy porucznik Poprawski wypowiedział się tak samo jak prokurator Niesyto, że oskarżenie opierał jedynie na tym, że mój syn był w chwili zgonu trzeźwy. Na temat relacji Łagiewskiego nadmieniał, że Łagiewski od kilku zaledwie tygodni został przeniesiony z KDMO Łódź-Bałuty do KDMO przy ul. Lutomierskiej wobec czego poprosiłam o odszukanie i ponowne odczytanie oświadczenia Łagiewskiego, którego treść znałam już od dnia 28 czerwca, kiedy byłam u prokurator Łuczukowskiej. Porucznik Poprawski chętnie odnalazł i odczytał.

Stwierdziłam, że oświadczenie Łagiewskiego zostało zmienione. Z treścią nowego oświadczenia Łagiewskiego wynikało, że syna mojego znał, bo przez jeden rok uczęszczali do tej samej klasy w V Liceum Ogólnokształcącym. Potem, według relacji, mój syn przeniósł się do innego liceum i Łagiewski spotykał go, od czasu do czasu, przypadkiem na ulicy. Spotkania te ograniczały się do "Cześć-cześć, co słychać?". Dalej Łagiewski nie pamięta dokładnie, ale było to gdzieś w pierwszej połowie lutego, spotkał mojego syna w przedsionku Komendy-Bałuty przy ul. Ciesielskiej.

Kowalczyk, czyli mój syn, był bardzo pijany, i powiedział do Łagiewskiego, że chce mu coś powiedzieć, więc Łagiewski zaprosił go do pokoju na górę. Wówczas syn powiedział mi, że przebywał poza granicami PRL i tam dokonał jakiegoś morderstwa, i że ma więcej morderstw na sumieniu. Łagiewski jednak, widząc, że Kowalczyk był bardzo pijany nie uwierzył w to, co ten mówił. Powiedział mu, żeby głupstw nie opowiadał i poszedł do domu się wyspać. Wobec tego Kowalczyk wyszedł i Łagiewski już go nie widział. Następnie odczytał mi porucznik Poprawski notatkę sporządzoną przez funkcjonariusza Kniecia, jako podkład pod notatkę Łagiewskiego. Według tej notatki Knieć ustalił, że w dniu 20 lutego był Jan Kowalczyk w KDMO Łódź-Bałuty u niejakiego funkcjonariusza Łagiewskiego. Natomiast notatki tej, o której poinformowała mnie prokurator Kaczorowska nie znalazł, ani też wąskiej karteczki z dziwnym spisem odzieży. Znalazł za to inny spis, na kartce dużo większego formatu, sporządzony przez Komendę Ruchu Drogowego. Kartki tej w dniu 28 czerwca w ogóle nie było w aktach.

Porucznik Poprawski szukał również na moją prośbę i nie znalazł wzmianki na temat ustaleń o Wojciechu Bartnickim, że w dniu 22 lutego 78 r. nie był w ogóle w pracy, bo korzystał z dnia wolnego, co miałoby znaczenie w sprawie i byłoby dowodem złożenia fałszywego zeznania przez Bartnickiego, który przecież zeznał, że wracając z pracy w dniu 22 lutego między 15.30 a 16.00 w towarzystwie swojego zwierzchnika, widział mojego syna w autobusie? Skoro Bartnicki nie był w pracy, nie mógł wracać z pracy i widzieć mojego syna. Okazało się, że prokurator Łuczukowska celowo nie zrobiła żadnej wzmianki na temat tych ustaleń, mimo że relację z tych ustaleń w dniu 26 czerwca zdawał jej między prokurator w mojej obecności i w obecności pani redaktor Mikołajczyk.

W trakcie rozmowy z porucznikiem Poprawskim, który zachowywał się nie-nagannie /był uprzejmy/, poprosiłam o wgląd w akta i w protokół sekcji. Wówczas porucznik, nie chcąc tego uczynić przy mnie, przeprosił mnie i poszedł porozumieć się z innym telefonem i odradził prokuratorowi Niesyto udostępnienie mi wglądu w akta i w protokół sekcji. Wróciwszy po chwili oznajmił mi, że jednak prokurator Niesyto nie udostępnił mi wglądu w akta i w protokół nie wyjaśniając motywów, mimo że na wstępie rozmowy zapewniał mnie o swojej bezstronności w sprawie, i o sumienności z jaką będzie prowadził dochodzenie, żeby ujawnić sprawców zbrodni popełnionej na moim synu.

Wiadomo mi również, że porucznik Poprawski przesłuchując sąsiadkę, Zofię Waszczyk, próbował jej sugerować, że niemożliwe jest, żeby nie widziała mojego syna od niedzieli 19 lutego, jak zeznała. W ogóle nie notował jej zeznań i nie sporządził żadnego protokołu. Wiem, że innym świadkiem, niektórym kolegom sugerowano, że syn pojechał gdzieś "żukion" z kolegami, i że zabili

go koleżki. Wiem również, że inny funkcjonariusz robił do świadka uwagi o mnie w rodzaju - "co ta kobieta jeszcze szuka".

W tej sytuacji stało się jasne, że nie mogę liczyć na bezstronne rozpatrzenie sprawy, bo wiem, że również Komenda Wojewódzka, jak i Prokuratura Wojewódzka są zainteresowane w zatajeniu prawdy, o czym świadczą chociażby zmiany w aktach, jakie zauważyłam. Nie udostępniono mi do wglądu w akta, by można było w nich w dalszym ciągu dokonywać różnych zmian w miarę rozwoju sytuacji i potrzeb w sprawie. Wszystko to dowodzi ponad wszelką wątpliwość kto jest sprawcą bestialskiego morderstwa dokonanego na moim synu.

A przecież prawo powinno znaczyć prawo, dla wszystkich obywateli jednako. A tym bardziej dla organów ścigania, które są właśnie w tym celu powołane, by strzec porządku i praworządności, a w razie potrzeby zapewnić obywatelowi bezpieczeństwo. Gdyż podstawowym prawem obywatela jest prawo do życia.

Zofia Kowalczykówna

-----

W posiadaniu redakcji - oraz Biura Interwencyjnego Komitetu Samoobrony Społecznej "KOR" - znajduje się kilka tego rodzaju relacji i dokumentów. Wszystkie dotyczą tragicznych śmierci osób zatrzymanych w KDMO Łódź-Bałuty. W sprawach tych powtarzają się zwłaszcza nazwiska dwa funkcjonariuszy tej Komendy: Majewskiego i Pajaka. W "Pulsie" nr 6 publikowaliśmy pismo Prokuratury Wojewódzkiej w sposób kuriozyczny uzasadniające umorzenie śledztwa wszczętego na żądanie rodziny Zbigniewa Gidelskiego, po jego śmierci wskutek pobicia w KDMO Łódź-Bałuty.

red.

Tomasz JASTRUN

LAS BIRNAM RUSZYŁ...

Kasjerka nie dziwi się, gdy proszę o bilet do Gdańska. Wsuwam go do kieszeni jak przepustkę w inny świat.

W przedziale siedzi tylko jeden pasażer, starszy mężczyzna w wytartym garniturze, ze skórzaną teczką ustawioną na kolanach. Kiwa głową na powitanie i robi okok siebie miejsce, ogarniając poły płaszcza, jakby nie widział, że przedział jest pusty. Pociąg drgnął, mężczyzna przeżegnał się.

- Pan do Gdańska? - pytam.

Mówi, że mieszka tam. Był na wsi, w dziurze zabitej dechami i wraca teraz do domu.

- Co na Wybrzeżu? Nic nie wiem... - pyta nieśmiało i spogląda z lękiem, jakby bał się mojej odpowiedzi.

Uśmiecham się.

- Mam nadzieję, że pan ma mocne serce?

Nie odwzajemnia uśmiechu.

- Jestem po dwóch zaważach...

Gasną światła Dworca Centralnego, wjeżdżamy do tunelu.

- Stocznia trzyma się... Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy... przyłączają się do niego nowe zakłady, setki fabryk, już nie tylko z Wybrzeża, ale z całego kraju - melduję niemal wojskowo, niepomyślnie dwóch zaważów serca mojego rozmówcy. Mówiąc, czuję nagle wzruszenie, które on powinien odczuwać słysząc najnowsze wiadomości. Ale właściciel teczki ma kamienną twarz. Przygarbił się tylko trochę, jakby przytkoczony moimi słowami i milczy tak stanowczo, że odbiera mi to chęć do dalszej rozmowy.

Pociąg wypada z tunelu. Widać Wisłę i praski brzeg w łunach świateł. Pograżam się w myślach, które gęstnieją.

Polska jest na krawędzi katastrofy lub zbawczego przełomu. Do dziś było kłamstwo, obłuda, bezsens. Ludzie czuli, że żyją w gnijącym organizmie, że sami gniją. Były piękne gesty: książki i pisma wydawane poza cenzurą, był TKN i podziemne wykłady, Studenckie Komitety Solidarności i grupa oficjalnych działaczy demokratycznej opozycji, przekonanych nie tylko o słuszności sprawy, lecz również, jakże często, o daremności swojej ofiary, bo tak jałowy był grunt i czas.

Mówiło się: - "Jeżeli jest jakaś szansa, że słowo stanie się ziarnem, które nagle zakiełkuje... Jeżeli jakiś cud stworzy sprzyjające warunki..." Właśnie teraz... staje się cud.

W Warszawie niepewność i nadzieja. Liczne aresztowania. Dziennikarzyna w masce obłudnej powagi straszy w TV duchami XVIII wieku. A miasto aż huczy od plotek. Podobno zaobserwowano ruchy oddziałów milicji i wojska... podobno szykuje się atak na stocznnię...

A kilkanaście lat temu taki sam stukot kół o szyny. Mam sześć lat, jadę z babcią do Poznania. Pociąg staje, jest noc. Dlaczego nigdzie nie ma stacji? Słychać jak pękają niewidoczne banki, ktoś mówi, że to strzały. Przenikliwe szepty ludzi, w ich oczach strach, który rośnie jak las... Wyszliśmy, chociaż nie ma peronu. Jest ciemno, na dole kłębowisko błyszczących szyn. Potem pustymi ulicami prowadzi nas kolejarz w mundurze. Gwiazdy na niebie, przemykamy pod murami. Nagle z rykiem nadlatuje samolot. Babcia kłęka na chodniku, ja też. Mieszkanie obcych ludzi, chleb ze smalcem. Ktoś

przychodzi i mówi, że widział kałuże krwi na ulicach. Radio wymienia imiona i nazwiska ludzi. To z nich są te kałuże.

... Otwieram oczy. Jest rok 1980. Mężczyzna z teczką na kolanach nie śpi; czuwa nad swoim chorym sercem.  
Pociąg kokysze się jadąc ciemnym korytarzem Środkowej Europy obok lewej ściany wschodu. Jest piekielnie zimno, a przecież to sierpień.

Środa 27 sierpnia

Ranek. Wsiadłem na peronie w Gdańsku. Ludzie nie noszą tutaj transparentów, tylko swoje zwykle zmęczone twarze, za którymi kryje się jednak jakaś tajemnica. W oknach domów na próżno szukam biało-czerwonych flag, o których mówiono w Warszawie. Jest cicho, szaro, spokojnie i ten spokój nie może pogodzić się z niepokojem, który jest we mnie.

Są. Dwóch milicjantów i żołnierza Przechodnie patrzą im w oczy. To dowód, że nie ma tu strachu, tylko determinacja, o której szeptałyśmy kraj.

Zbliżam się do stoczni. Milicjanci z drogówki są bez pałek i broni. Sprawdzają nieliczne samochody jadące w kierunku Stoczni. Zaskaniają ją jeszcze wysokie bloki, pomniki upadku naszej architektury.

Jest tłum ludzi i brama pełna kwiatów, w których tona portrety Papieża i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na drewnianej tablicy wisi 21 postulatów. I wszędzie kwiaty, świeże i zwiędłe kwiaty. Po lewej stronie stoi krzyż, nie tak wysoki jak w opowieściach. Tam - urósł aż do nieba. Na nim wiersz - nickiewiczowskie tłumaczenie Byrona:

"Walka o wolność gdy się raz zaczyna  
Z ojca krwią sprda dziedzictwem na syna  
Sto razy wrógów zachwiana potęgą  
Skonńczy zwycięstwem"

Po prawej stronie jakieś wykopki, załączki fundamentów, gdzie jak w wykopach stoją i siedzą ludzie.

Nagle przypominam sobie notatkę z Biuletynu, że pod bramą nr 2, w miejscu uświęconym krwią zabitych stoczniowców, miał powstać sklep samobiskupowy. Tania jest dla niektórych śmierć i pamięć, można ją rozmiąć na monety i sprzedawać jak nakę.

Słyszę, jak ktoś mówi, że wczoraj z samolotu zrzucono ulotki wymierzone przeciwko strajkowi. Podobno inny samolot zrzucił ulotki solidaryzujące się ze strajkiem. Inny głos dowodzi, że to jeden samolot zrzucił dwa rodzaje ulotek jednocześnie.

Przeciskam się. Tu bliżej bramy, tym bardziej gęstnieje tłum. Ludzie napierają na kraty, jakby chcieli wdrzeć się w tamten lepszy świat. Spotykam Leszka Szarugę: ma suplement do "apelu 64", setki nowych podpisów. Czy będą przepustką na tamtą stronę?

Dwa ostatnie dni były pełne pracy przy zbieraniu podpisów pod apelen. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę to robił. Zawsze bałem się być świadkiem walki lęku z sumieniem, tej żalosnej ludzkiej szamotaniny.

W domu ZAiKS-u w Konstancinie palą się światła. Jerzy Ficowski udostępnił nam swój pokój, przychodzą ludzie, wielu w starszym wieku. "Co się dzieje? Co w kraju?" Gorączkowo czytają apel. Jest gęsto od papierosowego dymu i szeptów. Ludzie już nie mieszczą się w niewielkim pokoju. Jakaś kobieta bełkoce o Niemcach - "Wejdą tu, nie mogę podpisać..." Ale większość podpisuje bez wahań, niektórzy jakby sygnowali wyrok na siebie, inni twarde i zamaszycie. Ficowski pokazuje mi ze sknem wielki zwalony świerk, którego czub uszkodził balkon przy jego pokoju. - "Stałem tu i... las Birnan ruszył..."

Tak, las Birnan ruszył, ale nie na nas...

Jestem już po drugiej stronie stoczniowej bramy. Dostaję opiekuna, młodego chłopca w biało-czerwonej opasce na rękawie. Czy to świadome nawiązanie do warszawskiego powstania?

- Niech pan idzie za mną. W centrum dostanie pan przepustkę.

Otańczą nas szare uniformy stoczniowców.  
Jeżdżą tam i z powrotem, wożąc ludzi, żółte wózki towarowe. Megafony chrypią jakiś komunikat. I dopiero teraz słyszę, że od jakiegoś czasu chłopak mówi do mnie:

- ...to jak z maszyną, popsuka się i trzeba teraz wymienić różne części. My tu właśnie wymieniamy... będzie lepsza Polska...

- Wiem, wiem, jestem z wami - tłumaczę zaniepokojony, bo najwyraźniej potraktowano mnie jako niepewną jednostkę, którą trzeba przekonywać do sprawy strajku - wiesz list od pisarzy, naukowców...

- Już czytali, ale może to nowy. Wszyscy są z nami. - cieszy się chłopak.

Dochodzimy do ceglanoego budynku. Przy drzwiach sprawdzają dokumenty. W holu tłok i zgiełk, szumi jak w pszczelinie uluroju. Hleszają się języki z całego świata, słyszę strzępki dialogów:

- O God, and what about russians tanks?

- Robotnicy idą na coś, nie ustąpią.

- Uwaga, uwaga. - Biegnie ekipa telewizji angielskiej z lufami kamer na ramionach.

Przy ścianie kilka stolików, siedzą tam chłopcy i dziewczęta, zawzięcie stemplują i piszą. Obok kłębi się niecierpliwy tłum czekających na przepustki. Na jednym ze stolików leży góra banknotów, chłopak i dwie dziewczyny liczą. - Hej, minister finansów - zwraca się ktoś do chłopaka - Masz tu forsa od rolników z POM-u - i rzuca plik tysiąc złotych.

Jakiś szachodni dziennikarz obwieszony magnetofonami i aparatami fotograficznymi, pyta mnie przerażony, czy jest w ogóle jakaś szansa, żeby dostać przepustkę. - And what to do?

- Stać, tylko stać i czekać cierpliwie - radzę i sam stoję, ale nie starcza mi cierpliwości i nagle złosć mnie ogarnia, że tu też, jak i tam, kolejki. Ale to tylko chwila skąbości, której zaraz się wstydzę.

Po prawej ręce szklana szyba, za którą widać salę. Tam podobno odbywają się narady ekspertów obu stron. Teraz jest przerwa.

- To oburzające. Czekaam tu już od godziny i nie - lamentuje jakaś polska dziennikarka. - Co za bałagan!

- Najpierw kłamiecie, a teraz jeszcze pretensje - woła ktoś z tłumy.

- Gdyby pan był na naszym miejscu, też by pan musiał kłamać!

- To dlatego nie jestem na waszym miejscu...

Kobieta ma minę skrzywdzonego dziecka. Za chwilę będzie świadkiem, jak dwóch młodych dziennikarzy z pisma wychodzących poza cenzurą, dostanie przepustki od ręki.

Grupa usmiechniętych stoczniowców pochyla się nad okładką "Time'u", gdzie widać poważne twarze ich kolegów, stojących na tle stoczniowej bramy. Pod fotografią napis: "Polands angry workers".

W końcu wchodzę na salę delegatów, trzymając w ręku przepustkę nr 0012921 ze stemplem Międzypokładowego Komitetu Strajkowego.

Przez całą długość pomieszczenia ciągną się stoły, na nich kartki z wypisanymi niedbale nazwami zakładów pracy, których przedstawiciele siedzą tu tłumnie. Szekuje ściana za podium. Po prawej stronie stoi duży pomnik Lenina, odwrócony nieco bokiem, jakby wódz proletariatu nie chciał patrzeć ~~po lewej stronie~~ w oczy. W środku biały orzeł, dalej krucyfiks na biało-czerwonej fladze. Niżej kilka stolików, stukają tam maszyny do pisania i kręci się w szaleńczej pracy grupa młodych ludzi. W ten wir wpadają co chwila nowe teksty, listy, apele. Tu też gromadzi się materiał do pisma "Solidarność".

Przez mikrofon czytany jest list sześciolatniego chłopca, który solidaryzuje się z MKS-en, Polonia szwedzka przysyła pieniądze, przemawia przedstawiciel stoczni z Danii.

Do mikrofonu przedziera się stary człowiek w długim niemal do ziemi płaszczu, w wysłużonym kapeluszu i z teczką. Zatrzymują go, stary człowiek tłumaczy, gestykuluje wynachując teczką. Jego ostry profil kołysze się na tle torsu Lenina.

- Już w roku 20 walczyłem... z bolszewikami... teraz mam prawo mówić do narodu...

Godz. 11.30. Przez radiowęzeł czytane jest oświadczenie trzydziestu dziennikarzy polskich, którzy protestują przeciwko utrudnianiu przez władze przekazywania informacji.

Na sali nastrój oczekiwanego na przyjazd delegacji z wicepremierem Jagielskim. Rośnie niepokój. - Dlaczego nie przyjeżdżają, ślabki wcielone?

Po raz pierwszy widzę Lecha Wałęsę. Mówi do ludzi.

Od razu widać, że ma niezwykle daleki przekonywania. Mówi szybko. Krótkie, urywane zdania, ale celne, wrzynające się w panieć. Nosi szary, zużyty garnitur, pod marynarką kraciasta koszula. Twarz zdobią mu grube ciemne wąsy, których czasem dotyka ręką. To twarz człowieka sprytnego, który budzi jednak zaufanie.

Wałęsa zbiega z podium. Francuski fotoreporter rzucił się szczupakiem, żeby zrobić mu zdjęcie na tle pomnika Lenina. Nie zdążył. Błaga Wałęsę, by jeszcze raz tamtędy przeszedł, goryl odsuwa go. Wałęsa zacierza szybko w kierunku wyjścia, nagle zatrzymuje się i wraca, dając znak reporterowi, że łaskawie zgadza się na jego propozycję. Przechodzi ponownie koło pomnika, ale biedny fotoreporter znowu nie zdążył, prosi Wałęsę, by ten po prostu ustawił się pod pomnikiem.

- O nie, na stojąco nie na nowy. Tylko jak idę - mówi Wałęsa i wraz z obstawą wybiega z sali.

Wchodzi za to w burzy oklasków nowa delegacja z jakiegoś miasta.

Zbliża się do mnie ekspert, chwytając za ramię. Gdy spojrzałem na niego, przestraszyłem się. W jego oczach był żmęt i lęk.

- Patrz. Przecież to jest rewolucja, a teraz potrzebny jest rozsądek. Robotnicy nie pójdą na ustępstwa. A tamci... milczą... czekają... Oni czają się. Nieszczęście...

- Nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? To zrozumiesz, jak tu wejdą...

Odcchodzi przygarbiony. Idzie ku swojemu przeznaczeniu, które, w jego mniemaniu, jest nieodwołalnie tragiczne. Udzielił mi się niepokój, ale jest innego rodzaju. Boję się, czy rozhisteryzowani eksperci nie "zdradzą" w imię rozsądku robotników.

Sala uspokaja się. Wielu delegatów jest zmęczonych; śpią z głowami na stołach.

Idę w kierunku bramy nr 2. Robotnicy porobili ławki z cegieł, kamieni i desek. Siedzą i patrzą na ten niezwykle spektakl, w którym sami są aktorami. Stają w pobliżu bramy. Tu jak zwykle tłoczno, szczególnie po drugiej stronie. Ludzie czekają, aż odezwą się megafony, gardło stoczni na cały kraj. Ale na razie głośniki milczą, a czas zapełnia "wodzirej", mężczyzna w średnim wieku, w okularach. Powiadamia właśnie wszystkich przez mikrofon o tragicznym wydarzeniu, o zaginięciu medalika z podobizną Papieża Jana Pawła II. Ofiarą nieszczęścia jest kobieta.

- Proszę państwa, ta kobieta tu jest i płacze... złoty medalik, drobna rzecz, ale dla tej kobiety... złoty medalik... drodzy moi, jeżeli ktoś znajdzie, to bardzo proszę...

Zaburzały głośniki, zaczyna mówić przez radiowęzeł Wałęsa.

- Delegacja nie przyjeżdża. Czekamy twardo i cierpliwie...

- Bądźmy spokojni. Prędzej czy później muszą przyjechać - kończy twarzą do Wałęsa.

Wracam w kierunku bramy. Na prowizorycznych ławkach już nowi ludzie, trudno tu długo wysiedzieć w jednym miejscu. Jedni dyskutują, inni celebrują swe milczenie. Lecz na wszystkich obliczach pojawia się taki sam wyraz skupienia, gdy rozlega się charakterystyczny dźwięk-znak, że ożywają głośniki i zaraz będzie kolejny komunikat.

- Mostostal zobowiązuje się wykonać w czynie społecznym pomnik ku czci pomordowanych stoczniowców... Flota Bałtycka solidaryzuje się... są za wolnymi związkami zawodowymi.

Oklaski, oklaski.

Godz. 14.45. Komunikaty. Pierwszy mówi o powstaniu Solidarnościowego Komitetu Floty:

- Popieramy wszystkie postulaty, ze szczególnym uwzględnieniem punktu pierwszego...

- Uwaga. Należy przewieźć dzieci. Dajemy autobus.

- POM z Nowego Dworu nie może przerwać pracy, bo są żniwa. Ale jesteśmy z wami. Żądamy rzetelnych informacji.

Grupa polskich dziennikarzy notuje...

Kilku młodych ludzi związanych z opozycją biega po stoczni, szukając gdańskiej książki telefonicznej. Podobno taka książka w całości potrzebna jest w Warszawie. Po rozbiciu przez aresztowania starych struktur, tworzone są nowe. Wiele gdańskich adresów jest spalonych i zaczęły się kłopoty z łącznością. Ale w całej stoczni takiej książki nie ma. Ludzie rozkładają ręce: - Możemy załatwić duży statek, ale nie książkę telefoniczną.

Do stołówki ustawia się kilometrowa kolejka. Ci, którzy naprawdę się śpieszą, mówią o tym i są wpuszczani bez awantur. Czyżby rodziło się tu, na naszych oczach to, co zostało zniszczone w ciągu kilkunastu lat - dyscyplina i zaufanie?

Ciemnowłosa mężczyzna w robotniczych portkach i białej koszulce niesie ostrożnie talerz z zupą. To Borusewicz, członek KOR-u, jeden z najaktywniejszych działaczy demokratycznych na Wybrzeżu.

Często docierały do Warszawy wiadomości o szykanach, jakim był poddawany przez SB. Podobno Bogdan Berusewicz położył duże zasługi dla sprawy strajku na początku wydarzeń, a teraz został oficjalnie zaproszony przez MKS jako obserwator z ramienia opozycji. Zresztą niemal całe obecne Prezydium Strajkowe było do niej zaliczane. Tworzyli tutaj Wolne Związki Zawodowe, podpisywali swoimi nazwiskami pismo "Robotnik Wybrzeża" - Walentynowicz, Wałęsa, Gwiazda, Lis itp., itd. Sam pamiętam, jak uśmiechałem się ironicznie i boleśnie zarazem, gdy ktoś mówił o tych Wolnych Związkach liczących kilku członków.

Okna stołówki znajdują się na granicy dwóch światów. Widać tłum napiętej na bramę i ogrodzenie. Stoją całe rodziny z dziećmi. Chłopak ze Stoczni wymienia przez kraty dyskretny pocałunek z narzeczoną, jakaś starsza kobieta podaje jedzenie w papierowej torbie. Na ogrodzeniu widać strażnice, przedziwne twory sklecone z desek i płótna dla ochrony przed deszczem. Tak pilnowana jest cała granica wolnego stoczniowego państwa.

Idę w kierunku basenu portowego. Czuję niepukój. Chyba zbyt długo oddychałem naelektryzowanym powietrzem.

Widzę potężne bryły statków z ramionami dźwigów wzniesionych do nieba. Siła i cierpliwość bije z tego krajobrazu, a więc to, co już widziałem w twarzach robotników. I nagle wypełnia mnie wielkim spokojem szmer wody, która ociera się o burty.

Obserwuję, jak robotnicy idą na swoje stanowiska strajkowe. Ludzie zegnają się ruchem dłoni. Jeszcze niedawno takie pożegnanie miało inny wymiar. Spodziewano się desantu na Stocznie. Teraz też nie można wykluczyć takiej ewentualności. W razie ataku za brzoń mają służyć butle z gazem acetylenowym, wysadzona ma zostać w powietrze wielka Rafineria. Jej wybuch byłby apokaliptyczny, podobnie jak w chwilę później wybuch w całym kraju.

Wracam do centrum. Słyszę głosy dwóch robotników:

- Dyrektorzy pobiegli w stronę wody, pewnie Jagielski przypływa...

- Gierek też tu podpływał od tyłu. Bramą nigdy nie wejda. Boją się.

Ludzie zaczynają się gromadzić, by popatrzeć na delegację, ale delegacji ani widu, ani słyhu. Czekający rozchodzą się, klnąc pod nosem. Ustawia się za to wielka kolejka do zakratowanych okien drukarni. Podobno dają wiersze. Ktoś trzyma kartkę pokrytą drukiem, dmucha i chucha na nokre jeszcze litery. Czytam mu przez ramię:

"Nigdy z królami nie będziem w aliensach

Nigdy przed mocą nie ugnierzy szyi..."

To "Pieśń Konfederatów" Juliusza Słowackiego.

Podbiega do mnie młoda robotnica, patrzy zakonie na zeszyt, który trzymam w ręku.

- Masz wiersze?

Ponylika mnie z kimś innym i jest przekonana, że trzyman w ręku świeżo wydany i gotowy do rozdania plik utworów. Jest zawiedziona, gdy okazuje się, że to tylko zeszyt.

- Dobrze pani trafika, bo ten pan właśnie pisze wiersze- zdradza mnie bezczelnie ktoś ze znajomych.

- Dawać, wydrukujemy - zapalił się jakiś robotnik.

Zaczynam coś bredzić, że nie mam przy sobie, że małe nakłady...

- Niedługo będziesz miał większe nakłady - mówi stanowczo robotnik i klepie mnie krzepiącą dłońią. W jego oczach jest pewność zwyczajstwa i przekonanie, że w t e d y wszystko będzie inaczej, lepiej...

- Uwaga, uwaga. Komunikat: Ostrów Wielkopolski dołącza się do MKS-u...

Przy bramie gromadzą się ludzie z obu jej stron, zaczyna się modlitwa. Podjeżdżają bezszelestnie elektryczne wózki ze stojącymi na platformach ludźmi. Dziewczęta z ugrupowania Ruch Młodej Polski recytują litanie:

- Módlmy się za tych, którzy w podziemnych drukarniach drukują teraz komunikaty MKS... za rządzących tym krajem, aby byli rozsądni... Za więźniów politycznych...

- Maryjo, Matko Bosko, módl się za nami - powtarza stocznia, a głos odbija się od wody, statków i hal fabrycznych.

W holu kamery i fotoreporterzy. Spomiędzy nich wybiega Wałęsa, "goryl" toruje mu drogę. Wpadają na salę, za nimi facet z dymlącym czajnikiem, kobiety rozdają kanapki. Wałęsa otoczony przez ludzi zatrzymuje się, zasłania ją go, wykania się, po chwili znowu staje i znika w tłumie.

Grupa delegatów odtwarza z taśmy magnetofonowej kazanie Prymasa. Kłócą się, czy to kazanie to zdrada, czy skleroza? Słychać też odgłosy transmisji meczu piłkarskiego. Ktoś łapie za ramię kamerzystę kroniki filmowej:

- Kręcicie, kręcicie i sami nie wiecie, co wam z tego puszcza...

- To nie nasza wina. Jesteśmy z wami...

- Napierdolcie tych swoich redaktorów - radzą życzliwi.

- Proszę państwa, rzut różny...

- Z tą cenzurą trzeba skończyć - mówi ktoś na głos do siebie i popiera ten sąd uderzeniem pięści w stół.

- Gol, gol! - kilku delegatów zrywa się z miejsc.

- Komunikat, uwaga! Panoszy się sprzedawanie druków bezpłatnych wydawanych w Stoczni. Prosimy o doprowadzenie do MKS-u tych, co to robią. Brać i prowadzić do nas...

Nie ma potwierdzenia wieści o upadku Gierka. To była plotka, ale nikt się już nie przejmuje, to nie ma znaczenia. I tak zwyciężymy.

Porządkowi niesą naręcza pisma "Solidarność", szósty numer. Od razu otaczają ich ludzie z wyciągniętymi rękami.

- Siedać, siedać. Dostaną tylko ci co siedzą...

Rzucam okiem na ostatnią stronę. Jest tam wiersz na nutę krakowiaka pisany prostą ręką:

"Mamy demokrację krwią ojców zdobyta

Nie dany by rządził Łańsz i koryto

Dziś twardo stociny żeby równość była

By każdy był wolny, nie rządziła siła..."

Zapada zmierzch. Robotnicy stoją w niewielkich grupach, rozmawiają:

- Dziś już nic nie będzie, nie przyjechały skurwysyny...

- Te Ślązaki to świnię...

- Ich też w końcu ruszy.

Tych, którzy słuchają radia zagranicznego; otacza tłum ludzi. Dotykając się ramionami stoją ciasno robotnicy, dziennikarze i przedstawiciele opozycji. We wszystkich stacjach, we wszystkich językach szuni - Gdańsk... Gdańsk...

Wałęsa biegnie z obstawą do bramy, podsadzają go, przemawia do tłumów z miasta, mówi do całej Polski. Potem wszyscy śpiewają "Jeszcze Polska..."

Kończy się dzień. Nastąpił przyrost siły. Ogólny strajków peknął w kierunku Polski Centralnej, jeden z języków zbliża się do Zagłębia.



Gdy przekraczałem bramę kwiatów, a potem przeciskałem się przez tłum, by pograć się w pustych ulicach miasta, czułem, że tracę coś niezwykle cennego. Jakieś kobiety mówiły o chorobie dziecka, ktoś narzekał na złą pogodę. Banalność tych rozmów odczytywałem niemal jako akt wrogości wobec Wielkiej Sprawy. I nagle ogarnął mnie lęk, że Stocznia jest tylko wyspą otoczoną przez obojętny ocean. Na ulicy nie wszystkie latarnie się paliły, tynk oblaził z domów, unosił się ów zwykły zapach naszej codzienności, beznadziejskości.

Czwartek, 28 sierpnia

Ekspert Y siedzi na trawie w towarzystwie kilku osób. Słyszę, jak rozmawia ze znajomymi. Mówi pięknie i przekonująco, jest uduchowiony. Obawia się bardzo eskalacji, boi się, że "to wszystko pójdzie zbyt daleko i władza nie będzie mogła pójść na kompromis, a wtedy dojdzie do tragedii..."

- To czego w takim razie teraz sobie życzyć?

- Może to zabrzmiało strasznie, ale... najlepiej, żeby teraz wszystko rozszło się po kościach...

I rzeczywiście, brzmi to strasznie. Katastrofa powrotu do poprzedniego stanu rzeczy nie mniej przeraża niż katastrofa wybuchu. Już wczoraj w oczach ekspertów widziałem wypalone ulice, którymi sunęły radzieckie czołgi. Byli roztrzęsieni, nie panowali nad nerwami, może nie wszyscy, ale wielu. Staram się ich zrozumieć. Właśnie oni są tu poddani największym ciśnieniom. To w większości naukowcy i badacze spraw społecznych. Znajdują się wśród nich działacze katolicy, rozczarowani komuniści i ludzie bez tak zwanej przeszłości. Tworzyli i odważnie rozwijali przez ostatnie lata TKN, Towarzystwo Kursów Naukowych, założyli "latający Uniwersytet". Wykłady były rozbijane brutalnie przez bojówki SB. W tych dniach, podobnie jak my wszyscy, dzielili wielki niepokój o los kraju. Z tego kręgu wyszła inicjatywa apelu intelektualistów. Ale tak naprawdę to w gorących dniach sierpnia byli bezradni, jak wszyscy, jak cała Warszawa. I wtedy nagle przyszła wiadomość, że Stocznia ich wzywa, by bronili sprawy MKS-u w negocjacjach z władzą, która wówczas żadnych negocjacji nie chciała. Gdy siedzieli na Okęciu, czuli, że czeka ich podróż w otchłań. Władza nie powiedziała - tak, nie powiedziała - nie. Pierwszy samolot ich nie zabrał, dopiero następny. A władza milczała...

Tej garstce ludzi nie trzeba było odświeżać pamięci. Mieli jeszcze w uszach chróbot gąszenie czołgów, które w październiku 56 roku pełżyły w kierunku Warszawy. W tym samym miesiącu chodzili pewnie oddawać krew dla ofiar konającej rewolucji węgierskiej, ale ich krew nie mogła zwrócić życia tysiącom zamordowanych. Potem nadeszła praska wiosna, jej przejmujący wiew i przejmujący koniec. A potem, za każdym razem "normalizacja".

Jednak stocznia nie jest właściwym miejscem dla historii...

Do szyb. budynku, w którym obradują eksperci, przyklejone są twarze robotników, czujne, nieufne, czy znów nie zostaną oszukani. A gdzieś tam, daleko i blisko, podobnie czują i myślą setki tysięcy, a może już miliony ludzi okupujących fabryki.

Ich delegaci są tutaj. Jadąc do Stoczni byli przekonani, że kładą na szalę całe swoje życie. Muszą zwyciężyć i to zwycięstwo nie może być pozorowane. Dlatego robotnicy i ich delegaci żądają więcej niż eksperci. Nie mają przerostów wyobraźni, historię znają na ogół słabo, ale wystarczająco dobrze, by wyciągnąć jeden wniosek - liczy się przede wszystkim siła i tę siłę mają właśnie teraz popartą głębokim przekonaniem o słuszności sprawy. Poszli już na kompromis. Nie wyrzucono z sali pomnika Lenina, nie wykrzykiwano - nawet nie szeptano - hasła antyradzieckich, nie żąda się rozwiązania partii. Ale gdy posłuchać ich rozmów, nie ulega wątpliwości, że są zdecydowanie antypartyjni. Wiele ideałów socjalizmu nadal żyje, ale przywalono je złemem pogruchołotnych złudzeń. Jeszcze wczoraj związki zawodowe i cenzura, to były dla tych ludzi niewiele mówiące nazwy, chociaż czuli własną bezradność w fabrykach, których byli rzekomo gospodarzami i czytali pełne klanstwa gazety. Tu w krótkim czasie przeszli niezwykłą edukacją polityczną. Opór władz przy omawianiu kolejnych postulatów uświadomił ogromną ich ważność.

MKS-em kieruje Prezydium, 15-osobowa grupa, a jej trzon stanowią ludzie, którzy podpisywali swoimi nazwiskami niezależne pismo wychodzące w Gdańsku "Robotnik Wybrzeża". Pismo to było filią warszawskiego "Robotnika", który z kolei wyrósł pod "skrzydłami" KOR-u. Nie oznacza to, by Prezydium podczas strajku było przez kogokolwiek sterowane, nie można jednak nie docenić kilkuletnich lektur pism i osobistych kontaktów. Grupa ta jest z pewnością bardziej radykalna od ekspertów, ale nieco bardziej ugodowa od delegatów i robotników. Niektórzy członkowie Prezydium muszą z pewnością zaciśnąć zęby, gdy trzeba iść na kompromis. Zbyt wiele krzywd wyrządzili im ci, których pośrednio reprezentuje delegacja rządowa.

Pamiętam, jak pod koniec pierwszej fali strajkowej, byłem u znajomych, pytałem, co w kraju. I usłyszałem, że jest bardzo niedobrze: - Anna Walentynowicz została wyrzucona z pracy, Wałęsa też prześladowany. To było niemal wczoraj. Ileż zmieniło się od tego czasu. Wałęsa stał się przywódcą "wielkiej armii".

Wyrzucony w roku 70 po Grudniu ze stoczni, związałem się potem z opozycją. Po raz pierwszy błysnął talentem krasomówczym i politycznym w zeszłym roku w rocznicę Grudnia, gdy przemawiał podczas tłumnych uroczystości pod bramą nr 2. Przywieźli go tam koledzy w zamkniętym kontenerze. W ten sposób wynaknął się obstawie.

Tuż przed strajkiem złapano go na ulicy. Szedł wtedy pchając przed sobą wózek z małym dzieckiem. Żona leżała w szpitalu przed kolejnym porodem. Zabrano go na komisariat i ciśnięto do celi na zwykłe 48 godzin, a wózek z dzieckiem pozostawiono bez opieki na schodach konendy.

A więc mamy już niemal wszystkich aktorów dramatu. Robotnicy, delegaci z całego kraju, Prezydium MKS-u i eksperci. Świadcami są pracownicy Stoczni im. Lenina, przedstawiciele ugrupowań opozycyjnych z całej Polski oraz dziennikarze. Na terenie Stoczni znajduje się również niemal w komplecie Koło Młodych przy Gdańsku: Oddziały Związku Literatów Polskich, jest kilku pisarzy z Gdańska i z Warszawy. No, i jest władza, która tu dojeżdża.

Władza? Bezradna, zagubiona, przerażona. Polityka przeczekania oparta na wierze, że się zmoczą i przestraszą, okazała się błędna. Czas zaczął dziać na korzyść MKS-u i teraz przyrost siły następuje w lawinowym tempie.

Godz. 10.25. Pojawia się przybyły z Warszawy ksiądz Małkowski, od lat związany z kręgami demokratycznej opozycji. Gdy wchodzi na trybunę, mam wrażenie, że jego spojrzenie krzyżuje się z kamiennym spojrzeniem Lenina. Ksiądz usprawiedliwia Prymasa Wyszyńskiego. Mówi, że kazanie zostało ocenzone, tłumaczy intencje Prymasa. To nie przekonuje sali, lecz mówca ma jednak kartę atutową i widząc, że nie przekonał słuchaczy, teraz wytrząsa ją z czarnego rękawa.

- Według informacji z kręgów bliskich Episkopatowi Gierk przybył do Prymasa, rzucił się na kolana i błagał go, by to kazanie było takie, jakie było.

Sala klaszcze, uśmiechy na twarzach, ludzie kiwają głowami, jakby tego właśnie się spodziewali. Ale tak naprawdę, to na ogół tłumaczone tu Prymasa wiekiem, nie odrzucając możliwości, że kazanie było sfałszowane przez telewizję. Wersja księdza Małkowskiego przypada wszystkim najbardziej do gustu.

Huczą kolejne komunikaty, słowa docierają do wszystkich zakamarków Stoczni i płyną poza bramę na cały kraj.

- Uwaga; przedstawiciele Sopotu, Międzyzdrojów i innych uzdrowisk solidaryzują się... Byliśny z wami, jesteśny z wami i będziemy z wami.

- Uwaga, uwaga. Była próba wejścia na teren elektrociepłowni. Ubecy po-przebierani za robotników próbowali... zostali udaremnione... Załoga elektrociepłowni przystąpiła do zdawania legitymacji związkowych.

- Uwaga. Czujność... jak się złapie podejrzanych... brać i prowadzić tutaj... Ze Słupska przysyłają po-przebieranych za robotników...

- Represje. FKS Starogard skarży się, że ma kłopoty. Jest zakaz przywożenia żywności na teren i nie pozwalają wywozić szamba...

Na sali rozdawana jest "Czarna Księga Cenzury" przedrukowana w Stoczni. Jeżeli mnie pamięć nie myli, była to jedna z pierwszych publikacji "Nowej". Na okładce znajdowało się zdjęcie wejścia do budynku na Mysiej. Wywiózł te materiały na zachód wysoki urzędnik Kontroli Prasy - Strzyżewski i potem przekazał KOR-owi.

To dokument spustoszeń, jakich dokonuje cenzura w życiu narodu. Materiał nie stracił na aktualności. Pamiętam, że niegdyś szokował nawet dziennikarzy stykających się przecież na co dzień z cenzurą. Dzisiaj ma być omawiany punkt trzeci dotyczący cenzury, więc ta lektura jest bardzo na miejscu. Tylko, czy przyjadą?

Jakiś młody człowiek skupił wokół siebie sporą grupę słuchaczy. Opowiada ze szczegółami, jakie tortury stosuje milicja. To w związku z informacjami, że we Wrocławiu jest strajk powszechny, a przedstawiciele wrocławskiego MKS-u jadący do Stoczni, zostali zatrzymani w Bydgoszczy. Ludzie boją się o nich.

Inna grupa dyskutuje na temat czołgów radzieckich. Przeważa pogląd, że jak wejdą, to przynajmniej będzie wiadomo, kto wróg, a kto swój, bo teraz wszystko się już pomieszało.

Służba porządkowa rozciąga sznury. Jest delegacja rządowa!

Ludzie tworzą wąski korytarz. Idący nim czują niemal oddechy robotników. Ręce skrzyżowane na piersiach i setki ciekawych, ale zimnych par oczu.

- Dzień dobry - mówi nagle Jagielski.

Odpowiada mu milczenie, z którego nagle ktoś wykrzyknął:

- Zobaczymy, czy będzie dobry.

Jagielski się śpieszy, jakby chciał jak najszybciej wydostać się z matni. I cały czas ma spuszczone oczy.

Gdy niknie w budynku, ludzie ożywają.

- Teraz się zacznie...

- Nie patrzy w oczy...

- Mają nieczyste sumienia, dlatego nie patrzą nam w oczy.

Sala wypełniona jest po brzegi. Od wczoraj przybyło wielu nowych delegatów. Prośby, żeby nie palić, przez jakiś czas są respektowane z zadziwiająco dyscypliną. Wiele osób siedzi na podłodze, szykuje się gorączkowo na magnetofony.

Godz. 11.00. Stoczniowcy gromadzą się wokół głośników. Słychać jakieś szelesty i szept. Już mówi Jagielski:

- To trzecie spotkanie, a więc symboliczne.

Gdański pisarz Lech Bądkowski referuje sprawę cenzury. Czyni to chyba trochę zbyt zawile, cytuje nawet Gomułkę. Później, podczas dyskusji nikt nie postuluje całkowitego zniesienia cenzury, mówi się tylko o ograniczeniu jej działalności, o stworzeniu jakiś form społecznej kontroli.

Przypominam sobie krótki i bolesny okres swojej pracy dziennikarskiej. Włosy stawały na głowie, gdy oglądało się szpalty pokiereszowane czerwonym długopisem cenzora. Zamasztyłem pociągnięciem pióra skreślano całe teksty, zdania, słowa. Potem - bez zgody autora - drukowano te kadzuchy pozbawione rąk i nóg. I jak krzyże na cmentarzu naszej kultury rosły czarne listy zakazanych nazwisk. Znamiennie, że gdy kontaktowano się z nimi, zawsze ostrzegali, by nie używać słowa "cenzura", bo oni nie są cenzurą tylko kontrolą prasy. A więc od siebie samych zaczęli mozolną pracę tworzenia nowo-mowy, zaktualizowanie słów poprzez zmianę ich znaczeń.

Pochylając się nad potwornie okaleczonymi tekstami, które przecież uprzednio kaleczyli sami autorzy i redakcja, bo jest wiele cenzur, miałem gorzkie i bolesne uczucie uczestnictwa w potwornym procesie niszczenia polskiej kultury.

- Oni cenzurują nawet teksty pierwszego sekretarza - szeptały korektorzy.

Kiedyś dostąpiłem wątpliwego zaszczytu i miałem możliwość odwiedzić ponownie korytarze urzędu na Mysiej. Odnosiłem wtedy, już po uwzględnieniu interwencji, szpalty znaczone ręką cenzorów. Urząd zawsze żądał zwrotu oryginałów, by nie zostawić śladów swojej działalności.

I właśnie teraz tu mówi się o stworzeniu prawnych możliwości kontrolowania cenzury, o możliwości zaskarżania jej wyroków w sądzie. To mogłoby być przełom, ale pod warunkiem, że sądy będą naprawdę niezależne. Dobrze więc, że właśnie teraz omawiana jest sprawa więźniów politycznych, a zatem problem praworządności.

Jagielski powtarza starą tezę naszej propagandy, że obaj Kozłowski i Zadrożyński zostali skazani za przestępstwa kryminalne, a nie za działalność polityczną. Ale twierdzenie to nie budzi niepokoju delegatów. Ani śladu wątplenia na ich twarzach, że a nuż to są naprawdę kryminaliści. Tak powszechne jest przekonanie o braku praworządności.

- Mamy piękne zasady, ale bardzo złą praktykę - mówi Wałęsa, a w jakiś czas potem: - Od tego będzie zależeć, czy nasz system będzie systemem demokratycznym, czy policyjnym... Ja sam jestem chodzącym przykładem gwałcenia praw człowieka. Mam dokumenty.

Anna Walentynowicz opowiada, jak była bity na komendzie MO. W jej głosie brzmi ta bolesna, trzęsąca historyczna nuta, którą odnajduje się u ludzi przez długi czas prześladowanych.

- Ja pani ogościście bardzo współczuję - mówi premier. Potem tłumaczy, że wyroki są przecież prawomocne i że nie może podjąć decyzji o uwolnieniu tych ludzi.

- Chyba, że jakiś międzynarodowy sąd w Hadze.

To ma być dowcip, ale niespodziewanie delegaci podchwytyją to i pomysł nagradzają oklaskami.

- Tak, tak, sąd międzynarodowy!

Przypominam sobie opowieści o reżyserowanych procesach robotników w roku 76, a potem o procesach ludzi niewygodnych dla władzy. I liczne relacje znanych prawników, którzy opowiadają o przekupności sądów szczególnie na prowincji, gdzie wiele spraw jest "smarowanych". Natomiast siedzący w śledztwie są z reguły bici. Adwokaci opowiadają o tym bez emocji, jak o czynach normalnym.

Mówi ktoś z Prezydium. To chyba Andrzej Gwiazda:

- A jaką mamy gwarancję, że i nas nie nazwą potem kryminalistami?

Premier jest oburzony:

- Jestem wstrząśnięty. Jak można mnie posądzać. To nie do pomyślenia.

Słyszę teraz głos Wałęsy. Mówi jak zwykle szybko i celnie:

- Jedno jest pewne. Jest w społeczeństwie strach. I my ten strach musimy wyeliminować.

W trakcie rozmowy Jagielski powołuje się na Papieża. Pomylił się, powiedział Jan Paweł I, co zostało bardzo źle przyjęte, potem nawiązał do kazania Wyszyńskiego.

- Przecież nawet Prymas... - ale przerywa mu ktoś z Prezydium.

- Mamy właśnie oświadczenie Episkopatu, że to były tylko fragmenty kazania, że transmisję przeprowadzono bez zgody i porozumienia z Episkopatem. Szeroką konsternację po tej stronie i chwila kłopotliwego milczenia.

- Tu przecież nie ma żadnego podpisu pod tym papierem - mówi wreszcie triumfalnie Jagielski.

Rozmowy zostały przerwane. Sprawa kazenia ma być wyjaśniona, pertraktacje będą kontynuowane za kilka godzin. Na zakończenie Prezydium prosi, aby delegacja rządowa informowała telefonicznie o godzinie przyjazdu.

- Ja dzwonię do was, ale telefony są zajęte - tłumaczy się premier.

- To ja właśnie dzwonię do pana, panie premierze - kontruje Wałęsa.

- Przecież mogą państwo przyjechać... do nas - mówi Jagielski.

Sala zawrzała ostrzegawczo, rozległy się wszędzie ironiczne odgłosy, które przełożone na słowo, brzmiałyby: - Nie damy się na coś takiego nabrać.

- Nie, nie - odzywają się głosy z Prezydium. - Będziemy rozmawiać tutaj.

Godz. 12.50. Autobus premiera odjeżdża.

Wałęsa mówi do delegatów. Jest propozycja wydania przez MKS oświadczenia, żeby zakłady w całym kraju solidaryzowały się z MKS-em, ale nie strajkowały, ze względu na duże straty gospodarcze. Wałęsą otacza rozgorączkowany

tłum. Ludzie są zdecydowanie przeciwni takiemu oświadczeniu. Do dyskusji włączają się nawet operatorzy filmowi, fotoreporterzy i dziennikarze. Ludzie krzyczą:

- Spreparują to w telewizji... Na nich tylko strajk... Tylko siłą walczyć... Strażkiem.

Godz. 15.30: Pojawiają się aktorzy z Teatru Wybrzeża z reżyserem Maciejem Prusem. Recytują Słowackiego, Mickiewicza. "Nie mamy Sejmu, ale mamy arcycydzica" - to Norwid. Aktorzy zapalają się. Nie mieli jeszcze nigdy takiej publiczności, oglądają i słuchają ich prawdziwi przedstawiciele tego narodu, i patrzy cały świat oczyma kamer telewizyjnych kilkunastu krajów.

Rozdawane są plakaty. Na białym tle napisane śmiałym pismem czerwone słowo "Solidarność", a z liter wypływa biało-czerwona flaga. Drugi plakat to "21 x Tak", zręczne nawiązanie do starego hasła, które służyło zupełnie innej sprawie. Plakaty rozlepia się tu i poza terenem Stoczni. Delegaci zawiozą je do swoich zakładów.

Porządkowi rozciągają sznury. Podobno już jadą.

Mijają minuty i nic.

- Ja już bym ich przyprowadził na haku.

- Pewnie znowu nie przyjadą...

Od jakiegoś czasu bulwersuje mnie fakt, że wśród ubranych w swoje robocze stroje stoczniovców widać czasem jakiś osobników odzianych w piżamy i szlafroki, na nogach mają kapcie. Ktoś mi w końcu wyjaśnia, że to chorzy z przyzakładowego szpitala, którego budynek stoi w pobliżu bramy. Strajk działa na niektórych uzdrawiająco, inni z kolei ładują w szpitalu. Podobno było kilka wypadków zakażenia nerwowego w Stoczni.

Robotnik wyróżniający się brodą stworzył na pełny regulator radio tranzystorowe, mówi stacje Kanada w języku polskim. Nadawany jest właśnie wywiad z Anną Walentynowicz.

Nagle ogarnia wszystkich pewność, że delegacja rządowa już nie przyjedzie. Ludzie rozchodzą się.

Godz. 18.30. Szybkiem krokiem idzie Wałęsa, ciągnie za sobą ogon ludzi. Gdy staje, otaczają go, rozdaje autografy. Widzę jak przepycha się, robiąc dzielnie łokciami, pisarz - Janusz Głowacki. Zdobył autograf, wycofuje się, niosąc w wyciągniętej nad głową ręce cenną zdobycz.

Ludzie dyskutują, jedzą, niektórzy śpią, słuchają radia zagranicznego.

- Dokerzy amerykańscy rozpoczynają bojkot polskich statków na znak solidarności.

Słuchacze cieszą się. Oznaki solidarności zachodu były witane jako coś niesłychanie ważnego. Ciągłe jeszcze, pomimo złych doświadczeń, żyje w narodzie mił tamtego świata, jego siły i życzliwości.

Wychodzę z sali. Kończy się dzień.

Wałęsa idzie do bramy. Przemawia, potem wszyscy śpiewają "Jeszcze Polska". Wałęsa całuje biało-czerwony sztandar.

Miasto. Nad budynkiem Komitetu Partii powiewa czerwona flaga. W kawiarni luksusowego hotelu "Hewelius" pusto. Kelnerki plotkują o swoich chłopakach, lody bakaliowe, płynięcie łagodna muzyka. Wymieniany spostrzeżenia, nadzieje i lęki.

Tutaj, w tych luksusowych wnętrzach, wśród ludzi zajętych jedzeniem słodyczy i swoimi sprawami, to wszystko, co dzieje się w Stoczni, wydaje się jakimś niezwykłym spektaklem, który niedługo się skończy. I wtedy wszyscy rozejdą się do domów, samotni jak zawsze i smutni.

Piątek, 29 sierpnia

Godz. 10.00. Komunikat: - Uwaga MKS, prosimy nie wtrącać się do spraw organizacyjnych w Stoczni. Uprawniony jest do tego tylko...

Godz. 10.15. Komunikat: - A teraz posłuchajcie państwo, co w tym czasie robi milicja. Nagraliśmy meldunki z radiowozów...

Z szumu wyłaniają się przekleństwa, a potem:

- ... Trzy osoby zatrzymały samochód. Chcą, żeby ich wieść do stoczni. Co z nimi zrobić?

- Jak to zatrzymały?

- No zatrzymały samochód. Kierowcą nam zameldował, bo to oficer wojska polskiego. Więcej nic nie wiem, bo oni siedzą w środku.

- Przywieźcie ich na komendę. Weź ich do wozu, żeby ci nie uciekli.

- Ale tu jest za dużo ludzi, żeby takie numery robić...

- A to skurwysyny - mrużą robotnicy i kiwają głowami, jakby suma ich wiedzy o milicji została właśnie potwierdzona.

Godz. 10.40. Lech Bądkowski, członek Prezydium Strajkowego stoi otoczony przez delegatów i dziennikarzy. Budząca zaufanie twarz starszego mężczyzny, w rękę trzyma laskę, przekonuje, tłumaczy. Nagle przepycha się ku niemu wysoki, muskularny robotnik. Jest bardzo zdenerwowany, wykrzykuje:

- A pan tu właściwie co reprezentuje?

Wszyscy zamilkli, w powietrzu wisi jakiś konflikt.

- Jestem z Prezydium Strajkowego - odpowiada z nutką niepokoju Bądkowski.

- A ja z Zagłębia Miedziowego. Dopiero co przyjechałem. Tam strajkuje 30 tysięcy ludzi, kopalnie miedzi. Trzydzieści tysięcy to przecież nie ha-gatelka? - Młody człowiek jest szalenie zdenerwowany, boi się najwyraźniej, czy te trzydzieści tysięcy to wystarczający powód, by zwracać ludziom głowy.

- I co ja nam teraz robić? - pyta nagle rozkładając bezradnie ręce.

Ktoś bierze go serdecznie pod ramię i prowadzi do Prezydium. Wkrótce cała Stocznia dowiędzie się, że stanęły kopalnie miedzi. Zagłębie Miedziowe przyłącza się do MKS-u.

Ludzie pokazują sobie tygodnik "Czas". Na zdjęciu widoczny jest premier Jagielski i potężna Henryka Krzywonos, tramwajarka, członek Prezydium Strajkowego. W tle znana wszystkim ściana. Jest Lenin, jest orzeł, ale zniknął krzyż. Wycięli krzyż...

Słyszę jakieś podniesione głosy. To delegatka z zakładów przetwórstwa rybnego bije się w piersi.

- Słowo daję, że uzgodniłam z MKS-em i pozwolili...

- Jak strajk, to strajk.

- Ludzie, ale przecież ryby by się popsuky. Zastanawialiśmy się w zakładzie i poszłam z tym do Prezydium i pozwolili do puszek załadować. Ja jestem prosta kobieta, to nie mam pewności, czy dobrze zrobiłam. Ale szkoda byłoby tych ryb...

- Dobrze zrobili - odzywa się kilka głosów i kobieta rozchmurza się.

Ktoś był w Stoczni Koruny. Paryskiej w Gdyni, opowiada, że to obóz warowny, są gotowi do walki, bardziej radykalni. Jest mała rotacja ludzi, rzadko kto dostaje przepustki, pewnie dlatego takie straszne napięcie narwowe. Wybuchł tam wczoraj konflikt; oglądać film w telewizji czy w zaimprovizowanej sali kinowej. I o mało się nie pobili.

Godz. 11.00. Komunikat: - Delegat zakładu... zgłosi się, sprawa bardzo pilna. Zakład został otoczony kordonem milicji...

Przy jednym ze stolików delegat snuje straszną opowieść. Wyszedł wieczorem na spacer, bo nie mógł zasnąć i nagle... oczom nie wierzy. Wyłania się z mroków człowiek, który przypomina pijanego, "nie za bardzo, ale trochę się chwiał". Przy stole poruszenie.

- Coś podobnego.

- To oburzające.

Wszyscy są naprawdę wstrząśnięci. Ludzie byli tak dumni z niezwyklej dyscypliny panującej na terenie Stoczni.

- Skąd się wzięła w Gdańsku taka głupia baba, co podała swemu chłopu wódkę? - głowi się jakaś delegatka.

Uwaga, komunikat: - W Elblągu weszli na teren PKS przedstawiciele

KW PZPR, jeden - o nazwisku Jamrozy - krzyczał, że sieje się tam dywersję ideologiczną.

- Możecie tu sobie stać pół roku - powiedzieli.
- To co, będziecie do nas strzelać? - zapytali go robotnicy.
- Jak trzeba, będziemy strzelać.

Od jakiegoś czasu obserwuję łysego delegata w garniturze, sieje defetyzm, histeryzuje, wietrzy krew i klęskę. Chodzi od stolika do stolika i próbuje zarażać rozpaczą.

Godz. 12.30. Uwaga, komunikat: - Wiadomość sprzed minuty. Depesza z kopalni węgla Jastrzębie - "Przystępujemy do strajku".

A więc Śląsk też. Ludzie wymieniają spojrzenia. Teraz już na pewno jesteśmy górą. Ktoś argumentuje, że to jeszcze nie Śląsk, że w tej kopalni pracują ludzie spoza Śląska. Ale nie ma już wątpliwości, że zaczyna strajkować ów lekceważony Śląsk, rzekomo kraina kupiona przez władze. Jeszcze niedawno jechały tam z Wybrzeża puste węglarki z napisem "Tchórze".

Wpada na mnie łysy delegat. Promieniuje z niego siła i optymizm.

Przez głośniki czytano jest relacja młodego robotnika z Legionowa. Wspomina, że wpadł mu kiedyś w ręce numer pisma "Robotnik". Od tego czasu zaczął się zastanawiać nad sytuacją w kraju, postanowił zostać korespondentem tego pisma. Opowiada o zebraniu partyjnym w jego zakładzie. Mówili najpierw ci z góry. Próbowali potępiać MKS i strajki. Ale sala milczała jak grób. Przestraszyli się, zaczęli coś kręcić. Niestety, z sali nikt nie wykrzyknął "Jesteśmy z MKSem", nikt nie wstał i nie powiedział, co myśli na prawdę. "Ja też nie wstałem. Ale jutro, jutro na pewno będzie inaczej".

Odczytywane jest pismo starego człowieka. Przyniósł tu w teczce 100 tysięcy złotych. Pieniądze były przeznaczone na grób dla jego zmarłego syna i jego własny, bo wkrótce też umrze. Przez całe życie walczył o wolność, podobnie jak jego dziadowie - powstańcy. Obecnie współpracuje z KOR-em, ale nie ma już siły, więc przynajmniej w ten sposób chce pomóc sprawie wolności.

Uwaga, komunikat: - Podziękowanie /ironicznie/ niektórym, nielicznym na szczęście, stoczniovcóm za spirytus na leki. Dziękuję służba medyczna. Jednocześnie dziękuję się służbie porządkowej za czujność.

- Uwaga, uwaga, pan Mazowiecki proszony jest do bramy nr 2, czeka Andrzej Wejda.

Rozmowa robotników:

- Wiesz, jak jest...

- To nie tak. Właśnie teraz jest szansa, żeby się oddzielić od "przyciąciół"...

Pod bramą widzę, jak "wodzirej" zaprasza ludzi z miasta, by mówili o tym, co teraz czują.

- Mówcie, bo w końcu odzyskaliście głos.

Jakaś kobieta chwyta kurczowo mikrofon, otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Aż w końcu bluznął potok słów, gorący strumień żalów i bólu, trudno z tego wyłowić jakiś sens.

Jak wiele upłynie czasu, myślę, zanim ci okaleczeni ludzie nauczą się mówić spokojnym głosem?

Chłopcy z Koła Młodych postanowili założyć tu, w Stoczni, strajkowe pismo literackie. Mają już tytuł - "Naprzeciw", ale nie mają tekstów. Chodzą i namawiają do współpracy. Co, ja też mam napisać? Wpadam w panikę. Czuję zupełną niemoc twórczą, a jednocześnie śmiertelne poczucie obowiązku, że jak już tu jestem, to powinienem przynajmniej coś napisać.

Wyrwam się z tłumu i zgiełku, idę w kierunku pontonowego mostu, ściga mnie nieubłagane chrypienie megafonów. Znajduję w końcu spokojne miejsce nad wodą, która ociera się o brzuch rozprutego kadłuba statku. Do głowy przychodzą mi wiersze Mickiewicza, Norwida, a nawet Broniewskiego, za którym nigdy nie przepadałem, ale sam nic nie mogę napisać.

Godz. 15.30. Znow przybyli aktorzy z Teatru Wybrzeża. Dzisiaj ich program jest jeszcze śmielszy niż wczorajszy, mocniej, dobitniej recytują wiersze.

Ludzie leżą na trawie, śmieją się, grają w karty, wymieniają znaczki, dowcipy o Pyce, Wałęsę i Jagielskim. Te dowcipy rodzą się jak grzyby po deszczu. Atmosfera majówki i święta.

Nagle podchodzi do mnie pisarz z Gdańska, F., jego poważna twarz kontrastuje z ogólną euforią. Mówi szeptem, jakby się bał, że ktoś może podsłuchać:

- Był telefon z Warszawy. Są aresztowania. Zamykani dostoją sankcje prokuratorskie.

Wiadomość najpierw obiega ludzi związanych z opozycją. Uśmiechy gasną. Chłopcy z Koła Młodych naradzają się. Mam wrażenie, że nowa fala niepokoju zalewa całą Stocznia.

Niezwykle były te przypływy optymizmu i nagłej rozpacz, huśtawki nastrojów, które wykańczały psychicznie.

Czy aresztowania są pierwszym sygnałem ogólnej konfrontacji, czy tylko próbą odcięcia robotników od opozycji? Ludzie powtarzają sobie z ust do ust plotkę, że władza chce wprowadzić stan wyjątkowy. Czekają tylko, aż strajk przybierze postać strajku generalnego. Łysy delegat znowu w rozpacz, dzieli się ze wszystkimi swoją tragiczną wizją przyszłych wydarzeń.

Na podium w pobliżu mikrofonu postawiono makietę pomnika poległych stoczniovców. Krzyże z kotwicami związane ramiennami, w środku znicz.

Dlaczego nie przyjeżdża delegacja? Co będzie, jeżeli wprowadzą stan wyjątkowy? Czy wojsko i milicja zechcą walczyć z robotnikami?

Nie ma wiadomości od Jagielskiego, milczą telefony w KC, natomiast potwierdzają się wiadomości o aresztowaniach w Warszawie. Niepokoń jednak jakby opada, wszyscy biorą się do pracy, dla większości oznacza to po prostu rozmowy lub łażenie tu i tam. Równie za to tłok na sali. Jest komunikat, żeby nie palić, ludzie gaszą jak na komendę papierosy. Kobiety robią kanapki, stukają maszyny do pisania. Ktoś włączył telewizor. Nadawany jest właśnie dziennik telewizyjny. Ukazują się te same co zwykle wypłowiałe twarze speakerów i słychać ten sam wytarty język półprawd i kłamstw. Oto pojawiają się zatroskane twarze kobiet polskich, które narzekają na strajki. Sala zawrzała, delegaci zrywają się z miejsc, krzyczą:

- Zamknąć szczekaczkę... przez trzydzieści lat słuchany tych kłamstw... skończyć z tym...

- Skąd oni wzięli takie? - narzekają delegatki, które czują się odpowiedzialne za głosy kobiet.

Ludzie ruszają na telewizor. Na szczęście ktoś szybko wyłącza głos. Pojawia się na ekranie Barcikowski, przemawia, ale słucha go tylko grupka dziennikarzy, stojąca tuż obok szepczącego nieśmiało telewizora. Delegaci zachowują się tak, jakby nie interesowało ich już, co mówi tamta strona. I tak nic nowego nie powiedzą.

- Wbijają klina w nasz scementowany organizm, ale to nie przejdzie - mówi przez mikrofon ktoś z Prezydium.

Przyjechała delegacja z Bydgoszczy. Ich przedstawiciel wchodzi na podium.

- Mówić będę tak od siebie. Zablokowali nam telefony. Ludzie u nas nic nie wiedzieli, ale to nic. W telewizji pokazywali PGR-y, jak kombajny koszą, w gazetach też nic nie pisano... To się zaczęło, kiedy ludzie zaczęli przyjeżdżać z Gdańska. Potem ktoś zostawił na dworcu ulotki ze Stoczni. I zaczęło się... Dyrektor mówił, przekonywał - Po co tam jechać. Oni przecież walczą za was... Bydgoszcz przyłącza się do MKS-u. 32 zakłady. Miasto stoi.

- Uwaga, komunikat. Otrzymaliśmy 12 tysięcy złotych, od polskich pracowników ambasady amerykańskiej, dla dzieci strajkujących.

- Bibliotekarze bibliotek publicznych w Gdańsku solidaryzują się.

Nocować będę u kolegi-neukowca. Mieszko w odległej dzielnicy, ale na szczęście dociera tam kolejka elektryczna, jedyny czynny na życzenie Stoczni środek lokomocji w mieście.



Jurka opowiada, że w jego zakładzie wielki ruch, zgłoszono już ponad tysiąc postulatów. Sprawia to takie wrażenie, jakby puściły nagle tany, trzymające na uwięzi spiętrzone wody ludzkiej aktywności. Do dziś ta aktywność kanalizowała się w kombinowaniu i atakowaniu. Ja sam namiętnie czyniłem to drugie.

Teraz nagle zauważyłem u siebie zmianę. Np. w Gdańsku były zepsute na dworcu automaty do sprzedaży biletów. Kradły pieniądze nie dając nic w zamian. Kiedyś ciskałbym gromy na państwo, które, by mnie okraść i upokorzyć, postawiło mi na drodze te perfidne urządzenia. A teraz... odczułem coś w rodzaju smutnej współodpowiedzialności za ten stan rzeczy.

Rozmawiamy o sytuacji. Jurka niepokoją nastroje miasta. Do niedawna ludzie byli twardzi jak granit, gotowi ginąć za sprawę. Teraz jest w nich wiele niepokoju. Wszyscy mówią o manewrach wojsk Układu Warszawskiego, które mają się niedługo odbyć w pobliżu polskiej granicy, w NRD. My też nie potrafimy uniknąć obawy przed interwencją, chociaż wydaje się ona mało prawdopodobna.

Opowiadam o Stoczni. Dzisiejszy dzień był niespokojny. Czekano daremnie na przyjazd delegacji. I nagle przychodzi mi do głowy myśl, że właśnie ten dzień był dniem przełomowym. Biuro Polityczne wahało się, czy nie podjąć próby rozwiązania konfliktu siłą. Spierali się, nie mogli podjąć decyzji. Płynęły godziny, a z każdą chwilą rosła potęga i solidarność strajku. Jutro przyjadą pertraktować już nie z pozycji siły, ale słabości.

Nasze radio i prasa nadal kłamia. Ojciec Jurka, dystyngowany pan, profesor uniwersytetu, słucha dziennika, ale po chwili gasi brutalnie radio i powtarza z pasją:

- A to skurwysyny, jak oni mogą tak kłamać, a to...

Sobota, 30 sierpnia

Po krótkiej i niespokojnie przespanej nocy, wracam do Stoczni. Z okien kolejki widać zakłady pracy, których jest tak wiele w pobliżu torów. Wjazdniach stoją autobusy, gdzie indziej maszyny budowlane, wszystko jakby zastygłe w oczekiwaniu nowych wydarzeń.

Na ogrodzeniach pikiety, mężczyźni i kobiety, niektórzy czytają świeżo dostarczone pisma i ulotki. Powiewają triumfalnie biało-czerwone sztandary. Na murach napisy "Strajk", "Solidarność". Niektóre zamazane czarną farbą przez stróżów i obrońców porządku publicznego. Czasami zdziwione oczy wyławiają hasła, które dzisiaj wydają się już pochodzić z innej epoki i wykrzywiają ironicznie swoje czerwone gęby - "Dobro człowieka - nadrzędnym celem Partii". Niektóre z tych starych haseł są zamalowywane i pisze się w pośpiechu nowe, gdzie jak w uprzejmej czkawce powtarza się "praca". Lepsza praca... wydajniejsza...

Widać już dźwigi i stare ceglane budynki stoczniowe stojące w pobliżu bramy nr 3. RzUCA cież most nad torami. Tu też ginęli stoczniowcy w 70 roku.

Przy tej bramie również są krwawki. Wiszą obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i namalowane hasła, np. "My z ludem, lud z nami. My stoczniowcy się nie damy"; bieleją rozlepione ulotki i liczne informacje na plakatach. A wszędzie tłumy ludzi... Na ogrodzeniu pikiety koczujące w gniazdkach z desek i płótna. "Strażnicy" są uśmiechnięci. I chociaż na twarzach widać zmęczenie, bije od nich dumą i poczucie własnej, dziejowej niemal, ważności.

Ludzie w pociągu przyklejają twarze do szyb i patrzą, patrzą...

- Tylko czy im się uda, czy im się uda - powtarza jakaś kobieta, jakby odmawiała różaniec. - Jestem sklepową. Mam już swoje lata i najbardziej mi żal tych młodych, że żyć muszą w czymś takim. A najgorsze są te kłamstwa...

Godz. 10.00. Komunikat: - Poszukuje się ochotników do pomocy w akcji żniwnej.

Godz. 11.00. Tychy i Bielsko zgłaszają strajk ostrzegawczy. Solidaryzują się z MKS-em.

Na różnicę wchodzi Wałęsa:

- 16 grudnia będzie dniem stoczniowca. Tego dnia będziemy zbierać się pod pomnikiem.

Na salę wbiega Stefan Starczewski, redaktor niezależnego pisma "Krytyka". Mówi, że w Warszawie są łapani na działaczy opozycji. Sytuacja pogarsza się z każdą minutą. Aresztowani otrzymują sankcje prokuratorskie. On sam uciekł dzięki pomocy robotników. Jego dom był otoczony przez SB. Robotnicy z pobliskiej budowy dali mu roboczą kurtkę i niosąc wspólnie materiały budowlane, przeszli przez kordon. Stefan przywiózł tutaj wielki niepokój, którym oddycha teraz Warszawa. Udziela się on nam wszystkim, ale wkrótce gdzieś się rozplywa w zacieklej krzątaninie, w błysku fleszów i kolejnych komunikatach. Starczewski i grupa młodych ludzi przygotowują oświadczenie w sprawie aresztowań.

Przyjeżdżają nowe delegacje. Jest ich już ponad 500. Na sali siedzą więc przedstawiciele całego Narodu. Miesiąc temu Kuroń przewidywał taki zjazd na październik i niewiele się pomylił. Można więc czasami być dobrym prorokiem i we własnym kraju, ale wtedy siedzi się za to w więzieniu.

Porządkowi rozciągają liny. Przyjechała delegacja rządowa. A więc jednak...

Gwiazda czyta ustawę związkową. Punkt pierwszy... powstają nowe Samorządne Związki Zawodowe.

Jagielski - Czy mnie słycać? czy mnie słycać?

- Przez kilkadziesiąt lat się o to nie martwili - komentuje ktoś to pytanie.

- Słycać!

- Negocjacje były trudne... Punkt pierwszy będzie kamieniem węgielnym naszego porozumienia...

A więc jednak... ustępują. Radosne poruszenie na sali.

Teraz rozpatrywany jest punkt drugi. Zagwarantowanie prawa do strajku oraz zapewnienie bezpieczeństwa strajkującym i osobom wspomagającym.

Premier w zasadzie akceptuje, ma jednak coś do powiedzenia, waha się, jakby się bał, że zostanie to źle przyjęte.

- Zastanówmy się... Nic nie chcę sugerować... zastanówmy się wspólnie, czy naprawdę potrzebne tu jest słowo "wspomagający"?

Gwiazda: - Ci ludzie pomagali nam z dobrej woli, panie premierze.

W tych dwóch wypowiedziach są dwa niedopowiedzenia, ale każdy na sali domyśla się, że ważą się teraz losy opozycji demokratycznej.

- Ja wierzę, wierzę, że z dobrej woli - mówi premier.

Prezydium jest tu stanowcze i Jagielski szybko wycofuje się ze swej propozycji.

Trwają rozmowy, dochodzi czasem do ostrych spięć.

Nagle wtrąca się Wałęsa:

- Ale panie premierze, proszę zaprzestąć aresztowań... bardzo proszę.

Jagielski: - Były jakieś perturbacje we Wrocławiu, ale już zwolnili, słyszałem...

Wałęsa: - Nie. W Warszawie. Aresztują w Warszawie.

Jagielski próbuje zmienić temat, ale po chwili znów mówi Wałęsa:

- Dogadujemy się, więc niech nie aresztują... Niech pan premier im przekaże...

Premier zobowiązuje się, że przekaże.

- Jest teraz plenum KC... pojedę, przedstawię dokumenty, wrócę i uroczystie podpiszemy.

Prezydium nalega, by ten powrót nastąpił możliwie szybko.

- Te dwa punkty można już ogłosić w telewizji - proponuje Gwiazda.

Jagielski: - Jeszcze poczekajmy.

Śmiech na sali. Delegacja rządowa odjeżdża.

Wałęsa przenawia do tłumów za bramą. Wszyscy śpiewają "Jeszcze Polska", Wałęsa całuje sztandar.

Fotoreporterzy polują na tematy, stoczniovcy też robią zdjęcia tandetnymi aparatami produkcji radzieckiej. Ekipy filmowe z Wytwórni Filmów Dokumentalnych mają na swoich służbowych wozach wypisaną nazwę instytucji i adres - Chełmska 21 - dopisują "x TAK".

W jednej z gablot, gdzie do niedawna wisiły nudne oficjalne zawiadomienia przytwierdzone teraz fotografiami z pism zachodnich ukazujące Stocznię podczas strajku. Ludzie tłoczą się, szukają na zdjęciach siebie i znajomych.

Godz. 15.30. Na małej sali toczą się obrady ekspertów. Te obrady są tajne, sala pilnowana jest przez kilku porządkowych. A jednak udało się tam wejść młodej dziewczynie, blondynce o niebieskich oczach. Podobno podczas dyskusji na temat punktu pierwszego, wtrącała się, protestując przeciwko uwzględnieniu tam kierowniczej roli partii. Potem zaczęła krzyżeć "Zdrada", a porządkowi, którzy przyskuchiwali się obradom, poparli ją.

Jestem świadkiem, jak z sali wypadają eksperci. Jeden wyrwa sobie włosy z głowy.

- Koniec... to już koniec... możemy jechać do domu...

Dziewczyna została wyprowadzona z sali, krzyczy na nią, trzęsąc się ze złości, Krzysztof Wyszkowski, znany działacz opozycji z Wybrzeża, pełniący tu funkcje organizacyjne.

Dziewczyna na łzy w oczach i powtarza w kółko:

- Teraz jest wielka szansa... być może jedyna szansa w naszej historii.

Godz. 16.00. Przybwiają aktorzy.

- Mamy tyle punktów programu, ile jest waszych żądań.

Czytają "Dziady" Mickiewicza, wielkim powodzeniem cieszą się fragmenty "Wyzwolenia" Wyspiańskiego, aktorzy muszą bić, podoba się wiersz Wierzyńskiego "Do Towarzystwa Wiesława" z emigracyjnego tomu "Czarny Polonez", recytowane są fragmenty "Wesela".

Następuje przerwa w występach, na scenę wchodzi dwójka małych dzieci, niosą kwiaty dla stoczniovców.

Granoli się na podium czternastu delegatów z Krosna. Stoją niemal na baczność w swoich ciemnych garniturach, które źle leżą na rozrośniętych barkach. Widać, że czują się bardzo niezręcznie na scenie, mają tremę, błyskają flesze. Nie ma kto mówić, w końcu wysuwają jednego.

- Krosno przyłącza się do MKS-u. Całe miasto solidaryzuje się.

Czytany jest protokół strajkujących zakładów. A potem szybko i z oddechem ulgi delegaci z Krosna zeskakują na dół i znikają w tłumie.

Aktorzy ponownie recytują poezję: "Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość - sprawiedliwość". To Tuwin.

Delegaci spoglądają na siebie i kiwają głowami. Tak właśnie powinno być. I tak będzie.

Godz. 18.00. Na sali znów rośnie niepokój. Dawno nie było apelu o niepalenie i ledwo można oddychać, tak dużo jest papierosowego dymu. Przy stole w pobliżu drzwi grupa ludzi otoczyła delegata, który mówi podniesionym głosem. Obok tworzy się podobna grupa. Podchodzę, widzę kobietę, która wymachuje świeżym wydaniem "Gazety Wieczornej", kciukiem zaznaczyła miejsce, gdzie wydrukowano dwa uzgodnione punkty.

- Tu napisali, że są zależne od Partii, że nasze związki będą od nich zależne. To jest zdrada.

- Wyrulowali nas... Daliśmy się wykołegować. - krzyczą inni.

Dyskusje są coraz bardziej żarliwe, powtarza się słowo "zdrada". Natomiast w przedniej części sali... spokój, jakby teren ten jeszcze należał do innego "państwa", ale bunt przesuwają się pomalą równie w tym kierunku. Krzysztof Wyszkowski biegnie po Wałęsę.

Przywódca strajku jest już na mównicy. Unosi ręce. Widząc ten gest, sala zwykle od razu milkła. Teraz też tumult ucicha, ale długi pomruk nie niknie.

- Nikomu nie damy sobie narzucić zwierzchności... nie po to kładłem swoją głowę - Wałęsa jest przejęty. Pomruki cichną, zrywają się oklaski, ale nie tak huczne jak zazwyczaj.

Wałęsa mówi o konieczności kompromisu, zapewnia, że to tylko pierwszy krok. Jak będą wolne związki, wywalczy się resztę. Sala uspokaja się, przekonają ich. Wybiega.

Mikrofon przejmuje przedstawiciel Uniwersytetu Gdańskiego, mówi, że

rozwiązano Radę Zakładową i tworzą nową, niezależną, którą ma kierować profesor astronomii.

Następnym mówcą jest kobieta, przedstawicielka szpitala, tam też już organizują niezależny związek.

Godz. 18.30. Odczytywany jest apel w sprawie aresztowanych dysydentów. Padają nazwiska: Chojecki, Kuroń, Łuczywo, Wujec, wymieniane tak często w ostatnich latach w związku z represjami, że niemal wpadają w moją pamięć, jak w przygotowane od dawna cele. Obok nazwisk czytana jest przynależność organizacyjna: Niezależna Oficyna Wydawnicza, Biuro Interwencyjne, KOR. Jakiś dziewczyna krzyczy z głębi sali: - Nie tylko KOR aresztują!

A sala, widać to po twarzach, jest za zwolnieniem, ale jednocześnie wyrażam pewien niepokój. Skąd te nazwy tajemniczych organizacji, o których ludzie nie wiedzą? Owszem, wszyscy słyszeli co nieco o KOR-ze, ale na przykład Biuro Interwencyjne? Brzmi to groźnie i urzędowo.

Wyłania się jak spod ziemi Wałęsa, który ma chyba wmontowany magiczny detektor ludzkich nastrojów.

- Nas nie interesuje przynależność organizacyjna. KOR nie KOR. My wiemy, co oni dla nas zrobili, nikt nie zabierze im zasług, ale bardzo proszę, nie wymieniajcie tych nazw. Dla nas ważne, czy ci ludzie są niewinni. Jak niewinni, to należy puścić. No tak czy nie tak?

Sala grzmi od oklasków, a gdy milkną dyskutowany jest problem, czy należy w sprawie aresztowanych postawić ultimatum. Mam wrażenie, że delegaci są za takim ultimatum. Tu popularna jest twardość i zdecydowanie. Ale Wałęsa jest temu przeciwny. Organizuje głosowanie przez podniesienie rąk. I staje w końcu na tym, że ultimatum nie będzie, natomiast zażąda się kategorycznie uwolnienia aresztowanych.

Nie po raz pierwszy jestem świadkiem, jak Wałęsa, kiedy uzna, że sprawa tego wymaga, z wielką zręcznością potrafi narzucić ludziom swoją taktykę. Przez chwilę mam nawet o to do niego cień żalu. Lecz mój żal to chyba rodzaj kalectwa, bo któż żyjąc tutaj nie został okaleczony?

Prawdą jest, że ten prosty elektryk w ciągu kilku dni stał się politykiem. Ale właśnie takiego człowieka potrzebuje ów, największy chyba w świecie powojennym strajk.

Sprawa aresztowanych wraca co jakiś czas jak bumerang.

Chropowatym, stanowczym głosem mówi Henryka Krzywonos, motornicza.

- Dopóki nie upewnimy się, że wszyscy są na wolności, dopóki nie upewnimy się, że wszystkie zakłady są zadowolone, tak długo żaden tramwaj nie wyjedzie na trasę...

Zabiera głos Gwiazda:

- Ludzie, którzy siedzą, mamy nadzieję, że są już na wolności, albo wyjdą niebawem. Bo gdybyśmy pozwolili im siedzieć, to byłaby dla nas hańba na całe życie.

Widzę zaniepokojone twarze delegatów, szczególnie młodych. Czy Wałęsa zdradził? Czy nie przewrócił go się w głowie? Chce podpisać za wszelką cenę, żeby tylko mieć swoje ukochane Związki Zawodowe. Za jaką cenę? Czy nie będzie to cena zbyt wysoka?

Nagle wbiega na podium nęczyzna w zielonej koszulce, wrywa komuś mikrofon, chce mówić, ale głos nie może się wydobyć ze ściśniętego gardła.

- Ludzie... dwa tygodnie strajkowaliśmy i teraz... ludzie... związki... nasze Związki Zawodowe zależne od Partii...

Są oklaski, ale krótkie i słabe, zbyt wiele było hysterii w tych słowach, a poza tym Wałęsa już przytłumił ogień buntu. Mówiono potem, że to nie był delegat, tylko zwykły prowokator. Ale jaki prowokator zagrałby tak wspaniale swoją rolę?

W tym całym rozgardiaszu ostatnich godzin zapomniałem, że przecież miała przyjechać delegacja rządowa. Jest już późno i maleje szansa na ten przyjazd. Co oni tam kują? Poziom napięcia na sali jest bardzo wysoki, panuje nieopisany zgiełk. Wałęsa prosi o spokój.

- Oni na pewno wiedzą, co się tutaj dzieje. Wszystkiego słuchają...

nie mamy wątpliwości, że wiedzą, co się tu dzieje na sali... dlatego nie przyjeżdżają. Więc bardzo proszę... spokój.

Ale spokoju nie ma, wręcz przeciwnie. Zaczynają się spory i konflikty, a więc coś, o czym tu niemal zapomniano. Liczni delegaci mają pretensje do stojących w pobliżu podium, że zasłaniają im widok. Jakiś człowiek z wykrzywioną gniewem twarzą rzuca w kierunku stojących papierową kulę. Dostał robotnik o czerwonym byczym karku. Odwraca się, ma złe oczy, szuka winnego. Cedzi przez zęby:

- Ja cisnę kamieniem...

- Wyrzucić wszystkich, którzy nie są delegatami! - rozlegają się okrzyki.

Twarze ludzi zmieniły się. Jest w nich złość. Sprawia to takie wrażenie, jakby nagle puściły tany ludzkiej wytrzymałości, zbyt wielki był przez te dni napór płynących z różnych stron fal nadziei i zwątpienia.

Do szyb przywarła noc i odkształcone przez zacieki na szkle twarze stoczniowców. Tam na zewnątrz też toczą się dyskusje i spory.

Wychodzę na chwilę. Wpadam na tłum otaczający dwóch młodych ludzi. Stoją naprzeciw siebie, na odległość oddechu, ze skrzyżowanymi na piersi rękami i wymieniają argumenty jak ciosy. Powtarzają się słowa: - "... Wałęsa... zdrada... rozsądek... kompromis... musimy mu wierzyć..."

W rozmowach na sali powtarzają się zdania: - Dlaczego wszystko dzieje się poza naszymi plecami? Dlaczego nie było głosowania? Dlaczego nie uzgodniono z nami? Po co my tu w ogóle jesteśmy? Po co kładliśmy swoje głowy?

Powstają nowe źródła niepokoju. Gardłują delegaci z Krosna, ci, którzy niedawno tak godnie stali na podium. Boją się, że umowa dotyczyć będzie tylko Wybrzeża. Takie same obawy mają inni delegaci spoza Wybrzeża. Wałęsa tłumaczy:

- Podpisujemy na Wybrzeże, ale każdy będzie mógł się do nas przyłączyć. Potem obejmie to cały kraj... gdzie indziej też zostaną podpisane takie umowy. To obejmie cały kraj.

Atmosfera na sali staje się nie do zniesienia.

Na dworze jest niewiele lepiej, ale tu gorące głowy studzi przynajmniej chłód zbliżającej się nocy. Nad radiem tranzystorowym pochylają się liczni słuchacze. Mówi BBC, pierwsza wiadomość dziennika: "Przewiduje się, że w Gdańsku ma dojść do zakłamania się rozmów i otwartego konfliktu na tle aresztowania w Warszawie grupy działaczy opozycyjnych".

Noc w hotelu. Jakiś pijak awanturuje się w recepcji. "Pani nie wie, kim ja jestem".

Dzwonię do Warszawy. Po tamtej stronie słuchawki wielki niepokój. Są aresztowania.

- Nie denerwujcie się... teraz już na pewno wszystko będzie dobrze.

Dziennikarz, z którym dzielę pokój odmawia przed zaśnięciem modlitwę pełną rozpaczy:

- Jak po tym, co zobaczyłem, będę mógł jeszcze pisać. Co pisać i jak pisać?

- A może jednak naprawdę założy się pięta cenzurze - zauważam nieśmiało.

I nagle obaj łapiemy się na myśli, że w gruncie rzeczy nie wierzymy, że cokolwiek się zmieni. Po prostu nie mieści się to nam w głowach. Bo oto stał się cud, a my, ludzie małej wiary, dotychczas nie wierzyliśmy w cuda.

Niedziela. 30 sierpnia

Godz. 9.00. Przed Stoczną tłum, jakiego jeszcze nie było. W pobliżu bramy masa ludzka twardnieje na beton.

Trwa msza. Śpiewano jest właśnie Bogurodzica. Furtka została zamknięta, nikogo nie wpuszczają. Tłum napiera na bramę, jakby chciał ją wykłamać. ręce ściskają kraty. Jak przez świeże zaspy toruje sobie drogę ekipa telewizji z Nowego Jorku. Ale ich też nie chcą wpuścić. Dopiero, jak skończy się modlitwa.

Po giętkiej metalowej drabinie, która nie budzi zaufania, pną się na dach stróżówki przy bramie fotoreporterzy i kamerzyści. Dźwigają swój ciężki, drogocenny sprzęt, balansują nad "przepaścią" ryzykując skrócenie karku. Z dachu rozstacza się wspaniały panoramiczny widok na rozmodlony tłum po obu stronach bramy. Młody chłopak w kieszonkowej opasce siedzi na dachu i pomaga wchodzącym. Nagle łapie się za głowę, bo wspina się właśnie starszy mężczyzna w błyszczących, czarnych lakierkach z ciężką kamerą na ramieniu. Trzęsą mu się nogi, utknął, nie może się ruszyć. Drabinka zaczyna się chwiać, kamerzysta wykonuje dramatyczny taniec i w końcu łąduje szczęśliwie na dachu.

Robotnicy klęczą na betonie, jedni spowiadają się, inni czekają w skupieniu, aż zbliży się do nich złoty kielich.

Przed wejściem do sali obrad ustawia się długa kolejka. Okazuje się, że jest respektowane wczorajsze żądanie delegatów i wpuszczani będą tylko ci, którzy są na liście delegatów oraz osoby niezbędne na sali. Kontrola jest niezwykle skrupulatna, nic więc dziwnego, że kolejka wcale się nie posuwa. Ktoś ze stojących trafnie zauważa, że jeżeli nic się nie zmieni, to ostatni czekający wejdą po północy.

W pobliżu mnie stoi oparta o pień drzewa żona Jacka Kuronia. Przyjechała tu niedawno. Jej mąż siedzi w więzieniu. Jeżeli dojdzie do konfrontacji, on będzie głównym kozłem ofiarnym. Podchodzi.

- Szkoda, że mój biedak nie może tego zobaczyć - mówi w zamyśleniu.

- I żeby to przynajmniej był koniec drogi. Jeżeli ta droga ma w ogóle koniec... - mówię.

- Jacek przesiedział w sumie sześć lat. Z czasem wcale nie jest źle. Człowiek się do tego nie przyzwyczaja, jest coraz trudniej...

Częstuję ją bułką. Na razie nie mogą uczynić nic więcej.

Ludzie są rozprężeni. Leżą na trawie, niektórzy grają w karty, czytają, słuchają zagranicznego radia, dyskutują lub milczą. O Boże, jak wspaniałe i twórcze jest lenistwo strajku, jak wspaniała jest wolność. Kwitnie handel wymienny. Zamienia się rozmaite numery "Solidarności", paniątkowe stemple i druki.

Godz. 10.30. Powinni już być. Znowu się spóźniają. Ale czy ktoś na nich liczy, czy ktoś jeszcze ma złudzenia.

Pociągnięto liny. Ludzie ustawiają się, czekają. Zajeżdża autobus, delegacja wysiada i szybko, niemal truchtem, przesuwa się ponurym korytarzem ludzkich twarzy i skrzyżowanych na piersiach rąk. Zrywa się niespodzianie kilka nieśmiałych oklasków, które zaraz cichną. Rośnie milczenie.

- Jeszcze się naklaszczecie - mruknął ktoś i splunął przez szczyrbę w zębach.

Delegacja milnie, wchłonięta przez drzwi budynku.

- Struna jest naciągnięta, zaraz pęknie...

- Teraz albo nigdy...

- Mnie tu właściwie dobrze. Mogę jeszcze długo strajkować. Mam stero-pian do spania, kufajkę... Mogę tak przez miesiąc sobie strajkować.

Godz. 11.30. Stoję na dworze w pobliżu głośnika. Słychać szelest papieru. Jagielski mówi coś szeptem. Opowiada, jak bito go na gestapo. Podobno smuł takie opowieści już poprzednio w trudnych chwilach.

Głosy robotników:

- To wszystko jest nie tak...

- Musimy zaufać Wałęsie...

Na wstępie rozmów wypływa sprawa uwięzionych dysydentów. Wicepremier tłumaczy się, że nie ma kompetencji i proponuje przekazać sprawę na koniec. Zajmie stanowisko już po podpisaniu wszystkich punktów. Wałęsa, po chwili wahania... godzi się.

Słychać szmer niepokoju, szczególnie w kręgu osób związanych z opozycją. Ale wśród robotników też odzywają się głosy: - Nas też będą potem zamykać.

Omawianie i podpisywanie kolejnych punktów idzie stosunkowo gładko.

Gdy omawiane są sprawy pracowe, Wałęsa odnosi się ze zrozumieniem do zastrzeżeń delegacji rządowej, że sytuacja ekonomiczna kraju jest bardzo trudna.

- Ale są aparaty tak rozbudowane... różne aparaty. Będzie można trochę z nich zdjąć. My się potem zorientujemy, co i komu zdjąć.

Wypowiedź ta zostaje przyjęta z rozbawieniem i aprobatą.

Bogdan Lis odczytuje teraz wszystkie punkty porozumienia. Są już opracowane i gotowe do podpisania. Doszedł w końcu do punktu 21.

- Punkt ostatni. Jesteśmy gotowi do podpisania komunikatu - mówi triumfalnie Jagielski.

Nagle wpada mu niemal w słowo Alina Pieńkowska. Przypomina, że przecież zapewniono bezpieczeństwo strajkującym i osobom wspomagającym. Mówi:

- ...na początku strajku przybyła z Warszawy jedna osoba, która pomogła pracownikom Stoczni Gdańskiej drukować pismo "Solidarność", nauczyła nas po prostu, jak to się robi... Był to Mirosław Chojecki. Po wyjeździe do Warszawy został on aresztowany i otrzymał sankcję prokuratorską. To jest jedna z osób wspomagających strajk. Prosimy o wypowiedź pana premiera.

Chwila konsternacji. Niespodziewanie zabiera głos, nie Jagielski, lecz Wałęsa.

- Jest taka sprawa, że jutro spotykamy się na ulicy Marchlewskiego...

Słuchacze spoglądają na siebie ze zdziwieniem. Co ma ulica Marchlewskiego do Chojeckiego? Ale Wałęsa ciągnie dalej.

- ...do jutra będziemy mieć rozstrzygnięcie... jeżeli te sprawy będą w dalszym ciągu nie załatwione... przedłużymy strajk. Takie jest logiczne wyjście. Nasze sprawy zostały załatwione, a realizacja zależy od naszej solidarności.

Wałęsa trzyma się więc swojego planu, który wykrystalizował się już wczoraj. I chyba popierają go w tym eksperci. Najpierw stworzyć wolne związki zawodowe, a potem... załatwi się resztę. Sprawa aresztowanych nie może opóźnić podpisania umowy. Jagielskiemu szalenie odpowiada taka koncepcja.

Wydaje mu się, że władza nie planowała procesów uwięzionych, to przecież byłoby nierealne. Przegrali wielką bitwę, a teraz będąc w odwrocie chcą przynajmniej wygrać małą potyczkę. Udowodnić sobie i światu, że robotnicy nie solidaryzują się z opozycją.

Dlatego po wypowiedzi Wałęsy premier tak skwapliwie ponownie podsuwa komunikat.

- Mamy przygotowany projekt komunikatu końcowego. Proponuję podpisać... tu jest projekt komunikatu...

Chwila ciszy. Domyślam się, że w Prezydium toczy się teraz spór. Nie wiem, czy szepczą coś do siebie, czy krzyżują tylko w milczeniu spojrzenia.

- Proponuję zrobić 10 minut przerwy - mówi niespodziewanie Wałęsa. Wypowiada to zdanie tak, jakby wypuszczał długo wstrzynywany oddech.

Wzięli więc w Prezydium górę ci, którzy uważają, że należy sprawę aresztowanych postawić na ostrzu noża, choćby za cenę przedłużenia strajku lub nowego konfliktu. To sprawa zasad moralnych, a poza tym, wcale nie jest tak pewne, czy będzie łatwiej za kilka dni proklamować nowy strajk w sprawie uwięzionych. Ludzie są już bardzo zmęczeni.

- Dobrze - godzi się Jagielski, ale potem zachowuje się tak, jakby słowa "dobrze" wcale nie wypowiedział. Powtarzając w kółko to samo, chce chyba otumanić słuchaczy. Czy kładzie się, że przez nieuwagę podpiszą upragniony komunikat?

- Ja bym proponował... my go nie opublikujemy przecież... proponuję zakończyć tego rodzaju prace, jest komunikat uzgodniony, możemy komunikat podpisać...

- Proponuję w takim razie 20 minut przerwy - Wałęsa jest nieubłagany. Najwyraźniej podporządkował się woli większości i stał się teraz wzołennikiem twardego kursu.

- Może panowie przejdą do dyrekcji, herbatę i kawę tam wypiją - zaprasza serdecznie rządowych gości.

Zabiera głos Bogdan Lis:

- Ja proponuję coś innego. Przez okres przerwy, a należy ją przedłużyć,

pan premier zadzwoni do Warszawy, zorientuje się, jak wygląda sprawa ludzi aresztowanych.

Ta wypowiedź spotyka się z powszechnym aplauzem.

Jagielski wychodzi z budynku. Jego autobus pozostał na terenie Stoczni. Goryl w szarym garniturze, który pilnuje pustego wnętrza, czyta łapczywie "Solidarność". Wśród ludzi nastrój jest ponury, niemal rozpacz. Dlaczego?

Robotnicy uważają, że trzeba było więcej żądać i więcej uzyskać. Była taka szansa. A tak, to na pewno znów wszystko wróci w swoje koryto. Zakamarna jest też opozycja. Mówi to samo, co robotnicy. Obserwują ekspertów. Tylko oni się cieszą.

Dostrzegam nagle Szpotańskiego, znanego gogacza i weterana jeszcze z czasów Gomułki, który w swoim przemówieniu nazwał go "Człowiekiem o moralności alfonsa". Kpiarz i marchokt, geniusz i grafoman, wielbiciel pełnego Kieliszka. Siedzi opierając o pustą dłoń smutną twarz mądrego błazna. Stańczyk.

Ekspert Y niemal frunie, macha uskrzydłonymi rękami. Uśmiech na jego twarzy nagle gaśnie - zobaczył robotników. Mają smutne twarze. Jest zaskoczony, nie rozumie, pyta, co się stało? Tłumaczą mu: Nie wierzą władzy.

- Tamci są specjalistami od oszustw. Znowu nas wykolegują, jak kiedyś... jak zawsze... Będziemy strajkować. Czy to coś da?

Siedzą przygarbieni, jakby zwałił się im na plecy ciężar tych wszystkich dni. Kończy się wielkie święto. I jak teraz wejść w codzienność, w zatłoczone tramwaje i autobusy, w powszechną, wzajemną niezyczliwość.

Wraca Jagielski. Drżącym z przejęcia głosem czyta oświadczenie. Wszyscy aresztowani będą zwolnieni do godziny dwunastej dnia jutrzejszego. Nikt nie jest tym zaskoczony, a jednak oddech ulgi jest tak wielki, że aż rozszmiały się na drzewach liście.

Następuje podpisanie porozumienia. Mówi Wałęsa:

- ...nie wszystko, co chcieliśmy. Resztę też uzyskamy, bo mamy nasze Niezależno Samorządne Związki Zawodowe.

Wyjeżdżamy samochodem z Gdańska. Oszołomieni, nie do końca wierzący, że to wszystko było naprawdę. Na granicy miasta patrol milicyjny obserwuje przez lornetkę numery rejestracyjne samochodów, straszą wymarłe stacje benzynowe.

W małym miasteczku ludzie mówią, że niedawno była branka mężczyzn do wojska. Noc. Wpadamy nagle w oko ulewy, ale jej szaleństwo jest optymistyczne.

Po obu stronach szosy wyrósł las. Rozkołysany, groźny, ale nam przyjazny.

Tomasz Jastrun

Tomasz JASTRUN - urodził się w roku 1950, w Warszawie. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1974-1978 pracował w redakcji "Tygodnika Kulturalnego". W roku 1978 wydał w PIW-ie tom wierszy "Bez usprawiedliwienia", a w roku 1980 tom "Promienie błędnego koła". Autor opowiadań dla dzieci i scenariuszy filmowych. Współpracownik "Pulsu".



Tim Garton ASH

## KONIEC POCZĄTKU

Podczas uroczystości koronacyjnych w 1572 roku pierwszy elekcyjny król Polski zobowiązany był złożyć uroczystą przysięgę gwarantującą wolność wyznania - to jest, wolność dysydentów z szesnastego wieku. Kiedy zawahał się przy tym, pewien polski wielmoża ostrzegł go słowami: "Si non iurabis, non regabis" - jeżeli nie przysięgniesz, nie będziesz panował. Robotnicy polscy rozmawiali z rządem w tym samym duchu. I odnieśli wielkie zwycięstwo.

Jednak uroczyste zatwierdzenie porozumienia dotyczącego niezależnych związków zawodowych i prawa do strajków, formalnie podpisanie każdego kompromisowego sformułowania z pozostałych 19 żądań Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przez wiceprezesa Rady Ministrów i triumfalny powrót do pracy, są tylko końcem początku. Ucichła jedynie wrzawa. Przywódcy robotników teraz będą musieli prowadzić długą wojnę oblężeniową z rządzącymi, którzy ciągle cieszą się dużą przewagą w politycznych środkach walki. Doświadczenie uczy, że słowo Gierka nie było niczym innym niż okolicznościową deklaracją. Po grudniu 1970 rząd złożył wiele obietnic, które następnie złamał. Mimo to, ów miesiąc był punktem zwrotnym. W obu swych telewizyjnych kazaniach Gierek używał sformułowania "nasza pogrudniowa polityka". To powinno się teraz zmienić na "naszą posierpniową politykę". /W ciągu tego "polskiego lata" historia wybrała czas punktów przełomowych ze wspaniałym poczuciem ironii. Gdańscy strajkujący wrócili do pracy 1 września, w czterdziestą pierwszą rocznicę rozpoczęcia działań drugiej wojny światowej - zbombardowania Westerplatte, odległego mniej niż pół mili od obecnej stoczni imienia Lenina/. Czy niedzielna "przysięga" może znaczyć tak istotną zmianę w historii Polski jak wprowadzenie panowania elekcyjnego? Tylko przyszłe miesiące i lata to pokażą.

Doświadczenie stoczni imienia Lenina nie może zostać zapomniane przez nikogo, kto tam był. Nie zapomni się widoku wojewódzkiego przywódcy wiedzy, z kamienną twarzą poprzez milczący tłum, niczym Bourbon na gilotynę. Nie zapomni się ludzi: Lecha Wałęsy, Nye Bevana stoczni, pani inżynier nazwanej Joanną d'Arc, tłumacza ochotnika z jego parafialnym angielskim, jakiego nauczył się od guwernantki, Miss Crisp, młodych mężów zaufania, którzy przyprowadzili żony, aby i one uczestniczyły w całej zabawie. Przede wszystkim zaś niezapomniana jest prawdziwa solidarność, tak różna od sztucznych tworów partii. Podkreślam to, bo wydaje mi się, że kolektywna pamięć dziesiątków tysięcy uwikłanych w generalny strajk Trójmiasta i - według terminologii marksistowskiej - podniesienie "świadomości" robotników uczestniczących w nim, jest o wiele większą gwarancją utrzymania uzyskanych przywilejów niż jakikolwiek kawałek papieru. Ze strony instytucjonalnej istnienie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, którego nazwa została zmieniona na "Komitet Robotniczy", zapewnia kontynuację działania. Nie ma wątpliwości, że w wolnych i tajnych wyborach Wałęsa uzyska największą ilość głosów.

"Jestem po prostu związkowcem, polityka mnie nie interesuje" - cytowano oświadczenie Wałęsy z zeszłego tygodnia. Ale jest on czymś więcej. Rozważmy ten sławny opis: "... ideałem powinien być nie sekretarz związku, lecz trybun ludowy zdolny do reagowania na każdy przejaw tyranii czy krzywdy, niezależnie od tego, jakiej warstwy czy klasy społecznej ona dotyczy, musi on umieć uogólniać wszystkie takie przejawy, aby zbudować jednorodny obraz przemocy politycznej czy kapitalistycznego wyzysku..." Zamieńmy przymiotnik "kapitalistyczny" na "komunistyczny", i Lech Wałęsa zostaje uznany za trybuna ludu, zgodnie z klasyczną leninowską definicją. Zadeklarował przecież

zainteresowanie rolnikami, studentami i intelektualistami. Większa część sławnego dokumentu znanego jako "21 postulatów" jest katalogiem najbardziej powszechnych przyczyn niezadowolenia ludzi całej Europy Wschodniej: długie oczekiwanie na mieszkanie /punkt 19/, braki artykułów żywnościowych, polityka cen i dystrybucji /punkty 10-12/, preferowanie członków partii niezależnie od ich rzeczywistych umiejętności oraz rażące przywileje aparatu państwa i służby bezpieczeństwa /punkt 13/, służba zdrowia /punkt 16/, cenzura /punkt 3/, więźniowie polityczni /punkt 4/. O wiele mniejsza część żądań dotyczy bezpośrednio przyczyn niezadowolenia stoczniovców. Komitet zgłosił żądanie uczestniczenia w podejmowaniu decyzji na całym froncie polityki społecznej i ekonomicznej - dla dobra kraju. Punkt /6/ mówi o "zastosowaniu prawdziwych środków wyprowadzenia kraju z kryzysu: publikowanie jasnych informacji o sytuacji społecznej i ekonomicznej, uczestniczenia wszystkich grup i warstw społecznych w dyskusji dotyczącej programu reform". To nic innego niż recepta na odnowę narodu poprzez pluralizm.

Recepta ta nie spotkała się z poparciem rządu. Punkt /6/ porozumienia podpisany przez wicepremiera Jagielskiego mówi, że "rząd poda do wiadomości sposób przeprowadzania reform. Zakłady pracy otrzymają większą samodzielność planowania...". Więc wyмова jest jednak trochę inna. Uważna analiza porozumienia ujawnia fakt, że rząd poszedł na konkretne ustępstwa tylko w przypadku bezpośrednich przyczyn niezadowolenia strajkujących, oraz w sprawie mięsa. In ogólniejsze żądanie, tym bardziej enigmatyczne obietnice. Na przykład na temat przywilejów, w porozumieniu stwierdzono po prostu, że "związki zawodowe zbadają, czy policja i członkowie partii cieszą się przywilejami".

Teraz każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w bloku wschodnim poduszane się dzieje. Ale wicepremier Jagielski zaprzeczył temu po prostu podczas negocjacji. Politycy w ogóle, a komunistyczni politycy w szczególności mają niemal nieskończoną możliwość utrzymywania, że białe jest czarne /szczególnie jeżeli o ich własne czarne karty chodzi/. Prawdopodobnie związki zbyt wiele w tej sprawie nie osiągną. Co do problemu mieszkaniowego, "rząd zbada do 31 grudnia 1980", jak skrócić opóźnienie. "Żądania komitetu strajkowego mają być opublikowane". Ale kiedy? I gdzie? W przyszłym roku w "Białostockim Reporterze Wieczornym", w nakładzie 200 egzemplarzy? Czy jutro w centralnym dzienniku partii? Na temat cenzury także padły luźne stwierdzenia. Nowe prawo będzie przygotowane "w przeciągu trzech miesięcy". Trybunał administracyjny zadecyduje, jakie informacje nie mogą być publikowane ze względu na ujawnianie "państwowych i ekonomicznych tajemnic". Ta zmiana nastawienia - od arbitralnej decyzji cenzora, co można opublikować, do /być może nieco mniej arbitralnego/ werdyktu sądu, czego publikować nie można. Należy jednak poczekać na praktyczne rezultaty.

Nie wiemy także, jak będą wyglądały niezależne związki zawodowe. Nie ma tu precedensów. Stanowią one ideologiczną sprzeczność /klasa robotnicza organizująca się przeciwko samej sobie/. Statut nowych związków jest właśnie opracowywany. W Gdańsku ogłoszono publicznie, że nowe organizacje będą współistniały ze starymi, i mogą nawet z nimi współpracować. Oficjalna agencja prasowa, PAP, przedstawiła w zeszłym tygodniu niecodzienny raport sugerujący, że nowe prawo da związkom "kontrolę nad polityką państwa w szerokim sensie", możliwość wysuwania propozycji prawnych i posiadania reprezentacji w Sejmie. Czy delegaci niezależnych związków zawodowych będą więc obecni w Komisji Planowania? W ciążkach rządzących? Czy związek będzie miał własną prasę? Jakie warunki zostaną nałożone na prawo do strajkowania? /w końcu nawet w Niemczech Zachodnich, strajki polityczne są niezgodne z prawem/. Na wszystkie te pytania odpowiedzą najbliższe miesiące.

Jeżeli Lech Wałęsa i jego koledzy osiągną to, czego chcą, zorganizują opozycyjną partię, kompletną we wszystkim poza imieniem, partię, która nigdy nie zażąda imienia. Przeciwnie, będzie ona ciągle w słowach podkreślała wiążącą rolę Partii przez duże P. Nie będzie ona też prosiła o głos w sprawie polityki zagranicznej i obronnej. Wszyscy poza prawicowymi, nacjonalistycznymi grupami w kalejdoskopie opozycji dawno już zauważyli, że to musi pozostać monopol Partii. Tutaj Związek Radziecki nie będzie tolerował pluralizmu.

mu. Co więcej, będzie to lojalna opozycja. Jej lojalność w stosunku do narodu polskiego jest tak gorąca jak lojalność Kościoła. "Wracamy do pracy dla naszej ojczyzny" - oświadczył w poniedziałek Wałęsa. I to jeszcze nie wszystko co ich łączy z Kościołem. Komunikat Polskiego Episkopatu posunął się daleko w korygowaniu wrażenia zrobionego przez transmitowaną wersję przemówienia Kardynała Wyszyńskiego /które było ponoc poprzedzone spotkaniem z Edwardem Gierkiem/. Podkreślał on niektóre z "podstawowych praw narodu": prawo do prawdy, na przykład, i prawo do uczciwego dziennego wynagrodzenia za dzień pracy. Drugi Sobór Watykański, jak przypomiano, popierał prawo do niezależnych związków zawodowych explicite. W ten sposób Lech Wałęsa wprowadzając się do nowego biura w Gdańsku może zauważyć, że jego autorytet opiera się zarówno na 87 Konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy /ratyfikowanej przez rząd Polski w 1966 roku/ jak i na obradach Drugiego Soboru Watykańskiego.

Jego siła leży w groźbie strajków. Nie jest to już, jak poprzednio w historii bloku wschodniego, groźba niekontrolowanej eksplozji wyrażającej niewyraźne szkody majątkowi i życiu narodu - jak nuklearny straszak, jeżeli można się tak wyrazić. W tej chwili jest to kontrolowana realna sankcja, zorganizowane przedłużenie dyskusji poprzez odnienne środki; krótko mówiąc - konwencjonalna broń. Realizacja związkowego projektu reform będzie zależała od równowagi sił, która została osiągnięta wewnątrz zakładów pracy. Będzie zależała od równowagi między przywództwem partii, a nową przeciwwagą w społeczeństwie polskim: Kościołem i związkami zawodowymi. W najbliższej przyszłości, w ciągu nadchodzących miesięcy, będzie to zależało od równowagi sił w Biurze Politycznym i Komitecie Centralnym.

Będzie to bowiem okres niepokoju politycznego. Pierwszy sekretarz mniej pewnie siedzi na swoim stołku niż król elekcyjny. Wśród przywódców łatwo zauważyć podział na "jastrzębie" i "gółbice". Stefan Olszowski, na przykład, łączy w swojej osobie cechy ekonomicznej "gółbicy" i ideologicznego "jastrzębia". Najwięcej, na co można liczyć, to szeroka grupa wpływowych technokratów i proreformistycznych intelektualistów, jak na przykład Mieczysław Rakowski /wpływowy redaktor "Polityki"/, z ich osobistymi powiązaniem z katolicyzmem i liberalną opozycją poprzez grupę "Doświadczenie i Przyszłość" /znaną jako DiP/, uzyskują na niego wpływ. DiP skupia zarówno członków partii jak i wiodących przedstawicieli inteligencji katolickiej, z których jeden znalazł się pośród ekspertów służących radą strajkującym w Gdańsku. Pewne jest przynajmniej to, że przepływ informacji między rządzącymi i rządzonymi ulegnie poprawie przy takich powiązaniach; przepływ informacji, który był dotąd zarówno słaby jak i wysoce koloryzowany przez obie strony.

Polscy politycy nie są anonimowi. Żeby sparafrazować stwierdzenie Marksa - Polacy kształtują swoją historię, ale niezupełnie tak, jakby im to odpowiadało. "Romantyzm modulowany przez geopolitykę", brzmi popularne określenie obecnego ducha Polaków przez jednego z pisarzy polskich. Po dwóch stuleciach zaczęli oni zdawać sobie sprawę z tego, że być może, niestety, będą musieli żyć z potężnymi sąsiadami, Rosją i Niemcami, jeszcze parę lat więcej. Elementy podstawowe, "Rosja" i "Niemcy" zostały uwikłane w nowe równanie: Związek Radziecki plus Niemcy Wschodnie równa się "Wschód". Zachodni alianci plus siły Niemiec Zachodnich równa się "Zachód". "Wschód": "Zachód" będą odgrywały decydującą rolę w dalszym rozwoju kryzysu polskiego.

Milovan Đilas określił gdańskie wydarzenia mianem "najbardziej znaczącego postępu w Europie Wschodniej od czasu zakończenia drugiej wojny światowej". Przywódcy radzieccy i wschodniemieccy nie ograniczyli się do prywatnych wyrazów niepokoju i gniewu. Ich organa partyjne w zeszłą niedzielę podawały przede wszystkim komentarze Gusa Halla, przywódcy rosnącej komunistycznej partii amerykańskiej, które mówiły o "szabym" i "biurokratycznym" rządzie polskim. Mogli doszukać się ostrzejszych rzeczy, gdyby chcieli, w wypowiedziach włoskich i hiszpańskich partii komunistycznych. Nawet Francuska Partia Komunistyczna wypowiedziała słowa krytyki ostrzejsze od wszystkiego, na co nasze własne małoduszne związki zawodowe mogły się zdobyć. Ryzyko rozprzestrzenienia się strajków na Niemcy Wschodnie czy na zachodnią część Związku Radzieckiego w znacznej skali było niewielkie /jakkolwiek jednego robot-

ska z Berlina Wschodniego spotkania właśnie w stoczni gdańskiej/. Stwierdzono jednak, że w zeszły piątek, w dniu, kiedy negocjacje w Polsce zdawały się załamywać, siły radzieckie przedsięwzięły kroki znane z przeszłości jako przygotowanie do inwazji.

To niebezpieczeństwo wydaje się chwilowo zażegnane. Ale niebezpieczny okres dla innych wschodnioeuropejskich reżimów dopiero się zaczyna. Jeżeli proponowane reformy zostaną wcielone do prawa polskiego, reformiści w Czechach, Słowacji i Niemczech Wschodnich będą mogli publicznie oprzeć swoje żądania na oficjalnych statutach socjalistycznego sprzymierzenia. Jeżeli "21 postulatów" zostanie opublikowane w oficjalnych polskich środkach masowego przekazu, obywatele sąsiednich krajów będą mogli cytować nawet rozdział i wers. /Zauważyliśmy już poprzednio, jak wiele przyczyn niezadowolenia tam przedstawionych jest wspólnych wszystkim ludziom bloku wschodniego/. Ten sposób argumentacji jest najtrudniejszy do zwalczania dla reżimów komunistycznych. Nie jest nieprawdopodobne, że "Wschód" sięgnie po mniej drastyczne, dostępne formy braterskiej interwencji, aby temu zapobiec. Na najwyższym szczeblu polityki polskiej znajdzie się wystarczająco dużo ludzi twardego kursu, zniechęcony Łukaszewicz, na przykład. Łukaszewicz stracił stanowisko szefa ideologii i propagandy w ciągu Niedzieli Długich Noży, ku ogólnej radości inteligencji. Ale szybkie powroty są regułą raczej niż wyjątkiem w polityce polskiej. W końcu, czy sam Olszowski nie stracił stanowiska sześć miesięcy temu? Stracił. Tą samą drogą Łukaszewicz i jego krąg mogliby odzyskać siłę w zmaganiach tej jesieni, z pewną pomocą przyjaciół w Moskwie i Berlinie Wschodnim. Polska opozycja i wielu członków partii zrobi wszystko co w ich mocy, aby temu zapobiec. Ile jednak naprawdę znaczy ich siła?

Istnieje jedna grupa, której waga może przeważać szalę - my. Zachód jest niepewnym czynnikiem w równowadze siły. W tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, Polska potrzebuje ekonomicznej pomocy na ogromną skalę. Tego Związek Radziecki zapewnić nie może. Zatem Polska musi utrzymać ją z Zachodu. Inaczej nie ma do kogo się zwrócić. Wszystko wskazuje na to, że pierwszy sekretarz za kilka tygodni przyjedzie wyłobaczyć coś w Hamburgu. A Schmidt da mu wszystko co może, "bez żadnych dodatkowych warunków".

Najbardziej światli, szeroko patrzący i odważni ludzie, z którymi rozmawiałem w Polsce są skonsternowani i przerażeni stosunkiem Zachodu do ich kraju. Zza Atlantyku słyszą przedwyborczą kakafonię. Widzą jeszcze frankofońskiego Gierka w objęciach Giscarda d'Estaing, wiedzionego przez ciąg olśniewień salonów Pałacu Elizejskiego. Widzą jeszcze pragmatycznego Gierka gawędzącego ze Schmidtem na północnym wybrzeżu. Obserwują tę nieodpowiednią rolę odgrywaną w kalkulacjach dwóch zachodnich mężów stanu przez ich wspólną osobistą sympatię dla pierwszego sekretarza. Niepokoją wyborcze, interesy własne ich narodów, obsesję spokoju w Europie - spokoju za niemal każdą cenę, przesłoniły francuskie i zachodniemieckie spojrzenie na możliwości wpływania na sferę radziecką. Więc moi przyjaciele nie zgadzają się. Co do twierdzenia, że "detente" przyniosła w Polsce daleko idącą liberalizację, są po prostu sceptyczni. Gdzie na to dowody? - pytają. Rumunia cieszyła się mniej więcej taką samą uwagą i pomocą zachodu i to przez dłuższy okres czasu. I czy jest bardziej liberalna? Nie; i jak powiedział redaktor "Kultury", znakomitego polskiego niesięcznika emigracyjnego, w jednym z rzadko udzielanych wywiadów w Paryżu: "Detente? Nie wiem, co to słowo oznacza. To, co Polacy wywalczyli, zawdzięczają tylko i wyłącznie odwadze swojego narodu." I pamiętam aktywistę opozycji, wskazującego na trzech tajniaków siedzących w białym Piacie przed domem, i mówiącego: "Widzisz, utrzymujecie ich".

To tylko jedna strona medalu. Pewne jest, że kumulujący się nacisk kontaktów ekonomicznych i międzyludzkich rozluźnia jednak więzy bloku. Młoda generacja technokratów jest bardziej otwarta na zachodnie poglądy ekonomiczne, jakkolwiek przykład pana Olszowskiego sugeruje, że nie musi to być powiązane z żadnym zachodnim pojęciem wolności. Doceniają oni jednak pragmatyczny argument przemawiający za pluralizmem: że z ekonomicznego punktu widzenia, przynosi on efekty. Ponadto nikt nie twierdzi, że zachód przez ostatnie dwa tygodnie powinien dać w fanfary. Szkodna wypowiedź rządu brytyjskiego

go między innymi, była dla opozycji najlepsza z możliwych. Postuluje się jednak, że po spokojnym przeczekaniu lata niezadowolenia powinniśmy teraz wyrzucić silny, zakulisowy nacisk dyplomatyczny podczas zimy powrotu do porozumienia. Znaczenie, jakie mamy, powinno zostać dyskretne, lecz bezbłędnie zaangażowane po stronie rozsądnych reform ekonomicznych, dalszej liberalizacji życia umysłowego, pluralizmu i praw człowieka. Możemy nawet nauczyć się od strajkujących z Gdańska czegoś o poprawnym użyciu siły ekonomicznej. Kto może stanowić lepszy przykład połączenia pragmatyzmu i pryncypiów?

Tim Garton Ash  
przekazała Anna Przestrzeliła

Tim Garton ASH - młody dziennikarz angielski /lat 24/, z wykształcenia historyk. Jego wnikliwy i napisany z niezwykłą znajomością rzeczy artykuł pt. "Koniec początku" przedrukowujemy za zezwoleniem tygodnika "Spectator" /6.09.1980 r./, jednego z najstarszych pism brytyjskich.

-----  
"PULSU" NIE MUSISZ LUBIĆ: CZYTAJ GO  
-----

## ANI BOGA, ANI PANA

\* Juanem Goytisolo o neanarchizmie, lewicy, polityce i pisarstwie rozmawia E. Parra<sup>x</sup>

Juan Goytisolo /1931/ jest jednym z najwybitniejszych pisarzy i dysydentów hiszpańskich.

W 1956 roku zdecydował się opuścić kraj i działać jako jeden z najbardziej czujnych krytyków Franco, większość jego książek znajdowała się w Hiszpanii na czarnej liście. Po 1975 roku opublikowano w jego rodzinnym kraju wszystko, co wówczas napisał /11 powieści, 4 tomy esejów, 3 reportaże i parę dziesiątków artykułów/. Większość jego powieści została przetłumaczonych na wiele języków. Trylogia "Znaki tożsamości" /1966/, "Hrabia Julian" /1970/ i "Juan bez ziemi" /1975/ pozostanie w historii literatury jako świadectwo wyzwania się jednostki w naszym stuleciu spod władzy miraży /politycznych, społecznych i kulturalnych/ zachodniej cywilizacji. - Ani Boga, ani pana - oświadcza Juan Goytisolo.

E. Parra - Jakie są obecnie możliwości człowieka, który jest dysydentem? Jak ma postępować?

J. Goytisolo - Kiedy mój ostatni tom esejów nazwałem "Dysydentyzm", zrobiłem to z bardzo konkretnego powodu. Tłumacząc książki Blanco White'a /hiszpański pisarz 1775-1841, który musiał wyemigrować do Anglii i tam zaczął pisać po angielsku/ zdałem sobie sprawę z pewnej dość ważnej rzeczy. Wszystko to, co Blanco napisał o Kościele, uderzająco przypomina wypowiedzi dysydentów w ZSRR i Wschodniej Europie na temat ideologicznego monolitu ich społeczeństwa. Tak jak kościół katolicki i anglikański za czasów Blanco White'a, tak dzisiaj rządząca w ZSRR kasta uważa się za przedstawicieli jedynej i wiedzy-astej prawdy i nie spogląda w zwierciadło czasu, by nie zobaczyć własnych zmarszczek, własny głos uważa za głos ludu i zależy jej w gruncie rzeczy tylko na utrzymaniu władzy. Walka Blanco i jego hiszpańskich poprzedników /pierwszym i najsłynniejszym z nich był Fernando de Rojas/ była przede wszystkim walką z manipulacją, którym ze strony rządzącej ideologii podlegał język; słownictwo i składnia uległy całkowitemu zwyrodnieniu, pusty, skostniały, liturgiczny język. Kiedy przeprowadza się analizę ówczesnych encyklik papieskich i dzisiejszych przemówień Breżniewa, widać wyraźnie tę samą pompatyczność uświęconych formułek, które powtarza się w nieskończoność, odbierając im sens. Każdy dysydent, czy jest nim Blanco White czy Bułhakow lub Zinowiew, musi ten kanoniczny sztywny język zmonopolizowany przez władzę zdemistyfikować, musi przywrócić słowom ich właściwe znaczenie wypaczone przez panującą ideologię. Zasadniczą rolę odgrywa tu satyra, ironia: to najlepsza broń pisarza, który chce odrodzenia języka, stara się pokazać skostnienie systemu, ośmieszyć arcykapłanów. Praca Bachtina /"Rabelais i jego świat"/ podkreślająca kpiny Rabelais'go z dogmatycznej, oficjalnej religii mówi według mnie o politycznych kościołach dnia dzisiejszego.

Wracając do mojej książki. Jest dla mnie jasne, że Rojas był dysydentem swego czasu. Buntował się przeciwko społeczeństwu, które w sposób okrutny prześladowało jego rodzinę i jego kastę, i przeciwko literackiej tradycji, której tak wspaniale przeciwstawia się swoją "Celestyną". Bunt był podwójny: artystyczny i moralny. Jeśli literatura jest - według znanej defini-

<sup>x</sup> wywiad opublikowany w czasopiśmie hiszpańskim "El viejo topo". Drukujemy go z nieznacznymi skrótami.

cji Pavese - "obroną przed napaścią życia", cały nurt literatury poczynając od Rojasa, Cervantesa itd. polegał na uporze, starała się nie dać zdławić totalitarnemu państwu i ortodoksyjnej myśli. I tak dochodzimy do równania: pisarstwo = dysydyntyzm.

E.P. - Uważam, że zniekomicie zdefiniował pan pozycję dysydenta. Ale pamiętam, że jeszcze nie tak dawno temu interesował się pan bardzo pracami Gramsci'ego i Róży Luksemburg. Co oznaczał dla pana marksizm?

J.G. - Marksizm odkryłem, jeśli wziąć pod uwagę moje środowisko i sytuację w Hiszpanii, w latach pięćdziesiątych, bardzo wcześnie. Wraz z moim bratem Luisem chodziliśmy na zebrania literackie do Bar-Clubu w Barcelonie i tam uczestniczyliśmy w dyskusjach na temat marksizmu, politycznego zaangażowania itd. Czytywaliśmy przeszmuglowane do Hiszpanii komunistyczne pisma francuskie i w rezultacie wielu moich kolegów wstąpiło do komunistycznej partii. Później, w Paryżu, zabrałem się do czytania Marksa, Engelsa, a przede wszystkim Lukacsa, który stał się, niestety, moim nieodłącznym <sup>mentorem</sup> na dobrych parę lat. Mówię "niestety", bo chociaż jego intelektualny autorytet jest niewątpliwy, i chociaż nigdy w przeciwieństwie do innych komunistycznych intelektualistów nie uległ stalinowskiej demagogii, to wszystko, co pisałem, nosiło na sobie piętno jego estetycznego konserwatyzmu i fascynacji burżuazyjną sztuką i literaturą. Nie przypadkowo moja najgorsza powieść "La Reseña", spotkała się z jego najwyższymi pochwałami, które przekazał mi nasz wspólny przyjaciel. Lukacs, tak samo jak Lenin, uważał dziewiętnastowieczny realizm za szczytowe osiągnięcie sztuki i obaj osądzali współczesną literaturę przez pryzmat Balzaka i Tolstoja. Obaj uznawali tylko sztywny model realizmu i potępiali awangardę /wystarczy przypomnieć ataki Lukacsa na Prousta, Joyce'a, Kafkę i surrealizm/, nie rozumiejąc, że nowy świat, w którym żyjemy, wymaga nowego języka, poszukiwań nowej formy /i to właśnie nazywali formalizmem/. Nie rozumieli, że próby uchwycenia zmieniającej się rzeczywistości /nastąpiła przecież techniczna i kulturalna rewolucja, stąd Picasso wymyślił sobie "muzeum wyobraźni", co umożliwiła sięganie do sztuki i literatury wszystkich czasów i wszystkich cywilizacji/ w ramach ustalonych raz na zawsze praw - to nie innego niż właśnie formalizm /osobiście uważam tzw. realizm socjalistyczny za szczytowe osiągnięcie formalizmu/. W ciągu tamtych lat napisałem kilka bardzo "lukacsowskich" esejów; były one, jak większość ówczesnych esejów hiszpańskich, nie tyle wynikiem własnych literackich przemyśleń, ile źle przyswojonych pospiesznych lektur.

Szczęśliwie dla mnie moje następne fascynacje były mniej ortodoksyjne. Najpierw Gramsci /którego czytałem po włosku, gdyż Francuska Partia Komunistyczna sprzeciwiała się tłumaczeniu pism Gramsci'ego/, potem Trocki, a przede wszystkim Róża Luksemburg, której interpretacja Marksa do dziś wydaje mi się prawdziwa. Ze współczesnych autorów wpłynął na mnie najbardziej Marcuse. Ale kiedy go czytałem, nie byłem już totalnym marksistą, to znaczy nie patrzyłem na wszystkie przejawy życia przez pryzmat ideologii. W dzisiejszych czasach marksizm stał się częścią współczesnej kultury i chcąc nie chcąc jesteśmy pod jego wpływem. Ale to samo dotyczy innych myślicieli, na przykład Freuda, co nie znaczy, żebym uważał się za freudystę. Sądzę, że obecnie żaden system filozoficzny nie może usiłować wytłumaczyć wszystkich zjawisk życia i świata nie doprowadzając do totalitaryzmu. Udowodnił to stalinizm. Patrz Łysenko i Żdanow.

Ostatnio w moich lekturach zwróciłem się ku myśli anarchistycznej. Interesują mnie Fourier, Bakunin, Chomsky.

E.P. - Freudyzm w wydaniu marksistowskim przyczepił Bakuninowi etykietkę naiwnego neuropaty. Albo - co wychodzi na to samo - odwołuje się do definicji Plechanowa, czyli identyfikuje Bakunina z dekadencją i utopizmem. Jest to absurdalne, podobnie jak utożsamianie anarchizmu z barbarzyństwem przez prawomyślną burżuazję. A czyż filozofia Bakunina nie zdaje dziś egzaminu, nie jest najlepszą krytyczną metodą, jaką można zastosować rozważając obecne ustroje marksistowskie?

J.G. - Jeśli cofniemy się do słynnej polemiki między Marksem i Bakuninem, to możemy stwierdzić, że historia udowodniła rację Marksa - dziś blisko jedna trzecia ludzkości żyje w społeczeństwach, które zwa się marksistowskimi. Także kapitalizm zmodyfikował w celach obronnych mechanizmy swojego działania czerpiąc pełnymi garściami z "Kapitału". Przyszłość należy jednak niewątpliwie do Bakunina. Zarówno skorygowany kapitalizm socjaldemokratycznych społeczeństw, jak i dyktatorski model /czy raczej antymodel/ takich krajów jak ZSRR, Chiny, Kuba, głośno dopominają się rewolucji typu anarchistycznego. Zarówno w aspekcie indywidualnym jak i społecznym.

Ważny współczesne społeczeństwa zachodnie, wysoko rozwinięte pod względem kulturalnym i ekonomicznym: leninowskie, trockistowskie, maoistyczne czy guevarystyczne wzorce nie przemawiają do klasy robotniczej, do historycznych sił pragnących zmian społecznych, bo niewiele mają wspólnego z ich prawdziwymi aspiracjami. Skrajny ekonomizm marksistowskich ruchów rewolucyjnych odstręcza od nich masy, nie uwzględnia bowiem ich nowych dążeń i potrzeb; ruchy te nie zajmują się, a przynajmniej do niedawna nie zajmowały się problemami, których nigdy nie tracili z oczu anarchiści; myślę o prawach człowieka, wolności indywidualnej, potępieniu pracy przymusowej, krytyce industrializacji, jako czynnika przynoszącego rzekomo wyzwolenie jednostki; myślę o zagadnieniach feminizmu, ochronie środowiska, walce z konsumpcyjnym podejściem do życia. Jak widzimy na przykładzie Hiszpanii, nawet najbardziej "nieprzemakalne" grupy marksistowskie i marksistowsko-leninowskie ulegają wirusowi anarchizmu, i wychodzi im to na zdrowie.

Jest to jeszcze wyraźniejsze w ZSRR i Europie Wschodniej. Hierarchizacja władzy, ideologiczna petryfikacja, dualizm społeczny - podział na rządzących i rządzonych, negowanie podstawowych wolności i praw jednostki dowodzą proroczego charakteru prac Bakunina. Raj stworzony przez rządzące marksistowsko-leninowskie partie nie ma nic wspólnego z pięknymi wizjami; zamiast nowego człowieka /konceptja ta zaletywała zresztą mocno chrześcijaństwem/ pojawił się stary barbarzyńca. Ruchy demokratyczne, coraz liczniejsze, pojawiają się w tych społeczeństwach - z żądaniem demokratyzacji, politycznej i ideologicznej swobody i krytyką władzy - są pośmiertną zemstą Bakunina na jego dawnym rywalu.

Jak zauważył Alvarez Junco, państwowy "socjalizm" typu autokratycznego może być pociągający już tylko dla nieszczęśliwych, wyzyskiwanych społeczeństw Trzeciego Świata. Sztywna, niemal militarha organizacja pozwala skutecznie wyprowadzać te społeczeństwa z zacofania gospodarczego i analfabetyzmu, w których utrzymuje je współczesny imperializm. Ale kiedy to nastąpi - mój brat Luis porównał to ostatnio do pierwszej pomocy udzielanej ofierze wypadku - wówczas ten tak zwany socjalizm udowodni, że nie potrafi się przestać i przekształcić. Oczywiście, że najważniejszą rzeczą jest nakarmienie głodujących społeczeństw, a nie robi tego kapitalizm, który bezlitośnie eksploatuje kraje Trzeciego Świata. Ale nie powinniśmy zapominać - a reżymy na modłę sowiecką zdają się tego nie zauważać - że prawa człowieka zaczynają się, a nie kończą, na prawie do jedzenia.

E.P. - "Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie". Rewolucyjne doświadczenia - szczególnie XX wieku - wykazały nieumiejętność ulepszenia nawet swoich ekonomicznych systemów, czy nie sądzi pan zatem, że często sprawy produkcji służą do wywierania represji.

J.G. - Marksizm jak najskuteczniej zadenuncjował ekonomiczny wyzysk człowieka przez człowieka, to znaczy przywłaszczanie sobie przez kapitał nadwyżki pracy robotnika, ale ignoruje czy też lekceważąc polityczny wyzysk władzy, przywłaszczanie sobie przez przedstawicieli władzy części lub nawet całości należnych człowiekowi swobód. Marks ograniczał się do walki z prywatnym kapitałem i ekonomiczną eksploatacją, za to Bakunin, znacznie śmielszy i bardziej rewolucyjny, potępił Państwo, które nieuchronnie staje się właścicielem naszych politycznych, ekonomicznych, kulturalnych i czysto fizycznych swobód; Państwo tego potwora, którego Marks nie przewidział, a który decyduje o tym, co należy czytać, a czego czytać nie wolno, kto może, a komu nie wolno podróżować, co należy myśleć, jak należy kochać, i tak dalej i



tak dalej, nie kończące się i tak dalej. Francisco Carrasquer - współczesny polityczny pisarz hiszpański - w swoim projekcie anarchistycznego manifestu zadaje pytanie, dlaczego lewica uważa za realne zwalczanie własności państwowego pragnienia akumulowania prywatnej własności, a za nierrealne zwalczanie chęci sprawowania władzy, choć ci, którzy "chorują na władzę", stają na szczęście niewielki procent ludzkości. Czy pesymistyczne stwierdzenie, że "zawsze będą rządzący i rządzeni", nie jest tym samym, co uznawanie, że "zawsze będą istnieć panowie i niewolnicy", "kapitałiści i proletariusze", nie mówiąc już o szowinistycznej postawie mężczyzn, którzy jeszcze niedawno usprawiedliwiali dyskryminację kobiet. Przyszłe społeczeństwo musi postawić sobie za zadanie zwalczanie destrukcyjnej tendencji do zdobywania władzy, tak samo, jak przeciwstawia się piromanii czy chęci mordu. Nie odwołując się do historii i opierając <sup>wyłącznie</sup> na doświadczeniach naszego stulecia, każdy może stwierdzić, że miliony ludzi zginęły na skutek decyzji jednostek spragnionych władzy. Wydaje się więc logiczne i rozsądne, by społeczeństwa potrafiły wytworzyć samoobronne mechanizmy. Zbrodnie doktora Petio, Kuby Rozpruwacza czy Sinobrodęgo wydają się czynić śmieszny i dyktanckim wobec zbrodni popełnionych przez Stalina, Hitlera i im podobnych. Zważywszy na poważne trudności w usuwaniu dyktatorów, gdy raz już zdobyli władzę - mamy tu przykład Franca, który spokojnie zmarł we własnym łóżku - powinniśmy dojść do następującego wniosku: najlepszym sposobem przeszkodzenia takim jednostkom w zdobyciu władzy jest uniemożliwienie, by zawiądnęła nimi władza. Nie jest to propozycja utopijna, lecz jak najbardziej konkretna i niezbędna. Ludzkość musi się pozbyć nie tylko ekonomicznych wyzyskiwaczy, ale także führerów, sterników, caudillów, dobroczyńców i wozów. Jeśli chodzi o mnie, zgadzam się całkowicie ze słowami Carrasquera, kiedy twierdzi, że jeśli nawet nie uda nam się całkowicie znieść władzy, to sprawiedliwość i wolność były, są i będą odwrotnie proporcjonalne do siły władzy, a wprost proporcjonalne do wpływów na świat myśli anarchistycznej.

E.P. - Ostatnie eksperymenty rewolucyjne miały miejsce w Chinach i na Kubie; nie wiem, jakie ma pan dane na temat rewolucji chińskiej, ale, jak sądzę, ma pan wiele informacji na temat Kuby, gdzie był pan wielokrotnie.

J.G. - Na temat chińskiej rewolucji nie potrafię panu wiele powiedzieć. Nigdy nie byłem w Chinach, nie znam ich historii, kultury i języka. Czytałem, oczywiście, wiele książek o maoizmie, ale to nie wystarczy, by osądzać doświadczenie, które wpływa na los miliarda ludzi. Sądzę, że maoizm, jak każdy autokratyczny system "socjalistyczny" udzielił pierwszej pomocy tej ogromnej masie "ofiar wypadku", nakarmił je i przyodział, co - jeśli za punkt wyjścia uznamy burżuazyjną demokrację Indii - stanowi niewątpliwie krok naprzód. Niemniej uważam, że zachodnia lewica zaczęła idealizować eksperyment maoistowski, posługując się tymi samymi schematami myślowymi i popełniając te same błędy, co czterdzieści lat temu w stosunku do Związku Radzieckiego. Po rewolucjach Chruszczowa i demistyfikacji stalinizmu lewicy zachodniej otworzyły się oczy na Związek Radziecki. Obecnie większość lewicowców kładzie się po bóźnie na temat Chin i stara się nie zauważać panującego tam stalinizmu. Kiedy rozwiął się miraż radzieckiego raj, lewica zaczęła szukać innych, zastępczych rajów, kolejno wpadając w ekstazę na temat Chin, Kuby, Wietnamu. Znam nawet wyznawców raj koreańskiego i albańskiego.

Stale zygzaki chińskiej polityki w ciągu ostatnich dwudziestu lat zmusiły jej nieszczęsnych zachodnich obrońców do nieprawdopodobnych myślowych piruetów, które byłyby groteskowe, gdyby - przynajmniej dla mnie - nie były takie smutne. Są one dowodem zwyrodnienia lewicy. Ci, którzy zachwycali się Stuu Kwiatami, musieli natychmiast śpiewać hosannah na cześć Wielkiego Skoku. Panegirycy Rewolucji Kulturalnej i oszczercy Konfucjusza zmuszeni byli wkrótce potem oklaskiwać wprowadzenie z powrotem bodźców materialnych i krzyczyć, że Konfucjusz został spotwarzony przez złowieszczą "bandę czterech". Ci bezwarunkowi wyznawcy Chin okazali się wspaniałymi akrobatami, gdy wkrótce po wyniesieniu pod niebiosa Lin-Piao, musieli oskarżać go jako zdradcę, a po przesadnych zachwytach nad żoną Mao musieli następnego dnia

przyznać, że chodziła w szacie cesarzowej i oglądała - wraz z zaufaną grupką popleczników - pornograficzne filmy radzieckie. Wyobrażam sobie te filmy, w których protagonistami byli najpewniej najwybitniejsi stachanowcy i najzręczniejsze robotnice.

Mamy niewątpliwie do czynienia z fenomenem natury religijnej; rzekomo rewolucyjne książki i publikacje operują nie tyle argumentami, co wyznaniem wiary, niekiedy bardzo bliskimi credo quia absurdum Tertuliana. Jak oświadczyła ostatnio w telewizji wdowa po Thorezie, socjalizm radziecki był dla niej zawsze czymś równie oczywistym jak dwa i dwa cztery, a właściwie jeszcze bardziej; jak dwa i dwa pięć.

D.P. - A eksperyment Fidela Castro?

J.G. - O eksperymencie Fidela Castro wiem więcej. Wielokrotnie w rozmaitych stadiumach rewolucji byłem na Kubie i mimo odczuwanego obecnie braku wiarygodnych informacji obserwuję jak się da najuważniej kubańską sytuację. Na początku muszę powiedzieć, że bronikiem, bronię i będę zawsze bronił historycznej konieczności kubańskiej rewolucji. Od chwili uniezależnienia się od Hiszpanii Kuba, jak wszystkie kraje Ameryki Łacińskiej, podlegała eksploatacji przez Stany Zjednoczone, wspomagane przez rodziną burżuazję: korupcja, analfabetyzm, nędza istniały na Kubie tak jak istnieją w większości krajów tego kontynentu /nawet w zamożnym kraju o systemie władzy takim jak Wenezuela, ludzie w ranchitos - miejscowych slumsach - żyją w warunkach niemożliwych do zaakceptowania/.

Rewolucja położyła temu kres, wyeliminowała różnice społeczne, zlikwidowała analfabetyzm itd., czyli przyniosła pierwszą pomoc tej części ludności, która przedtem nie sięgnęła progu minimum godności człowieka. Ale o ile nie jest wykluczone, że autokratyczny model rządów Fidela Castro był niezbędny dla dokonania pierwszych kroków, to dziś stanął on na przeszkodzie dalszemu postępowi. Komunistyczna Partia Kuby, podobnie jak komunistyczna partia w ZSRR, nie potrafi wprowadzić demokracji wewnątrzpartyjnej, wyrzuciła się dyktatorskich przyzwyczajęń i uznaje tylko najbardziej elementarne prawa obywateli. Castro, wyzwoliwszy dużą część społeczeństwa od nędzy i upokorzeń przeszłości, utrzymuje obecnie cały naród w stanie legalnej niepełnoletności, frustracji i niemocy; kontrolując całkowicie mechanizmy władzy pozbawił obywateli wszelkich praw politycznych, narzucił całkowitą cenzurę, utworzył wszechpotężną policję. Przepowiednie Bakunina, ostrzeżenia, które Róża Luksemburg wygłaszała pod adresem Lenina, pasują jak ulał do socjalnej praktyki rewolucji kubańskiej - dyktatura proletariatu zamieniła się w dyktaturę partii, dyktatura partii w dyktaturę komitetu centralnego, a dyktatura komitetu centralnego w dyktaturę Pierwszego Sekretarza, Przywódcy i Wodza Generalnego, który sprawuje władzę nieograniczoną.

Fidel Castro decyduje o wszystkim: jak prowadzić hodowlę krów, jak wytwarzać ser, jak mają wyglądać zsiewy, i co wolno czytać /tu panegirycy cytują z zachwytem, że w 1966 roku pozwolił wydać "Paradiso" Lezama Lima, dziś już nieżyjącego pisarza kubańskiego, która to książka była obiektem wielu kontrowersji/. Na początku lat siedemdziesiątych Castro rzucił hasło "Pasa

Hawany" czyli utworzenia plantacji kawy wokół stolicy, choć dotychczas były one w Pinar del Rio. Było to w okresie wielkiego entuzjazmu. Ludzie zgłaszali się na ochotnika po godzinach pracy. Prawdziwa, spontaniczna manifestacja. Zrobiło to na mnie kolosalne wrażenie. Oprzytomniałem, kiedy Carlos Franqui /obecnie emigrant/ wyznał mi w zaufaniu, że kawa nigdy tam nie wyrósł z powodu nieodpowiedniej gleby. Franqui był synem chłopca i wiedział, co mówi. Spytałem go, czemu marnuje się tyle zapachu, energii i czasu na przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie /a było skazane, w dwa lata później nikt już nie wspominał o hawańskim pasie, i żeby wzbudzić entuzjazm do pracy, wprowadzono drakońskie prawa zwalczające nieróbstwo, bardzo podobne do praw okresu kolonialnego/. Franqui odpowiedział z uśmiechem: "Jest to osobista decyzja Fidela Castro. Któż śmieliłby się jej sprzeciwić?" Mniej więcej w tym samym czasie - żeby dać panu następny przykład - dyrektor ICAICu /kulturalnego instytutu kubańskiego, zajmującego się między innymi produkcją i dystrybucją filmów/, Alfredo Guevara, kiedy reżyserzy, członko-

wie partii "Blas Roca", Vincantina Antuna itd., zaatakowali kierownictwo ICAICu za zgubną tolerancję wobec filmów zachodnich /wyswietlano na przykład "Osiem i pół" Felliniego/, wyznał mi - gdy dzieliłem się z nim moim niepokojem - jak wygląda jego polityka kulturalna: "Blas Roca i oni wszyscy nie wiedzą, że zanim zakupię jakiś film, i nim zatwierdzą jakiś scenariusz do produkcji, opowiadam ich treść Fidelowi i postępuję zgodnie z jego opinią". W tych warunkach mówienie o demokracji i udziale w rządach ludu zakrawało na językową perwersję.

E.P. - Przy wielu okazjach Moskwa, a także Kuba, określała jasno swój stosunek do dysydentów i wszelkich buntowniczych poczynań /Węgry, Czechosłowacja/ Rewolucyjne tradycje lewicy wydają się być wyrwane z korzeniami.

J.G. - Samocenzurowanie lewicy funkcjonuje dziś z zachwycającą sprawnością. Jak zauważył w jednym ze swoich esejów Enzersberger: "Od pięćdziesięciu lat przywykliśmy do kłamstw i kłamiemy nadal, świetnie o tym wiedząc". Powody są zawsze takie same: nie dostarczać wrogom broni, nie przestraszyć "nieświadomych" towarzyszy itd. Jedno uległo dziś zmianie: można być marksistą, leninistą i krytykować swobodnie Związek Radziecki, nikt, czy też niemal nikt, nie oburza się, kiedy Ellenstein i Azcarte mówią o ZSRR jako o "anty-modelu". Tabu obejmuje obecnie inne kraje - Chiny, Kubę, Wietnam.

Kiedy sądy radzieckie - na podstawie fałszywych oskarżeń - skazują dysydenta, np. Ginzburga, w komunistycznych szeregach Zachodu zrywa się burza protestu. Ale kiedy kubański sąd skazuje na 29 lat więzienia Martę Frayde, kobietę o nieposzlakowanej rewolucyjnej przeszłości, oskarżając ją, że jest agentem CIA, wszyscy milczą. I Tierno Galvan - jeden z czołowych hiszpańskich socjalistów - twierdzi, że kubańskie władze "w pełni respektują prawo człowieka do wolności". Zwyczaj ukrywania prawdy wszedł lewicy w krew. "Campo de l'Arpa" - hiszpański miesięcznik literacki - opublikował ostatnio list Orwella, w którym opowiada on, jak stał się ofiarą autocenzury angielskiej socjalistycznej prasy, gdy usiłował opowiedzieć, co stało się z POOMem w Hiszpanii. Nawet jego wydawca odmówił wydania "Hołdu dla Katalonii". Dziś może się to nam wydawać oburzające i nieprawdopodobne: sam Carillo ubolewa nad antytrockistowskim sekciarstwem tamtego czasu. Ale autocenzura na temat współczesnej rzeczywistości działa w podobny sposób. Kiedy K.S.Karol napisał książkę o Kubie, przez wiele lat nie mógł znaleźć wydawcy w hiszpańskim języku, a kiedy wreszcie książka ukazała się w Hiszpanii, lewicowa prasa zachowała na jej temat całkowite milczenie. Za wszelką cenę nie należało dopuścić do zbrukania mitu Castra, tak jak w 1937 roku nie wolno było brukać mitu Frontu Ludowego. Tego typu nieszczęsna argumentacja przyniosła nieodwołane szkody całej niemal politycznej klasie: przywódcy socjalistyczni w latach trzydziestych wierzyli lub udawali, że wierzą w treść oskarżeń Bucharina i innych działaczy rewolucyjnych podczas procesów moskiewskich. Felipe Gonzales /Sekretarz Hiszpańskiej Partii Socjalistycznej/ wierzy, albo udaje, że wierzy przywódcom algierskim, kiedy twierdzą, że Ben Bella nie jest aresztowany, że z własnej woli nie opuszcza swej siedziby /cierpi widać na agorafobię/. Jeśli lewica ma raz na zawsze wyżyć się obecnego niedowład i zaproponować godną zaufania rewolucyjną alternatywę, musi wyzwolić się ze zwyczajnego zacytowania zdania jednego z bohaterów Komuny Paryskiej: "Ten, co skłamał ludowi, jest takim samym zbrodniarzem, jak człowiek, który fałszuje nawigacyjne mapy morskie". Te nieszczęsne doświadczenia ostatniego półwiecza powinny otworzyć nam oczy na wagę zdania Gramsci'ego: "Prawda jest zawsze rewolucyjna".

E.P. - Jak więc określiłby pan zasady permanentnej rewolucji?

J.G. - Należy spojrzeć w przyszłość z optymistycznej perspektywy. Najbardziej defetystycznym wydaje mi się mania, z jaką zwolennicy socjalizmów autokratycznych usiłują podsunąć nam w złej wierze racje w stylu spiewek chińskim lub kubańskim. Uważam, że sprawa jest jasna: należy pomagać tym siłom, które w uprzemysłowionych państwach Zachodu, do jakich należy też Hisz-

pania, walczą o polityczno-społeczne zmiany z socjalistycznego, broniącego wolności, punktu widzenia; należy wspierać konieczną rewolucję polityczną, która położy kres totalitarnym biurokracjom Wschodu; należy podtrzymywać w ich początkowej fazie autokratyczne ustroje socjalistyczne Trzeciego Świata, póki służą one postępowi; ale potem - kiedy ich siła motoryczna zamienia się w hamulce - należy starać się tam wprowadzać socjalizm wolnościowy. Jeśli będziemy postępować w ten sposób, niczego nie ukrywając i nie stając się oportunistami, nie będziemy musieli się bać, że dostarczamy argumentów prawicy. Przeciwnie, prawicę wspierają ci, którzy pragną, żeby w rozwiniętych społeczeństwach panował nadal ustrój niewolniczy w stylu sowieckim.

E.P. - Jeszcze jedno pytanie, którego nie można nie zadać. Po tych dziesięciu latach, które dzielą nas od Francuskiego Maja, jak ocenia pan rezultaty tamtej rewolucyjnej inicjatywy?

J.G. - Doświadczenia Maja 68 są dla wszystkich, którzy je przeżyli, czymś podniosłym: oznacza zerwanie z dawnymi politycznymi wzorcami i wysunięcie zupełnie nowej problematyki. Żeby zrozumieć tamten wybuch, trzeba zdać sobie sprawę, że w wyjątkowo korzystnej sytuacji ekonomicznej boom gospodarczy, jak-  
 dwa przeciwstawne elementy. W Europie panował wówczas boom gospodarczy, jak-  
 że odległy od obecnego kryzysu kapitalizmu, kiedy przy istniejącym bezrobo-  
 ciu każdy boi się stracić pracę, i robotnicy, a jeszcze bardziej studenci  
 wahają się przed podjęciem akcji. Wtedy z jednej strony istniał ruch studen-  
 cki, obejmujący niemal całą uczącą się młodzież, wspomagana przez młodych  
 robotników, a z drugiej strony tradycyjna klasa robotnicza przystąpiła spo-  
 ntanicznie do akcji nie czekając na hasła związków zawodowych i partii poli-  
 tycznych. Był to element zaskoczenia, nikt tego nie oczekiwał. Ale te dwa  
 ruchy były zupełnie różne, choć ich spotkanie w czasie wykrzesalo iskrę.  
 Studenci pochodzący z burżuazji i inteligencji protestowali przeciwko ogłu-  
 piającemu modelowi konsumpcyjnego społeczeństwa, przeciwko obłąkanemu dogma-  
 towi industrializacji, przeciwko wyalienowaniu pracy; jednym słowem w imię  
 pełniejszego, swobodniejszego życia powiewali flagą Bakunina. Z drugiej  
 strony klasa robotnicza - jak to z ulgą odkryli wkrótce przywódcy związkowi  
 i polityczni - nie miała zamiaru kontestować społeczeństwa konsumpcyjnego,  
 pragnęła raczej większego udziału w konsumpcji, rewindykacje jej były typu  
 socjaldemokratycznego, bernsteinowskiego. O Leninie nie było mowy poza mar-  
 tynymi deklaracjami FPK i paru trockistowskich i marksistowskich grup. Rewo-  
 lucja upadła w dniu, kiedy CGT i Marchais zgodzili się na dyskusje z rządem  
 w sprawie podniesienia płac.

Specyficzna dynamika Maja polegała na tym, że po raz pierwszy nie ogra-  
 niczono się do problemów ekonomicznych człowieka, zajęto się wszystkimi kom-  
 ponentami życia społecznego, mówiono o nowym statusie kobiet, o wyzwoleniu  
 od niewolniczej pracy, o prawie do szczęścia. Z tego punktu widzenia można  
 uznać, że Maj 68 sygnalizuje powrót Bakunina, zmartwychwstanie anarchistycz-  
 nej myśli. Dziś w zachodnich, uprzemysłowionych społeczeństwach mówi się o  
 tych wszystkich sprawach na co dzień, polityczne partie muszą ustosunkować  
 się do nich w swoich programach.

E.P. - Ale wróćmy do pańskich utworów literackich...

J.G. - "Juan bez ziemi" zwrócił uwagę krytyków w Hiszpanii i poza Hiszpanią;  
 kilka prac krytycznych /na przykład te, ogłoszone w miesięczniku "Espiral"/,  
 jest według mnie doskonałych. Ale zdumiewa mnie, że nikt dotąd nie zajął się  
 polityczną interpretacją powieści, gdyż sądzę, że jest to moja książka naj-  
 bardziej polityczna, czy jeśli pan woli metapolityczna: wszystkie dyskutowa-  
 ne dziś przez nas problemy stanowią zasadnicze elementy jej struktury, Ko-  
 nieczność rewolucji w stylu Bakunina, odniesienia do Marksa, Lafargue'a,  
 Fouriera, propozycja społeczeństwa egalitarnego, odrzucenie alienacji pracy,  
 rewindykacja ciała w jego najbardziej materialistycznym i "niskim" aspekcie,  
 zniesienie klas i hierarchii władzy: ci, co spełniają czasowo publiczne fun-  
 kcje, pozbawieni są twarzy, ogląda się tylko ich plecy itd. - wszystkie te  
 elementy stanowią część mojego stanowiska rewolucyjnego.

Każdy baczny czytelnik dostrzeże w mojej książce zdjęcie rentgenowskie sado-masochistycznego mechanizmu władzy /stad moje odniesienia do D.H. Lawrence'a i analizę represyjnej roli społeczeństwa z jego normatywnymi kryteriami w stosunku do naprawdę niezależnego pisarstwa.

Wszystkie te składniki zostały z sobą oczywiście wymieszane i poddane wymaganiom narracji. "Juan bez ziemi" jest to tekst literacki i tak należy go traktować. Pisałem go jeszcze za życia Franca i nie miałem żadnych możliwości powiedzenia wprost tego, co chciałem, na przykład w rzeczowym eseju. Nie było na to miejsca w politycznym klimacie tamtych lat, nie tolerowałyby tego ani reżim ani opozycja. Żeby wyrazić to, o czym myślałem, musiałem użyć języka metafory. Moja powieść była wynikiem zastosowanej przeze mnie strategii.

tłum. A.J.

Andrzej DRAWICZ

PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU WYBORCZYM ODDZIAŁU  
WARSZAWSKIEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH<sup>x</sup>

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy - sytuacja, w której się dzisiaj spotykamy jest podwójnie zobowiązująca.

Po pierwsze: faktycznie pół naszego Związku w skali ogólnokrajowej zebrano się tu dla rozstrzygających decyzji o swym przedstawicielstwie na Zjazd - a więc i o charakterze tego Zjazdu i powoływanych przezeń władz związkowych - a także o perspektywach, jakie Zjazd otworzy przed środowiskiem literackim w momencie, kiedy potrzebę takie otwarcia czujemy wszyscy.

Po drugie: ponieważ jednocześnie przeważała się na forum ogólnokrajowym sprawa bycia lub niebycia nowych zasad współżycia społecznego. Przeważała ku lepszemu, ku powszechnej uldze. Jedna ze stron, deklarując teoretyczne partnerstwo, usiłowała narzucać arbitralne decyzje, i korzystała z posiadanego jeszcze monopolu informacyjnego, aby wprowadzić w błąd opinię publiczną. Ostatecznie musiała jednak z tego zrezygnować; tym lepiej.

Przypomnę w tym kontekście sprawę sprzed pięciu lat. Wielu z nas zaangażowało się wówczas w protesty polityczne przeciw antydemokratycznym zmianom w Konstytucji PRL. Pewien członek najwyższych władz powiedział niedawno w tym gronie - z dezynwolturą, charakterystyczną dla zawodowego liberała partyjnego - że, jego zdaniem, zmiany te były błędem, inicjującym błędy dalsze. Dobrze i takie wyznanie. Zmiany owe zostały społeczeństwu narzucone, stały się aktem prawnym i muszą - podkreślam: m u s z ą - być, choć z zaciśniętymi zębami, uznawane. Okazało się jednak teraz, że władza nie zamierza na nich poprzestać. Stało się jasne, co potrzebna była antykonstytucja. Z istoty swojej formuła o "przodującej roli PZPR": aby wprowadzać ją w obieg, wciskać przemocą w struktury organizacyjne, próbować czynić z niej już nie słowne decorum, lecz treść życia publicznego.

Tym razem się nie udało.

Koleżanki i Koledzy - obowiązkiem naszym - każdego z nas z osobna i całej naszej organizacji - jest jednoznaczne poparcie sprawy oznaczonej pięknym słowem "Solidarność".

Chociażby dlatego, że jest to sprawa słuszna.

Gdyby to jednak komuś nie wystarczyło, to powiem iż tylko ślepiec, albo człowiek złej woli nie dostrzeże, że jest to n a s z a sprawa. Nasza - ponieważ jedynym środowiskiem naturalnym, w jakim Związek Literatów może normalnie działać jest Polska podstawowych swobód demokratycznych. A obszar tych swobód może być stworzony, poszerzony i utrzymany tylko dzięki niezależnemu ruchowi związkowemu. Wolności będzie w tym kraju tyle, ile solidarności, w cudzysłowie i bez.

Skoro już mowa o wolności, to wypada w tym miejscu podkreślić, że według określenia Róży Luksemburg, winna to być "wolność dla inaczej myślącego". W związku z tym żywy niepokój budzi stosowanie skompromitowanych doświadczeń metod represyjnych minionego okresu w czasach mieniących się być "odnową". Mam tu na myśli uwięzienie Leszka Moczulskiego, któremu stawia się zarzuty natury politycznej. Nic mnie nie łączy z ideologią Konfederacji Niepodległej; mam zaszczyt być współpracownikiem KSS "KOR", a jak wiadomo, organizacja ta zajmuje w opozycji demokratycznej stanowiska bardzo odległe. Jednakże fakt prześladowania kogokolwiek za poglądy polityczne jest zawsze uczynstwem bezprawnym, które powinno być napiętnowane.

<sup>x</sup> 10 listopada 1980 r.

Koleżanki i Koledzy - niezależnie od tego, co stało się i jeszcze stać może na forum ogólnokrajowym, musimy dziś myśleć i o naszym związkowym podwórku. Ale z tego, co się stało ostatnio w Polsce, wynikają i dla nas bezpośrednio pewne oczywiste wnioski, zgadzające się jak sądzę, z kierunkiem przemysłów i pragnień wielu z nas.

Jakie to wnioski?

Truizmem jest stwierdzenie, że Związek nasz powołany jest do realizacji dwóch zasadniczych celów; po pierwsze - do działania dla dobra kultury polskiej, a po drugie - do strzeżenia interesów swoich członków.

Otóż te ponadpartykularne zadania winny mieć zagwarantowany statutowo i zabezpieczony personalnie prymat przed interesami wszystkich organizacji, stronnictw, orientacji i ugrupowań reprezentowanych na terenie Związku.

Powtarzam: w s z y s t k i c h. Żadna z tych grup nie ma prawa do naginania czy obchodzenia demokracji związkowej i pretendowania do uprzywilejowanych pozycji.

Nie życzę sobie - i nie ja jeden zapewne - słyszeć więcej o zebraniach Zarządu Głównego, na których stosuje się niedemokratyczne chwytły, mające za cel wprowadzenie do Związku tylnymi drzwiami ludzi nie mających statutowych kwalifikacji na jego członków; co zaś dotyczy ich kwalifikacji moralnych, to wymownie świadczą o nich próby szantażu stosowane w momentach napięć społecznych.

Nie życzę sobie też - i także chyba nie sam - wysłuchiwanie przedwyborczych wystąpień w rodzaju jakie zostało wygłoszone na Zjeździe Poznańskim i zawierało ostrzeżenie, również o szantaż się ocierające - że jeśli wybór władz Związkowych nie wypadnie po myśli władzy pozazwiązkowej, to nasze interesy zawodowe i pozycja będą zagrożone, ponieważ władza ta nie zechce z nami rozmawiać.

Notabene: znane są i takie smutne i komiczne zarazem wypadki nacisków na tryb wyborów instancji związkowych, w efekcie których wślizgiwali się do tych instancji zgola samozwańczo rzekomi "faworyści" władzy, o których faworyzowaniu władza, jak się potem okazało, nic nie wiedziała.

W ogóle w wypadku owych narzucanych Związkowi "rzeczników" etyka dość dobrze zgodziła się z praktyką, co jak wiadomo bywa nieczęsto. Okazało się bowiem, że niezależnie od swych często niezłych chęci, "rzecznicy" czy "pośrednicy" owi w sumie prawie nic albo niewiele potrafili załatwić. Sposób sprawowania władzy w kraju i realizowania założeń polityki kulturalnej drastycznie dezawuował ich, nawet szczere, wysiłki, stawiając ich często w żenującej sytuacji uzyskiwaczy niedotrzymanych obietnic, otrzymujących przysłówki i obietniczki. To, co rzeczywiście mogło być w trudnych sprawach związkowych załatwione i załatwione zostało, stało się raczej za sprawą użycia autorytetu ZLP tam, gdzie to było możliwe - niż za sprawą jakichś szczególnych "dojść" czy "układów".

Władza, która chce być wiarygodna - a nie ma przecież powodu nie wierzyć Ministrowi Kultury - będzie rozmawiała, współpracowała, współrozwiązywała problemy z k a ż d ą, demokratycznie wybraną reprezentacją Związku.

Władza ta zechce też chyba zrozumieć, że dawna, pożądana godna polityka małej złośliwości, polegająca na robieniu szerokiej opinii związkowej na złość, na stawianiu na ludzi w środowisku niepopularnych bądź skompromitowanych, na ostentacyjnym obsypywaniu ich wyróżnieniami, oddawaniu im czasopism, urządzeniu hucznych jubileuszy, wydawaniu martwych w powiciu dzieł zebranych, wysuwaniu do sejmu - słowem: na stwarzaniu pozorów jakoby to właśnie oni autentycznie reprezentowali środowisko i literaturę - że polityka taka do niczego sensownego nie prowadzi.

I władza ta zechce pewnie odrobić w tej dziedzinie to, co jest do odrobienia, zwracając środowisku to, co mu się słusznie należy.

Nowe władze związkowe, wybrane przez tych z nas, którzy zostaną delegatami na bezsensownie opóźnionym, ale przecież bliskim Zjeździe - będą miały, nawet przy rzeczywistej, partnerskiej lojalności władz, niełatwe zadanie - dokonania spokojnej i konsekwentnej rewindykacji tych praw, prerogatyw i

ofer wpływu Związku, z których zostaliśmy w poprzednich latach wyłączeni - z prawem faktycznego współdecydowania o stanie i sprawie polskiej kultury - na czele.

Powinny to być władze na każdą ewentualność, na złe i dobre czasy. Sądzę, że jedynymi kryteriami, jakimi warto się kierować przy ich wyborze, winny być uczciwość i koleżeństwo.

Nie powinna się powtórzyć sytuacja, w której uczciwe wysiłki części naszych kolegów we władzach związkowych będą mogły być blokowane, wskutek czego w ważnych momentach życia społecznego głos ZLP zabrzmi z opóźnieniem, lub nie zabrzmi w ogóle. Wiemy, kto personalnie ponosi odpowiedzialność za taki stan rzeczy, i chciałbym z zadowoleniem podkreślić, że inaczej było w Zarządzie Oddziału Warszawskiego, któremu winniśmy wdzięczność za stworzenie właściwej atmosfery związkowej. Owa blokada natomiast, stosowana na forum Zarządu Głównego, sprawiła, iż działalność naszych kolegów w duchu czasów nowych rozwija się raczej poza Związkiem, w innych formalnych, czy nieformalnych układach organizacyjnych, by wspomnieć choćby bardzo pożyteczny Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych.

Powinno się skończyć "usypianie" Związku, stosowane jakoby dla jego dobra i motywowane względami rzekomego koleżeństwa. Nazywam je rzekomym, bo różnego rodzaju "usypianie" byli zwykle łagodni i powściągliwi wówczas, kiedy ich mocodawcy pozwalali im na to. Oddajmy sprawiedliwość: istotnie, z własnej i nieprzymuszonej woli nie rozniecali zazwyczaj konfliktów i nie szczyli dyskryminacji. Można ich za to pochwalić słowami znanego powiedzenia, które słyszałem często z ust przyjaciół-Rosjan: "to dobry człowiek, bez rozkazu gardła nie przegryzie". Bieda polega jednak na tym, że jeśli nadchodziły inne dyrektywy, to wówczas nawet posiadacze gołębic serc mogli z dnia na dzień przeobrazić się z gołębi w jastrzębie. Mogli uchylać żądanie wyrzucenia ze Związku Kisielewskiego, Grzędzińskiego i Jasienicy; ogłaszać pogromy w artykułach marcowe; usankcjonować uchwałami organizacyjnymi, opartymi na wykrętnej i kłamliwej kazuistyce "czarne listy", czy też, nie dalej jak w maju tego roku, twierdzić, że pisarze związani z ruchami niezależnymi są gorszymi i marnotrawnymi członkami ZLP, ze wszystkimi implikacjami, które takie postawienie sprawy w domyśle miało.

Zapewne, koledzy ci czuli się w gołębicj skórze znacznie lepiej. Brecht powiadał słusznie: "Człowiek hołduje raczej dobru niżli złu, ale warunki nie sprzyjają mu". Często, wypowiadając określone słowa, dawali jednocześnie do zrozumienia, że czynią to nie z własnej woli; mrugali jakby porozumiewawczo. Ale robili to, czego od nich żądano. Wszystko razem było dość żenujące.

Z pewnym rozbawieniem widzę, jak niektórzy z nich, chociaż winni pamiętać, że scripta manent, a i słowa ulatują nie całkiem - twierdzą dziś, że byli zawsze gorącymi zwolennikami reform i przemian. Wolałbym uwierzyć, że w każdym razie są nimi teraz, i nie przeżyć za jakiś czas kolejnego rozczarowania. Wolałbym, aby ugruntowały się czasy, w których gołębia część natury tych kolegów stałaby się po prostu całością. Byłby to dobry znak dla wszystkich - potwierdzenie stałości tego, co się dokonało. Wolałbym móc zapomnieć o analogiach różnych metamorfoz, o wymazywaniu kartek własnej przeszłości i przerabianiu jej wspomnieniowych obrazów, by pasować do określonego etapu. Chciałbym móc nie zastanawiać się, co też pisałoby i mówiło wielu z nich, gdyby przed przyznaniem tegorocznej Nagrody Nobla w literaturze nie było Sierpnia, i jakich to określeń, zamiast amikosszońskich deklamacji, użyliby na temat Czesława Miłosza.

Gdyby natomiast okazało się, że nie jest to metamorfoza ostateczna, to będzie z owych odmieńców przynajmniej ta korzyść, że zachowanie ich, jak najczulszy sejsmograf, będzie zawczasu sygnalizowało nadchodzenie czasów gorszych i każe się do nich odpowiednio przygotować.

Bądźmy jednak optymistami, licząc i na lepsze czasy i na lepsze cechy ludzkiej natury.

A licząc - pamiętajmy, mimo wszystko, że jedynymi kryteriami, jakie warto stosować, są, myślę - sprawdzone i wiarygodne uczciwość i koleżeństwo.



Koleżanki i Koledzy, zwracam się w tym miejscu do tych z nas, którzy zostaną delegatami zjazdowymi. Niech wśród różnych spraw nie zapomną o jednej, szczególnie ważnej. Jest to sprawa haniebnego piętna narcowego, które od dwunastu lat plami polską kulturę. Wszystko, co jest z tym związane, powinno być do końca wyświetlone. Należy powiedzieć o zadanych wtedy niewinnym ludziom krzywdach i domagać się, przynajmniej moralnego, zadośćuczynienia. Należy odłonić straty, jakie poniosła nasza kultura i nauka; straty, wskutek których pewne dyscypliny przestały praktycznie istnieć - i spustoszenia, dokonane w świadomości społecznej, w rezultacie uczynienia z antysemityzmu instrumentu politycznych rozgrywek. Należy wreszcie domagać się pociągnięcia do odpowiedzialności wszystkich - niezależnie od stanowisk jakie zajmują lub będą zajmowali, a którzy zawinili. Wszystko może być darowane i puszczane w niepamięć - tylko nie to.

Andrzej Drawicz

Stefan MORAWSKI

## ANTYSZTUKA : TALIZMAN CZY NARKOTYK?

/Odpowiedź na pytanie dotyczące m.in. przyszłości sztuki/

/.../ Nie wypowiadam się na temat tego, co i jak będzie. Zagadnienie antysztuki jest oczywiście związane z problematyką zmiernych sztuki. Ale problematyka ta jest na tyle odmienna, że wymagałaby właściwie oddzielnego referatu na ten temat. Teraz powiem tylko, że nie zakładam ani też nie przypuszczam, żeby sztuka wymarła. Z moich założeń i konkluzji dzisiaj tutaj przedstawionych wynika jedynie tyle, że być może znaczenie sztuki - będzie w najbliższych dekadach słabnąć. To różnica między zanikaniem "znaczenia" a "egzystencji" sztuki jest nadór istotna. Zresztą już w tej chwili prestiż sztuki wyraźnie słabnie; prawda, że nie we wszystkich krajach, niemniej w wielu takich czy innych układach sztuki nie traktuje się tak uroczyście jak to miało miejsce jeszcze niedawno, trzydzieści, czterdzieści lat temu w całym świecie cywilizowanym. Czy można cokolwiek sensownego powiedzieć z kolei na temat tzw. post-sztuki? Zawsze mi się dotąd udawało <sup>nie</sup>prorokować, niechętnie wdaję się więc w tę profesję. Wolałbym się raczej z tego wycofać. Gdyż naprawdę wydaje mi się, że jest to wróżenie z fusów. W tym roku na konferencji estetyków w Mogilanach nekłaniano mi, żebym mówił o estetyce XXI wieku, musiałem się zabawić w clawna intelektualnego, bo nie bardzo wierzę, żeby w tej materii można było cokolwiek przewidzieć. Drażnią mnie ci wszyscy futurologi, którzy mniemają, że na podstawie dzisiejszych takich czy innych procesów są w stanie ekstrapolować, co będzie kiedyś za lat trzydzieści czy czterdzieści. Wszystko to na ogół bierze w łeb. Mogę sobie jednak wyobrazić, że jeśli pojęcie twórczości - tak jak je rozumiem, to znaczy pojęcie związane nie tylko z oryginalną wizją świata, z inwencją i wynalazczością, z talentem odkrywczym, ale również z nieustanną eksploracją samego siebie, z penetrowaniem świata dookoła, z szukaniem autentycznych więzów z najbliższym człowiekiem - ugruntuje się na dobre. To nie jest wykluczone, że powstałoby coś takiego, co by można nazwać jak gdyby w cudzysłowie "Sztuką życia". Znaczy to, być może, że owa post-sztuka równałaby się niebywalej umiejętności wzajemnego, twórczego zapładniania się ludzi w małych, nieformalnych grupach. Oczywiście nie w systemach państwowych tego typu jakie gdzie indziej i tutaj istnieją, w których jak słyszymy i czytamy - wszystko i wszędzie nieustannie rozwija się, doskonali i usprawnia.

Główny szlak tych twórczych działań, to chyba będzie upodabniać do siebie /ale to nie znaczy, że uniformizować, wręcz przeciwnie/ robotnika, nauczyciela, artystę - w ogóle każdego człowieka, który w pracy przez siebie wykonywanej umiałby dzielić nieustannie antystereotypowo, antykonwencjonalnie, przeciwko zasadnym regułom gry - to miał na myśli Marcuse, na którego pan się powoływał. Myślę wszelako, że jest to utopia... kiedy zakłada się, że każdy tak mógłby działać. Nawiązuje się m.in. do Marksa i Engelsa, którzy powiedzieli, że kiedyś tam w społeczeństwie komunistycznym, wszyscy ludzie będą twórczy. Jakby się taki świat zbudowało, żeby nie było robót seryjnych, stereotypowych, konwencjonalnych, żeby każdy mógł powiedzieć, że jest wytwórcą w pełni samodzielnym... Jakoś sobie nie mogę wyobrazić. Zarzucano mi w różnych dyskusjach, że zajmuję w tym względzie stanowisko arystokratyczne, elitarne. Ale nie mogę się wyzbyc podejrzania, że wszyscy ci - hyperdemokratyczni myśliciele ulegają mistyfikacji. Sa. długie lata tak myślałem, gdyż intelektualności czy artyści o skłonnościach i orientacjach plebejsko-demokratycznych chcą wierzyć, że wszyscy ludzie mogą być równi. Ludzie powinni być równi jeśli chodzi o ich prawa i możliwości rozwojowe, ale czy talenty i

i szanse wykorzystania tych samych warunków zewnętrznych będą mieli wszyscy te same? Zapewne nie, i tak będzie póty, póki homo sapiens nie ulegnie jako istota biospołeczna jakimś generalnym przekształceniom. Smutno i przeraźliwie byłoby zresztą żyć w społeczeństwie doskonałym, złożonym z samych ludzi genialnych. Kończę już odpowiedź na pana pytanie; - pozostanie jeszcze rzecz, czy to dobrze, czy to źle. Jeśliby ziszczyły się moje przewidywania, to z dzisiejszej perspektywy oraz z pozycji mojego dzisiejszego światopoglądu byłoby to dobrym rozwiązaniem, czy przyszli ludzie uznają to za "dobre", nie wiadomo. A na pewno za swego rodzaju zło uznaliby to ktoś, kto uważa, że sztuka jest jednak podstawową dziedziną ducha ludzkiego - trzeba tu więc wrócić do pluralizmu wyborów i równoległych układów wartości, o których mówiłem już przed tym. Wciąż zresztą toczy się zacięta i fundamentalna polemika między poglądem o sztuce jako narkotyku i sztuce jako talizmanie mimo wszystkie przemiany cywilizacyjno-kulturowe. Sam przez lata byłem zwolennikiem poglądu drugiego... dzisiaj wydaje mi się on bardzo kruchy. Lukacs, dla przykładu, w młodości akcentował pozorną, oszukańczą /"Lucyferyczną" w jego ówczesnym słowniku/ siłę sztuki, potem założył i pozostał wierny temu przeświadczeniu, że sztuka ma niezwykłą moc i szczególną misję emancypacyjno-dezalienacyjną. Adorno zawsze mniemał, że sztuka obok filozofii stanowi obszar pielęgnowania zagrożonych przez znasyfikowane społeczeństwo /posługujące się coraz sprawniej naukami i technologią/ wartości humanistycznych. Sztuka to kontr-świat nadziei, iż człowiek znów kiedyś załamowi się w kulturze i cywilizacji. Marcuse zmienił stanowisko w ciągu krótkiego okresu. Orędownik neoawangardy jako świadectwo buntu przeciw "jednowymiarowemu człowiekowi", a więc rzecznik zmierzchu sztuki, ogłosił przed śmiercią dzieło o trwałości sztuki - w duchu Adorna. Mnie jego ostatnie argumenty nie przekonują. Sztuka, tak jak się ją nadal pojmuje i uprawia, jest schronieniem przed rzeczywistością, nawet jeśli rzuca jej jawne wyzwanie. Antysztuka nie może się wyzbyć tej dwuznaczności, ale zmniejsza jej obecność w sposób wyraźny. Prawda, że nie każda odmiana antysztuki. Jednakże najambitniejsza czyni to bez wątpienia. Najważniejsze jest bowiem pełne i estre rozeznanie napięć i konfliktów naszego czasu. Najważniejsze - Ethos niezgody na zastane systemy, na rozwiązania rzekomo najbardziej ówczesne. Najważniejsze jest również ożywienie wartości starych jak ludzkość, wciąż niezrealizowanych w sposób należyty. Otóż wydaje się, że owa autentyczna anty-sztuka w tym kontekście właśnie funkcjonuje. Czy zatem antysztuce przypisuję funkcję talizmanu, odmawiając jej zarazem sztuce? Chyba nie. Bowiem nic się tutaj gotowego nie przenosi odbiorcom w postaci zmysłowo danej struktury treściowo-formalnej. Nie przyjmuje się żadnej prawdy filozoficznej, religijnej, społeczno-politycznej jako czegoś oczywistego, nienaruszalnego - wręcz przeciwnie: antysztuka powiada tylko tyle: "Słuchaj, pamiętaj cały czas o tym, że żyjesz w świecie niezamówionym, że jest to świat obcy, gdyż między tobą a nim zachodzą nieustanne antagonizmy, że egzystencja jest w istocie dramatyczna, czy zgoła tragiczna, że wobec tego winieś wciąż mówić "nie", tam gdzie nie wolno mówić "tak". W tym punkcie przechodźmy z roztrząsań nad sztuką i antysztuką do rozważań - ściśle światopoglądowych, które trzeba odłożyć na inne nasze ewentualne spotkanie.

Stefan Morawski

Tekst powyższy jest transkrypcją nagrania magnetofonowego fragmentu dyskusji po wykładzie na temat sztuki i antysztuki, wygłoszonym w jednym z klubów studenckich w Łodzi w maju 1980 r. Publikujemy go bez zgody i wiedzy profesora. Tytuł pochodzi od redakcji.

red.

Wojciech SŁODKOWSKI

## O WYŻSZĄ JAKOŚĆ DNA

1. Proces uśmiercania polskiego kina trwa - z chwilami przerwy na kompromisy - od lat przeszło trzydziestu, od pamiętnego zjazdu w Wiśle i zakreśleniu socrealistycznych ram twórczości. Od pierwszej administracyjnej ingerencji w dzieło, dewastującej film "ROBINSON WARSZAWSKI" dokrętkami na temat dzielnych żołnierzy sowieckich, przychodzącym w sukurs warszawskim powstańcom.

Wybuch "szkoły polskiej" w połowie lat pięćdziesiątych, najwybitniejsza jak dotąd manifestacja swobody twórczej w kinematografii, był tylko kompromisem, chwilową koncesją ze strony władz na rzecz artystów, pragnących opowiedzieć własną wersję najnowszej historii. Artyści położyli nacisk na "własną" władzę - na "historię" i tak dokonał się kompromis, w którym sprawa zasadnicza, sprawa systemu, wewnątrz którego kształtowało się społeczeństwo i jego kultura, została ledwie musnięta. Głównie za sprawą Andrzeja Munka, jego "CZŁOWIEKA NA TORZE" i "WZEWĄTEGO SZCZĘŚCIA". Ciekawiej rzecz przedstawiała się w dokumencie, ale i tam "czarna seria" dość szybko uległa anihilacji. Po ugrzęźnięciu procesu odnowy w sieci gomulkowskiemu biurokracji filmy ukazujące rzecz bardziej wprost zostały po prostu zlikwidowane /jak np. "RECE DO GORY" Skolimowskiego czy "OSMY DZIEŃ TYGODNIA" Forda/.

Wydarzenia marca 68 były, paradoksalnie, wstrząsem pobudzającym obie strony. Władza dokonała skutecznego zamachu na - i tak dogorywającą - autonomię zespołów filmowych i przepędziła lub zkanała kręgosłup niedobitkiem nieprawomyślnych twórców i krytyków. Jednocześnie gwałtownemu pobudzeniu uległ proces rozwoju świadomości społecznej najmłodszego pokolenia twórców, które wkrótce, po Grudniu, miało zostać wyposażone w bagaż nadziei.

2. Dziś, kiedy ludzki pan, Edward Gierek, rozstał się wreszcie z nami bez pośrednictwa czołgów i karabinów, można powoli przymierzać się do całościowej oceny działania jego administracji kulturalnej. Na głębszą ocenę przyjdzie czas - w tym pośpiesznym szkicu chcę wykazać jedynie, czym ostatnie 10 lat różniło się, a w czym było identyczne w porównaniu z okresami minionymi. Pierwszym gestem nowej władzy była gwałtowna liberalizacja. Błyskawicznie przywrócono /względna/ autonomię zespołom filmowym, szeroko otwarto wrota Wytwórni Filmów Dokumentalnych, Wytwórni Filmów Oświatowych, a nawet wojskowej "Czołwki", dla grona "młodych gniewnych", owego marcowego pokolenia, mającego ambicje zdokumentowania świata, w którym żyli.

Jednocześnie pierwszy tydzień rządów nowej administracji zaczął się od oszustw. "ROBOTNICZY 70 - NIC O NAS BEZ NAS", dokument nakręcony w stoczniach Wybrzeża w styczniu 1971 roku, podczas spotkań Gierka z robotnikami, nigdy nie został zaprezentowany społeczeństwu - ani w kinach, ani w telewizji. Zapewne już wtedy zdano sobie sprawę, jak jaskrawe rozbieżności pomiędzy obietnicami a praktyką społeczną będą musiały rzucić się w oczy masom, wzywającym przez oficjalną propagandę do "patrzenia władzy ludowej na ręce". Podobnie stało się z całą długą serią filmów dokumentalnych, nakręconych w następnych latach rządów Gierka. Myślę o filmach Krzysztofa Kiesłowskiego, Marcela Łozińskiego, Wojciecha Wiśniewskiego i niemałej grupy innych dokumentalistów.

Już wtedy stało się rzeczą wiadomą, że o ile cele działalności administracji partyjnej są w ustroju niezmiennie, o tyle środki podlegają zmianom. Pozwalano kręcić, i kręciło się doprawdy niemało - tyle, że manipulacji podlegało rozpowszechnianie. Już nie tylko prymitywne "póły", czyli zapisy cen-

zorskie, sterowały dostępem do szerokiej publiczności. Pojawiły się filmy "do użytku wewnętrznego" - jak wstrząsający "ŻYCIORYS" Kieślowskiego, a także filmy "dla klubów filmowych" - jak "NIE ZAZNASZ SPOKOJU" Waśkowskiego. Proste okazało się manipulowanie ilością wyprodukowanych kopii filmu, których można było zrobić na przykład trzy - jak to się stało z "ZOFIĄ" Ryszarda Czekaja. Jak wiadomo, jedna kopia wytrzymuje zwykle do trzystu projekcji, po czym nadaje się na przemiał. Jeszcze innym sposobem była polityka rozpowszechniania danego obrazu w tzw. terenie: decydował tu system zachęt i pogróżek wobec tych kierowników kin i działaczy klubowych, którzy wykazywali większe, niż to było wygodne dyrekcjom OPRF-ów, zainteresowanie i niekonwencjonalnymi tytułami. Filmy "niesłuszne" kierowało się na prowincję, bądź wyświetlano je np. w godzinach przedpołudniowych w dni robocze. W ten sposób w statystykach wszystko grało, i nie trzeba było nawet specjalnie fałszować sprawozdawczości w celu oskarżenia twórców o odejście od zainteresowań widowni, co w ostatnich latach było nagminne. Do arsenału tego typu manipulacji dodać należy sterowanie opinią publiczną za pomocą prasy. Tu albo szczerze na poszczególnych twórców narodowo-komunistycznych pałkarzy z "Ekranu", albo siecią zapisów cenzorskich zamykano gęby grupce uczciwych i odważnych. Przeważnie stosowano obie te metody jednocześnie. Szczytem tej działalności była oczywiście kampania przeciwko "CZŁOWIEKOWI Z MARMURU" Wajdy, kiedy to posunięto się do kroku zupełnie niebywałego w dziejach kinematografii: decyzję o rozpowszechnianiu filmu scedowano na wojewodów. W rezultacie tysiące zagorzałych kinomanów do dziś nie poznało tego wielkiego dzieła. Dość podobnie wyglądała "polityka kulturalna" wobec "BARW OCHRONNYCH" Zamussiego i "AKTORÓW PROWINCJONALNYCH" Agnieszki Holland, a wcześniej "BLIZNY" Kieślowskiego i paru innych filmów.

Dodajmy do tego jeszcze, iż także w telewizji "półkowanie" filmów, jakkolwiek niesłychanie rozpowszechnione, przestało być metodą jedyną. Tu można było wyświetlić utwór wczesnym popołudniem, późnym wieczorem, bądź - przeciwstawiając go meczowi lub westernowi - w sąsiednim programie. W razie gdyby jednak ktoś to oglądał i przyszła mu do głowy niezgodzona myśl, zawsze można było - przed czy po projekcji - nadać dyskusję fachowców /z nieocenionym redaktorem Fuksiewiczem na czele/, która by treści niesłuszne wraz z samym dziełem skutecznie obrzydziła.

Zachodzi tu naturalnie pytanie, skąd ten szalony, wręcz samobójczy /jak twierdził "Ekran"/ liberalizm, skąd odejście od jedynie słusznej dawnej linii, kiedy to półki cenzorskie były jedynym środkiem dialogu władzy z artystą?

Jak się wydaje, cały ten złożony system kontrolny był pochodną pewnych zmian w polityce kulturalnej, do których doszło po Marcu 1968. roku. Różne te męty o proveniencji nacjonalistycznej, które dorwały się wówczas do administrowania kulturą, zachowały niemałą część władzy i po Grudniu. Naturalnie zdawano sobie sprawę, że aby pozostać u źródeł, należy nieustannie i głośno popierać linię partii, socjalizmu i niezłomną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Z tej osobliwej mieszanki narodowej tromtadracji z komunistyczną czy wręcz lewą frazeologią, narodził się program artystyczny zespołu "Profil" i wspierającego go pisma "Ekran". Wyciągnięto skądś marnego filmowca Porębę, za ideologa dano mu zasłużonego w pałkarskich akcjach średnich lotów aktora Filipskiego, dołożono paru powiązanych z MSW kierowników produkcji i całej tej grupie powierzono realizację ofensywnego programu partii w dziedzinie kinematografii. Co młodszym wyjaśnijmy, iż pojęcie "ofensywnego programu" wywodzi się wprost z pomarzewej, konstruktywnej dyskusji narodowej, w której szerokie rzesze społeczeństwa dały zdecydowany odpór pesymizmowi, czarnowidztwu, leniństwu i nieprzemakalności na marksizm zdegenerowanej grupki ludzi podających się za artystów.

"Profil" miał być, jak się zdaje, dość krótko trzymany na smyczy partyjnych błogosławieństw. Wszelako w miarę narastania marazmu, a potem wręcz kryzysu społecznego, którego dowodem był Czerwiec 76, smycz zaczęła się wydłużać, grożąc nawet zerwaniem. W rezultacie w 1978 roku, zespół ten otrzymał połowę wszystkich środków przeznaczonych na produkcję filmową w Polsce.

Efektorem był gwałtowny napływ debiutantów, którzy inaczej musieliby czekać całe lata na pracę, a także wzrost autonomii zespołu. Wyrazem tego ostatniego były "WYSOKIE LOTY" Filipskiego i roczne utarczki z cenzurą o dopuszczenie tego filmu na ekrany.

Stawiając na "Profil" administracja upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze zyskała ów "ofensywny program", po drugie zaś doprowadziła do podziału środowiska twórczego, zantagonizowała je, a sama znalazła się w wygodnej sytuacji. Albowiem w procesie tym nową rolę zaczął odgrywać zespół "Iluzjon". Jego ewolucja w ostatnich latach doprowadziła do tego, iż stał się on quasi-oficjalną tubą partii, a to przez osobę swojego szefa, a zarazem I sekretarza POP przy Zespołach Filmowych, reżysera Petelskiego. W ten oto niechytry sposób Zespoły Filmowe, reżysera Petelskiego, przetrwały dzięki błędom i wypaczeniom "Profilu", dokumentowałam szalony liberalizm partyjnych środowisk twórczych. Nie za darmo: w zamian partia, jak to było w powszechnej praktyce minionego okresu, nie pozwoliła zbyt drobiazgowo kontrolować działalności gospodarczej zespołu. Legendy o tym krążą wśród jego pracowników.

3. W tej sytuacji najistotniejsze staje się pytanie, w jaki sposób mogło dojść do powstania kilku filmów wybitnych i prawdziwych, a szczególnie grupowej manifestacji "kino niepokoju moralnego" pod koniec okresu w latach 1978-79? Częściowa odpowiedź zawiera się w tym, co powiedziane zostało wcześniej na temat polityki kulturalnej. Realizacja "ofensywnego programu" sama w sobie zakładała istnienie dzieł, z którymi będzie się polemizować, rzecz prosta, zwycięsko. Dzięki temu skierowano do realizacji "CZŁOWIEKA Z MAREURU", pośpiesznie produkując zarazem "pałę" na ten film w postaci dzieła Poręby "GDZIE WODA CZYSTA I TRAWA ZIBLONA".

Również względy "międzynarodowe" towarzyszyły powstaniu "BARW OCHRONNYCH" Zamussiego, filmu, który należy uznać za prekursorski dla "kino moralnego niepokoju". Podobnie zresztą jak "BLIZNĘ", "PERSONEL" i zapuszczony przez cenzurę "SPOKOJ" Kieślowskiego. Ludzie, którzy grupą weszli do filmu pod koniec lat siedemdziesiątych i stworzyli "kino niepokoju moralnego", kształtowali swe ideowe postawy, jak to już wcześniej zostało powiedziane, w gorącym okresie Marca, Praskiej Wiosny, Grudnia i jest rzeczą oczywistą ich tożsamość ideowa z Nową Falą wczesnych lat siedemdziesiątych w literaturze i teatrze. Zapewne niejednym krytyk minionego okresu utożsamia debiut tej grupy z pewną liberalizacją niektórych czynników politycznych po Czerwcu '76, kiedy to już nietrudno było przewidzieć zbliżającą się nieuchronnie kompromitację partii. Osobiście sądzę, iż nie do przecenienia dla grupowego debiutu jest powstanie rosnącej w siłę opozycji demokratycznej po Czerwcu. W chwili, gdy okazało się, że można jednak w tym kraju pisać i drukować własną prawdę o świecie, że można polemizować ze świętymi dogmatami, młodzi filmowcy znaleźli się w sytuacji psychologicznie szczególnej: rzecz prosta, niemożliwe było zorganizowanie kina niezależnego, ale działalność opozycji podsuwała wzorzec działania - zajadłej, grupowej solidarności i wzajemnej lojalności w wymuszaniu debiutów.

Administracja zareagowała na to zjawisko z początku dość schematycznie. Poza typową działalnością restrykcyjną w zakresie rozpowszechniania i publikacji prasowych, usiłowała zantagonizować grupę /wychwalając pod niebiosa jednych, krytykując drugich/, oraz organizując poprzez prasę nowe zjawisko - "kino obywatelskiej troski". Do worka opatrzonego tym tytułem propaganda wrzuciła wspomnianą falę debiutów z kilkoma filmami "ofensywnej polityki kulturalnej", z reguły spod znaku "Profil", wywołując zamęt i zamieszanie w głowach masowej publiczności. Tym razem jednak sztuka się nie udała. Humor był zbyt jawny. ZERWANE CUMY, WYSOKIE LOTY, HOTEL KLASY LUX /według powieści literata Jagielskiego/, PEJZAŻ HORYZONTALNY, czy kilka innych również hałaśliwie popieranych dzieł zbyt łatwo w konfrontacji wykazały się nie tylko wyjątkową percją zakłamania, ale poprostu tak nędznym poziomem artystycznym, że nabrać dali się tylko ci, którzy tego pragnęli.

Propaganda dość szybko zmieniała zatem front, przeciwstawiając nową fa-

lę kinu tzw. wizjonerów: Bajona, Szulkina, Andrejewa, co było o tyle szczęśliwym pociągnięciem, iż filmom tym niewiele można było zarzucić, gdy mowa o ich kształcie artystycznym. Twórcy ci znaleźli się zresztą w wyjątkowo nieszczęśliwej sytuacji. Tworząc rzeczy urodziwe i mądre znaleźli się na marginesie zainteresowań publiczności, oczekującej dzieł rozliczających się ze współczesnością; w dodatku ci "niezależni esteci" stali się instrumentem perfidnej manipulacji.

Być może historia odda im sprawiedliwość.

Reasumując: zabiegów propagandowych okazały się zbyt mało skuteczne, by zamortyzować w publicznej świadomości siłę "kina moralnego niepokoju". To też niejedni z nas - twórców, działaczy i krytyków - z niepokojem wsłuchiwał się w dobiegające zewsząd głosy entuzjazmu podczas festiwalu Gdańsk 1979. Było oczywiste, że reakcja władz będzie taka, jak zawsze w podobnych wypadkach. Baliśmy się tego Gdańska 80.

I słusznie.

Tyle, że historią okazała się szybsza od zmasowanego ataku beztalencja, zakłamania, indyferentyzmu moralnego i społecznego, jaki zafundowała nam polska kinematografia. W Gdańsku, w początkach września 1980, bać się zaczęli inni. Reżyser Petelski, który w filmie "NA WŁASNĄ PROŚBĘ" /wcześniej prezentowanym w telewizji/, pod wpływem wydarzeń tego sierpnia zmienił zakończenie koniunkturalne, a w filmie "NARODZINY MŁODEGO WARSZAWIĄKA" nałgał i nabzdził na temat Powstania Warszawskiego - nie odważył się pojechać do Stoczni na spotkanie z robotnikami.

4. Wśród dzisiejszych oskarżeń administracji partyjnej okresu gierkowskiego, zarówno w oficjalnej propagandzie, jak i niekiedy w prasie opozycyjnej i emigracyjnej powtarzają się sformułowania: woluntaryzm, subiektywizm. Najniejszy tekst zmierza do udowodnienia, iż jest to teza nie tylko mylna, nie tylko płytka, ale po prostu cynicznie kłamliwa: i to szczególnie w odniesieniu do tzw. polityki kulturalnej partii.

Otóż woluntaryzmu można doszukiwać się jedynie w postępowaniu jednostek. Na terenie kinematografii przykładem byłaby np. działalność Janusza Wilhelmiego - gdyby była ona wyjątkiem. Ale nie jest.

W minionych latach politykę kulturalną, niezależnie od zmienności form jej działania, kształtował jasny i wyraźny wzorzec. Wzorzec, stary nie tyle jak świat, ile jak Rosja Sowiecka. Wzorzec wynikający z samosterowności systemu w sposób nieunikniony zmierzający do kompletnego wyjątkowania kulturalnego narodu, a tą pośrednią drogą do wykerzenia z nas idei ALTERNATYWY, jakkolwiek byłaby ona rozumiana.

Do pozbawienia nadziei.

Zatem woluntaryzmu i subiektywizmu doszukać się można jedynie w ekscesach liberałów, liberałów etatowo-urzędowych. W dopuszczeniu do powstania "CZŁOWIEKA Z MARMURU", "BARW OCHRONNYCH", "REJSU" czy "ZOFII", w wyrzuceniu pieniędzy na filmy Kieślowskiego, Agnieszki Holland, Żebrowskiego lub dokumentalistów Kosińskiego, Kędzierskiego i innych.

Także w tym, że w naszej kinematografii oprócz "Profilu", czy nowego zespołu Filipskiego "Kraków", są nadal "X" i "Tor". W tym, że doktor Bogdan nie trafił do "SZPITALA PRZEMIENIENIA". W tym, że zanknięto tylko jedną trzecią kin istniejących w tym kraju 10 lat temu; i w tym, że jeszcze nie zsmakowano do końca ruchu klubów filmowych, jedyne oficjalnie istniejącego masowego obszaru wolnej myśli w Polsce.

W tym właśnie pomurym sensie mają rację autorzy szawetnego listu czterdziestu czterech, podpisanego m.in. przez Porębę i Filipskiego i takie gwiazdy dziennikarstwa, jak Rutkiewicz i Skwara, którzy pomawiają partię o co? - na o woluntaryzm, a nawet o erozję wewnętrzną. Aczkolwiek to ostatnie trąci lewacką przesadą. Żarwe siły naszego narodu, towarzysze...

Tak. Dziś, kiedy raz po raz z telewizora słyszymy, że partyjni zakłada-  
li komitety strajkowe i wolne związki zawodowe, a wcześniej złożyli wszystkie robotnicze postulaty na VIII zjeździe PZPR, dziś, kiedy <sup>niekiedy</sup> osobą najlepiej poinformowaną w tym kraju jest generał Moczar, a rzecznikami opinii moralnej towarzysze Kępa, Kusiak i prokurator Czubiński; kiedy kolejną woltą bliższą

na firmanencie propagandy zeszmącone gwiazdy dziennikarskie - i kiedy liberałowie partyjni mocniej sądowi się na fotelach - historia zdaje się raczej przyznawać artystom z "Profilu".

A wtedy może się okazać, że Gdańsk 80 nie był wcale dnem naszego kina. Dziś już słychać pukanie od spodu. To artyści produkujący na Śląsku filmy pornograficzne na rzecz zarejestrowanej w Luksemburgu spółki pod wodzą znanego zwolennika czystości moralnej, wychowanka Gierka, Macieja Szczepańskiego.

Dlatego, kiedy już Andrzej Wajda nakręci swego "CZŁOWIEKA Z ŻELAZA", film o Grudniu, jaki przyrzekł stoczniowcom, kiedy obejrzymy następne dzieła Holland, Kijowskiego, Falka, Żebrowskiego, z niepokojem będę wsłuchiwał się w głosy entuzjazmu na kolejnym gdańskim festiwalu. Droga od euforii do dna okazywała się w naszej kulturze krótką jak partyjne sumienie.

5. Jedną z pierwszych decyzji administracji kulturalnej Kani było wpuszczenie do kin filmu "ROBOTNICZY 70 - NIC O NAS BEZ NAS".

Festiwal Gdański 80 kończyliśmy w towarzystwie Lecha Wałęsy, Anny Walentynowicz, Maryli Płonkiej, oglądając na zamkniętym pokazie materiał filmu ROBOTNICZY 80.

Były wielkie oklaski, łzy, zbiórki pieniężne na rzecz...

Na drugi dzień szef kinematografii, Juniewicz, zabronił dziennikarzom nagrodzić ten film.

Wojciech Szódkowski



## Muzeum Ruchu Rewolucyjnego

### "DWA ŚWIATY"<sup>x</sup>

Rosja w czasach "cerów samodzierżawców" NIE TYLKO nie starała się iść w pierwszych szeregach postępu technicznego, lecz przeciwnie - postęp ten świadomie tłumika ustrudniając prace wynalazców, badaczy, inżynierów. Każdy wielki wynalazek był bagatelizowany, a wynalazcy szykanowani przez niemieckich doradców dworu carskiego.

Ta Rosja carska, żyjąca z ucisku ludu pracującego - dwór błyszczący przepychem okupionym niewolą i wyzyskiem milionów - bogaci kupcy i eksploataccy bogactw naturalnych Rosji - wszyscy oni hołdowali nowościom zagranicznym nie dając możliwości zabłysnięcia talentowi genialnych uczonych rosyjskich.

Dopiero Rewolucja Październikowa zasadniczo zmieniła ten stan rzeczy zmiatając z powierzchni ziemi znieznawionych satrapów i wyzyskiwaczy. Młody Związek Radziecki otoczył troskliwą opieką stare i młode kadry uczonych - wynalazców, zapewnił im odpowiednie warunki pracy i wydobyl na jaw ukryte siły postępu technicznego. Postęp ten zaczął się rozwijać pod troskliwą opieką Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików.

Odetchnął z ulgą leciwy już wtedy wielki uczyony Ciołkowski, wynalazca napędu odrzutowego; rozświetlone zostało na cały świat imię Żukowskiego - ojca nowoczesnej astronautyki /1847-1921/, stworzono odpowiednie warunki pracy dla sławnego Sergiusza Aleksiejewicza Czaplęgina. Borys Mikołajewicz Juriew mógł skonstruować pierwszy śmigłowiec /helikopter/. Nowe wynalazki porwały mnożyć się z niewiarygodną szybkością.

W ciągu 35 lat Związek Radziecki nie tylko odrobił pod wodzą Lenina i Stalina katastrofalne zaległości dawnego carskiego ustroju, lecz i wyprzedził najpotężniejsze państwa świata stając się wzorem postępu technicznego i naukowego.

Kapitalistyczny świat zachodni pod wodzą Ameryki niota się w bezsile i rozpaczliwie usiłuje utrzymać swe poprzednie przodowanie w dziedzinie techniki, utrzymać dawną przewagę przemysłową i militarną. Daremnie. Związek Radziecki, kraj władzy robotników i chłopów - na każdym kroku wyprzedza kraje klaszki kapitalistycznych podżegaczy wojennych i w pokojowej socjalistycznej pracy buduje i wzmacnia swą potęgę.

Nie jest to ani dziwne, ani nieoczekiwane. Wystarczy dla przykładu przytoczyć kilka porównań.

Fabryki zachodu, w posiadaniu wielkich kapitalistów i koncernów przemysłowych, są ośrodkami wyzysku robotników, czego dowodem są mnożące się strajki, wzrastające bezrobocie. W fabrykach tych naczelną zasadą jest wyciągnięcie z fabryki największego dochodu dla właściciela. Pociąga to za sobą obniżanie zarobku robotnika, walkę o dostanie się do pracy, głodowanie bezrobotnych, zastąpionych maszynami.

Jakże inaczej jest w Związku Radzieckim, gdzie każdy robotnik wie, że fabryka jest wspólną własnością, że praca w niej powiększa majątek narodowy, że obowiązkiem wszystkich jest nieustanne kształcenie się, że praca stanowi nie tylko obowiązek każdego obywatela - ale sprawę jego honoru!

Radziecki racjonalizator i wynalazca pracuje ze świadomością, że jego wynalazek umysłowy i fizyczny wpływa na podniesienie się dobrobytu wszystkich obywateli, że nie zostanie on zmarnowany lub użyty dla wzbogacenia jednostki...

Ale jak jest na zachodzie? Tam też istnieją racjonalizatorzy. Gdy zgłoszą oni do dyrekcji usprawnienie - otrzymują skromną premię, która opłaca się kapitaliście tysiąckrotnie. Robotnik otrzymuje 30 dolarów, a właściciel zgarnia wielkie zyski przysporzone usprawnieniem robotnika. Gdy robotnik upomni

się o sprawiedliwe wynagrodzenie - zostaje zwolniony z pracy i powiększa zastępy bezrobotnych.

Gdy pozbawiony oparcia i głodujący robotnik wynalazca opracowuje wynalazek nie ma za co go opatentować. Lecz wnet zjawia się wysłannik wielkiego koncernu i pod pozorem zapoznania się z wynalazkiem - kradnie go patentując niezwłocznie. W najlepszym razie wynalazca otrzymuje grosze "na otarcie łez", a gdy próbuje sędownie dochodzić swych praw - traci wszystko: prowadzenie sprawy jest wszak kosztowne, a racje ma zawsze - ...bogatszy. Jak inaczej jest w krajach kspężalistycznych. Wynalazca i racjonalizator nie musi walczyć o swoje prawa; otrzymuje on zaszczytny tytuł bohatera pracy i ma wszystkie możliwości wykorzystania swych zdolności.

Marnotrawstwo materiałów i surowców jest jedną z cech przemysłu kapitalistycznego. Nie dziwota, gdyż nikt nie dba o całość gospodarki narodowej. Każdy dysponuje surowcami i materiałami wedle własnej woli, jeżeli zapłaci za tyle materiałów. Stąd też istnieją takie nonsensy, że na przykład na opakowanie jakiejś drobnostki zużywa się cenną blachę nierdzewną więcej wartą niż sam przedmiot. Puszczę otwiera się, wyjmuje się z niej mało wartościowy przedmiot, a opakowanie - na śmietnik. Kupujący zapłacił - więc można zniszczyć cenny surowiec.

Taka też jest dewiza wszystkich fabrykantów zachodu "w luksusowym opakowaniu" - tandetny przedmiot". Reklamowe opakowanie przyciąga klientów, którzy nie baczą już na jakość wnętrza. Byłe wieczne pióro - największa tandeta - sprzedawane jest w luksusowym pudełku, opatrzonym złotymi napisami i zamykającym się na patentowy automatyczny zameczek. Co z tego, że pudełko spoczywać będzie nieużytecznie w szufladzie, a pióro zepsuje się po kilku dniach? Klient zapłacił, skuszony pięknym wyglądem pudełka.

W Związku Radzieckim obywatel otrzymuje pióro w opakowaniu papierowym lub bez opakowania. Pióro chowa do kieszeni w pełnej świadomości, że otrzymał wyrób pełnowartościowy, który służyć mu będzie długie lata. Gwarancją tego jest nazwa wytwórni, w której punktem honoru robotników jest dać najlepszy produkt dla świata pracy.

Ameryka szmnie ogłasza, że w roku bieżącym wyprodukuje 5 milionów samochodów osobowych. Każdy koncern, każda fabryka produkuje kilka lub kilkanaście typów. Ale wszystkie te typy samochodów różnią się między sobą jedynie szczegółami, a przede wszystkim kształtami ekstrawaganckich i absurdalnie wynaturzonych nadwozi, połyskujących nienagannym... lakierem. A wewnątrz? Standartowa budowa zespołów, standartowy materiał, standartowe części obliczone na krótkotrwałą pracę. Co rok zmiana modeli... czy rzeczywiście? Nie. To tylko zmieniło się nadwozie, kształty stały się jeszcze bardziej ekscentryczne, jeszcze bardziej urągające zdrowemu rozsądkowi... Ale na każdym rogu ulicy wielkie reklamy krzyczą do znudzenia: Kup nowy model super - ultra - płynącego - jak - w powietrzu - cowboya". "Każdy Amerykanin kupuje nowego czarodziejskiego mocarza" - "Porzuć twój przestarzały zeszkolony wóz - kup prawdziwy 'nowy błękitny pocisk'"...

Jak wielki koncern samochodowy przygotowuje kampanię sprzedaży? Już na rok przed wypuszczeniem nowego modelu artyści i rysownicy opracowują wygląd nowego samochodu. Fabryka poczyną wyrabiać nowe nadwozie według nowych rysunków. Jednocześnie wydział reklamy zwołuje "konferencję prasową", na której odpowiednio "uświadamia" reporterów o zaletach nowego modelu. Reporterzy ci, zachęceni czekani na okrągłą sumkę, przez cały rok waawiają w czytelników piśm i gazet, że "prawdziwy Amerykanin" żąda, by nowy samochód był taki a taki... Ta ogłupiająca metoda prowadzi do tego, że firmy samochodowe wypuszczają na rynek to co im się w danej chwili kalkuluje.

A jak jest w Związku Radzieckim? Zaledwie kilka podstawowych typów samochodów osobowych pokrywa całe zapotrzebowanie. Spośród tych typów każdy obywatel może wybrać najbardziej odpowiedni do wykonywania danej pracy. Nie ma żadnej kosztownej i zupełnie niepotrzebnej reklamy. Nie ma szkodliwej i nikomu nie potrzebnej konkurencji fabryk. Ale nabywca samochodu wie, że samochód ten skonstruowało grono uczonych, konstruktorów, najlepszych specjalistów radzieckich; że samochód ten wykonany został z najlepszych materia-

łów; że zbudowano go mocno i trwale; że służyć może całe lata; że do samochodu tego można dostać wszędzie części zamienne; że każda stacja obsługi dokona w razie potrzeby niezwłocznej naprawy. Obywatel ma gwarancję, że utrzymuje najlepszy produkt po najniższej cenie. Nie potrzebuje on wybierać spośród typów, różniących się jedynie wyglądem zewnętrznym, marką, lakierem i ceną, jak w Ameryce - przecież nie zna się na tym. Wyboru dokonali za niego najlepsi specjaliści i postawili mu do dyspozycji najlepszy i najodpowiedniejszy dlań samochód, który zostanie wycofany dopiero po kilku latach, gdy całkowicie się zamortyzuje i będzie wymagał zastąpienia go typem nowym, bardziej udoskonalonym, bardziej ekonomicznym, tańszym.

Na Zachodzie wszystko jest "patentowane", wszystko jest "najlepsze", "najmodniejsze", "naj...". Ogłupiająca reklama powoduje, że człowiek już sam nie wie, o co mu chodzi, co ma nabyć, ile jest wart dany wyrób. Kupuje to, co jest najsprytnej i najszumniej reklamowane, nie zdejając sobie sprawy, że w cenie wyrobu płaci co najmniej połowę za ową szumną reklamę.

W Związku Radzieckim reklama nie istnieje, każdy może wybrać sobie przedmiot według własnego uznania, odpowiedni do spełnienia danego zadania, i zawsze wie, że otrzyma produkt najlepszy. A patenty? Nic podobnego. Gdy ktoś dokona wynalazku to wie, że wynalazek ten nie będzie własnością kapitalisty, lecz zostanie natychmiast zużytkowany dla dobra obywateli, dla dobra narodu. Wynalazca natomiast otrzyma wynagrodzenie uczciwe i godziwe; nie potrzebuje obawiać się, że oszuka go kapitalista.

Różnica między Zachodem, a krajem przodującej techniki socjalistycznej jest szczególnie rażąca w dziedzinie mechanizacji i automatyzacji pracy. Gdy na Zachodzie wprowadza się usilnie mechanizację i automatyzację - to celem nie jest zmniejszenie wysiłku robotnika, lecz zmniejszenie liczby robotników. Praca robotnika kosztuje znacznie więcej niż praca maszyny - automatu. A więc: ustawić automat - wyrzucić na bruk robotnika. Różnica w kosztach wytwarzania zwiększa zysk kapitalisty, a drobna część tego zysku pójdzie na "filantropię" - na towarzystwo pomocy bezrobotnym. "Filantropia" ta, szumnie zareklamowana w opłacanych artykułach gazetarskich, przysparza tylko dochołu "dobroczyńcy"...

W Związku Radzieckim uczeni i inżynierowie postawili sobie jasno i twarde zadanie: zautomatyzować produkcję. Stworzyć zakłady przemysłowe, wielkie siłownie, w których robotnik stanie się nie pracownikiem fizycznym, lecz umysłowym. Niech maszyna wykonuje pracę fizyczną. Robotnik ma nią tylko kierować. Niech każdy robotnik stanie się inżynierem. Niech dotychczasowa ciężka praca fizyczna zmieni się w pracę umysłową. A o bezrobociu nie ma co się martwić. Rozwój przemysłu potrzebuje znacznie więcej pracowników niż ma ich do dyspozycji. Potrzebuje pracowników wykształconych, świadomych swych zadań, pracowników myślących - nie takich, jacy są wyrzuceni do utraty siły i zdrowia przez kapitalistycznych fabrykantów. W USA uruchomiono luksusowy pociąg, przemierzający odległość kilku tysięcy mil prawie bez zatrzymania i to w dodatku z rzeczywiście prawie fantastyczną szybkością. Dwie olbrzymie lokomotywy z silnikami Diesla o łącznej mocy 16 tysięcy koni mechanicznych ciągną kilka wagonów. Bilet kosztuje tyle, ile wynosi miesięczne wynagrodzenie przeciętnego robotnika... Któż więc jeździ tym szalonym pociągiem? Czyż nie szybciej, bezpieczniej i taniej jest lecieć samolotem?

A jednak jeżdżą. Gazety wmurowyły Amerykanom, że przejażdżka, aczkolwiek nie pozbawiona ryzyka, daje wspaniałe i niezapomniane wrażenia, że przenosi podróżnego w świat przyszłości /czasem aż nazbyt dosłownie/, że należy do "dobrego tonu"... Pociąg jest zawsze pełen żądnych wrażeń Amerykanów, odbywających podróż tam i z powrotem. A właściciele linii kolejowej zacierają ręce...

W Związku Radzieckim koleje służą nie do zaspakajania głodu wrażeń, nie do wyciągania obywatelom z kieszeni ich pieniędzy, nie do wywoływania dreszczy przerażenia niesamowitą szybkością. Koleje radzieckie są dumą narodu z powodu ich punktualności, bezpieczeństwa, wygody pasażerów podczas najdłuższej nawet podróży oraz z powodu zastosowania najnowszych urządzeń technicznych, zabezpieczających. Radzieccy kolejarze - to wspaniali bojownicy o

o wykonanie planu przewozów, o najdłuższe przebiegi parowozów bez naprawy, o oszczędności paliwa i smarów, o punktualne dostarczanie obywatelom całego kraju wyrobów przemysłowych i świeżej żywności. Ustanawiają oni ... rekordy nie szybkości i ryzyka, lecz sprawności, punktualności, oszczędności i wydajności powierzonych im transportów.

Ameryka szczyli się "drapaczami chmur". Rzeczywiście, dość spojrzeć na panoramę wyspy Manhattan w Nowym Jorku, by ujrzeć las wieżowców, wyrastających na każdym metrze kwadratowym ziemi, zapłaconymi zysiąciami dolarów. Jest ich tam taki gęszcz, że na ulice pozostawiono tylko wąziutkie skrawki terenu. Toteż mieszkańcy najniższych pięter, pracownicy sklepów i biur, przechodnie i pracownicy transportu miejskiego - żyją jak w grobie, nie widząc nigdy słońca, dusząc się w atmosferze zatrutej spalinami silników samochodów.

Spojrzymy na wieżowce radzieckie. Uniwersytety, szpitale, hotele, domy kultury... dokoła wolna przestrzeń, trawniki, szerokie jezdnie i place...

Zamiast pomurych "klatek na szczury" - wspaniałe arcydzieła techniki architektury i sztuki, przedziwne lekkie i proporcjonalne. A to dlatego, że w państwie socjalistycznym budownictwem rządzi nie "business" - lecz dobro narodu.

"Business"... ten bóg świata zachodniego, wylęgły w Ameryce i mackami swymi oplatający kraje kapitalistyczne... "Business" każe posługiwać się nowymi, byle jak obliczonymi i niesprawdzonymi konstrukcjami, wykonanymi z najtańszego i nie zawsze odpowiedniego materiału /taniej jest zapłacić odszkodowanie w razie katastrofy, niż budować solidnie/; "business" każe zalewać rynki świata bezwartościowymi produktami, opartymi na szumnej i niekiedy nawet zbrodniczej reklamie; "business" każe sprzedawać "cudowne" środki lecznicze, które wprawdzie bardzo drogo kosztują, lecz... nie leczą; "business" wmówił światu zachodniemu /a nawet i Finlandii/, że jedynym napojem jest "coca-cola", że guma do żucia pomaga do myślenia, że patentowane szelki "future" z amortyzatorami zabezpieczają od zmęczenia przy chodzeniu, że z pistoletu "Firebolt" zawsze trafia się do celu, że "comicsy" z przygodami "Supermana" /nadczłowieka/ kształcą umysł i sprrowadzają spokojny sen...

"Business" potrafi jednak więcej. On to wkłada amerykańskiej młodzieży w ręce "Detective News", w którym wybitne powagi kryminalnego świata uczą, jak popełnić "idealną" zbrodnię, której nikt nie potrafi wykryć; on to zapatruje wszystkie sześć kin w małym miasteczku Ford Doggie w filmy kryminalne i kowbojskie, gdzie strzelanie do ludzi i popełnianie zbrodni jest jedyną i wyłączną treścią akcji; on wreszcie uczy w ilustrowanych książeczkach po 10 centów, jak drogą oszustwa i rozboju stać się gangsterem-milionerem.

Tego rodzaju wydawnictwa biją rekordy nakładu. Miliony, miliony...

W Związku Radzieckim wydawnictwa książek też idą w miliony. Miliony robotników, miliony chłopów, miliony i miliony młodzieży kupują skromnie wprawdzie wydane, ale bardzo tanie książki techniczne, książki naukowe; z zapałem i głodem wiedzy wczytują się w słowa Lenina i Stalina; pochłaniają literaturę piękną, poznają z książek cuda przyrody...

"Business"... to on produkuje "aerodynamiczne" żelazka do prasowania, elektryczne chłodziarki domowe, na których można jednocześnie ugotować obiad z konserw wprawdzie mało pożywnych - ale pięknie opakowanych. To on wyrabia rowery "dla znawców" bardzo ciężkie, ale za to kładzące podobne do motocykli, posiadające reflektor, elektryczny sygnał dźwiękowy i imitację zbiornika benzynowego /!/, on wreszcie sprzedaje po drogich cenach przezroczyste grzebienie, którymi wystarczy się uczesać, by zyskać trwałą undulację.

"Business" jest niezwykle pomysłowy: choćby takie wieczne pióro kulkowe: obrócisz kulką w dół - pisze jak normalne pióro za 50 centów; odwrócisz kulką do góry, a obsadka stanie się przezroczysta i ujrzysz w niej sprośną figurkę nagiej super-dziewicy w glicerynie. Na piórze widnieje napis "Oldsmobil". Gdy więc kupisz samochód "Oldsmobile", wiesz żeś zapłacił i za to obrzydlistwo, dostępne dla najszerszych warstw młodzieży obojga płci. Demoralizacja? Nie - odpowie ci Amerykanin - tylko dobry "business".

Tak! W tym kraju wszystko jest "super" i "hyper". Supermotoryzacja. Dziesiątki milionów samochodów. Miliony wypadków samochodowych, spowodowa-

nych przez pijanych lub młodocianych kierowców ćwiczących swe nerwy w urządzaniu słynnej zabawy "ucieczki przed policją" w największym ruchu ulicznym. Wypadek? Cztery trupy. Głupstwo! Przecież samochód był ubezpieczony. Wypłaci się odszkodowanie i... po krzyku.

A w Związku Radzieckim? Szesnastoletnia młodzież prowadzi samochody z wprawą doświadczonych kierowców. Chłopcy prowadzą samochody ciężarowe, dowożą materiały budowlane; dziewczęta - samochody sanitarne, ciągniki przewożą wędrownie czytelnie na wieś... ale nikomu nie przyjdzie na myśl użyć samochodu do zbrodniczej zabawy. Przecież już w pierwszej klasie uczono chłopca czy dziewczynę, że samochód - to przyjaciel i towarzysz pracy i wytechnienia człowieka. Samochodowi wyrządzić krzywdę - to zbrodnia i niehonorowo. Toteż młodzież ta od dziecka, od najmłodszych lat poznaje maszyny, poznaje technikę, entuzjazmuje się jej postępem. Zamiast oglądać kowbojskie filmy uczy się pilnie i przygotowuje do spełnienia ważnych obowiązków w swej socjalistycznej ojczyźnie.

Czy może ktoś powiedzieć, że przykłady, wybrane do porównania są nieprawdziwe? Nie. To wszystko prawda. Tam - przykład do czego prowadzi kapitalizm; u nas - zadatek na szczęśliwe życie przyszłych pokoleń w komunistycznym świecie, w świecie postępu technicznego, postępu społecznego, postępu prawdziwie socjalistycznego, takiego, jaki wskazał nam Lenin, a do jakiego prowadzi nas Stalin.

Już wieczór... nastawiamy radio. Aha! Ameryka. Jakieś nieartykułowane dźwięki, chrypiące i skrzeczące, doprowadzające kulturalnego słuchacza do pasji... To amerykańska muzyka "taneczna, super szlagier "boogi-woogi".

Dość! Czy wspaniały wynalazek Popowa ma służyć do zatruwania naszego poczucia estetyki i kultury muzycznej?

Łapiemy Moskwę. Z głośnika płyną tony koncertu Rachmaninowa...

mr

spin: POLPOT I SOWSHOW  
/o Miłoszu/

motto: "Literatura emigracyjna jako  
zjawisko przestała istnieć".

W. Filler

Witold FILLER: LITERATURA MAŁEJ EMIGRACJI, Warszawa 1970, Wydawnictwo MON

"Tyleż patetyczną, co egocentryczną deklaracją na łamach "Kultury" rozpoczają w roku 1951 Czesław Miłosz...

/z d r a j c a / ... swoją karierę zdrajcy. Karierę zdrajcy, który...

/h a n d l a r z / ...odmiennie niż Światko czy Tykociński mógł handlować w u obcych jednym tylko towarem: własnym talentem. Pierwsza transakcja...

/d o n o s i c i e l / ...dotyczyła serwisu informacji z zakresu polityki kulturalnej PZPR"

"Plotki uczyniłyby zń tuzinkowego donosiciela: on chciał...

/p r z e b i e g ł y p y s z a ł e k / ...być moralistą; nadmierny akcent na polskość mógł sugerować moralistę lokalnego; on narzył o uniwersalizmie"

"/Miłosz/ pierwszy zwrócił uwagę emigracyjnym politykom na kårzyści, jakie może im przynieść hasło rewizji marksizmu. Miłosz zapoczątkował na łamach paryskiej "Kultury"...

/p e d ż e g a c z / ...trend, który po latach miał się zakończyć memoizacją mi Kuronia i Modzelewskiego"

"Miał to być paneuropeizna wojujący: przeciwnik był na wschodzie. Do ludzi radzieckich żywi Miłosz już nie niechęć, a pogardą, której nie skrywa"

/i k a p i t u l a n t / "...postawa, która ma usprawiedliwić, przeraża. Pa-stawa kokieteryjnej koezystencji, która nie jest niczym innym, jak kapitu-lacją godności narodowej"

/l o g i k a / "Logika procesów społecznych bywa bowiem nieubłagana, a kolej-ność zjawisk okazać się może nieodwracalna".

Ivo HAVLIK: PYTANIA I ODPOWIEDZI, Ruše Pravo, 15.10.1980

"Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury odpowiednio jury przyznało w zeszłym tygodniu poecie narodowości polskiej, emigrantowi Czesławowi Miłoszowi. Kiedy rzecznik prasowy Królewskiej Akademii Nauk ogłosił tę decyzję żadnej sensacji grupie zachodnich dziennikarzy, zadali oni dwa pytania 1/ czy decyzją jury powodowały jakieś względy polityczne?, 2/ czy można widzieć w tej decyzji jakiś związek z faktem, że papieżem jest Polak?

Pomimo to, iż odpowiedź rzecznika była oczywiście przecząca, jest rzeczą oczywistą, że już samo sformułowanie pytań przez burżuazyjnych dziennikarzy coś oznacza. Otóż Czesław Miłosz od 1951 roku żyje na emigracji, w roku 1958 na stałe osiadł w USA. Sam klasowo i narodowo oderwał się od polskiego ludu pracującego, jego kultury. Ziemia rodzinna jest dlań dziś niczym: przecież powiedział publicznie, że "jedyną jego ojczyzną jest tylko język polski". Do czasu nagrodzenia był jako poeta nieznanym światu. Nawet w Polsce jego nazwisko - wyłączając krąg historyków literatury - nie mówi nikomu nic.

Wiersze Miłosza nigdy nie ukazały się w jego kraju w wydaniu książkowym, autor nie proponował ich nigdy polskiemu wydawnictwom, sądząc zaś po ich poziomie jest jasne, że z trudem wytrzymałby konkurencję poetów naprawdę polskich.

A świat? Wprowadzić wiersze Miłosza były przez samego autora /!/ tłumaczone na dwa światowe języki - angielski i francuski - ale nawet wówczas kultura zachodnia nie przejawiała nigdzie żadnego zainteresowania. Jak z tego

widać, znana praktyka przyznawania nagrody Nobla w dziedzinie literatury jest kontynuowana. W sposób programowy i zamierzony przyznawana jest ludziom, którzy oderwali się od swego narodu, którzy artystycznie nic nie znaczą.

Niedawno był Sołżenicyn, teraz Miłosz.

Dwa pytania zachodnich dziennikarzy postawione bezpośrednio po opublikowaniu decyzji jury - pozornie zeskakujące - same w sobie zawierają odpowiedź. Wystarczy skreślić w nich zamek pytający. Praktyka przyznawania Nobla w dziedzinie literatury sprawia, że nagroda ta przestaje być obiektywnym kryterium rzeczywistych wartości literackich. Jest bez wątpienia instrumentem burżuazyjnej ideologii i kultury, która we własnym interesie klasowym i w tym roku obdarzyła apolityczną nagrodą autora nie wnoszącego nic do skarbńicy sztuki, zwłaszcza sztuki postępowej, który niczym nie wzbogacił ani własnej, ani światowej kultury, za to zapisał się jako rzeczywisty i duchowy emigrant socjalizmu.

## K R O N I K A

listopad

We Wrocławiu powstały dwie nowe niezależne oficyny wydawnicze - NIWA /Niezależny Instytut Wydawniczy im. Abramowskiego przygotowujący na początek wydanie wyboru szkiców H. Arendt/ oraz wydawnictwo "Wyzwolenie" /wydaje pismo literackie "Tematy"/. W NRD aresztowano pisarza Manfreda Barza pod zarzutem dostarczania na Zachód informacji mogących wyrządzić szkodę interesom NRD.

grudzień

Ze związku pisarzy ZSRR usunięto dwóch współautorów niezależnego almanachu "Metropol" - Wiktora Jerofiejewa i Eugeniusza Popowa.

1980

Uchwałą Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata rok bieżący ogłoszony został Rokiem Katynia.

styczeń

Za największą imprezę kulturalną w Polsce w roku 1980 uznano Dni Kultury Radzieckiej. Donosi o tym "Życie Warszawy" z okazji podpisania nowego protokołu o współpracy kulturalnej między PRL i ZSRR. ++++ Dyplomy Honorowe Ministerstwa Kultury ZSRR otrzymali /za wkład "w dziedzinę rozwoju między narodami polskim i radzieckim"/ Krystyna Skuszanka, Eugeniusz Krassowski, Freda Leniewicz, Marian Konieczny, Władysław Machajek, Mieczysław Deszewski, Henryk Kutz, Napoleon Siess, Zbigniew Domino. +++++ W Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie otwarto wystawę pamiątek z lotu M. Hermaszewskiego w Kosmos. Hermaszewski pokazywał Kosmitom m.in. miniaturowe wydanie Manifestu Komunistycznego, Konstytucję PRL oraz portret Edwarda Gierka. "Wystawy - podaje PAP - dopełniają kosmiczne ubiory, zestawy żywnościowe, przybory do pisania, maskotki". +++++ "Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej przy współudziale FJN, CRZZ, PSZMP, CZKR, COMUK, MKiS, MOiW, MSW, MAGTOS, CZSBN, Państwowego Muzeum Etnograficznego oraz związków twórczych ogłasza konkurs na scenariusze obrzędów socjalistycznych" /Argumenty/. +++++ W Lublinie powołano Studencki Komitet Obrony Jasnej Góry w związku z przebudową trasy obok klasztoru. +++++ W Muzeum Narodowym otwarto pamiątkową wystawę wybitnego, zmarłego na emigracji malarza Henryka Gotliba /1890-1968/. +++++ Alkohol stanowi 87% krajowych wyrobów sprzedawanych przez Pwex. +++++ Nakładem Biblioteki "Robotnika" wydano szkic K. Pomiana "Robotnicy i sekretarze". +++++ Niezależne wydawnictwo "Archiwum" wydało zbiór "Śpiewnik Wybrzeża" zawierający teksty śpiewane w czasie wypadków grudniowych w 1970 r. +++++ Ukazał się w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie pierwszy numer niezależnego pisma "Kurier Akademicki". Reagują: Antonina Krzysztoń i Zbigniew Garwicki. +++++ Wydawnictwo im. Konstytucji 3-ego Maja wydało specjalny numer "Przebiegu" zawierający głosy prasy światowej o wizycie papieża Jana Pawła II w Polsce. Pismo zawiera wkładkę złożoną z czarno-białych i barwnych fotografii. +++++ Nakładem NOWej ukazała się książka Jana Nowaka "Kurier z Warszawy". +++++ A. Sacharow pozbawiony został tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej i przyznanych mu odznaczeń państwowych. +++++ 17 Litwinów, 3 Estończyków i 1 Łotysz podpisali list do L. Breżniewa i K. Waltheima protestujący przeciwko inwazji Afganistanu i porównujący ją do zajęcia i okupacji państw bałtyckich przez ZSRR w roku 1940. Rzecznikiem grupy jest J. Kukk, urodzony estoński, który w maju 1979 wystąpił z partii i zerwał się obywatelstwa ZSRR. +++++ Na Słowacji wydany został poza zasięgiem cenzury zbiorek wierszy ks. J. Twardowskiego. +++++ Prasa zachodnioniemiecka coraz częściej publikuje materiały poświęcone opozycji w Polsce. Ostatnio zaprezentowała czytelnikom artykuły Andrzeja Ndrawicza, Jadwigi Kwiatkowskiej oraz rdama



Miechnika. +++++ W Paryżu ukazał się podwójny /18/19/ numer "Cahier de l'Est", pisma poświęconego literaturze krajów środkowo- i wschodnioeuropejskich w całości zawierający teksty polskich pisarzy emigracyjnych. Zeszyt przygotowały Zofia Bobowicz i Alicja Lisiecka.

## luty

Zdjęto ze stanowiska premiera P. Jaroszewicza zastępując go E. Babinchem. Miejsce dotychczasowego szefa CRZZ Kruczyński zajął Szydłak. +++++ W warszawskim Kole Młodych przy ZLP odbył się wieczór Stefana Bratkowskiego, w czasie którego autor "Gry o przyszłość" wyjaśnił cele Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość". +++++ W Domu Literatury w Warszawie odbył się wieczór zorganizowany przez Klub Krytyki, w czasie którego Tomasz Burek omawiając dorobek prozy polskiej w roku 1979 wiele miejsca poświęcił wydanej przez NOW-ą powieści Jerzego Andrzejewskiego "Miazga" uznając ją za najważniejsze wydarzenie literackie roku. +++++ SB nie dopuściła do wieczoru autorskiego K. Brandysa mającego się odbyć w mieszkaniu P. Bakowskiego. +++++ Nowości NOW-iej: Zeszyt TKN "Tomasz Masaryk", opracowany przez Pawła Bodnara oraz tom 2 Biblioteki "Pulsu" - "Gnidzi Parnas" Piotra Wierzbickiego. +++++ Sejm uchwalił ustawy o Naczelnym Sądzie Administracyjnym, o ochronie i kształtowaniu środowiska naturalnego oraz o ochronie godła, barw i hymnu narodowego. +++++ PZPR liczy 3 080 000 członków i kandydatów, z tego 360 tys. ma wykształcenie wyższe. +++++ Zmianie uległ ramowy tygodniowy program Radia Wolna Europa. Wyeliminowano codzienną audycję muzyczną. Wprowadzono cenny cykl "Wszechnica radiowa" opracowywany we współpracy z polskimi naukowcami z USA i Kanady. +++++ W Londynie rozpoczęła działalność nowa organizacja - Studium Spraw Polskich - mająca na celu pomoc wszelkimi środkami niezależnym ośrodkom kulturalnym i naukowym w Polsce. +++++ W Los Angeles odbyła się wystawa Polish Cultural Exhibit "The Invincible Polish Spirit" przeciwdziałająca osiągnięciu niezależnej działalności kulturalnej w kraju i na emigracji. +++++ Raport Amnesty International: od listopada 1979 w ZSRR aresztowano 51 działaczy niezależnych. +++++ Po licznych pogróżkach A. Sacharow z żoną przebywający na zsyłce w Gorkij zostali pobici przez "nieznanych sprawców". +++++ W koncercie ku czci A. Sacharowa w Paryżu wziął udział Artur Rubinstein, który dwa lata temu oficjalnie wycofał się z życia muzycznego. +++++ Pisarka Raisa Orłowa usunięta została z partii i związku pisarzy ZSRR po podpisaniu protestu przeciwko represjom wobec A. Sacharowa.

## marzec

Na Rynku Głównym w Krakowie popełnił samobójstwo przez samospalenie Walenty Badylak protestując m.in. przeciw zbrodni katyńskiej. +++++ Zmarł Jarosław Iwaszkiewicz, ostatni żyjący członek grupy literackiej "Skamander", wieloletni prezes Zarządu Głównego ZLP. +++++ Nagrody polskiego P.E.N. Clubu otrzymali: K. Mondral za przekłady z literatury węgierskiej /m.in. rewelacyjnej powieści T. Dery "Pan A.G. w X", J. Hartwig za tłumaczenie poezji francuskiej, M. Brandys za "Koniec świata szwależerów" /nagroda im. M. Lepeckiego/ oraz J. Twardowski za "Poezje wybrane" /nagroda R. Gravesa/. +++++ Odbyły się wybory do Sejmu PRL. Frekwencja wyborcza wyniosła 98,87%, z czego 99,52% padło na listę PZPN. +++++ W dniu wyborów do Sejmu "Słowo Powszechne" poleca pod nagłówkiem "Potrawy z czerstwego pieczywa" przysmak o nazwie "Zupa z chleba" /"Ostatni ratunek"/. Oto przepis: "2-3 łyżki rozdrobnionego, wysuszonego razowego chleba wysypujemy do szklanki wrzącej wody, dodajemy, jeśli mamy pod ręką, szczyptę kminku lub przecieru pomidorowego, ostatecznie kostkę maggi". I czekamy na cud. Nad urną. +++++ Jan Paweł II przyjął na prywatnej audyencji profesora Jana Szczepańskiego. +++++ Dziesięciu krakowskich intelektualistów, m.in. rektor wyższej szkoły muzycznej Krzysztof Penderecki poparło wezwanie studentów do rozwiązania SZSP. +++++ W Falkowie ska w "Polityce" komentując badania socjologiczne Marioli Sułkowskiej: "Wydaje się, że dzieci uczą się pewnych wyobrażeń o prawie w zupełnym oderwaniu od pojęć moralnych". +++++ Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał

Alicję Wesołowską, pracownicę ONZ aresztowaną w Polsce, na 7 lat więzienia "za współpracę z wywiadem jednego z państw NATO". +++++ Niezależny Ośrodek Myśli Ludowej wydał pierwszy numer pisma "Przebudowa". +++++ Zainicjowała działalność niezależna Oficyna Liberałów publikując wielopunktowy tekst programowy liberałów. +++++ Pod zarzutem kradzieży powielacza został aresztowany kierownik NOW-ej, członek KSS "KOR" Mirosław Chojecki. +++++ Lądujący po powrocie z USA na lotnisku w Warszawie Lk-62 uległ katastrofie. Zginęło 77 pasażerów i 10 członków załogi. +++++ W Poznaniu wprowadzono racjonowanie wody. Uruchomiono 100 studni publicznych, ograniczono przydział wody dla przemysłu, w niektóre rejony dowozi się wodę autocysternami. +++++ Wyprawa kierowana przez Andrzeja Zawadę dokonała pierwszego zimowego wejścia na Mount Everest. +++++ Ponad 70 tys. mieszkań w Warszawie nie posiada łazienek. +++++ W czasie festiwalu filmowego w Berlinie Zachodnim Andrzej Seweryn uzyskał Srebrnego Niedźwiedzia za najlepszą rolę męską. +++++ W Darmstadt /RFN/ otwarto Instytut Niemieckiej Kultury i Literatury Polskiej zorganizowany przez znanego tłumacza Karla Dedeciusa. +++++ Przy uniwersytecie w Moguncji /RFN/ utworzono Studium Języka Polskiego. +++++ Ukazał się 1-2 nr "Observatore Romano" w języku polskim. Redaktorem miesięcznika jest ks. Adam Boniecki, członek redakcji "Tygodnika Powszechnego". +++++ Rozgłośnia Deutsch Deutschlandfunk nadała cykl audycji o ruchu niezależnym w Polsce opracowanych przez Aleksandra Drożdżyńskiego. +++++ Przed senacką komisją praw człowieka Senatu USA złożył zeznania dotyczące realizacji uchwał helsińskich w Polsce Tadeusz Walendowski przedstawiając m.in. wykaz represji wymierzonych przeciw działaczom niezależnym i dokonując sceny programu Radia Wolna Europa. +++++ Nagrodę londyńskich "Wiadomości" obchodzących w tym roku 65-lecie otrzymał Jan Nowak za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji w roku 1978. Laureatem ubiegłorocznym był St. Barańczak za tom wierszy "Ja wiem, że to niesłuszne". +++++ Zmarł jeden z najwybitniejszych filozofów XX wieku - Erich Fromm. +++++ W "Muzeum Ludwika" w Kolonii przedstawiono prywatną kolekcję malarstwa i rzeźby ambasadora ZSRR w RFN W.S. Siemionowa. Znalazły się w tej kolekcji dzieła wielu artystów, którzy bądź z ZSRR wyemigrowali, bądź poddawani byli w kraju licznym szykanom /M. Łarionow, N. Gonczarowa, P. Kuzniecowa, A. Lentułow/. Większość tych artystów nie jest znana publiczności w ZSRR. Po zeszłorocznej wystawie "Paryż - Moskwa" w Paryżu jest to kolejny akt kokietowania publiczności zachodniej pozorami wolności artystycznej w ZSRR. +++++ Kongres i Senat USA powzięły "Rezolucję Bałtycką" zobowiązującą rząd, aby delegacja USA na konferencję w Madrycie domagała się prawa samostanowienia dla narodów Estonii, Litwy i Łotwy. +++++ W Moskwie odbyła się demonstracja Niemców etnicznych domagających się prawa emigracji z ZSRR. +++++ Znany pisarz radziecki Leonid Breżniew otrzymał literacką Nagrodę Leninowską za trylogię "Mała Ziemia" "Odroszenie" i "Ugór". +++++ O. Berdnik, pisarz ukraiński skazany został na 6 lat łagrów za "uprawianie propagandy antysowieckiej". +++++ Minister kultury NRD ujawnił, że wielu pisarzy tego kraju wystąpiło o prawo wyjazdu na Zachód. Nie ujawnił jednak ani liczby chętnych, ani ich nazwisk. +++++ K. Schlesinger, pisarz NRD-owski /powieść "Michael" tłum. przez Małgorzatę Łukasiewicz/ skazany w zeszłym roku na grzywnę za wydawanie w RFN otrzymał zezwolenie wyjazdu na Zachód. +++++ V. Havel, pisarz czeski przebywający aktualnie w więzieniu wyróżniony został przez Francuskie Stowarzyszenie Autorów nagrodą za swą dotychczasową twórczość. Otrzymał też godność honorowego członka szwedzkiego P.E.N. Clubu. +++++ E. Pagilla, opozycyjny pisarz kubański został zwolniony z aresztu domowego i wyjechał do USA. +++++ 20 500 członków Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii obchodzi 60-lecie swej organizacji.

kwiecień

Muzeum Lenina w Warszawie odznaczono Orderem Sztandaru Pracy I klasy z okazji okrągłej rocznicy narodzin patrona. +++++ Odbyły się Dni Kultury Radzieckiej w Polsce połączone ze 110 rocznicą urodzin Lenina. +++++ Podczas Dni

Kultury Radzieckiej w Cytadeli Warszawskiej otwarto wystawę poświęconą tradycjom i współczesności przyjaźni polsko-radzieckiej. Cytadela stanowi, jak wiadomo, symbol rosyjskiej dominacji w Warszawie, wybudowana została po klęsce Powstania Listopadowego. +++++ W wystawionej w Teatrze Telewizji z okazji Dni Kultury Radzieckiej sztuce byłego rekordzisty świata w skoku wwyż Walerego Brumela "Doktor Nazarov" rolę wielkiego szkodnika społecznego utrudniającego wprowadzenie w życie nowatorskiego pomysłu grał Ignacy Machowski, etatowy odtwórca roli Lenina. +++++ W KMPIK "Przyjaźń" w Warszawie odbyła się wystawa pod tytułem "Włodzimierz Iljicz Lenin twórca państwa radzieckiego", na której prezentowano rysunki, rzeźby, hafty i makatki wykonane na tę okazję przez uczniów szkół warszawskich. +++++ W warszawskich zakładach pracy odbył się konkurs pt. "Lenin a Polska", w którym wzięło udział 170 zespołów. +++++ Radio Wolna Europa podało, że o ponad 5 ml. złotych wzrosły w 1980 r. wydatki na Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. W tym samym okresie o ok. 90 mln złotych zmalały wydatki na resort kultury i sztuki. +++++ Kolejna akcja "rynek" przeprowadzona przez MO ujawniła, że w co czwartym sklepie dokonuje się oszustw. +++++ Co roku komisje odwoławcze do spraw pracy rozpatrują ok. 50 tys. sporów dotyczących zwolnień pracowników. Często jednak pracownicy, którym sąd przyznał rację stają się obiektem zorganizowanej nagonki w swoim zakładzie pracy. +++++ Dla 137 przedmiotów wykładanych na uniwersytetach, 83 uczelniach ekonomicznych i 112 w uczelniach rolniczych nie wydano w latach 1975-80 żadnej publikacji, skryptu, podręcznika czy nawet zestawu materiałów pomocniczych. +++++ Henryk Jaskuła zakończył okołoziemską żeglugę bez zwijania do portów na jachcie "Dar Przemysła". +++++ W Warszawie odbyło się rozszerzone plenum ZG ZLP poświęcone funkcjonowaniu literatury w radio i TV. Referat ostro atakujący homogeniczny typ kultury telewizyjnej przedstawił Krzysztof Mętrak. Jacek Woźniakowski domagał się miejsca w środkach masowego przekazu dla przedstawicieli światopoglądu katolickiego. Janusz Rolicki reprezentujący telewizję obiecał zmiany programowe. +++++ W 1979 r. średni opad pyłu w śródmieściu Krakowa wynosił 376 ton na metr kwadratowy. Dopuszczalna norma wynosi 230 ton. Kraków od dłuższego czasu poddawany jest rewaloryzacji. Pytanie - co zwycięży? +++++ Wiktor Zin zlecił rozpoczęcie konserwacji słynnej "Panoramy Racławickiej". "Polityka" zapowiada ukończenie prac i udostępnienie dzieła w roku 1981. +++++ Jerzy Kleer w "Polityce": "Tradycje demokratyczne i postępowe nierozdzielnie związane były ze spółdzielczością mieszkaniową, czego szczególnym przykładem była w okresie międzywojennym Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Ruch spółdzielczy ukształtował się w polskiej świadomości społecznej jako wartość sama w sobie, jako organizacja samopomocowa związana z demokratycznymi formami zarządzania". Ta wypowiedź to kolejny sygnał uaktywniania się środowisk odwołujących się, podobnie jak uczestnicy DiP-u, do tradycji WSM. +++++ Ambasador USA w Polsce występujący w warszawskim KIK-u wyraził ubolewanie z powodu nie zezwalania przez władze polskie na wyjazdy wszystkich obywateli, którzy chcą odwiedzić USA. +++++ Zarówno niezależne ugrupowania w kraju jak liczne organizacje polonijne ma świecie w różnych formach obchodziły 40-tą rocznicę zbrodni katyńskiej. W kościele św. Krzyża w Warszawie odbyła się msza za pomordowanych w Katyniu oficerów polskich. +++++ Po aresztowaniu Mirosława Chojeckiego przeprowadzono w kraju kilka akcji ulotkowych zmierzających do uaktywnienia opinii publicznej. Przeciwno aresztowaniu protestowały liczne grupy niezależnych działaczy społecznych, redakcje pism wychodzących poza zasięg cenzury, środowisko Związku Literatów Polskich. Liczne były również protesty z zagranicy - m.in. skrytykowali akcję policji G.Grass, R.Bahr, W.Bierman oraz szwedzki P.E.N.Club. +++++ Zmarł wybitny uczyony polski, wychowawca kilku pokoleń filozofów - Władysław Tatarkiewicz. +++++ W Londynie zmarł Antoni Hermaszewski, członek Komitetu Wykonawczego Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, redaktor "Przeglądu Prasy Ukraińskiej", stały współpracownik "Wiadomości". +++++ W Monachium zmarł przebywający tam na emigracji Jan Krzysztof Markowski, kompozytor, twórca melodii "Marszu Mokotowa" i "Sanitariuszki Małgorzatki". +++++ Zmarł w Londynie poeta Bronisław Przyłuski, długoletni współpracownik "Wiadomości".

++++ H.Büll stwierdził, że żadna z jego książek wydanych w ZSRR nie obroniła się przed często sdrastycznymi ingerencjami cenzury. ++++ W RFN wydano po niemiecku w 1979 r. 26 książek polskich autorów krajowych i emigracyjnych. ++++ W Hollywood /USA/ ukazał się pierwszy numer polskiego kwartalnika "Literatura". ++++ W San Francisco /USA/ ukazuje się polski kwartalnik ideowo-literacki "Kontakty". ++++ Koalicja na Rzecz Demokratycznej Większości w USA przyznała A.Sacharowowi nagrodę "Przyjaciela Pokoju". ++++ Trzech pisarzy radzieckich - Aksionow, Kocielow i Wojnowicz - wystąpiło o prawo do emigracji. ++++ Poeta Wiktor Niekipiełow oskarżony został o szkalowanie ZSRR. ++++ Z Czechosłowacji wydano kilku uczonych brytyjskich po próbach wygłoszenia przez nich wykładów z filozofii w mieszkaniach prywatnych. Kilku z nich przed wydaleniem aresztowano. ++++ Wolfgang Hilbig, młody poeta z NRD skazany został na grzywnę za wydanie na Zachodzie tomu wierszy skonfiskowanego przez cenzurę. ++++ Około 10 tys. osób schroniło się na terenie ambasady Peru na Kubie żądając azylu politycznego. Castro zgodził się na wyjazd uchodźców. W olbrzymiej fali emigracyjnej z Kuby uciekło około 120 tys. osób. ++++ W Düsseldorfie /RFN/ zaprezentowano wystawę malarstwa Kazimierza Malewicza. Miała ona być pokazana w innych miastach, lecz Moskwa nagle, bez podania przyczyny, zerwała umowę i wycofała prezentowane dzieła. ++++ Liczne partie komunistyczne /m.in. włoska, hiszpańska i jugosłowiańska/ odmówiły udziału w konferencji zwołanej w Paryżu. ++++ Inger Wahlström, wydalona z PRL korespondentka poczytnego dziennika szwedzkiego "Ekspressen" wydała interesującą powieść o współczesnej Polsce "Póki my żyjemy". ++++ Zmarł w Paryżu znany pisarz i filozof Jean Paul Sartre.

maj

W Gdyni popełnił samobójstwo przez samospalenie Andrzej Durkacz protestując w ten sposób przeciwko naruszaniu prawa i ograniczaniu swobód religijnych w PRL. ++++ W Gdańsku odbyła się kilkutysięczna manifestacja dla uczczenia Konstytucji 3 Maja zorganizowana przez ośrodki niezależne, m.in. przez Ruch Młodej Polski. Po zakończeniu manifestacji aresztowano T.Szczudłowskiego i D.Kobzdeja, których skazano na 3 miesiące aresztu. ++++ 173 Konferencja Episkopatu Polski: "Konferencja Episkopatu ponawia postulat - aby nikt nie był represjonowany i nie obawiał się represji za odmienną poglądów czy podejmowanie społeczne pożytecznych inicjatyw. Nie można dopuścić do sytuacji, która stworzyłaby przekonanie o istnieniu w Polsce więźniów politycznych. Kościół popiera rozsądne wysiłki, które dążą do ukazania młodemu pokoleniu Polaków pełnego dziedzictwa przodków, do ukazania niezafałszowanej i pełnej historii Narodu, kultury i wytworów ducha ludzkiego". ++++ W Warszawie po usunięciu studenta filozofii J.Majewskiego, powstało Akademickie Biuro Interwencyjne. ++++ "Polityka" przytacza dane dotyczące stanu zdrowia młodzieży: 23% uczniów szkół krakowskich cierpi na przewlekłe choroby i wady rozwojowe. Dane mogą być zaniżone ze względu na braki medycyny szkolnej. ++++ Pod koniec maja współpracownicy Niezależnej Oficyny Wydawniczej kulportowali pod liceami warszawskimi paczki pn. "Prezent dla naturzysty" zawierające m.in. S.Żeromskiego "Na probostwie w Wyszakowie", eseje W.Gombrowicza oraz W.Bartoszewskiego "Polskie państwo podziemne". ++++ Julianowi Strykowskiemu, laureatowi dorocznej nagrody im. Alfreda Jurzykowskiego odmówiono paszportu na wyjazd do USA, gdzie miał odebrać nagrodę. ++++ Z symboliczną datą 3 maja ukazało się drugie opracowanie Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość" zatytułowane "Jak z tego wyjść" ++++ Nakładem Niezależnej Oficyny Poetów ukazał się wybór wierszy Czesława Miłosza opatrzony portretem autora. ++++ Nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazał się w dwóch tomach wybór artykułów z emigracyjnego kwartalnika politycznego "Aneks". ++++ Również nakładem NOW-iej wydany został kolejny zeszyt TKN - W.Bartoszewskiego "Polskie Państwo Podziemne 1939-1945". ++++ Krakowska Oficyna Studentów wydała poemat S.Baranieczaka "Sztuczne oddychanie" oraz nowelę F.Dürenmatta "Upadek". ++++ Biblioteka Głosu przedrukowała z "Kultury" paryskiej artykuł P.Lidy "Polacy, Litwini, Białorusini". ++++ W Słupsku powołano

17-ty Oddział Związku Literatów Polskich. +++++ W Kościele w Podkowie Leśnej odbyła się głodówka solidarnościowa z więźniami politycznymi w Polsce. W głodówce udział wzięli przedstawiciele niezależnych ruchów społecznych w Polsce, a także przybyli w tym celu z Węgier-Tibor Pakh. +++++ Parafianie z Podkowie Leśnej zebrali ponad 1000 podpisów solidaryzujących się z celami, jakie postawili sobie uczestnicy głodówki w kościele św. Krzysztofa. +++++ Agencja Interpress w oświadczeniu dla dziennikarzy zagranicznych stwierdziła, że uwolnienie z aresztu Mirosława Chojeckiego nastąpiło na skutek osobistej interwencji Edwarda Gierka. Podkreślono, że przy zwolnieniu Chojeckiego nie zażądano od niego zaprzestania niezależnej działalności wydawniczej. +++++ Pod apelem do ZG ZLP zwracającym się o interwencję w sprawie M.Chojeckiego złożyło podpisy 116 pisarzy z całej Polski. +++++ W czasie rozgrywanego w Frankfurcie /RFN/ meczu RFN - Polska w piłce nożnej w sektorze kibiców polskich odbyła się demonstracja na rzecz aresztowanych w Polsce działaczy ruchów niezależnych. +++++ Przyznane zostały nagrody "Zapisu" za rok 1979. W dziedzinie poezji laureatem został A.Zagajewski /"List", Krakowska Oficyna Studentów/, prozy - J.Anderman /"Gra na zwłokę", Wydawnictwo Literackie/, poligrafii - M.Chojecki i B.Grzesiak /NOWA/. +++++ Nagrody fundacji Kościelskich /Genewa/ przyznano Józefowi Baranowi /całokształt twórczości/, Jerzemu Plucie /powieść "Sto czyżyków"/, Januszowi Węgiełkowi /szkice "Mam ciało"/. +++++ Zmarł na emigracji znany reżyser Aleksander Ford. Na wychodźstwie wyreżyserował m.in. film wg "Pierwszego kręgu" A.Sołżenicyna. +++++ Zmarła w Londynie poetka Beata Obertyńska /82 l./, córka Maryli Wolskiej, poetki uwiecznionej w rysunkach Grottgera. PIW opublikował fragmenty jej wspomnień stanowiących przedłużenie pamiętnika jej matki /1974/. Obertyńska napisała znany raport "W domu niewoli" opisujący losy Polaków pod okupacją sowiecką po roku 1939. Aresztowana we Lwowie w roku 1940, przeszła Starobielsk, potem przebywała w łagrze pod Warkutą. Również z tym okresem życia jest związana jej powieść "Faustyna". W okresie międzywojennym współpracowała z teatrem Horzycy. +++++ Ludność kuli ziemskiej liczy 4 415 mld osób. +++++ Zmarł po długiej chorobie przewodniczący ZKJ - Josip Broz Tito. +++++ I.Bergman wyreżyserował w teatrze monachijskim dramat W.Gombrowicza "Iwona księżniczka Burgunda". +++++ W Kolonii powstał Niemiecko-Polski Komitet Solidarności z Opozycją w Polsce. +++++ Wielu wybitnych intelektualistów europejskich skupionych w Towarzystwie Aida wystąpiło z listem otwartym do G.Huśaka żądającym zwolnienia z więzienia pisarza V.Havela. Wśród sygnatariuszy listu znajdują się m.in. I.Bergman i G.Grass. +++++ Jurij Orłow odbywający 7-letnią karę łagru, członek moskiewskiej grupy pochłamskiej wezwał do amnestii dla wszystkich więźniów politycznych w ZSRR. +++++ Wasyl Stus, poeta ukraiński, został aresztowany za "propagandę antyradziecką". Skończył on niedawno 7-letni wyrok łagru. +++++ Pisarze Aksionow i Wojnowicz otrzymali zezwolenie na emigrację z ZSRR. +++++ "Berliner Morgenpost" /Berlin Zachodni/ ujawnił, że na jesieni 1979 doszło w Berlinie Zachodnim do spotkania czterech reprezentantów polskiej opozycji ze wschodniemieckimi intelektualistami, którzy w ostatnim czasie opuścili NRD. +++++ Pisarz NRD S.Heim otrzymał paszport na wyjazd do RFN. Heim był ostatnio w NRD szykanowany za ogłaszanie swych prac na Zachodzie. +++++ We Włoszech wydano powieść Amicisa "1 maj" stanowiącą ostrą krytykę marksizmu i społeczeństwa typu komunistycznego. Autor za życia zrezygnował z wydania utworu.

czerwiec

W artykule "Czy nowa polszczyzna?" /"Polityka"/ M.Głowiński analizuje zjawisko atakowania świadomości narodowej przez nowomowę. +++++ Na skutek zniszczenia Wisły ściekami komunalnymi zamknięte prawie wszystkie plaże Zatoki Gdańskiej. +++++ Odbyło się ogólne zebranie TKN poświęcone systemowi kształcenia w PRL. Wystosowano list otwarty do nauczycieli. +++++ Nakładem NOW-iej ukazał się tom wierszy Cz.Mikołusza "Światło dzienne", zbiór wierszy J.Bierezina "W połowie życia" oraz opowiadanie M.Hzaski "Osmi dzień tygodnia". +++++ Oficyna Liberaków wydała przemówienie A.Sołżenicyna "Zmierzech odwagi"

wyłoszone w Harvard w 1978 r. +++++ Nakładem Biblioteki "Głosu" ukazała się broszura K.Barcza "Kryzys mieszkaniowy". +++++ Nakładem Oficjalnego Wydawnictwa Polskiego ukazał się nieocenzurowany /podobno/ "Biuletyn POP PZPR przy Oddziale Warszawskim ZLP. W środowisku przylgnęła doń nazwa "POP-izdat" Pierwszy numer zawiera obok kilku wstępniaków, interesujący artykuł Jerzego Jesionowskiego "O sytuacji literatury i pisarza", w którym czytamy: "Obecne praktyki cenzorów są zresztą gorsze od doraźnych kryteriów dnia dzisiejszego. Dzieła literackie kastruje się według dowolnego uznania poszczególnych cenzorów". +++++ W Domu Literatury L.Szaruga wygłosił odczyt o twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego rozpoczynając cykl poświęcony pisarzom emigracyjnym zaplanowanym przez Klub Krytyki przy Oddz.Warasz.ZLP.+++++ W kościelnej sali w Warszawie odbyła się uroczystość poświęcenia tablicy poświęconej 108 poległym cichociemnym spadochroniarzy AK. Mowę św. celebrował bp J.Kraszewski. +++++ W Londynie odbyła się prapremiera baletu wybitnego polskiego kompozytora A.Pamufnika. Dzieło przedstawia m.in. problemy życia polskiej emigracji. +++++ W Chicago staraniem redakcji "Pomostu" odbyła się demonstracja na rzecz uwolnienia więźniów politycznych w Polsce i przestrzegania w kraju praw człowieka. +++++ W Kopenhadze pod ambasadą ZSRR odbyła się demonstracja wzywająca do zrealizowania prawa Polski do suwerenności i przypominająca zbrodnię katyńską. +++++ ZSRR zakupił we Włoszech licencję na produkcję dżinsów firmy "Jesus". +++++ W ZSRR aresztowany został A.Podrabianek, autor książki "Medycyna karząca" o stosowaniu psychiatrii przeciw dysydentom. +++++ W ZSRR skazany został na 7 lat katorż pisarz Wiktor Niekielkow. +++++ Ujawniono, że w ciągu ostatnich miesięcy skazano w Jugosławii ok 120 osób za działalność antypaństwową i terrorystyczną. 35 intelektualistów wystąpiło z petycją do władz o zaprzestanie prześladowań dysydentów. +++++ W Jugosławii ilość więźniów politycznych ocenia się na ok. 500.

### lipiec

E.Gierek przyjął medal Międzynarodowego Instytutu Praw Człowieka w Strassburgu przyznany mu "za krzewienie pokoju i praw człowieka". +++++ Po podwyższeniu cen mięsa w całym kraju rozpoczęła się fala strajków o charakterze ekonomicznym. KES KOR zapoławiał do strajkujących o rozwagę, solidarność i wystrzeganie się prowokacji. +++++ W Lublinie strajkujący robotnicy wywalczyli sobie prawo do wystawienia własnej listy w wyborach do związków zawodowych. +++++ Z komentarza J.Urbana /"Polityka" nr 30/: "Ozjadaliśmy w przenośni i doskównie część kredytów zagranicznych, gdyż przecież obracane one były i są m.in. na import zbóż i innych pasz". Oto jak w kulturalny sposób powiedzieć, że się traktuje ludzi jak bydło. +++++ Nakładem NOW-ej ukazała się praca I.Gołomsztocka "Język artystyczny w warunkach totalitarnych" +++++ Również nakładem NOW-ej ukazała się powieść J.Strykowskiego "Wielki strach" /"Zapis" nr 14/. +++++ "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w Londynie obchodził swoje 40-lecie. Ten sam jubileusz obchodziło inne pismo emigracyjne - "Orzeł Biały". +++++ Jeden z redaktorów niezależnego almanachu "Metropol" W.Aksionow wyemigrował z ZSRR. +++++ Szachowy mistrz ZSRR Iwanow zwrócił się do władz Kanady o udzielenie mu azylu. +++++ Z ZSRR wydano trzy niezależne działaczki społeczne wydające w Leningradzie poza zasięgiem cenzury pismo feministyczne "Maria". +++++ Jak informuje Amnesty International, od października 1979 r. aresztowano w ZSRR 144 dysydentów - jest to tzw. "akcja przedolimpijska". +++++ "Neues Deutschland" informuje o zmniejszonym zainteresowaniu się publiczności teatrem - w ciągu 20 lat frekwencja spadła o 46%. W teatrze NRD 31% repertuaru stanowią sztuki radzieckie - ich ilość przed 20 laty wynosiła 10%. +++++ W Kairze zmarł wybitny uczoney wyróżniony przez Uniwersytet Warszawski tytułem doktora honoris causa, były szach Iranu, Reza Pahlavi.

### sierpień

W Gdańsku i Szczecinie komisje rządowe podpisały porozumienie z komitetami strajkowymi. W wyniku porozumienia m.in. uznano prawo do strajków i zezwolu-

no na tworzenie niezależnych, samorządnych związków zawodowych. Więźnia opuścili wszyscy więźniowie polityczni oprócz braci Kowalczyków. Uzyskano zapewnienia o prawnym uregulowaniu działalności cenzury. ++++ Ze stanowiska premiera zdjęto E. Babiucha, którego zastąpił J. Pińkowski. Ze stanowiska szefa CRZZ zdjęto J. Szydłaka i powołano na niego R. Jankowski. ++++ W czasie dwutygodniowego strajku załogi stoczni Wybrzeża wydawały własne pisma: "Biuletyn" /Gdynia/, "Jedność" /Szczecin/ i "Solidarność" /Gdańsk/. ++++ Wielotysięczna manifestacja uczciła w Warszawie pamięć żołnierzy poległych w wojnie z ZSRR w 1920 roku. ++++ Apel do władz o natychmiastowe podjęcie rozmów ze strajkującymi załogami podpisało 234 intelektualistów polskich. ++++ Ponad 100 intelektualistów podpisało apel do władz domagający się uwolnienia aresztowanych w czasie strajków działaczy opozycji. ++++ W związku z wydarzeniami na Wybrzeżu Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość" opublikowało memoriał pt. "Od czego zacząć?". ++++ Ukazał się pierwszy numer literacko-społecznego biuletynu postrajkowego "Naprzeciw". W skład redakcji gdańskiego pisma wydawanego poza zasięgiem cenzury wchodzi: Marek Bienkowski, Grzegorz Boros, Maciej Krański, Antoni Pawlak, Stanisław Rosiek i Marian Terlecki. ++++ Po 14 latach pracy zakończyli wydawanie kwartalnika "Oficyna Poetów" państwo Krystyna i Czesław Bednarczykowie. Ukazało się 57 numerów londyńskiego pisma, którego brak stanowi bolesną wyrwę w czasopiśmiennictwie polskim. ++++ Nakładem "Oficyny Poetów i Malarzy" ukazał się w Londynie nieznanany dotąd tom wierszy M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej "Czterolistna konieczyna albo szachownica". Zbiór opracował Tymon Terlecki. ++++ Prof. R. Fieguth /RFN/, któremu zaproponowano objęcie katedry slawistyki w Harvard omówił jej przyjęcia na znak solidarności ze St. Barańczakiem, któremu katedrę tę oferowano wcześniej, a któremu władze polskie nie wydają paszportu. ++++ W związku z poparciem wyrażonym strajkującym robotnikom w Polsce przez "Kartę 77" aresztowano w Czechosłowacji kilku działaczy tego ruchu. ++++ Na lotnisku w Budapeszcie zatrzymano grupę intelektualistów węgierskich pragnących udać się do Polski dla wyrażenia poparcia strajkującym robotnikom. ++++ Odwołany został Międzynarodowy Kongres Filozofów w Pradze - władze obawiały się wystąpień na rzecz uwięzionego filozofa Vaclava Bendy.

#### wrzesień

Rozpoczął działalność Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność" z siedzibą w Gdańsku. Związek ma zasięg ogólnokrajowy. ++++ Powstały terenowe organy prasowe NSZZ "Solidarność": w Warszawie "Niezależność", w Szczecinie "Jedność", w Łodzi "Solidarność z Gdańskiem" - red. T. Filipczak, W. Sułkowski, Z. Zwierkowska, we Wrocławiu - "Solidarność Dolnośląska" - red. J. Bręda, L. Herbst, St. Huskowski, K. Turkowski, M. Zięba. ++++ Ze stanowiska I sekretarza PZPR zdjęto E. Gierka i powołano na niego St. Kanię. ++++ Fundacja Volkswagen przyznała 20 stypendiów dla historyków i socjologów wschodnioeuropejskich. Polska wycofała swoich kandydatów. ++++ IV Sesja Komitetu Dziedzictwa Światowego umieściła warszawskie Stare Miasto na liście dóbr o znaczeniu światowym. ++++ W Berlinie Zachodnim czynna była wystawa malarstwa nie dopuszczonego na oficjalne wystawy w NRD. Organizatorem wystawy był S. Phol, który część ekspozycji zapełnił własnymi zbiorami przemycanymi z NRD. Wystawa nazwana "Malarstwo zaprzeczeń" gromadzi dorobek 46 malarzy, z których 19 było w NRD skazanych za swą twórczość na więzienie. ++++ Pisarz J. Lederer skazany w Czechosłowacji za niezależną działalność społeczną otrzymał po wyjściu na wolność zezwolenie na emigrację.

#### październik

Czesław Miłosz został laureatem literackiej Nagrody Nobla. ++++ Nie wiadomo dlaczego "Polityka" umieściła informację o przyznaniu Nagrody Nobla Cz. Miłoszowi w rubryce "Z kraju". Wydawcy PRL zapowiadają wydanie kolejnych /?/ książek laureata; pytanie: czy ktoś raczył spytać laureata o zgodę? ++++ Gazety w Czechosłowacji potępiły i Miłosza /żaden poeta, renegat, Nobel mu

nie pomoże/ i decyzją jury /nagroda ma charakter polityczny/. +++++ Odbył się zorganizowany przez NSZZ "Solidarność" ogólnopolski jednogodzinny strajk ostrzegawczy ogłoszony w związku z niedotrzymywaniem przez rząd umów zawartych w sierpniu. +++++ St. Barańczak odzyskał stanowisko wykładowcy na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. +++++ W wyższych uczelniach powstano Niezależne Samorządne Związki Zawodowe Studentów. Organizacje związkowe wydają poza zasięgiem cenzury własne pisma - n.in. we Wrocławiu ukazuje się komunikat NZS "No więc". +++++ W Krakowie powstał Polski Klub Ekologiczny. Studenci w Gdańsku powołali Ekologiczny Ruch Akademicki. +++++ Ujawniono, że zanieczyszczenia środowiska naturalnego w Krakowie powodują tu czterokrotnie więcej zachorowań na raka niż w innych rejonach kraju, zaś obecna po deszczu w powietrzu woda królewska rozpuszcza złoto. +++++ Stefan Kisielewski przyznał się na łamach "Tygodnika Powszechnego", że używał pseudonima Tomasz Staliński i opublikował pod tym nazwiskiem w Paryżu kilka powieści, w tym - jako pierwszą - "Widziane z góry". +++++ Ukazało się w Londynie nakładem Poets and Painters Press antologia "Witness out of silence" zawierająca wiersze St. Barańczaka, R. Krynickiego, J. Bierzina, A. Zagajewskiego, J. Ficowskiego, Z. Herberta, W. Woroszyńskiego, A. Pawłka, L. Dynarskiego, B. Sadowskiej, L. Budrewicza, A. Kowalskiej, J. Polkowskiego, J. Brody, W. Wirpszy, L. Szerugi, L. Herbst a oraz H. Jasiczka w tłumaczeniu Antony Grahama. Wstęp napisał Stephen Spender. +++++ W Tallinie odbyła się uliczna manifestacja młodzieży przeciwko rosyjskiej okupacji Estonii. +++++ W. Stus, poeta i eseista ukraiński skazany został na 15 lat łagru. +++++ Redaktorzy pisma "Poszukiwania" /Polski/ ukazującego się w Moskwie poza zasięgiem cenzury skazani zostali na trzy lata łagru.

#### listopad

Sąd Najwyższy zarejestrował NSZZ "Solidarność" usuwając ze statutu związku narzucone przez Sąd Wojewódzki w Warszawie dodatkowe sformułowania. +++++ Na terenie Uniwersytetu Warszawskiego odbyły się pierwsze zajęcia Towarzystwa Kursów Naukowych w nowym roku akademickim. Wykład inauguracyjny wygłosił prof. E. Lipiński. +++++ Ukazała się setna publikacja Niezależnej Oficyny Wydawniczej - "Miesiące" K. Brandysa. Z tej okazji firma zorganizowała ekologiczną konferencję prasową. +++++ W Warszawie odbyła się zorganizowana przez ROBCiO wielka manifestacja w rocznicę odzyskania niepodległości. Żądano n.in. uwolnienia więźniów politycznych. +++++ Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich uzyskało status związku twórczego. Prezesem SDP został wybrany S. Bratkowski. +++++ Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość" ogłosiło na łamach "Życia i Nowoczesności" nową ankietę dotyczącą aktualnego stanu komunikacji społecznej. +++++ W miejsce pisma "Poszukiwania" zlikwidowanego przez policję powstało w Moskwie redagowane konspiracyjnie pismo "Pamięć". +++++ W NRD aresztowany został poeta T. Erwin. Przyczyny aresztowania są niejasne. Autor otrzymał zezwolenie władz na opublikowanie zbioru wierszy w RFN. +++++ W Afganistanie ogłoszono, że socrealizm staje się obowiązującą doktryną pisarską.

Kronikę zamknięto 15.11.1980 r.  
Opracował: A. W.



## FELIETONY

Jiri RUMIL

## SZNYCLE CIELEŃCI ZAGUBIONA SKÓRA

Pada. Już trzeci dzień pada i wyraźnie się ochłodziło - pomimo wiedeńskiego pocałunku Breżniewa i Cartera. Wprawdzie Moskwa, po niej Praga i jeszcze kilka zaprzyjaźnionych stacji meteorologicznych głoszą, że ogólnie nastąpiło wyraźne ocieplenie, lecz mój termometr uparcie obstaje przy swoim. Wyraźnie się ochłodziło. Chyba trzeba będzie wymienić termometr.

Pada już trzeci dzień i wygląda na to, że dziś też nie przestanie. Tylko dzięki temu dowiedziałem się z naszych gazet jak serdecznie i radośnie witam zawartą umowę o historycznym znaczeniu. Gdyby nie padało nie miałbym czasu na czytanie gazet i nie dowiedziałbym się o swoim entuzjazmie. Ta wiadomość nie dotarłaby do mnie. Tak to jest, kiedy człowiek stale pracuje i potem nie wie z czym się szczerze zgadza.

To jest już taki zwyczaj: witać lub oskarżać w imieniu całego naszego narodu. A właściwie w imieniu wszystkich narodów, jak widać z naszych cytowań z gazet, które gdzieś tam za granicą liczą swych stałych czytelników powiedzmy na setki /o ile dodamy jeszcze do tego przedstawiciele placówek dyplomatycznych pewnych krajów/. Według tej arytmetyki właściwie większość ludzi jest razem z nami, ponieważ niezbyt interesuje się tymi sprawami i w ten sposób zdegradowana jest do roli mniejszości. A lbo inaczej: mniejszość, którą wolno nam słyszeć jest automatycznie większością. Pomimo tej ekwilibrystyki dowiadujemy się jednak, od czasu do czasu, jak na nasza "większość" dostała w skórę w wyborach. Ale nawet ta najmniejsza mniejszość uznająca naszą rację jest po prostu przytkaczającą większością, ponieważ nasza racja jest racją historyczną. Taka jest bowiem oficjalna logika, która przez kilka dziesięcioleci panuje w kraju, którego twórca miał na dyplomie w Kazaniu trójkę z logiki. I to od kogo? Od ojca przyszłego nieprzyjaciela - Kiereńskiego! Trzeba jednak przyznać, że i ta przeciętna logika coś w sobie ma, skoro przetrwała nie tylko Kiereńskiego.

Zgodnie z tą logiką życzenia władców są dla ich poddanych po prostu rzeczywistością albo też życzenia władców uważa się za rzeczywistość. Nazywa się to realnym socjalizmem. Oni na przykład mają na obiad sznycle cieleńce i są przekonani, że cały naród obżera się cieleńciną. Oni w swoich samochodach nigdy się nie tłoczą, dlatego nawet nie przypuszczają, że w autobusach może być tłok. Z tą logiką nie zgadza się tylko nieznaczna mniejszość, większość wyraża zgodę w ten sposób, że milczy. Milczy dlatego, że głośno protestuje tylko przestępca albo wariat. Dokładną diagnozę mają natomiast ci od cieleńciny. Problem fikcji i rzeczywistości jest w ten sposób rozwiązany. Sznycle cieleńce stają się w ten sposób rzeczywistością, a twierdzenie, że nie mają ich wszyscy pozostaje nieprzyjacielską fikcją.

Czasem jednak w tej logice coś zaskrzypi. Na przykład cały kraj zaliczony do prawowiernych marksistów-leninistów nagle pada na kolana kiedy przyjeżdża papież. Ale nasuwa się przynajmniej jedno pytanie: jaki papież? Zaskoczeni pytacie samych siebie, czy papież w ogóle w Polsce był, czy też nie był. Był - odpowiedzą wam sucho jednym zdaniem. A czy Polska klęczała kiedy przyjechał papież? Odpowiedzą na to: jaki papież.

Jeszcze lepiej ilustruje to historia, która wydarzyła się kiedyś premierom Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Radzieckiego, w sercu Afryki, w czasie polowania na lwy. Wszyscy wystrzelili do jednego króla zwierząt i nie mogli się pogodzić do kogo będzie należała skóra. Ściągnęli ją z lwa i zasiedli do rokowań. Wieczorem skończyli, nie osiągając porozumienia, więc w nocy pilnował łupu premier brytyjski. Rano ponownie przystąpili do przetar-

ów, lecz również bez rezultatów. W ciągu drugiej nocy skóry pilnował premier francuski. Również i trzeci dzień zakończył się niepomyślnie, więc strażnikiem został premier radziecki. Rano po skórze ani śladu. Francuz i Anglik pytają więc trzeciego strażnika, gdzie jest skóra. "Jaka skóra?" - dziwi się ten szczerze. "Zastrzeliliśmy lwa?" "Zastrzeliliśmy" - przytakuje ochoczo. "Dyskutowaliśmy, kto dostanie skórę?" "Dyskutowaliśmy". "Nie dogadaliśmy się pierwszego dnia?" "Nie dogadaliśmy". "Pilnował skóry Jego Łowczy Mość?" "Pilnował". "Była tu skóra drugiego dnia?" "Była". "Nie skończyliśmy dyskusji także drugiego dnia?" "Nie skończyliśmy". "Pilnował skóry Monsieur Premier?" "Pilnował". "Więc gdzie jest skóra?" Odpowiedź była krótka: "Jaka skóra?"

Obawiam się, że tak samo jest z tym zdziwieniem nad "mitem groźby i długiej ręki Moskwy". Przecież ten wyraz niewinności jest taki sam od lat. Gdy kiedyś Amerykanie twierdzili, że na Kubie są radzieckie rakiety udzielono im podobnej odpowiedzi: "Jakie rakiety?" Wkrótce nieistniejące rakiety musiały zostać odesłane z powrotem, bo doprowadziły świat do krawędzi wojny. "W Angoli walczą poprzebierani Kubańczycy!" "Jacy Kubańczycy?" Ci sami, którzy potem maszerowali na uroczystej paradzie wojskowej z okazji wizyty Castro. Podobnie było później w Etiopii, ale tam się już nawet nie przebierali. To samo dotyczy broni w Jemenie i w wielu innych krajach. O radzieckich doradcach w Afganistanie świat dowiedział się dopiero wtedy, gdy dziesiątki ich zginęły w czasie wewnętrznych niepokojów. "Jacy doradcy?" - dziwili się nie rozumiejąc.

Stale to samo. Kiedy przed jedenastu laty przyszła do nas półmilionowa armia, mówili, że ich zaprosiliśmy. Mówili tak długo, że kilka anonimów przyznało się i natychmiast zrobiono z tego życzenie przygniatającej większości. "Jakie miez anie się, skoro przyszliśmy na wasze zaproszenie?" Słowo "okupacja" zastąpiono w ich słowniku słowem "pomoc".

Jeszcze na początku bieżącego roku nasze gazety trąbiły, że na terytorium Kambodży nie ma ani jednego żołnierza wietnamskiego, aby w niecały miesiąc później przedrukować kambodżańskie podziękowanie Wietnamowi za braterską pomoc. Żyjemy w nowoczesnej erze, wszystko ulega przyspieszeniu, więc pewnie wkrótce doczekamy się tego, że sens zdania głównego zostanie wspaniale zaprzeczony przez zdania poboczne. Oczywiście z obowiązującym dodatkiem "Jaka skóra?" I dlatego nie wiem, po co chcieli ode mnie skłódkę na walczących Wietnam. Czy traci więcej żołnierz na granicy z Chinami, czy na granicy z Kambodżą? Najwięcej chyba traci ten biedak, który ma dość wszystkich wojen i usiłuje uciec z Wietnamu na rozpadającej się kuli. Cały świat o tym mówi, ale oni udają, że nie rozumieją: "Jaki uciekinier?" I zupełnie bez sensu dodają, że jest to mieszanie się w wewnętrzne sprawy. Sami natomiast mogą wsiąść na tego pocałowanego Cartera, za to co powiedział i o czym nawet nie wspomniał. Oni mogą dawać rady słowem i czynem, ale sami trzymają się tego stalinowskiego powiedzenia o cudzym pysku w naszym ogrodzie. Tylko i wyłącznie oni mają rację, ponieważ jest to racja historyczna, a historyczna jest dlatego, ponieważ jest ich. Jeśli inni stąka jeszcze ciągną kukiełki za sznurki, oni mają własną metodę "ściśle tajnego sterowania ruchem i głosem", aby zostać przy tej terminologii kukiełkarskiej, z której cieszyłyby się sam pan Obrazcow.

Dlatego z największym spokojem i szczerością mogli oświadczyć w Wiedniu "Będziemy respektować nową umowę podobnie jak respektowaliśmy wszystkie dotychczasowe". Tego się chyba najbardziej obawiam. Nie jestem fachowcem od broni strategicznej, więc nie wiem, czy jest to umowa dobra czy zła. Ocenie mogę tylko dotychczasowe doświadczenia, które świadczą o tym, że albo lwia skóra bezpowrotnie zginęła, albo też ten lew jej w ogóle nie miał.

Już widzę, jak z niemym zdziwieniem kręcą głową i słyszą ich rozgoryczony głos: "Co wy ciągle z tą zgubioną skórą?"

Jiri Ruml

Praga, 20 czerwca 1979 r.

Przełożyła z czeskiego  
Mila Cyantówna

Piotr WIERZBICKI

137  
Związek Literatów Polskich  
Zarząd Główny  
Komisja Kwalifikacyjna

Wielce Szanowni Państwo,

W lipcu tego roku otrzymałem pismo podpisane przez przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej Pana Wiesława Myśliwskiego i zastępcę sekretarza Zarządu Głównego Pana Kazimierza Dziewanowskiego, zawiadamiające mnie o tym, iż postanowili Państwo oddalić moją prośbę o przyjęcie do ZLP "z powodu braku podstaw statutowych". W związku z tym wystosowałem do Państwa list, który został na moją prośbę odczytany przez Pana Marka Nowakowskiego na posiedzeniu Zarządu Głównego w dniu 8 października. List ten, jak Państwo pamiętają, zawierał sugestię, że odmowna decyzja Państwa wiąże się z faktem, iż wydawcą jednej z moich książek przedstawionych Komisji Kwalifikacyjnej była Niezależna Oficyna Wydawnicza, Jak Państwo również pamiętają, po odczytaniu mojego listu Pan Myśliwski wyjaśnił, że Komisja Kwalifikacyjna proponując Państwu oddalenie mojego wniosku, kierowała się kryteriami nie politycznymi, lecz wyłącznie artystycznymi: po prostu mój dorobek literacki reprezentuje zbyt niską jakość, aby mógł stać się podstawą do przyjęcia do ZLP.

W związku z wyjaśnieniami Pana Myśliwskiego czuję się w obowiązku przede wszystkim przeprosić Państwa za - jak się okazuje - niczym nie uzasadnione podejrzenie co do motywów podjętej przez Państwa decyzji. Jest mi teraz szczerze i głęboko wstyd. Posądzałem Państwa, naszych czołowych artystów, o uleganie naciskom funkcjonariuszy, Panów Łukaszewiczów i Kowalczyka, tymczasem okazuje się, że nie godząc się na przyjęcie mnie do ZLP, stali Państwo po prostu na straży wysokiego poziomu zawodowego tego Stowarzyszenia, wysokich wymagań artystycznych, stawianych kandydatom, na straży interesów polskiej kultury.

Przyjmując do wiadomości ten fakt, ośmielam się zwrócić do Państwa z pewną prośbą. Otóż pragnę się podciągnąć, podnieść artystyczne walory swoich tekstów, osiągnąć poziom, który umożliwi mi w przyszłości sprostanie Państwa wysokim, jakże uzasadnionym wymaganiom. W tym celu chcę się uczyć, pracować nad sobą. Wyzaczyłem sobie cel być może zbyt ambitny: zmniejszyć w następnym pięcioletnim artystyczny dystans, jaki dzieli mnie dotychczas od Pana Ryszarda Wojny, którego Państwo właśnie niedawno przyjęli do ZLP. W związku z tym ośmielam się skierować do Państwa pytanie: czy w natłoku obowiązków związanych ze stanieniem na straży wysokiego poziomu zawodowego członków ZLP nie znaleźliby Państwo chwili czasu, by pouczyć mnie, co, nianowicie, powinienem uczynić, aby ów dystans dzielący mnie od Pana Wojny zmniejszyć, jakie jego teksty studiować szczególnie wnikliwie, jaki rodzaj jego twórczości preferować. Wydaje mi się, że przede wszystkim wystąpienia telewizyjne... czy Państwo też są tego zdania? Będę wdzięczny za każdą radę, a nawet drobną, wycinkową sugestię.

Oczekiwałbym od Państwa również wiadomości na temat charakterystycznych cech zachodzącego u Pana Wojny procesu twórczego, jego upodobań, przyzwyczajzeń. Poznając tajniki warsztatu Twórcy, mógłbym podpatrzeć ten i ów szczegół i posłużyć się w przyszłości, z korzyścią dla siebie, doświadczeniami wypracowanymi przez Artystę.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku, jakim napawa mnie Państwa bezkompromisowa troska o poziom polskiej kultury.

Piotr Wierzbicki

Warszawa, 18 października 1980

Maciej CIŚŁO

## O MŁODEJ LITERATURZE

"Niby są, ale ich nie ma" Mówi Andrzej Szulc o młodzieży literackiej w artykule opublikowanym w jednym z tegorocznych /1980/ numerów "Polityki". A czy młodzież musi być? "Młodzież" - jest przecież produktem społeczeństw uwalniających od pracy pewne klasy czy grupy, na przykład właśnie grupy "młodzieżowe". Pomiędzy uwalnianiem od pracy, a uwalnianiem pracy istnieje zasadnicza różnica: socjalizm na swym szyldzie wypisaną raczej tę drugą niż pierwszą zasadę? Właściwie, zgodnie z rzeczywistością, powinniśmy tytuł Szulca odwrócić: nie "Niby są, ale ich nie ma", lecz właśnie niby ich nie ma, czy nie powinno być, ale są. M ł o d z i e ż y jest w Polsce pod dostawą kien! W Getcie szczeniactwa czyli nieautentyczności i niesomodalności, aż do strajków sierpniowych znajdowaliśmy się niemal wszyscy, skutkiem nacisku "charyzmy" centralizmu partyjnego różnych szczebli... A to, że się młodzież literacka przejawia często błąd i pisze słabo oznacza tylko, że tym bardziej, tym m ł o d z i e ż y ona jest.

W cytowanym numerze "Polityki" /7/ występuje też Leszek Bugajski z artykułem zatytułowanym "Debiut przez podporządkowanie". Bugajski nader słusznie spostrzega, że establishment decydujący o funkcjonowaniu naszej literatury jest w stosunku do młodych często nietolerancyjny, że posiada wczorajsze gusty. Bugajski mówi: "to, że ludzie w redakcjach czasopism czy wydawnictw mają w tej chwili gusty zachowawcze jest sytuacją normalną, wynikającą z procesów biologicznych..." /Ciąg dalszy zdania pomijam, bo nie z nim chciałbym tu polemizować/. Pojęcia nie mam, dlaczego ortodoksyjność zasiadającego kierownictwa kultury wydaje się Bugajskiemu w państwie komunistycznym rzeczą normalną. Istnieje powiedzenie, że polityka to koń, na którego wsiada się z lewej strony, ale zsiada z prawej... Zdawało mi się jednak zaw sze, że c z e r w o n y koń miał być obsługiwany ze strony lewej, i tylko z lewej?

Wracam do wypowiedzi Andrzeja Szulca. Pisze on: "tygodniowe do wydawnictw profesjonalnych napływa po kilkadziesiąt zestawów wierszy, jako propozycje na odrębne tomiki... A wydawcy nie lubią wierszy"... Istotnie - po co nam tyle nowych książek?! Nikt nie przeczytał wszystkich starych. Po co nam tyle nowych obrazów, koncertów, rzeźb i w ogóle istnień ludzkich - kto te wszystkie czyjeś - życiorysy - przeżyje?! Kultura jest nieopłacalna, do kultury się dopłaca!... Ale porzućmy ton szyderczy. Wreszcie nawet ekonomia /i propaganda/ oficjalna zauważyły /opierając się na pracach DiP-u.../, że w chwili obecnej, przy poważnym niedoinwestowaniu, kultura charakteryzuje się w gospodarce narodowej wyższą akumulacją niż choćby obrót samochodami! Nie kto inny jak Andrzej Wasilewski /członek KC, dyrektor PIW-u/ w 7 numerze "Literatury" /"Wyzwania, szanse, potrzeby"/ pisze: "potoczne wyobrażenie, że do kultury się dopłaca, wynika z prostego buchalteryjnego zobięgu polegającego na tym, że wydatki na kulturę skoncentrowane są w jednej pozycji budżetu, a przychody rozpraszane w różnych jego działkach"...

W porównaniu ze skalą zysków na literaturze nakłady, zwłaszcza autorskie, są niewspółmiernie niskie: pisarze piszą od lat za darmo! Szczególnie poeci. Z poezji nie można wyżyć /...może to i dobrze? łatwiej się w takiej sytuacji mówi "nie"/, z literatury nie można wyżyć, chyba że ktoś na boku łupie kryminalny albo jest bebąsem reżimowym względnie poważnym corocznie wznawianym klasykiem... Zaledwie co piąty członek Związku Polskich Artystów Plastyków posiada własną pracownię, a literaci, ileż biedniejsi od galerzy? Własny pokój do pracy nie jest tu żadną regułą, zwłaszcza wśród "młodzieży", to jest ludzi nieraz po trzydziestce. Wobec niedorozwoju infrastruktury kulturalnej /nowe osiedla jakie się buduje w naszym kraju są jej z reguły całkowicie pozbawione/ w "Prognozie rozwoju kultury polskiej" sprzed

paru lat mówi się o realizacji aspiracji i duchowych potrzeb ludzkich w prywatnych kontaktach towarzyskich. Kontakty te stają się jednak fikcją w sytuacji słabości wspólnot sąsiedzkich skutkiem rozbitcia przestrzennego nowożytności i utrudnień komunikacyjnych. Dziwny to zresztą pomysł, prowadzący nie w XX wieku literatury uprzemysłowionego państwa do salonu? samizdatu? wreszcie epistolografii?... Przy wszystkich zaniedbaniach inwestycyjnych w dziedzinie kultury uruchamia się równocześnie w naszym kraju kosztem wielu miliardów złotych produkcję telewizora kolorowego! Telewizja /przed - i po Szczepańskim/ - zamiast książki, zamiast płyty, zamiast /ostatnia jak wiadomo lokata w Europie w ilości miejsc kinowych na 1000 mieszkańców/, zamiast sali wystawowej i koncertu: oto kultura pojęta jako narzędzie masowej pedagogiki / - m ł o d z i e ż! - / a nie płaszczyzna osobistej ekspresji człowieka. Nic dziwnego, że taka kultura staje się często jedynie wata wypełniającą naszą wolny czas. Bywała ona "wata" i ornamentem w Polsce szlacheckiej - bywa decorum dziś: pod rządami nowoczesnej dżlachty, technokracji.

Na koniec jeszcze raz wyraźnie o sprawach literackiej "młodości": nasza ustrojowa "nieantagonistyczność" sprzeczności systemu prowadzi do pytania: co będzie ze sztuką i literaturą? Przecież prawo do literatury, zwłaszcza młodej, stanowi bunt! Literatura młodych jest buntem albo nie ma jej wcale... "Kto się w młodości nie burzył - powiada Staff - ten później nigdy nie będzie oceanem, szklanką wody może". "Gdy tylko literatura zaczynała się zgadzać na rzeczywistość - zyskiwała honory, traciła honor", zauważa Jan Błoński w "Poetach i innych". Bunt oznacza zawsze głos w sprawie ucisnianych, "wyklętych". Błoński spostrzega: jakże jednak literatura ma u nas podejmować wątek w y k l ę t y c h - skoro "wyklęci" rządzą?... Lub, ściślej, mówi się, iż rządzą, ciągle się mówi...

#### KICZ TELEWIZYJNY

Czy nie kiczowo ułożył się los Szczepańskiego, przewodniczącego Radio-komitetu do lata roku osiemdziesiątego?... Po prostu szmira! Romans brukowy. Nikomu nie znany szary dziennikarz ze Śląska wywindowany na szczyt partyjnej drabiny propagandowej otacza się w biednej Polsce arabskim zbytkiem: ma więc pakacyk pod Nairobi /Afryka, Kenia/, liczną wille w kraju /Zalesie, Zawięć pakacyk pod Nairobi /Afryka, Kenia/, liczną wille w kraju /Zalesie, Zawięć kopane/ z personelem żeńskim na usługi, helikopter, jacht, samoloty większe i mniejsze, prywatną fabrykę wędlin, z której wyrobów korzysta około czterystu osób wskazanych przez Towarzysza, do tego konta dewizowe /obraca milionami nie swoich dolarów/, itd., itp. Dyżma, nie tylko Dyżma! o którym serial zdążył, zresztą jeszcze za swego panowanie na Woronicza 17 w Warszawie, puścić.

Ale porzućmy te maglarskie sensacje i przejdźmy do samego środka przekazu. Telewizyjna "propaganda sukcesu" posługiwała się chętnie w ciągu ostatnich kilku lat wielkimi programami rozrywkowymi. Zwłaszcza te ze studia warszawskiego albo Hali katowickiej ujawniały wagę warstwy zastępującej. Tożsamości klasy nowobogackich przez aneksję atrap warstwy zastępującej. Zwało się to eufemistycznie stylem "retro", było jednak przecie jak się pa-trzy kiczem! - obrazem z życia wyższych sfer /prezenterkich, aktorskich, reżyserskich/ dla, na razie, prostaczków, pnących się dopiero po szczeblach drabiny kulturalnej. "Kicz zastępuje transcendencję przez właściwą cenę" - byle kto, czyli my, szara masa, nie może marzyć o randce, zetknięciu się wprost z estradowo-oficjalnym establishmentem - ale można przecie nabyć taki obrazek wieczoru, i to się opłaca.

Telewizyjny mechanizm działa tutaj poniekąd na zasadzie supermarketu; paryski dom towarowy Belle Jardinière założony został w roku 1824; około roku 1860 upowszechnia się w Monachium wyrażenie "verkitschen", oznaczające przerabianie starych mebli na nowe, przemykanie, przeinaczanie, podstawianie wyrobu zastępczego w miejsce autentycznego. Supermarket kładzie kres osobistym stosunkom pomiędzy sprzedającymi i kupującymi, obecnym jeszcze w solennym handlu tradycyjnym. Ekspedient nie wstydzi się teraz zachwalać tandety

udającej towar dla klas wyższych, klient z kolei nie wstydzi się kupić byle czego, bo wie, że to go w oczach bezosobowego kapłana pieniądza nie poniży.

Kicz miesza epoki, każe się podpierać starożytnemu świętemu Piotrowi z oleodruku pastorałem oglądanym przez nowoczesną tokarkę, i unieszcza /unieszczał?/ w pseudo-empirze, czy którymś tam Ludwiku "Tele-echa" problematycznie stylową redaktor Dziedzic wraz z jej nietrafnie w stosunku do tła ugarniturowanym przypadkowym roznówcą... Ale, ale - jeśli już "Tele-echo", to właściwie skąd ten salonik, dlaczego ten bielutki fortepianik?... O to bowiem kicz stara się być zawsze "genütllich", słodki, jak przystało na namiastkę rajy dla mało wymagających...

Kicz rozcieńcza oryginalność w takim stopniu, że staje się ona bez zastrzeżeń do przyjęcia. Tak więc ulubieńcem telewizji musi i się stać chłopcy z "Czerwonych Gitar" - wylizana gładziutka grupa pudli nie narażających nikogo na kanciastą asocjacje z "Rolling-stonesami". Istnieje audycja polityczna pod tytułem "Horyzont", niby to prawdziwa dyskusja w późnych godzinach wieczornych pomiędzy studentami, a specjalnie delegowanymi rzecznikami opinii oficjalnej... "Listy o gospodarce" to wynalazek nowszy, gatunkowo zbliżony... Jest też gra polegająca na telefonicznej ingerencji widza w program - widz wybiera do powtórki na przykład prosiaka z "Muppet Show" albo "Pieśń z Jamajki" w wykonaniu zespołu połyskaczy ognia - i w ten sposób od-fajkowywany zostaje problem wpływu społeczeństwa na treści środków masowego przekazu.

Wieża Eiffla w roli przycisku na biurko - oto kicz egzotyczny czyli "Klub sześciu kontynentów". 7 latach pięćdziesiątych Gniadkowski śpiewał: "Kuba wyspa jak wulkan gorąca, ole, e-ja!" i musiało to starczyć za wokółziemskie podróże - dziś Polacy czasem bywają w świecie, więc piosenka popularna przestała epatować "bawołami ciągnącymi groblą wóz". Mało kto przecie dociera na Sumatrę czy do Pekinu - choć przejazd Transsyberyjską należy wedle cennika wywieszzonego w Polresach do najtańszych - "Klub sześciu kontynentów" serwuje zatem dwudziestoczerocjalowy Ganges, wieloryba jak z puszeki po szpratkach i unikat-Rodaka wygrzebanego w krzakach australijskich, dziwnego niczym baba z brodą albo cielę o trzech głowach... Oto miniaturowa Atlantyda, Orient, i w ogóle swoboda bycia gdzie indziej i kiedy indziej, swoboda bycia, Swoboda...

Seriale upowszechniają znane postaci; oho! to nie gestapowiec, to Pszo-niak, znów nie ma się czego bać. "Pegaz" też jest /był?/ serialen, zatrudniającym wciąż tych sanych speców od intelektualnego wszystkiego: świat jest niestrudzony! bo przecież gdy tematem staje się jakaś tam alienacja artysty - profesor Adamski się śmieje, i redaktor Kałużyński się śmieje, zaś Sandauer - o, ten ma taką minę, że możemy doprawdy już spokojnie spać. Kicz swojski rysuje obraz bliższych i dalszych okolic jako zaścianka: bądź n o r m a l n y - nie jestże to idealny cel dla tych, którym się nie powiedało?

Pod Grunwaldem śpiewali Polacy "Bogurodzicę". "Święta miłości kochanej ojczyzny" Krasickiego rozbrzmiewała w Szkole Rycerskiej Stanisława Augusta. "Mazurek Dąbrowskiego", "Rota"... Ale co śpiewa wojsko dziś? Ano to, co między innymi zostanie wyprodukowane w Kołobrzegu. Festiwal pieśni żołnierskiej robiony jest tak, jak inne pokrewne, pod telewizję. Jest to jedna z głównych, zdaje się, przyczyn jego k i c z o w a t o ś c i.

Telewizja funkcjonuje na obszarze "czasu wolnego", jej obraz spożywa się w domu, w atmosferze hełmistycznego rozluźnienia. Dlatego telewizja usiłuje przede wszystkim b a w i ć - gdzieby męczy! - gdyśmy powrócili utrudzeni po całodziennym harówce w zacisze prywatności. Tu właśnie kicz zastawia na odbiorcę swoją główną pułapkę: jak ululeć widza po pachy? Pokazując mu oczywiście samą spreparowaną już, gwarantowaną i uprzedmiotowioną zabawę... Kicz stara się nas obdarzyć szczęściem w stanie gotowym, nie dość, że wojsko na scenie nuci, a chórek panien falując wtóruje - śpiew ma być jeszcze radosny, beztronski, przytup zabawny; zabawa ma się sobą bawić sama.

Dużo zabawy w jednym niedużym rozmigotaniu gadżecie, w telewizorze; na podobieństwo ubranej-rozebranej Japonki - portfelu, czterokolorowego kolorowego długopisu będącego zarazem wisłorem na szyję, kompasem i kalendarem; na wzór termometru-laterni na Rozewiu, popielniczki-sedesu, korkociągu-Manneken Piss itd, itp.

Maciej Cisko

TAN, TAL.

### W RAMACH ODNOWY

W ramach odnowy dzieją się różne dziwne rzeczy. Dostałem paszport. Wydrukowano mi artykuł w "Polityce". Pozwolono mi w radio wymienić myśli z Michałem Komarem na temat twórczości Jerzego Andrzejewskiego. Ludzie, którzy niedawno udawali, że mnie nie znają, teraz udają, że mnie znają. Jak widać, już na samym odcinku frontu życia osobistego odczuwam widoczne skutki odnowy. I jakoś mi z tym dziwnie.

Cenzura puszcza słowo "cenzura", nie skreśla go, udaje, że to takie samo słowo jak inne. Wszyscy też udają. To zupełnie tak, jak gdyby w salonie zapenowała moda na rzucanie kurwami. I tego się właśnie boję. Tego salonu, który trwa jak trwał, a właściwie jeszcze trwałej. Oto przychodzi do mnie młody człowiek i namawia, żebym podpisał jakąś petycję do władzy. Petycja jest zasadnicza i ostra, jeszcze niedawno sam Kuroń albo Michnik by się zastanawiali nad tym czy to podpisać. Pytam więc młodego człowieka: kto już zaszczycił swoim nazwiskiem? Jak to kto? - odpowiada młody człowiek. - Wszyscy: profesor Koszmarek, doktor Fijoł, docent Strachopór, pisarze, malarze, studenci... No to w takim razie - powiadam - ja się nie będę narażał. Młody człowiek robi wielkie oczy, odchodzi i widzę, że za chwilę kumś mnie palcami pokazuje. Jak tak dalej pójdzie, to mnie jeszcze na przesłuchanie wezmą i zaczną straszyć, że jeżeli nie podpiszę protestu, to...

Jednym zdaniem - nastają dla mnie złe czasy. Bo o czym tu pisać, kiedy już wszystko wolno i nikt się niczego nie boi. Doszło nawet do tego, że cenzor może w ramach odnowy spać spokojnie - nikt go nie chce pozbawić pracy. Przeciwnie: chcą mu pracę jakby ułatwić, skodyfikować. Mam jednak nadzieję, że nie wszyscy na to pójdą. Wyobrażam sobie w ramach odnowy, cenzora indywidualistę i buntownika, który zacznie z czasem zrzucać krępujące go więzy, rozsądzać sztywne wzorce. Ja po prostu wierzę w cenzorów. Bowiem cenzor to nie zawód - to charakter. A prawdziwy charakter nie pozwoli się stłamsić w ramach odnowy. I tak wspólnie jakoś z tej ciężkiej sytuacji wyjdziemy.

A zresztą - ludzie lubią cenzurę. Bez cenzury grozi nam uwiad plotki. Bez cenzury życie stanie się nudne i płaskie. Nie - ja po prostu nie wierzę, że cenzura może stać się coś złego. Naprawdę - jestem optymistą. I ten optymizm w ramach odnowy chciałbym zaszczyścić wszystkim.

x x x

W ramach odnowy mam jeszcze jeden kłopot. W anegdocie wygląda to tak: Oto w jednej z uczelni rektor na początku nie pozwolił nowemu ruchowi studenckiemu wywieszać tekstów na własnej tablicy. Po pewnym czasie odbyło się zebranie, w trakcie którego przedstawiciel nowego ruchu podziękował starej organizacji za udostępnienie własnej tablicy dla potrzeb odnowy: Ale - powiada - mamy jedną prośbę: żeby koleżdy ze starej organizacji nie przystawali na naszych postulatach własnej pieczęci.

Właśnie. Ostatnio wszędzie czytam, że od wielu lat proces odnowy trwa w... partii. Tylko nie mógł się przebić. Ja bym to określił precyzyjniej -

148

ten proces trwa tam od lat 36. A przebija się, aż wióry lecą. Oto jak to wygląda:

Pisałem niedawno o powstaniu wydawanego "Przebiegiem cenzury" biuletynu partyjnych pisarzy w Warszawie. Ukazał się właśnie drugi numer tego periodyku - cenzura, chwalić Boga, wyciąga tu wszystko, co tylko mogła. Ale nie o to tu chodzi. W numerze tym pan Andrzej Wasilewski raczył udzielić amnestii tym pisarzom, co to dotąd odważali się nieprawomyślnie zachowywać. Naprawdę nie wiadomo: śmiać się czy płakać? Kto tu komu ma udzielić amnestii? Kpi sobie Wasilewski czy głupiego udaje? W ramach odnowy nie bardzo wiadomo. Ale naprawdę - aż dech zapiera od takiej bezczelności. Brak tylko tego, aby Bratny do spółki z Sokorskim przebaczyli Miłoszowi otrzymanie nagrody Nobla, a Putrament z Koźniewskim udzieliłi Konwickiemu amnestii za "Małą apokalipsę". Po prostu beczka śmiechu.

Tan. Tal.

Uwaga:

W "Pulsie" numer 8 opuszczono w stopce nazwiska dwóch członków zespołu redakcyjnego: Tomasza Filipczaka, który powrócił do pracy w redakcji po odbyciu służby wojskowej, oraz Janusza Andermanna, który redaguje pismo od numeru 4/5.

Przy wierszach Anny Achmatowej opuszczono nazwisko tłumacza Michała Liniewskiego.

red.

WPLATY NA FUNDUSZ "PULSU"

Maciej Wojtyszko	300 zł
Anka Kowalska	150 zł
Daniel Olbrychski	1000 zł
Rada Funduszu KSS "KOR" /nie po raz pierwszy/	20000 zł
Bezimiennie z Krakowa	100 zł
Bezimiennie z Wrocławia	200 zł
Dziennikarz z Francji	20 dolarów

WSZYSTKIM, KTÓRZY NAM POMOGLI, POMAGAJĄ I ZAMIERZAJĄ POMOC  
SERDECZNIE DZIĘKUJEMY

PRENUMERUJ "PULS"  
ROCZNIKI "PULSU" NAJLEPSZĄ LOKATĄ KAPITAŁU



- Jerzy Andrzejewski - MIAZGA  
Stanisław Barańczak - JA WIEM, ŻE TO NIEBESZCZYN  
Stanisław Barańczak - KNEBEL I SZCWO  
Władysław Bartoszewski - POLSKIE IANSTWO PODZEMNE 1945-1945  
Władysław Bienkowski - SOCJALIZM PO 60 LATACH  
Jacek Bierezin - W POŁOWIE ŻYCIA  
Józef Brodzki - WIERSZE I POEMATY  
Kazimierz Brandys - NIERZĘCZYWISTOŚĆ /wyd. I i II-gie/  
Zbigniew Brzeziński - JEDNOŚĆ CZY KONFLIKTY /cz. I/  
Tomasz Burek - JAKIEJ HISTORII LITERATURY POLSKAJ  
FOTRZEBUJEMY  
Bohdan Cywiński - HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W  
POLSCE NIEPODLEGŁEJ  
Józef Czapski - WSPOMNIENIA STARUBIELSKIE  
Ludwik Dembiński - PRAWO I WŁADZA  
Andrzej Dżawicz - INNA ROSJA  
Lech Dymarski - ZA ZGODĄ AUTORA  
Jerzy Ficowski - GRYPS  
Jerzy Ficowski - ODCZYTANIE POPIOŁÓW  
Władysław Gnomacki - TOW. SZMACIAK  
Witold Gombrowicz - WSPOMNIENIA POLSKIE  
Igor Golekowszok - JEZYK ARTYSTYCZNY W WARUNKACH  
TOTALITARNICH  
Günter Grass - BŁAZANY BEBENEK  
Gustaw Herling-Grudziński - INNY ŚWIAT  
Marek Hłasko - ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA  
Bohumil Hrabal - ZBYT GŁOŚNA SAMOCENOŚĆ  
Paweł Jasienica - ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ  
Zdzisław Jaskuła - DWA POEMATY  
Jerzy Jedlicki - FORMA I TREŚĆ UMOWY SPOŁECZNEJ  
Włodzimierz Jermolajew - MOSKWA PIETUSZKI  
Andrzej Kijowski - NIEDRUKOWANE /wyd. I i II-gie/  
Marcin Król - STYL POLITYCZNEGO WYŚLENIA  
Marcin Król - JOZEF PIŁSUDSKI - ewolucja myśli  
politycznej  
Waldemar Kuczyński - PO WIELKIM SKOKU  
Jacek Kuroń - MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA  
ZASADY IDEOWE, WWA I O STRUKTURZE  
RUCHU DEMOKRATYCZNEGO /wyd. I i II-gie/  
Sándor Kopacsi - TRZYNAŚCIE DNI NADLEI  
Tadeusz Kowalik - SPORY O LSTRÓCZ POLBOSZNO-GOSPODARZOY  
POLSKI 1944-1944  
Antonin H. Liem - NOWA UMOWA SPOŁECZNA  
Zdzisław Zapiski - MIĘDZY POLITYKĄ A MBIAPIWYKĄ /o poważi  
Czesława Miłosza/  
Osip Mandelstam - PÓŻNE WIERSZE  
Tomasz Masaryk - WYBÓR PISM  
Adam Michnik - SIENIE ZAPOMNIANYCH PRZCZKÓW  
Czesław Miłosz - ZMIĘWŁONY UMYSŁ  
Czesław Miłosz - TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY  
Czesław Miłosz - KRÓL POPIEŁ I INNE WIERSZE  
Czesław Miłosz - MIASTO BEZ IMIENIA  
Czesław Miłosz - GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KODY W PAPA  
Czesław Miłosz - ŚWIATŁO DZIENNE  
Czesław Miłosz - ZDOBYCIE WRAZDY  
Czesław Miłosz - GUCIO ZACZAROWANY  
Jan Nowak - KURIER Z WARSZAWY  
George Orwell - WOLWARK ZWIERSZĘCY  
Maria Ossowska - O PEWNYCH PRZEMIANACH STYL I WALKI  
Józef Piłsudski - BURZLA  
Jan Potkowski - TO NIE JEST POEZJA  
Dominique de Roux - ROZMOWY Z GOMBROWICZEM  
Aleksander S. Rzenicyn - JEDEN DZIEŃ IWANA LENINOWICZA  
Józef Świątko - ZA KULISAMI BEZPIEKI I PARTII  
Janusz Szpotański - UTWORY WYBRANE  
Marek Tarniecki - POCHODZENIE SYSTEMU  
Marek Tarniecki - DZIAŁANIE I PRZYSTĘPIE  
Piotr Wierzbicki - CIERK  
Piotr Wierzbicki - GNIEZI PARNAS  
Kazimierz Wierzyński - CZARNY POLONIEZ  
Witold Wierusza - POLAKU KIM JESTEŚ  
Witold Wierusza - JESTEŚ I INNE WIERSZE /wyd. I i II-gie/  
Stefan Żeromski - NA PRZESTWIE W WYTKONIE  
Zygmunt Żuławski - WSPOMNIENIA  
- DOKUMENTY SPRZAWIA /opracowanie KSS "KOR"/  
- DWIE ROZMOWY MOSKWA 1960 /stenogram rozmów polsko-rosyjskich/  
- OBYWATEL A SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA /opracowanie/  
- OPRAWIANIA ZESPÓŁÓW PROBLEMOWYCH PPH  
- PAKTY PRAW OZCOWIKA I OBYWATELA  
- RPABIA /wybór artykułów z września 1939/  
- RAPORT O STANIE RZECZOSPOLITEJ /opracowanie DiP/  
- STOSUNKI SWIECKO-NIEMIECKIE /październik 1939 - czerwiec 1941/  
- DOKUMENTY MSZ III RZESZY  
- ZRODZENIA KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW  
- I KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPIW  
- ANTYSEMITYZM  
- BURCKOMUNIZM  
- KULTURA /wybór z rocznika 1978/  
- NOCNE ROZMOWY Z JOZEFEM SMRKOYSKIM  
- UWAGI O SYTUACJI GOSPODARZEJ KRAJU  
- JEZYK PROFAGANDY /zeszyt TKK/  
- ŚPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY  
- ŚPIEWNIK WARCHOŁA  
- ANEKS cz. II /wybór artykułów/

Ponadto nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazał się:

16 numerów kwartalnika literackiego ZAPIS w tym

- Tadeusz Konwicki - KOMPLEKS POLSKI  
Tadeusz Konwicki - MAŁA APOKALIPSA  
Julian Strykowski - WIELKI STRACH

8 numerów kwartalnika literackiego PUIS

7 numerów kwartalnika politycznego KRYTYKA